Michał Kuszewski

Płomienie Imoren

Alyn • tom II

Michał Kuszewski

Płomienie Imoren

Dla Izy.

SPIS TREŚCI

PROLOG 3
CZĘŚĆ I 4
ROZDZIAŁ PIERWSZY 5
ROZDZIAŁ DRUGI 17
ROZDZIAŁ TRZECI 25
ROZDZIAŁ CZWARTY 29
CZĘŚĆ II 36
ROZDZIAŁ PIĄTY 37
ROZDZIAŁ SZÓSTY 46
ROZDZIAŁ SIÓDMY 56
CZĘŚĆ III 62
ROZDZIAŁ ÓSMY 63
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY 71
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY 78
ROZDZIAŁ JEDENASTY 87
ROZDZIAŁ DWUNASTY 95
ROZDZIAŁ TRZYNASTY 100
ROZDZIAŁ CZTERNASTY 111
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY 117
ROZDZIAŁ SZESNASTY 123
CZĘŚĆ IV 129
ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY 130
ROZDZIAŁ OSIEMNASTY 138
ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY 148

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY 160
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY 171
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI 179
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI 192
EPILOG 201

MARU ATALLA
Buraaha Jir
PAHAAD
Bhalu Devi
Hurruk
Vihar Arapi
Mahatra
Saahi
Zatoka Nomadów
Pustynia Nomadów
ŻAKKAN
Al-Arak
Vigrad
SEBHEL
Wakh Sind
TAIDAN
Seine
Cobu
Wolne Miasto Żeglarzy
Fort Sefira
IMOREN
Krwawy Jęzor
Castanet

Blichtr płynie z miasta, mądrość z pustyni.

– *Diuna*, Frank Herbert (przekł. M. Marszał)

PROLOG

– Szybko! – wysapała złodziejka w stronę dziewczyny. – Nie oglądaj się!

– Wracaj tu! Natychmiast! – mężczyzna ryknął za ich plecami po imoreńsku, po czym wyszczekał serię rozkazów w języku Taidańczyków.

Jej koniec zagłuszyło przerażające wycie, na którego dźwięk – ignorując swoją własną radę – Alyn odwróciła głowę. Zanim dym na powrót przesłonił jej cały widok, dojrzała tylko potężny cień, który spadł na zaskoczonych żołnierzy jak lawina.

– Vaala... – szepnęła złodziejka.

Ale jej głos uleciał w szeleście rozgarnianych liści i trzasku łamanych gałęzi. W następnej chwili w jej nozdrza z pełną prędkością wbił się smród odchodów. I nigdy... Nigdy nie spodziewała się, że kiedykolwiek przywita go z taką ulgą.

Była poza granicami. Biegła przed siebie. Biegła na złamanie karku, trzymając się nadziei i dłoni, którą ściskała tak, jakby puszczenie jej oznaczało zagładę dla całego Zakkanu. Dla całego Rowan. Brakowało jej tchu, w jej żyłach buzował płynny ogień i czuła, że jeszcze moment i padnie nieprzytomna. Zaczęła już mieć omamy – tuż obok niej w mroku nocy mignęła sylwetka pochylonego wielkoluda. Wysoko między liśćmi świeciło szeroko rozwarte oko księżyca. Las wokół niej zaczął pochylać w ciekawości swe pnie i przeraźliwie skrzeczeć.

A potem, w jednej chwili, wszystko zamilkło. Dół przestał być dołem, a góra górą. Ktoś lub coś pociągnęło jej ramię. Za ramieniem podążył tułów. W plecy uderzył ją mech. Nad jej głową rozpostarł się czarny most zwalonego pnia. Świat zatrzymał się w pół kroku.

Leżała tak chwilę w bezruchu. Oddychając. Chłonąc słodycz wolnego od dymu i smrodu powietrza. Odwróciła głowę. Z wielką uwagą i troską patrzyły na nią znajome oczy. Twarz wokół nich była umazana krwią, włosy zlepione w twarde, błyszczące się zawijasy.

– Będą szukać – powiedziała twarz – ale tu nas nie znajdą. Wszystko w porządku?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Na wspomnienie widoku sprzed dosłownie kilku chwil (a może minęły już miesiące?) w jej oczach zebrały się łzy.

– Co z... – wychrypiała po kilku chwilach, gdy jej przełyk na powrót się otworzył.

– Śpi. Mamy czas. Dobra robota. – Twarz skinęła na to, co wystawało zza jej pazuchy. – Jestem z was dumny. Nie spodziewałem się, że... Hej, nie odpływaj. Alyn. Alyn, mów do mnie. Nie możesz stracić przytomności. Nie teraz. Potrzebuję, żebyś tu teraz ze mną była. Opowiedz mi coś. Opowiedz mi wszystko.

CZĘŚĆ I

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zły i obrażony
Wróciłem.
A wierzba stoi w ogrodzie.
– Ryota (przekł. Cz. Miłosz)

Trzy miesiące wcześniej

„Boski Wiatr" lamentował. Trzeszczał głośno i przeciągle, jakby kulił się sam w sobie przed nadejściem sztormu. Bałwany lizały jego kadłub przy każdym przechyle, śliniły się obficie i zraszały gdzieś na górze pokład słonym deszczem. Bawiły się jego drewnianą łupiną jak dziecięcą zabawką. Alyn czuła, że kajuta, którą dzieliła z Torynem, na przemian rozdyma się i kurczy, jakby łapczywie zaczerpywała powietrza. Przytrzymując zwinięte na koi, na poły bezwładne ciało brata, złodziejka przyłapała się nawet na tym, że sama oddycha w rytm jęknięć zmęczonych wręg szkunera.

W jej dłoniach zaszeleściły kartki notatnika, w którym Toryn zwykł spisywać swoje spostrzeżenia. Przeczytała już niemal wszystko, czemu poświęcił czas w trakcie swego półrocznego pobytu na Kaim. Całą, choć skróconą historię wyprawy z Rowan do Zakkanu, gdy byli jeszcze dziećmi, a potem lata życia na ulicach Saahii, stolicy pustynnego kraju. Wreszcie swą wyprawę na tajemniczą wyspę i odkrycie, jakiego dokonał we wnętrzu wznoszącej się nad księstwem Góry Gigantów.

To przez to odkrycie właśnie, przez starożytny byt, który te kilka osób znających jego tajemnicę nazwało Maszyną, tak bardzo podupadł na zdrowiu. W miarę upływu czasu jego pismo stawało się coraz mniej wyraźne, a zdania, którymi spisał najświeższe notatki, Alyn musiała czytać kilkakrotnie, by wyłowić z nich sens.

Ale to nie był problem. Nie widziała swego jedynego brata od dawna. Przez pół roku nie wiedziała, co się z nim dzieje. Chwila wytężania wzroku i umysłu jawiła się przy tym jako śmiesznostka.

Toryn pisał:

„Nie sposób, na Isztar, dobrać odpowiednich słów do wagi tego, co działo się – i ciągle przecież dzieje – na Kaim. To namacalny, przytłaczający i wciąż wymykający się mojemu pojęciu dowód na istnienie bogów. A jeśli nie bogów, to Boga. A jeśli nie Boga znowuż, to... Nie wiem. Nie wiem! Oto ktoś lub coś może się znaleźć tak blisko, tak bezpośrednio w stosunku do zwykłego człowieka... a jednocześnie być zamkniętym w jaskini gdzieś hen na zboczu zakrytym przez mgłę i deszcz. Oto ktoś lub coś pozwoliło wejrzeć w siebie, w swą starożytną konstrukcję, zwykłemu ludzkiemu władcy. Zwykłemu ze swymi wszystkimi zaletami, jak i przywarami. Całą masą strasznych, okrutnych przywar".

Tu pod rzędem pochylonych i połamanych do granicy przyzwoitości liter znajdował się równie koślawy

szkic. Widniała na nim Góra Gigantów i wpisany w nią wizerunek przygarbionego mężczyzny, najprawdopodobniej Księcia Geremy'ego.

„I ja zajrzałem tam, gdzie nikt zaglądać nie powinien. Zakosztowałem słodyczy Wiedzy. I czasami myślę, że trzeba było jednak zostać w domu, z Alyn i Kai, wieść proste życie, mieć wszystko w dupie. Bo przecież gdyby nie Alyn, gdyby nie moja siostrzyczka, nie byłoby dla mnie powrotu. Ledwo piszę. Cieknie ze mnie ze wszystkich otworów, wstydzę się tego, co zrobiłem, czego nie zrobiłem i co było na Kaim moim udziałem. Ale przetrwam to, klnę się na Isztar. Przetrwam i zaopiekuję się nią, bo i ona zaopiekowała się mną, gdy uchodziliśmy z wyspy, ona mnie zabrała do Yarren i zaokrętowała na ten statek, ona zapłaciła za ten rejs, Isztar wie, jaką walutą. I ona, z mojej głupoty, dotknęła owej przeklętej Wiedzy. A to oznacza, że też będzie cierpieć. Prędzej czy później".

Gdy przeczytała ostatnie słowa, Alyn poczuła dreszcz, który wdrapał się w nieprzyjemny sposób po jej plecach i zanurzył swą lodowatą dłoń w jej włosach. Oderwała wzrok od notatnika i wytężyła słuch. Jej uszu dobiegły nowe dźwięki dobiegające zza drzwi kajuty. Były to zaciągające po kaimiańsku głosy synów Margo.

– Dzień daję chłopinie, góra dwa!

– Ażeby dzień nawet! Do wieczora nie wytrzyma! Pomóc mu, powiadam, trzeba! Rach, ciach, rozumiesz, he, he!

– Hola, hola! Ja tam na przewóz trupów się nie pisałem! Nie taka była umowa! Co nie, *vaika*?!

To nie był pierwszy raz. Tego wieczoru było ich trzech. Z Torynem z każdym dniem było coraz gorzej, a oni z każdym dniem byli coraz bardziej rozochoceni. Mówili coraz głośniej. Coraz mniej do siebie nawzajem, a coraz bardziej w jej stronę. Droczyli się. Straszyli.

Synowie kapitan Margo, załoga „Boskiego Wiatru". Mieli dowieść rodzeństwo do Zakkanu w skrusze i pokorze. Wszak gościli obrońców Kaim. Bohaterów ich ziemi.

– Bohaterka – powiedziała bezgłośnie Alyn i parsknęła, gdy tylko nieme słowo wykrzywiło jej usta.

Czuła się nią. Choć siłą rzeczy niewielu miało usłyszeć opowieść o jej dokonaniach, przez pierwsze dni po opuszczeniu wyspy czuła się prawdziwą zwyciężczynią. Wojowniczką z legend, nie przymierzając. Jakby u kresu swej podróży na Górę Gigantów stanęła na szczycie świata, dosłownie i w przenośni.

Ale potem choroba uderzyła z pełną mocą. Najpierw w Toryna. Potem ją samą dopadły skurcze, drgawki i gorączka – prawdziwi zabójcy wszelakiego heroizmu.

Niebieska krew. Ich ciała, ich żyły upominały się o życiodajny płyn Maszyny, haracz za to, co Toryn nazywał Wiedzą. Protestowały przeciw jego braku z pełną mocą, obracając się przeciwko nim samym. Jej brat przeżywał to o wiele ciężej. Od czwartego dnia nie był w stanie podnieść się z koi, od piątego zaczęła się gorączka i dreszcze. A statkiem bujało coraz bardziej.

Synowie Margo z każdym dniem tracili do nich ów tajemniczy respekt, pod aurą którego znaleźli się, gdy tylko rodzeństwo wkroczyło na pokład i kazało się zawieść z powrotem do Saahii. Alyn gdzieś w głębi wiedziała dlaczego. Wszystko, cała iluzja – czy to wielkości jednostki, czy dobrobytu całego księstwa – nikło po oddaleniu się od ich źródła. Od Kaim. I Żółwia...

Dlatego już kilka dni po wypłynięciu załoga „Boskiego Wiatru”, Szalona Margo i jej synowie, zaczęli widzieć to, czego nie widzieli na lądzie. Dostrzegli to, co nauczyli się wyczuwać podskórnie u tych, których traktowali jak ofiary.

Desperację.

Zaczęły się pozornie niewinne komentarze, potem niby przypadkowe szturchnięcia. Wiatr i deszcz sztormu wytopiły z nich resztki szacunku do rudego rodzeństwa. I to oni znów byli górą. I to znów był ich statek.

– Puk, puk! Jest tam kto?!

– Daj spokój, pewnie nie chcą towarzystwa! Wiadomo, co tam robią?! Niby rodzeństwo, ale wiesz, co mawiają o Rowańczykach, he, he!

Lubili straszyć i nękać. Podczas pierwszego rejsu, na Kaim, znakomicie ukrywali to, mając do czynienia z całą grupką pasażerów. Ale i wtedy, jakkolwiek podświadomie, Alyn dostrzegała fragmenty ich prawdziwych twarzy. Tych, które kryli za uśmiechem, udawaną sympatią. Teraz dopiero ich maski opadły.

Nie wiedzieli tylko jednego. Alyn nie czuła strachu. Mogła dokładnie wskazać moment, w którym uczucie lęku opuściło ją – choć jeszcze wtedy nie była tego świadoma – a jego miejsce zajął kotłujący się gniew. Nie chciała o tym myśleć. Wystarczyło, że gdy tylko zamykała oczy, widziała obraz Godryka wbijającego jej w udo nóż w ciemnej, zadymionej jaskini.

Powiedziała sobie, że prędzej czy później się z tym upora. Ale jeszcze nie teraz.

Tymczasem do niewyraźnych pokrzykiwań marynarzy dołączył odgłos walenia w drzwi.

– Rodzeństwo, powiadasz? Ja tam bym popat...

Najmłodszy z braci, Joelyn – chłystek, którego jeszcze kilka tygodni wcześniej Alyn widziała, jak po dziecięcemu tańczył na tyłku po ujrzeniu wyłaniających się z morza brzegów Kaim – nie zdążył dokończyć zdania. Skrzydło otwarło się z impetem i wyrżnęło sękatą dechą w jego czoło. Odepchnęła odbite od marynarza drzwi i pojawiła się w progu kajuty, zionąc z oczu żywym ogniem. Ruda furia. W dłoni dzierżyła szczerbaty, zardzewiały widelec, który znalazła wciśnięty między koję i ścianę dwie noce wcześniej. Trzymała go w zaciśniętej pięści zębami do tyłu – tak, by za moment skoczyć na kogoś i dźgnąć go od góry.

Czuła, że była, kurwa, gotowa zrobić to w każdej chwili.

Widząc jej wzrok, bracia gramolącego się z ziemi poszkodowanego cofnęli się, ale tylko nieznacznie. Wciąż mieli przewagę liczebną. Wciąż byli silniejsi. Zastanawiali się tylko – poznała to po ich spojrzeniach – czy mają wystarczająco dużo woli, by ryzykować starcie z kimś, kto ewidentnie postradał zmysły.

– No, dalej – warknęła z zaciśniętą szczęką. – Na co byś popatrzył?

Na moment oświetlone kilkoma zmęczonymi sztormem kagankami sylwetki zamarły w ciszy jak spłoszone psy. Jakby pod pokładem szkunera czas zatrzymał się i jął zastanawiać nad tym, jak to wszystko dalej się potoczy.

A potem kadłubem wstrząsnęło kolejne zderzenie z potężną falą i ruch na schodach wiodących na pokład sprawił, że cała czwórka odwróciła głowy w ich stronę. To była Margo. Obserwowała sytuację od samego początku, a teraz podniosła się ze stopnia. Na jej widok marynarze cofnęli się jeszcze o krok od Alyn. Opuścili ręce i głowy.

– Na górę, chłopaki. Raz, dwa – powiedziała, nie podnosząc głosu. – A ty, *vaika*, chodź za mną. Porozmawiamy.

Złodziejka poczekała, aż marynarze wyjdą na pokład, po czym rzuciła okiem za siebie. Toryn wspierał się na łokciu. Miał zmęczone, podkrążone oczy i rozbiegany, szukający znajomej twarzy wzrok. Ale był przytomny.

– Nie martw się, nic mu nie będzie. Chodź, no – rzuciła kapitan i wyszła.

Złodziejka z trudem rozluźniła palce zaciśnięte na improwizowanej broni. Widelec z brzękiem upadł na podłogę.

*

Gdy tylko postawiła nogę na pokładzie, wyjąca ściana wiatru niemal pozbawiła ją równowagi. Jej ubranie natychmiast nasiąkło wodą, a na twarzy i ramionach poczuła kłujące szpilki ulewy. Wysoko nad jej głową błyskawica drżącą ręką wyrysowała na chmurze rozjarzone drzewo i znikła. Przez moment Alyn czekała na odgłos gromu, ale wiatr zagłuszał wszystko, pozostawiając w jej uszach jedynie nieznośny hałas. Ciężkie obłoki zakrywały niebo aż po horyzont, wzdłuż którego hen daleko rysowała się nitka przejaśnienia.

Ostrożnie stawiając kroki na mokrych deskach, walcząc z przechyłami, złodziejka przemierzyła pokład. Rzuciła okiem na najstarszego z braci, który z zapamiętaniem walczył na rufie ze sterem, i otworzyła drzwi kajuty Margo. Zawahała się na moment, a potem wśliznęła się do środka.

Od razu rzucił się w jej oczy przewrócony, kiwający się zydelek, na którym pierwszego dnia rejsu na Kaim – dawno, dawno temu – siedziała nago, kiedy przesłuchiwała ją Margo. Poza tym jednym wyjątkiem pomieszczenie było jak zwykle schludne na swój ascetyczny sposób. Światło dyndającej na łańcuchu lampy miotało cieniami mebli i przedmiotów, jakby brały udział w tanecznej, mrocznej pantomimie. Kapitan stała bokiem przy barku. Jedną ręką wyciągała grubą butelkę trunku o głębokiej barwie drewna, a drugą – Alyn nie była pewna, czy dobrze to dostrzega przez rozmazaną wilgoć na swoich szkłach – podtrzymywała ludzką czaszkę. Była niewielka, dziecięca, nie przymierzając. Bez asekuracji kapitan z pewnością wypadłaby i potoczyła się po podłodze pod przeciwległą ścianę.

Złodziejka zacisnęła pięści i przełknęła ślinę. Margo po raz pierwszy otworzyła przy niej podwoje swej szafki z pitnym ogniem. Nic nie działo się tu przypadkowo.

– Zaoferowałabym ci – powiedziała Margo, gdy zamknęła barek i odwróciła się w stronę Alyn – ale mam do ciebie żal za tamtą manierkę, *vaika*.

Kobieta sprawnym, wyćwiczonym setkami powtórzeń, ruchem otworzyła szufladę, wyjęła z niej szklankę i wrzuciła do niej zdjęty kciukiem korek butelki, po czym zasunęła ją biodrem. Choć kolejna fala szturchnęła „Boskim Wiatrem” tak mocno, że Alyn wydawało się, że coś trzasnęło w poszyciu, kapitan, nalewając, nie uroniła ani kropli.

– Trochę cię rozumiem, sama kiedyś byłam jak ty. Rozgość się – powiedziała Margo i wskazała dziewczynie rozbujany, przewrócony zydelek. Zaczerpnęła głęboki łyk ze szklanki.

– Postoję – odrzekła Alyn i oparła się plecami o ścianę przy drzwiach. – O co chodzi?

Nie była szczęśliwa. Ostatnie dni nie były łatwe i nie zanosiło się, by to niespodziewane zaproszenie

miało cokolwiek zmienić. Sytuacja wymagała przejęcia inicjatywy. Czegokolwiek chciała od niej Szalona Margo, Alyn nie mogła pozwolić sobie na wpisanie się w rolę milczącej podwładnej. Skądś w końcu wzięła siłę woli, by zmusić załogę „Boskiego Wiatru" do zabrania jej i Toryna w powrotny rejs do Zakkanu. Wystarczyło znaleźć ją na nowo. Choćby jej strzęp.

Mimo to dziewczyna nie znajdowała w sobie odpowiednich słów, a jej myśli krążyły niespokojnie wokół choroby brata, Żółwia, który poświęcił się dla Kaim, i dopiero co ujrzanej czaszki w barku. Kolejnej tajemnicy domniemanego szaleństwa kapitan tego przeklętego szkunera.

Gdy dostrzegła minę Alyn, Margo uśmiechnęła się i oparła udami o pulpit. Pociągnęła kolejny łyk.

– Przez jakiś czas zupełnie mi to umykało, ale teraz wreszcie to widzę. Przypominasz mi kogoś. Miała chyba piętnaście lat, gdy pojawiła się na moim statku. Ona i ta jej mała przybłęda – powiedziała i skinęła w stronę zamkniętych drzwiczek barku.

Złodziejka poczuła na plecach dreszcz. Kapitan kontynuowała:

– Traf chciał, że też cumowaliśmy w Yarren. Wśliznęły się nocą i schowały pod pokładem. Ta starsza miała na imię Raina. Taaak... Raina. Do dziś nie wiem, na co liczyła, ale gdy tylko ją zobaczyłam, różową na twarzy i z tymi jej długimi białymi kłakami, wiedziałam, że coś z nią jest nie tak. Takie rzeczy – Margo zmrużyła oczy i popukała palcem w skroń – się widzi od razu. A ona była zła. W środku była zła. Brudna. Jak nie człowiek, rozumiesz? To przez te oczy. Ledwo jej cycki wyrosły, a już szlajała się po ulicach. Kto wie, komu zdążyła już swą cipę nastręczyć. Mało na Kaim zboczeńców? Och, żebyś widziała, jakim wilkiem na mnie patrzyła, gdy ją tu przesłuchiwałam. A musiałam się dowiedzieć, co ona za jedna, bo na pokładzie miałam już swoich chłopców... Gdzie te czasy?

Kapitan ostatnie zdanie niemal wymruczała, po czym wlepiła wzrok w plamę cienia na ścianie. Alyn czuła, że opowieść zmierza w bardzo nieprzyjemnym kierunku, ale nie stać jej było na żadne wyskoki. Czy tego chciała, czy nie, z uwagi na stan brata była na łasce Margo. Potrzebowała jeszcze dnia, dwóch, by stanąć z powrotem na zakkańskim lądzie i nigdy więcej nie spojrzeć na „Boski Wiatr" i jego załogę. Potrzebowała tylko dotrzeć do domu. Więc milczała.

– Dziękuj zatem swoim bóstwom, *vaika*, że ulepiono cię z ludzkiej, a nie tej splugawionej gliny – podjęła po chwili Szalona Margo. – Mała dziwka, tfu. Rzucała się jak chora lwica, a była niczym więcej niż pyskatą krową. A ja się i tak ugięłam. Dostała kajutę, a jak. Za pracę. Obu siks, oczywiście, bez wyjątków. Suka pyskowała jeszcze bardziej. – Kapitan obróciła się całym ciałem w stronę Alyn i wbiła w nią przenikliwe spojrzenie. – A potem zaczęła rozmawiać z chłopcami, rozumiesz? Nakręcać ich przeciwko mnie. Mało by się jej udało. Była tuż, tuż od tego, by poszła z Merynem w port, do którego mieliśmy zadokować. Zabrakło jej dnia, gdy się o wszystkim dowiedziałam. Wrzuciłam je obie do zęzy, a potem przychodziłam tylko z chłopakami, żeby pokazać im, co robi się z takimi jak ona. I powiem ci, że wychowałam bardzo pojętnych synów. Rozumiesz? To była jedna część kary. Drugą dostawały raz dziennie w porze kolacji. Do podziału. I tak się dzieliły, że do kolejnego cumowania została już tylko ona jedna. Białowłosy pomiot. A mała... Po małej mamy pamiątkę.

Margo uśmiechnęła się samymi ustami, odsłaniając dwa rzędy nierównych, zażółconych zębów.

– Ha, ha, ha! – kapitan roześmiała się po chwili, widząc, że jej wybieg przyniósł spodziewany efekt.

Kolejnym haustem opróżniła szklankę do czysta. – Każdemu opowiadam tę historię. Uwielbiam patrzeć na wasze miny.

Alyn chciała, z całej siły chciała również się roześmiać. Przedni żart, masz mnie, chciała powiedzieć. To byłoby takie łatwe. Podzielić ten moment z Margo. Dotrwać. Przetrwać.

Zamiast tego czuła niepokój. Historia opowiedziana przez Margo nie była zmyślona. Była tego tak pewna, jak pewien mógł być ktoś, kto wciskał innym kit przez całe życie. Ale najgorsze było to, że zamiast obrzydzenia i gniewu jedynym, co czuła, była fascynacja. Niezdrowe podniecenie losem tej, która tak jak ona sama odwiedziła Kaim. I była inna. Odmieniona? A może też przywiedziona przez Górę Gigantów?

– Co się z nią stało? – zapytała Alyn i odchrząknęła, aby nie załamał się jej głos. – Z tą białowłosą?

Kapitan nie odpowiedziała. Niespiesznie nalała sobie jeszcze łyk, otwierając i zamykając barek, pozwalając ciekawości zdanej na jej łaskę dziewczyny powęszyć jeszcze chwilę w tajemnicach przeszłości. A potem wypiła płynny ogień jednym haustem i zapytała:

– Czujesz to? – ton jej głosu był surowy, wyprany z emocji. Jakby reakcja głupiej *vaiki* z Zakkanu nie była taka, na jaką liczyła. – Czujesz? Sztorm lżeje. No, co tak stoisz jak cielę? Odezwiesz się wreszcie?

Ale choć chciała, choć naprawdę chciała tego, dla siebie i dla Toryna, Alyn nic nie powiedziała. Zamiast tego uniosła głowę i odwzajemniła spojrzenie Szalonej Margo. Długo. Dłużej, niż to było bezpieczne.

Następnie, z trudem powstrzymując się od splunięcia, odwróciła się, otworzyła z impetem drzwi i wyszła z powrotem na deszcz.

*

Tak jak się spodziewała, wpadli do kajuty w nocy. Wiedzieli, gdzie i jak łupnąć, by liche zawiasy puściły jak suche gałęzie. Drzwi z impetem wleciały do środka. Alyn nie spała, ale przez wciąż intensywny szum fal i trzeszczenie kadłuba nie usłyszała ich, aż było za późno. Mieli pojedynczą lampę, która od dołu oświetlała ich wykrzywione w grymasach odrazy i nienawiści twarze. Najstraszniejsze było jednak to, że choć przez ostatnie wieczory gęby im się nie zamykały, w ciągu tych kilku krótkich chwil nie odezwali się ani słowem. Zanim zdążyła zareagować, złodziejka poczuła, jak unieruchamiają jej nogi i łapią za ręce. Gdy zsunęli ją z pryczy, spróbowała wierzgnąć, trafić w lampę, spalić ten przeklęty statek, rzucić na pożarcie rybom i glonom. Ale byli sprytniejsi. Wynieśli ją we dwóch jak wór, choć rzucała się i wrzeszczała z całych sił. Choć wiedziała przecież, że nikt nie przyjdzie im z pomocą. Nikt, bo w swej pysze zabroniła Margo wziąć na pokład kogokolwiek poza nią i Torynem.

Nikt, bo jedyna osoba zdolna tego dokonać, giermek Argus zwany Żółwiem, pozostał na Górze Gigantów w Kaim, o tydzień rejsu stąd.

Próbując się uwolnić, Alyn zerkała co chwilę za siebie. Szukała wzrokiem Toryna. Jej brat był półprzytomny, nie stawiał oporu. Zanim wynieśli ich na pokład, zdołała dojrzeć błysk w jego oku. Wiedział, co się dzieje, ale nie był w stanie temu przeciwdziałać. Jego zwiotczałe ciało przelewało się im przez ręce.

Na zewnątrz wciąż wiało, ale już nie tak intensywnie. Deszcz ustał. Spomiędzy rzadkich chmur na niebie łyskały ogarki gwiazd, a światło księżyca oświetlało bladą łuną huśtające szkunerem fale. Na swój ironiczny sposób było ładnie.

Synowie Margo przynieśli rodzeństwo na prawą burtę i oparli o reling. Nie puszczali. Kołyszący się horyzont w oczach złodziejki to jaśniał światłem nocnego nieba, to wpadał w połyskującą srebrem czarną toń niespokojnych wód morza. Alyn przełknęła ślinę i wypowiedziała w myślach słowa, które niczym sępy nad padliną krążyły w jej głowie od momentu, gdy zapadł wieczór.

Zostały nam już tylko chwile.

– To całkiem zabawny zbieg okoliczności – zza pleców złodziejka usłyszała głos Szalonej Margo. Kobieta była pijana. – Bo jeśli mnie mapy nie mylą, to właśnie gdzieś tu pożegnaliśmy się z tą białowłosą suką. Co nie, chłopcy? Pamiętacie?!

Przytaknął jej jednolity pomruk. Któryś z marynarzy splunął za burtę. Inny złapał Alyn za pośladek i ścisnął tak mocno, że musiała użyć całej swojej woli, by nie zawyć z bólu.

– Próbowałaś skoczyć wyżej dupy, amatorko – powiedziała Margo do ucha dziewczyny ciepłym zapachem przetrawionej gorzałki, po czym odwróciła się w stronę załogi. – Dobra, chłopcy, jego za burtę, ją, gdy z nią skończycie. Byle rychło!

Zanim zauważyła, jak Toryn przelatuje przez reling, Alyn usłyszała krótkie szurnięcie, a następnie głuchy plusk gdzieś hen na dole. Jakaś dłoń złapała ją za biodro, druga ścisnęła jej pierś.

– Pierdol się, Margo! – wrzasnęła i szarpnęła całym ciałem. To dało jej moment swobody, którego potrzebowała. Nie bacząc na ból wykręcanych nadgarstków, odbiła się od czyjegoś uda i przeleciała nad relingiem. Mgnienie oka później wypuściła z płuc głębokie, zamknięte w całej konstelacji bąbli westchnienie, gdy morze przywitało ją i objęło jej całe ciało mroźnymi dłońmi.

Kiedy woda całkowicie zatrzymała jej upadek, przez najkrótszą z chwil rozważała, czy nie byłoby lepiej, gdyby zanurkowała jeszcze głębiej, w nieznane. Ale gdy jej dłoń natrafiła na strzępek materiału, chwyciła go z całej siły i wystrzeliła do góry, ciągnąc go za sobą. Do powietrza.

– Toryn! – wrzasnęła, gdy głowa jej brata wychynęła na powierzchnię. – Toryn, wierzgaj nogami! Walcz! Walcz, kurwa!

Zrazu zwiotczała twarz Toryna nagle zaczerpnęła głęboko powietrza i kaszlnęła. A potem jej brat zamachał rękoma, jakby chłód nagle orzeźwił go i przywrócił siły. Żył. Chciał żyć. Alyn nie potrzebowała wiedzieć więcej.

Fale to unosiły ich, to niosły z powrotem w czarną toń. Rozmazana sylwetka pękatej rufy „Boskiego Wiatru” nieustannie oddalała się, ale na horyzoncie było coś jeszcze.

– Toryn! Spójrz tam! Czy tam jest ląd?!

Złodziejowi chwilę zajęło skupienie wzroku, aż wreszcie jego twarz po raz pierwszy od dawna wykrzywiła się w grymasie półuśmiechu.

– Alyn, siostrzyczko! – wycharczał. – Jest! Jest, ale nie dopłyniemy tam wpław! Nie ma, kurwa, mowy!

– To samo powiedziałam sobie, gdy kazali ci przeskoczyć mur w Jurdze, durniu! – krzyknęła złodziejka i spojrzała bratu prosto w oczy. – Toryn, posłuchaj mnie uważnie! Teraz cię puszczę, spróbuj utrzymać się na powierzchni. Oszczędzaj siły, ale nie odpływaj! Zgoda? Trzymaj się blisko!

– Ha, ha, ha! – zaśmiał się nagle Toryn i niemal zachłysnął się wodą. – Pływaki! Nie wierzę, podkitrałaś im pływaki!

– Jeden! Tylko jeden!

Alyn uśmiechnęła się, na ile pozwoliły jej zmarznięte mięśnie twarzy, i czując, jak z chwili na chwilę grabieją jej dłonie, wyszarpnęła zza pazuchy płaski skórzany worek. Następnie wtłoczyła w niego kilka głębokich haustów powietrza, aż pociemniało jej przed oczami i zrobiło się jej gorąco.

Gorąco i duszno na środku otwartego morza.

Wszystko wydarzyło się błyskawicznie i gdy zdała sobie sprawę z popełnionego błędu, było już za późno. Zaczęła tracić przytomność, jej zdrętwiałe dłonie nie były w stanie dłużej utrzymać balonu, a tym bardziej zakorkować go i zawiązać. Mogła tylko biernie obserwować, jak wypuszcza jedyną deskę ratunku, a niespokojne wody wyciągają dłonie po jej szyję, usta, nos.

Oprzytomniała, słysząc mrożący krew w żyłach, zachrypnięty ryk. Była w objęciach Toryna, który schował uszczelniony balon z powietrzem pod pachą. Krzyczał, ale nie rozumiała słów. Woda zatkała jej uszy. Czując, jak ściśnięte między jego barkiem i jej szyją szkła na skórzanym pasku wrzynają się jej w ciało, poklepała go po plecach.

– Będziemy żyć, Alyn – powiedział jej brat i pocałował ją w policzek. – Patrz, niedługo poranek. Będziemy żyć.

*

Fale przyboju wyrzuciły ich, wycieńczonych, na piaszczystą plażę kilka chwil po tym, jak nad horyzont wzniosło się czerwone oko brzasku. Obmywani przez słoną wodę leżeli plackiem długo, to śmiejąc się, to płacząc ze szczęścia, to klnąc z wściekłości i nienawiści. Tak długo, aż zaczęło ich przypiekać słońce, aż wreszcie trzeba było podnieść się i stanąć twarzą w twarz z nową przerażającą rzeczywistością. Aż zdali sobie w pełni sprawę, że są nie wiadomo jak daleko od Saahii czy jakiejkolwiek osady, bez wody pitnej i ochrony przed żarem. Bo gdy stanęli plecami do morza, przed nimi rozpostarła się niezmierzona połać jasnożółtej pustyni.

– Jesteśmy w Zakkanie, nie ma co do tego wątpliwości – stwierdziła Alyn, rozczesując palcami twarde strąki włosów. – Płynęliśmy od północy, więc Saahii będzie gdzieś...

– Tam – powiedział Toryn i wskazał horyzont na morzu. – Zatoka Nomadów wgryza się w ląd szerokim łukiem, więc jeśli chcemy dostać się do domu, będziemy musieli obejść ją wzdłuż brzegu.

– Wybornie – parsknęła Alyn. – Jak się czujesz?

– Nieźle, siostrzyczko. Naprawdę nieźle. Przez ostatnie dni nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, ale dziś jest ina... Ekhe...

Toryn zgiął się wpół i niespecjalnie obficie rzygnął wodą i żółcią. Splunął kilkakrotnie i otarł usta przedramieniem.

– Ale powiem ci – rzekł, gdy odzyskał oddech – że rano było lepiej. Jak było chłodniej, było lepiej.

Złodziejka uśmiechnęła się, ale na jej twarzy momentalnie wykwitł grymas bólu, gdy poczuła znajome kłucie w piersi. Potrzebowała niebieskiej krwi Maszyny. Oboje jej potrzebowali. Działała jak narkotyk. Pozostało mieć nadzieję, że to tylko chwilowe. Że da się to przetrwać.

– Na północ od Saahii pustynia jest większa i sięga dalej – powiedział Toryn. Wyprostował się i zakrył

dłonią oczy przed słońcem. Nagle odwrócił się w kierunku siostry. – Ale nie jest nieskończona... Na Isztar, Alyn, gdzieś tu musi być Maraak!

– Maraak? Rzeka?

– Tak, tylko ona i Szikra są na tyle szerokie, żeby zdołały przeciąć całą pustynię i dotrzeć z gór Buraaha Jir aż tak głęboko na południe. Potrzebujemy wody pitnej. To nasza szansa. Słowo daję, umieram w tym upale. Idźmy brzegiem, bylebyśmy mogli moczyć ubrania.

Alyn spojrzała na brata w zamyśleniu. W jej głowie rodziła się teoria, ale nie była gotowa się nią podzielić. W rodzinie o stałe trzymanie języka za zębami w ważnych kwestiach wyjątkowo skutecznie zatroszczył się ojciec.

– To co – powiedziała wreszcie, gdy rozejrzała się. – Północ czy południe?

– Jeżeli chcemy iść do domu, jeżeli chcemy zobaczyć się z Kai...

– Kai urwie nam obojgu głowy, wiesz o tym, nie?

Toryn zamknął oczy i uśmiechnął się. Tęsknił za przyjaciółką podobnie jak Alyn. Jeśli nie bardziej.

– Chodź do wody, braciszku – powiedziała złodziejka i roztrzepała bratu sklejone włosy. – Chodź, a potem ruszymy na południe.

– Poczekaj, Alyn, ja... – Toryn westchnął, machnął rękoma, po czym, marszcząc czoło w bólu, wstrzymując kaszel, podszedł do siostry, objął ją i pocałował w czoło. – Cieszę się, że po mnie przyszłaś.

*

Szli wolno, ale nieustępliwie. Aż piasek plaży zamienił się w kamienie, a brzeg wyrósł skalistą ścianą wysoko ponad poziom morza. Najgorsze chwile pierwszego południa przeczekali w wąskim cieniu głazu, który wyglądał, jakby wtoczył się mozolnie na szczyt klifu i zastanawiał teraz, czy skoczyć i zakończyć swoje marne istnienie w płytkich falach na dole.

Przypuszczenia Alyn okazały się w dużej mierze słuszne – chłód łagodził objawy choroby. Pozwalał trzeźwo myśleć i pozbawiał bólu. Tak długo, jak mieli dostęp do brzegu, było dobrze. Ale na klifie, w miejscu, gdzie cała bezkresna połać morza była w zasięgu wzroku, niedostępność wody – i tej pitnej, i tej morskiej, chłodzącej spocone ciała – była szczególną katorgą.

Gdy przyszedł wieczór, brzeg zaczął łagodnie opadać, a pluskające daleko w dole morze na powrót przybliżyło się na tyle, by poczuli jego wyraźny zapach. Ale choć oboje garnęli się wręcz, by, kulejąc od otarć, zanurzyć się z powrotem po pas w słonej uldze, przyszłość niosła kolejne wyzwania. Już niedługo zapaść miał zmrok, a wraz z nim nadejść pustynne zimno. Prawdopodobnie przez jakiś czas znośne dzięki ciepłym wiatrom, które wiały od lądu. Ale wkrótce i one miały się oziębić, i będzie trzeba przetrwać jakoś noc. Znaleźć schronienie, wyschnąć, a najlepiej wtulić w siebie nawzajem w jakimś kokonie, by ciepło mogło migrować między zmarzniętymi ciałami. Jak w Rowan. Ale jak dotąd wciąż było nieznośnie gorąco, a owe ciała protestowały, każdym porem skóry plwając i wykrzykując ku swym właścicielom wulgarne epitety.

I gdy wreszcie zeszli z klifu z powrotem ku plażom, a Alyn już miała wziąć rozbieg, by rzucić się prosto w nadpływające fale, Toryn chwycił ją z całej siły za ubranie.

– Czekaj! Patrz!

Złodziejka na powrót nałożyła szkła na oczy i wytężyła wzrok we wskazanym kierunku. Na drugim końcu niedługiej mokrej łachy, która dalej kończyła się pionową skalną ścianą, majaczyła czyjaś sylwetka. Nie ów człowiek jednak sprawił, że Alyn zachłysnęła się powietrzem i zmrużyła powieki, by widzieć wyraźniej, tylko to, co stało obok niego.

– Toryn, czy to...

– Tak.

– Jesteś pewien? Jesteś absolutnie pewien, że to...

– Tak.

– Isztar – szepnęła złodziejka i spojrzała w niebo – chyba zacznę w ciebie wierzyć.

*

Mogli nadłożyć drogi i zajść go od strony lądu, żeby zauważył ich dopiero, gdy będą już blisko, ale Toryn przekonywał, że nie ma lepszego sposobu na to, by ktoś opacznie odczytał twoje intencje, niż podejść go znienacka. Lepiej było pokazać się jak najwcześniej. „Uczciwiej", powiedział, choć dziewczyna zdawała sobie sprawę, że przy jego stanie droga naokoło po skałach mogłaby się wydłużyć na tyle, że tajemniczy mężczyzna zdążyłby w międzyczasie zabrać swoje toboły i zniknąć im na dobre.

– W zasadzie czy my wyglądamy na jakichś złodziei? – rzekł jej brat, kończąc swój wywód, i roześmiał się, a potem długo kasłał, zakrztusiwszy się śliną.

Jak przewidzieli, nieznajomy zauważył ich, na długo zanim zbliżyli się do niego na odległość krzyku, choć Alyn miała podejrzenie, że jego uwagę równie dobrze mogło zwrócić nieludzkie wręcz charczenie Toryna, gdy jego krtań brała sobie za punkt honoru wypluć całe płuca. Mężczyzna przez kilka chwil zdawał się wahać, czy zostać, czy chwycić lejce swych dwóch wielbłądów i czym prędzej wziąć nogi za pas. Być może wyraźnie widoczna przypadłość podtrzymywanego przez niewiastę mężczyzny przekonała go o tym, że w razie czego byłby w stanie się obronić. Być może był dobrym człowiekiem.

Być może po prostu bardzo głupim.

– *Isztar-adija*, wędrowcze! – zawołała Alyn, gdy nieznajomy zatrzymał ich gestem kilkanaście kroków od siebie. Zdawała sobie sprawę z tego, że wygląda wystarczająco kuriozalnie i podejrzanie ze szkłami Zakarego na oczach, więc odwróciła głowę tak, by choć odrobinę zasłonić wygoloną skroń i przecinającą ją jak pasmo górskie szramę po siekierze kobiety, która zginęła z jej ręki. – Jesteśmy rozbitkami, szukamy drogi do domu!

– *Adija ara-ara* – odpowiedział mężczyzna bez entuzjazmu. Miał zaskakująco wysoki głos. – Stójta tam, gdzie stoicie. Wiecie, co to jest?

Nieznajomy o brodatej, pomarszczonej twarzy ubrany był w szarą, wymęczoną przez upały, wiatry i czas dżalabiję, która skrywała szczupłe ciało. W wyciągniętej ręce trzymał pistolet skierowany ku piaskowi w punkcie znajdującym się dokładnie w połowie dystansu pomiędzy nim a wędrowcami.

– Flinta Wezyra Szarida – odrzekła Alyn ze swadą, która, jak sądziła, skutecznie ukryje fakt, że nie wiedziała, o czym mówi. Widziała coś takiego raz w życiu w warsztacie Zakarego i choć zdawała sobie sprawę z tego, do czego jest zdolne, nie miała pojęcia, jak działa. Oprócz jednego prostego faktu: przed użyciem trzeba

było poświęcić sporo czasu na jego naładowanie.

– Księcia Husajna – powiedział nieco głośniej, pewniej i, co najważniejsze, przyjaźniej, nieznajomy. Nie opuścił jednak broni. – Ale blisko. A temu co jest?

– Popołudniowa rozedma, przechodzi wieczorem – złodziejka czuła wyraźny przypływ blagierskiej inspiracji, ale bynajmniej nie była z tego względu zadowolona. Nomada wyglądał w porządku. – To mój brat, Toryn. Ja jestem Alyn. Płynęliśmy do Saahii, gdy złapał nas sztorm. Wyrzuciło nas pół dnia drogi stąd. Potrzebujemy wody albo chociaż informacji o tym, jak daleko nam do domu.

– Do domu? – mężczyzna zasępił się i poruszył wąsem. – Nie wyglądacie na Zakkańczyków. Skąd mam wiedzieć, żeśwa nie najemnicy albo, tfu, złodzieje? No?

– Pochodzimy z Rowan – powiedział Toryn i wyprostował się, podpierając na ramieniu siostry. – Ale tu jest nasz dom. *Wahal nami khab, unta nemi,* a?

„Tam mój dom, gdzie wielbłądy", pomyślała Alyn. Dobre. A wtedy, na moment, nie wiadomo skąd, przed oczami stanął jej obraz z ciemnej jaskini pod Górą Gigantów, a na nim oświetlone pojedynczym promieniem słońca martwe ciało Jakoba De Witta. I dzień na powrót stał się wredny i parszywy.

Tymczasem mężczyzna ponownie zasępił się i tym razem trzykrotnie poruszył wąsem, aż wreszcie wsunął flintę za pas opinający dżalabiję, uśmiechnął się i skinął głową w geście zaproszenia.

– Na imię mi Levander, a to Ora i Nera – nomada wskazał na przyglądające się z uwagą całemu zajściu zwierzęta. – Cudowne istoty, ale nie lubią obcych. Plują i gryzą, więc trzymajcie się od nich z daleka, zrozumiano? Siądźwa, przyniosę bukłak.

Usiedli i z wdzięcznością przyjęli wodę, a jej chłód orzeźwił ich ciała i otrzeźwił umysły na tyle, by po przeniesieniu się w bardziej osłonięte przed wiatrem miejsce pod skałą mogli bez nadmiernej natarczywości przeprowadzić z Levanderem wywiad na najbardziej palące tematy. A jako że nomada, mimo że czuć było w nim rezerwę wobec obcych, okazał się wcale gadatliwy, rozmawiali do zmroku.

Okazało się, że owszem, życiodajne, zielone ujście Maraak było relatywnie niedaleko. O zaledwie dwa dni drogi na północ, czyli w kierunku, z którego nadeszli. Jednocześnie znaczyło to, że byli bliżej stolicy Zakkanu, niż się obawiali, a choć Levander nie wybierał się bezpośrednio do miasta, zaoferował swoje towarzystwo w tej części swojej drogi, która wiodła na południe wzdłuż zatoki. Toryn przyjął propozycję w imieniu ich obojga, głaszcząc krótkie, zgolone włosy na skroni siostry. Niedługo później wszyscy położyli się spać – nomada między ciepłymi ciałami swych wielbłądzic, Alyn i Toryn w skalnym załomie.

Słuchając miarowego oddechu brata i łagodnego szumu wód zatoki, złodziejka nie zmrużyła w nocy oka.

Rankiem ruszyli w drogę. Raźno – tak, by pokonać jak najwięcej dystansu, nim słońce uczyni wędrówkę nieznośną, a objawy Toryna poważnymi. Levander wysforował się naprzód. Wynajdował najodpowiedniejsze ścieżki dla swych objuczonych zwierząt, ale nie oddalał się jednocześnie od falującego to plażami, to klifami wybrzeża.

Przed południem natrafili na na poły zasypaną, na poły wyżartą przez piasek i wiatr zagrodę, którą dawno temu ktoś wyjątkowo odważny postawił na szczycie górującej nad morzem skały. Pośrodku stały krzywe ściany zniszczonej chatynki, pomiędzy którymi w jakiś nieprawdopodobny sposób zachowało się kilka

desek tworzących prowizoryczny dach. Po ostrożnym umieszczeniu obok nich jeszcze paru znalezionych w okolicy i wykopaniu przytulnego dołka troje wędrowców przysiadło wewnątrz na odpoczynek, chroniąc się przed bezlitosnym żarem. Popołudniem dopili resztkę z wczorajszego bukłaka, zagryźli sucharami przyprawionymi sproszkowanymi liśćmi ziół i ruszyli dalej. Co i raz wyglądali na morzu statków, jak mew, które na otwartych wodach zwiastowały bliskość lądu. Choć burczało jej w brzuchu, Alyn wtedy właśnie zaczęła odkrywać, że pustka w jej żołądku była niczym wobec morskiego wiru, który przez ostatnie dni otworzył się gdzieś głębiej, w centrum jej istnienia. Który wsysał zapachy, dźwięki i barwy.

Znała na to lekarstwo, ale najpierw trzeba było dotrzeć do miasta.

Nim na horyzoncie wyrosły igły wież dzielnicy handlowej Saahii, wędrowali jeszcze trzy dni. Drugiego zahaczyli o schowaną w kotlince między wydmami osadę koczowników, gdzie Levander zaopatrzył się w prowiant na dalszą wędrówkę i wykonał kilka transakcji z okutanymi w brązowe szale, bezzębnymi tubylcami o suchej, pomarszczonej skórze twarzy i czujnych oczach. Sposób, w jaki patrzyli na wymiętą, zasoloną i wypłowiałą już, ale wciąż solidną kurtkę Toryna, podsunął złodziejowi pomysł, który zrealizował następnego dnia, gdy ich przewodnik uznał, że widok miejskich murów w oddali to wystarczający powód, by odbić w głąb pustyni, na zachód.

– Na pustyni życie jest święte – rzekł nomada, gdy stanął w rozkroku u szczytu niewielkiej wydmy, z której roztaczał się znakomity widok na majaczące w oddali w gorącym powietrzu zabudowania. – W tym mieście święte są tylko kłamstwa i pieniądze.

– Nie mamy jak ci się odwdzięczyć, Levander – powiedział Toryn i uścisnął dłoń mężczyzny, a potem wcisnął mu w nią swoją skórzaną kurtkę. – Niech chociaż ona ci służy.

Zaskoczona hojnością tego gestu Alyn uśmiechnęła się z oddali do brata i nie zważając na niespokojne poparskiwanie wielbłądzic, które odpoczywały na piasku, podeszła i przytuliła się do szyi każdej z nich.

– Wam też dzięki – szepnęła. – Opiekujcie się nim na szlaku.

Chwilę potem rozeszli się. Człowiek pustyni i dzieci miasta. Ziarnka piasku, które na najkrótszy z momentów w jedno miejsce przywiał nieustępliwy, pustynny wiatr.

ROZDZIAŁ DRUGI

– Żółwiu? To ty?!

– Nie wiem, Alyn. Jak myślisz?

– Co tutaj robisz?! Jak się tu znalazłeś?

– W twoim śnie? Wymyśliła mnie twoja głowa. Zostałem daleko stąd, na Kaim, nie pamiętasz? Nie pamiętasz, jak mnie tam zostawiłaś? Nie pamiętasz, co poświęciłem dla ciebie? Byłem prawdziwy, złodziejko z dalekiego Zakkanu. Teraz jestem tylko wspomnieniem. Niedługo nie będzie mnie już wcale.

*

Do Kukh zmrok nie miał wstępu. Gdy noc ścinała dniu łeb, uliczki, alejki i place dzielnicy niezamożnych mieszczan, studentów i artystów rozświetlały się setkami lamp, lampionów i pochodni, a życie na nich nie myślało zwalniać. Przeciwnie, nabierało tempa pod natłokiem ciał wędrujących od knajpki do speluny, od speluny do baru, z baru na pokazu sztuki ulicznej. Tu Saahiijczycy codziennie stawali do nierównej walki z sennością i zmęczeniem, i codziennie wychodzili z niej zwycięsko, broniąc fortecy Kukh aż do pierwszych promieni brzasku.

„Sen jest dla słabych", zdawało się głosić tutejsze motto i choć ostatecznie i tak wszyscy dawali się chętnie ponieść znużeniu ku krainie widów nocnych, nawet rezydujący w drżących od muzyki i tańca kamienicach mieszkańcy dzielnicy zdawali się czerpać z tych zwyczajów pewien powód do dumy.

Fel nie tańczyła jednak dla tutejszych.

Nie dla nich, nie dla stałych bywalców Placu Dżahira wiła się i trzepotała rzęsami w rytm bębnów Najili i melodii sączącej się z fletu Zaina. Dla nich wydawała się pogrążona w muzycznym transie. Dla tych kilku, którzy znali ją bardzo dobrze, nie robiła nic więcej poza wypatrywaniem przechodniów i gapiów, którzy byli najskorsi do rozstania się z zawartością sakiewki. Oprowadzających swych gości kupców, zamożnych turystów, książęcych urzędników, którzy po całych dniach pierdzenia w stołki potrzebowali się rozruszać. Ale i tych, którzy nie mieli już nic do stracenia. Nic do przekazania dalej – oprócz pieniędzy, które z entuzjazmem wrzucali do kapelusza ciągniętego po ziemi przez Ifiko przy wtórze trzepotu jej tęczowego upierzenia i drapania pazurkami o gładki bruk.

Prawda, jak zwykle, kryła się gdzieś pośrodku.

Najila wydała z siebie wysoki okrzyk i zmieniła tempo, zagrała szybciej. Moment później zawtórował jej Zain. Fel zatrzymała się przodem do widowni i dygnęła w podziękowaniu za wrzuconą do kapelusza monetę, po czym skupiła wzrok na darczyńcy i posłała mu całusa na moment przed jej partią.

Minęły już tygodnie dwa,
Odkąd odszedłeś, a ja
Nocami dni bez ciebie liczę.

Tłumek, który zdążył się zebrać przed trojgiem grajków, zaklaskał radośnie w rytm znanej piosenki. W jego środku gruby, łysy kupiec zaczął mocować się swymi serdelkowatymi palcami z zawartością sakiewki w poszukiwaniu odpowiedniej monety. Para studentów kołysała się do rytmu, obejmując się w pasie. Ci nie wrzucą nic do kapelusza, ale też niech mają coś z życia.

Fel zawirowała i raz jeszcze ukłoniła się do skąpych oklasków.

Podniosła wzrok. Na obrzeżu grupki widzów po raz kolejny pojawiła się ta dziewczyna. Zupełnie inna niż te wszystkie tutejsze podrygujące podlotki. Nie zachowywała się wyniośle, była raczej... obojętna. Ale jednocześnie pewna siebie. Zdeterminowana. Wyglądała, jakby przeszła przez piekło, a potem wytarła buty o trawę i poszła dalej. Było w tym coś szalenie pociągającego.

Nie miną już nigdy tygodnie trzy,
Bo kto, jak nie ty,
Przy tobie wszystko,
Och, wszystko jest niczym.

Piosenka miała pięć zwrotek, ale gdy spojrzała na drugi kraniec rzędu publiki, Fel zdała sobie sprawę, że dziś skończy się najwyżej na tej jednej, no, może dwóch. Zależnie od tego, jak bardzo wpijający w nią wzrok mężczyzna w czarnej kurcie, który pojawił się przed refrenem, był dziś niecierpliwy.

Odpowiedziała mu szybkim spojrzeniem. Spokojnie, *walah* – mówiło – doceń przedstawienie choć raz. A potem pójdziemy.

Fel wykonała jeszcze jeden piruet, dała dłonią znak muzykantom, by zagrali końcówkę, i skłoniła się nisko do kilku klaśnięć uwielbienia i rozczarowania. Kątem oka zauważyła, że tajemnicza kobieta jak zwykle odłączyła się od widzów i przecisnęła się przez grupkę głodomorów stłoczonych przy straganiku z gorącą kukurydzą. Stanęła przed drzwiami kolejnej knajpy. Przez chwilę spoglądała na szyld.

*

– „Pod sztywnym węgorzem” – mruknęła Alyn i uśmiechnęła się pod nosem. – Zdecydowanie lepsze to niż „Ryba”.

Ominęła wytaczającego się na zewnątrz gwardzistę w cywilu, który zapomniał zdjąć służbowe sandały, i wkroczyła w duszny półmrok speluny. Idąc do szynku między rzędami ław i stołów, jak zwykle rozglądała się w poszukiwaniu znajomych twarzy. Fakt, że ludzie odwracali wzrok, gdy na nich patrzyła, był nowy, odświeżający, ale jeszcze nie zdecydowała, czy jej się to podoba, czy nie. Ostatnio nic nie było jednoznacznie czarne lub białe, a raczej skąpane w nieprzebranej palecie nijakich szarości.

Złowiła wzrok szynkarza, wyciągnęła dwa wyprostowane palce. Przytaknął, choć nie bez zawahania.

Na przykład tak właśnie było z Kai. Jej najbliższa przyjaciółka, kobieta cud, gdy wraz z Torynem pojawili się w progu – wychudzeni, brudni i wyczerpani – najpierw rozpłakała się na ich widok, a następnie wyszła do miasta, by powrócić z naręczem ziół i lekarzem pod pachą. Pytała i słuchała uważnie, nie przerywając, i Alyn opowiedziała jej wszystko, co wydarzyło się, odkąd wskoczyła na statek Szalonej Margo płynący na Kaim. Wspomniała także o śmierci Tabithy, a jedynym, co pominęła, o czym nie była w stanie opowiadać, były szczegóły uwięzienia przez Godryka w jaskini. A zwłaszcza to, jak się to wszystko zakończyło. Tę część zdecydowanie lubiła najmniej. Tę oraz rejs powrotny na „Boskim Wietrze", z którego żywo wspominała jedynie opowieść o dziwnej białowłosej dziewczynie, której drogi dawno temu przecięły się z Szaloną Margo. Która wsiadła na jej statek na Kaim „nieludzka", „odmieniona". A to były najbliższe prawdy słowa, które opisywały to, jak złodziejka się czuła.

Kai odwdzięczyła się opowieścią o Saahii, której jedynym w zasadzie ważnym punktem był fakt, że niedługo po ruszeniu Alyn w podróż z miasta zniknął Zakary Lewin. Rzemieślnik i wynalazca, projektant szkieł złodziejki, które wytrzymały wszystko, co los rzucił przez ostatni miesiąc w ich stronę, rozpłynął się w powietrzu, nie zostawiwszy za sobą ani strzępka wiadomości. Dokładnie tak, jak pół roku wcześniej Toryn. Ale Toryn nie opuścił całkiem nieźle prosperującego interesu... no i nie był w stanie wykonać dla niej szkieł, dzięki którym mogła widzieć wyraźnie. Tak, Zakary zdecydowanie przydałby się teraz. Bardzo by się przydał, by spróbować nadać temu wszystkiemu – tej przeklętej Maszynie – jakiś sens. W końcu jego warsztat nosił dumnie jej symbol.

Kai uwijała się wokół rodzeństwa jak strapiona matka. I jak matka potrafiła być surowa, gdy Alyn nie miała ochoty rozgryzać niebosko gorzkich tabletek – zdobytych, rzecz jasna, na czarnym rynku. A złodziejka kochała ją za to. Kochała ją za jej bezwarunkową miłość do dwojga sierot spotkanych przypadkiem tyle lat temu. Dlatego to, że jednocześnie czuła wobec niej pewne oddalenie, tak bardzo ją bolało. Wobec Toryna zresztą też. Minęły już dwa tygodnie od powrotu do Saahii, a między nimi zdawał się rozciągać coraz rozleglejszy uskok, na którego dnie leżało dwoje zabitych jej rękami ludzi. A oprócz tego uśmiechający się do niej, pozostawiony bogowie wiedzą na jak długo w uwięzieniu Argus zwany Żółwiem. No i wszystkie niesamowite rzeczy, których – chcąc nie chcąc – była świadkiem. Szalenie trudno było przy tym rozmawiać o łupach, dupach i pogodzie.

– I jak? – Alyn zapytała szynkarza Abdela, gdy usiadła, a ten postawił przed nią dwie czarki pełne ciemnej, zjadliwie kąsającej w przełyk cieczy.

Odpowiedział jej wzruszeniem ramion. Jak wczoraj i przedwczoraj. Jak zwykle.

Złodziejka westchnęła i wzięła niewielki łyk, przygotowując słusznie strwożone gardło na więcej bolesnych doznań. Nikt nic nie wiedział, nikt niczego nie słyszał. Ani o Zakarym, ani o białowłosej dziewczynie, która – gdyby przeżyła wyrzucenie do morza u brzegów pustyni – byłaby dziś kobietą. Ale to było w porządku, nie spodziewała się szybkich rezultatów. Miasto było wielkie, a ona miała tyle czasu, ile chciała. Być może któregoś dnia ktoś skojarzy, przypomni coś sobie. Albo o Zakarym, albo o Rainie. Rainie, której w duchu przyrzekła, że jeśli się odnajdą i jeśli spowiedź Margo okaże się prawdą, jeszcze jeden, ostatni raz wejdą razem na pokład „Boskiego Wiatru". Tak, by nikt oprócz nich z niego nie zszedł.

Tymczasem wieczór snuł się znajomym rytmem, wedle którego z dostawianych przez Abdela czarek

systematycznie znikała zawartość, a muzyka za ścianą, zrazu głównie skoczna i taneczna, powoli zaczęła wpadać w coraz bardziej melancholijne tony. I oddalać się. Z haustu na haust snuła się coraz delikatniej szarpanymi strunami, coraz rzadszym pobrzękiwaniem saggatów. Dobiegała z coraz większej odległości, coraz donośniejszym echem. W którymś momencie Alyn zorientowała się, że od jakiegoś czasu bez przerwy mówi, ale zupełnie nie była w stanie przypomnieć sobie o czym. Jej słuchaczka, dostojna, ubrana na biało kobieta o długich, spiętych w kuc włosach, wydawała się jednak nie mieć nic przeciwko. Aż do momentu, w którym Alyn po raz kolejny uzmysławiała sobie, że nie da rady wdrapać się na piętro do mieszkania Kai i spędzi resztę nocy na podwórzu. Taki los.

Taki, kurwa, los.

– Pani Shoa, pani Shoa!

Chwilę potrwało, nim szczekanie młodej krtani i szarpanie za rękaw sprawiło, że odwróciła głowę. „Pani Shoa". Tak, przypominała sobie, że przedstawiła się tak kilku ulicznym urwisom i za obietnicę paru monet kazała im szukać w mieście wieści o Zakarym i Rainie. O tym, dlaczego nazwała się imieniem służki Bakkusa, bodaj najbardziej okrutnej, obrzydliwej i znienawidzonej przez siebie osoby, jaką poznała, nie miała w tej chwili pojęcia.

– Pani Shoa!

– No, co tam?

Była przekonana, że owe trzy słowa prześliznęły się po jej ociężałym języku we w miarę wyraźnej formie. Dla pewności jednak powtórzyła zapytanie.

– Pani Shoa, chyba ją znaleźliśmy! Tę kobietę! Zapłać, pani!

Alyn zamrugała i wciągnęła głęboko zapach kadzidła.

– Zapłacę – powiedziała powoli, czując, jak wyostrza się jej wzrok – jak mnie do niej zaprowadzisz... Abu.

– Adi. I dobrze, ale to ja ją znalazłem i mnie się należy, niech pani Shoa pamięta!

Chłopiec odwrócił się i zniknął równie szybko, jak się pojawił, by wyłonić się z cienia przy drzwiach wejściowych. Machał do niej ręką.

Złodziejka postawiła ostrożnie nogi na ziemi i podniosła się. Z pewnym zaskoczeniem stwierdziła, że trzymała się nieźle – kolację pewnie więziły okowy żołądka, świat nie wirował, twarz znajdowała się na swoim miejscu. Pociągnęła głośno nosem.

Może to faktycznie miało nastąpić dzisiaj.

Adi stał z surową miną, trzymając się pod boki. Już miała mu pogrozić palcem, ale gdy podeszła, machnął znów ręką i w podskokach pobiegł w dół brukowanej alejki wiodącej w stronę dzielnicy portowej. Alyn westchnęła tylko i ruszyła za nim. Nie robiła sobie wielkich nadziei, do fałszywych znalezisk też zdążyła się już przyzwyczaić.

Gdy wykonała kilka pierwszych kroków na świeżym powietrzu, uznała, że wcale nie było z jej stanem aż tak dobrze, jak wskazywało pierwsze wrażenie – w jej głowie zagnieździł się obraz, w którym powłóczy nogami, podtrzymując się ścian, i który prawdopodobnie by się ziścił, gdyby wypiła o jedną czarkę więcej. Ale na szczęście ta część dzielnicy była jej dobrze znana. W końcu to tutaj, całkiem niedaleko zresztą, lata

temu straciła saahijskie złodziejskie dziewictwo. Nie czuła się może pewnie, ale przynajmniej bezpiecznie.

I, kto wie, gdyby wychyliła o jedną czarkę mniej, być może zdołałaby uniknąć tego, co miało się jej tej nocy przydarzyć.

*

Czekali za drzwiami kamienicy, za którymi zniknął Adi. Dotarło to do niej o wiele za późno, ale na szczęście szybciej zareagował jej instynkt. W jakiś nieludzki sposób zdążyła łokciem zbić pałkę, która ze świstem wystrzeliła z ciemności w kierunku jej głowy. Świdrujący ból natychmiast ją otrzeźwił, ale nie dali jej drugiej okazji od obrony. Jeden z napastników natychmiast zarzucił jej na głowę wór. Wewnątrz pachniało pieczywem.

– Tylko jej nie zabij – syknął obok ktoś trzeci i w następnej chwili przed oczami wykwitła jej czerwień, a jej głowa odskoczyła z głuchym hukiem w lewo. Ostatnie, co zarejestrowała, to nogi uginające się pod nią jak kawałki rzucanej na pokład liny.

*

Pierwszym, co stwierdziła, gdy doszła do siebie, było to, że choć wciąż miała zakrytą głowę, worek nie pachniał już porannym lawaszem. Przeciwnie, śmierdział zepsutą kwaśną zupą. Wilgoć na jej szyi i piersi, która sprawiła, że koszula w wyjątkowo obrzydliwy sposób przylepiła się jej do ciała, pozwoliła złodziejce wydedukować, że gdy była nieprzytomna, pożegnała się z kolacją i całą resztą, którą wpompowała w siebie w „Sztywnym węgorzu". Minęła chwila, zanim poczuła dodatkowe zapachy: stęchlizny i dymu.

Spróbowała się poruszyć. Jeszcze nieznacznie – tak, by na wszelki wypadek nie dać po sobie poznać, że jest przytomna. Potrzebowała tych kilku chwil na to, by wymyślić, w co się wpakowała, a co za tym idzie, jak się z tego wydostać. Pękająca głowa, która – jak stwierdziła po strużce łaskoczącej ją po szyi poniżej prawego ucha – krwawiła po uderzeniu, a także pulsujący tępo łokieć nie zamierzały jej tego bynajmniej ułatwiać. Wzięła powolny, głęboki oddech i zanurzyła się w te funkcjonujące spośród jej zmysłów.

Siedziała na krześle... nie, fotelu. Byłby nawet wygodny, gdyby nie wpijające się w jej ciało pętle liny, którymi była do niego przywiązana. Jej lewa ręka leżała unieruchomiona na oparciu, a prawa zwisała przy ciele. Po tej stronie oparcia nie było.

Wytężyła słuch. Spod piskliwej, przeciągniętej do granic możliwości nuty dzwonienia w uszach dało się wydobyć dźwięki echa czyjejś rozmowy. Wszystkie głosy były męskie.

Czyja to sprawka?

Gdy tylko zadała sobie to pytanie, jedyna prawdopodobna odpowiedź pojawiła się jej przed oczami w zasadzie natychmiast. Bo przecież jak inaczej mógłby się skończyć jej powrót do miasta, z którego uciekła na miesiąc na morze i to jeszcze przed podróżą na Kaim? Oczywiście, że prędzej czy później by ją dorwał...

– I jak tam nasz kwiatuszek?

...musiał tylko cierpliwie poczekać...

– Doszedł już do siebie?

...Hanso Trzeci.

– Filibert, bądź łaskaw sprawdzić, czy doszedł do siebie.

Kroki. Ktoś położył rękę na jej głowie i wcisnął palec dokładnie w miejscu, w którym wykwitł zakrwawiony guz. Alyn zagryzła wargę, ale nie była w stanie powstrzymać jęku.

– A więc doszedł. Dobrze, najwyższy czas. Dziękuję, Filibert.

Nigdy nie słyszała głosu Hanso. Widziała go tylko na portretach. Postawnego, baryłkowatego mężczyznę w średnim wieku o błyszczącej łysinie i kędzierzawym pasie brody, która okalała jego szczękę od ucha do ucha. Jak na tak dużego człowieka kroki stawiał zaskakująco lekko.

– Wiesz, kim jestem? – po chwili ciszy usłyszała go tuż przed sobą. Mówił basem.

Nie było sensu się stawiać.

– Hanso.

– Tak. Tak, to ja. Witaj. Cieszę się, że wreszcie możemy się... hm... zobaczyć.

Zamilkł. Spodziewał się jej reakcji. Przestudiował jej charakter. Poznał ją, jej sarkastyczną naturę, zapewne oczami i językami innych. Postanowiła dać mu to, czego oczekiwał. Przynajmniej na razie.

– Czy to twoi ludzie porwali Zakarego?

Hanso klasnął w dłonie.

– I tak to ma wyglądać! – krzyknął gdzieś w bok wyraźnie uradowany. – Filibert, słyszałeś to? Jakby cię kiedyś wzięli na przesłuchanie, bierz przykład z naszej tutaj orchidei i czym prędzej przejmij kontrolę! Widzisz, jakie to proste? Patrz. Otóż nie, złodziejko, nie porwałem ci ja Zakarego. Czy mogę służyć jakimiś jeszcze informacjami?

– Ad... Adi?

– No, dobrze, dobrze, już wystarczy. Teraz ja.

Alyn z trudem powstrzymała się przed wzdrygnięciem, gdy bas Hanso zmienił ton na znacznie mniej przyjemny, a jego głos załamał się przy słowie „ja”.

– Gdzie mój zwój?

– Z powrotem na Kaim – Alyn wzruszyła ramionami. – Choć tym razem już chyba u kogoś innego. Stawiam na burmistrza Crux.

Zamiast odpowiedzi usłyszała za sobą kroki i chwilę później silna dłoń Filiberta na powrót objęła jej głowę i wcisnęła palec w guza, aż pociekła z niego kolejna strużka krwi. Alyn zawyła i niemal zemdlała z bólu.

To chyba był moment, w którym należało zacząć się bać.

– Więcej skruchy, suko! – zagrzmiał Hanso. – Bo od tego, jak przebiegnie nasza rozmowa, będzie zależeć, czy twój kochany braciszek wykaraska się z tajemniczej choroby, którą, jak słyszałem, przywiózł ze swych dalekomorskich podróży. Zrozumiano?

Alyn przytaknęła, a ów drobny ruch sprawił, że poczuła, jak w jej czaszce przesypuje się sterta ostrych kamyków. To była jej wina. Jej nieostrożność. Toryn nie miał z tym wszystkim nic wspólnego.

– Kto zlecił ci kradzież?

Dobrze wiesz kto, chciała powiedzieć, ale ugryzła się w język. Westchnęła. Czy wyjdzie stąd żywa, czy

nie, jej przygoda ze stolicą Zakkanu właśnie chyliła się ku końcowi. Inna rzecz, że po tym, co zobaczyła na Kaim, z dnia na dzień Saahii jawiło się jako bardzo nudna, pospolita mieścina. Małych ludzi z małymi problemami.

– Filibert?

– Silvestri! – wydyszała z siebie złodziejka. Na krzyk nie miała siły. – To był Silvestri.

– Mhm. – Hanso zamilkł na chwilę, jakby nad czymś się zastanawiał. – Wiem, że to niełatwe w obecnej sytuacji, ale teraz skup się. Dwór Kaim wisi mi kurewsko dużo pieniędzy. Byłaś tam, widziałaś, w jakim księstwo jest stanie. Dlaczego nie spłaca swoich długów?

– Góra Gigantów... – Alyn kaszlnęła. – Czy mogę dostać wody?

– Nie nadwyrężaj mojej cierpliwości. Mów.

– Góra Gigantów wybuchła. Pół roku temu. Zniszczyła plony, spaliła lasy. Kaim dopiero się z tego podnosi.

– Góra Gigantów? Masz mnie za idiotę?! Myślisz, że bym o czymś takim nie wiedział?

– Mówię prawdę, Hanso! Byłam tam, widziałam to na własne, kurwa, oczy! Zniszczone domy w Ganiyi, anarchię, kopalnię darlenitu w rękach więźniów, którzy wcześniej byli zapędzani przez cały ten twój dwór do pracy. Naprawdę nie było mi tam wesoło.

Cisza. Cisza, w której słychać było jedynie cichy trzask palonego gdzieś z tyłu drewna. Filibert tym razem nie podszedł.

– Tak, niewątpliwie przed wypłynięciem było w tobie więcej, hm, uroku – powiedział wreszcie Hanso. – I muszę ci to przyznać, robiłaś przez ostatnie lata w Saahii dużo dobrego. Dużo dobrego dla mnie, choć pewnie nawet o tym nie wiedziałaś. Wszystkie te skradzione błyskotki tutejszych bieda-magnatów, cała ta gotówka, której pomagaliście im się pozbyć, sprawiały, że potrzebowali ochrony. I kierowali się z tym do mnie. A w międzyczasie moi ludzie wystawiali zlecenia na tych, którym wydawało się, że bez ochrony się obejdą. Sprytne? Umiarkowanie. Dochodowe? Owszem. I byłoby dalej w porządku, gdybyś nie porwała się na moje osobiste dobra. A tak, znaleźliśmy się dziś tu. Tylko dlatego, że tyle ci, pośrednio, zawdzięczają moje interesy, nie poprosiłem Filiberta o to, by ci spod tych twoich zarzyganych cycków wydłubał nożem serce. Ale... nie znaczy to, że nie wyjdziemy stąd bez odrobiny zabawy. Filibert, raczysz?

Złodziejka poczuła, jak jej wywołane do odpowiedzi serce coraz mocniej wali w jej piersi, gdy kroki mężczyzny najpierw oddaliły się, a potem – z nowym, dosadniejszym pogłosem – wróciły, by zatrzymać się tuż przy jej prawej stronie. Poczuła ciepło i nowy zapach. Ciężki i mdły.

– Jesteś praworęczna, zgadza się?

Alyn zrobiło się słabo i uznała, że oddycha zbyt szybko. Jeszcze trochę i zemdleje.

– Nie musisz odpowiadać, twoja pięść zostawiła po sobie całkiem zacną opuchliznę na lewym policzku Cecilii. Pamiętasz Cecilię? To moja siostrzenica, którą spotkałaś, zanim włamałaś się do mojego biura. Między nami, kompletnie rozpuszczony bachor. Żebyś wiedziała, ile razy korciło mnie, żeby jej przypieprzyć w ten durny ryj. I gdyby była moją córką, pewnie bym ci nawet przyklasnął. Ale została oddana pod moją opiekę. I obiecałem mojej siostrzyczce, że ktokolwiek podniósł rękę na jej dziecko, nigdy więcej nie podniesie już jej na nikogo. Weź głęboki oddech. I lepiej uważaj na swój język.

Złodziejka szarpnęła całym ciałem, jakby znów chciała się wydostać z więzów Godryka. Ponownie zapłaciła za to bólem i mdłościami.

A potem, w chwili absolutnej, niezmąconej trzeźwości, poczuła, jak jej prawa ręka – od palców, przez dłoń, nadgarstek i przedramię, niemal do samego łokcia – ścięgno po ścięgnie, kość po kości, została rozerwana na kawałki. Jakby ktoś wbił w nią głęboko setki małych haczyków i zaczął z ogromną siłą ciągnąć we wszystkie strony. Jakby ktoś obrał ją nożykiem ze skóry i obtoczył na blacie posypanym solą.

Wydawało się Alyn, że wrzeszczy, ale z jej gardła nie wydobywał się żaden dźwięk. Wszystko odbywało się w całkowitej ciszy.

Trwało to długo.

Zaledwie chwilę.

Usłyszała, jak krople jej moczu rozbijają się o posadzkę.

A potem wyjęli jej bezwładną, napuchniętą rękę z kotła z olejem i jeden po drugim zaczęli opuszczać pomieszczenie. Zanim zemdlała, usłyszała napływające z oddali słowa Hanso:

– Wypierdalaj z mojego miasta.

ROZDZIAŁ TRZECI

– Ja, miła pani, nie mam czasu ani ochoty zajmować się niczym innym niż meritum. Byle owo meritum dało się zobaczyć, zmierzyć i zważyć. O to, kto lub co mi owo meritum pod nos podtyka, jest mi za jedno. Byle w księgach stało równo i byle Książę był kontent.

Grubawy poborca wydął swój wydatny brzuch tak bardzo, że nie stanąłby bliżej kontuaru, na którym Kai skrupulatnie rozłożyła mu w stosikach wyliczone monety, nawet gdyby chciał. Pamiętała go z jednego z przyjęć, na których lata temu zdarzyło się jej odwracać uwagę na rzecz nader zuchwałych szalbierstw Toryna i Alyn. On na szczęście miał krótszą pamięć.

Co więcej, wydawał się zadowolony.

Nie przejmując się odgłosami szurania ptasich stóp, które dochodziły z zakrytej klatki Gregory'ego, czarnowłosa dziewczyna przywołała na usta najpromienniejszy ze swych uśmiechów, po czym natychmiast złagodziła go o półtora tonu. Nikt nie powinien się tak szczerzyć, rozstając się z podobną ilością gotówki. Tym bardziej że były to jej własne pieniądze.

– Tak. Wszystko się zgadza – podjął mężczyzna po chwili namysłu równie skrupulatnie, jak przed chwilą Kai, układając monety w stosownych przegródkach swej skrzynki. – I choć z lubością ponudziłbym jeszcze miłą panią, na mnie już czas. Pieniądz, jak to mówią, musi się toczyć. Ufam, że rychło ujrzę wuja na nogach i z powrotem w swoim żywiole. Proszę przekazać mu stosowne wyrazy.

Mężczyzna obrócił się zamaszyście, aż zafurkotała jego szata, i ruszył w kierunku drzwi. W momencie gdy Kai rozpoczęła długi proces wypuszczania uwięzionego w płucach powietrza, zatrzymał się.

– Aha, jeszcze jedno – powiedział i odwrócił się profilem. – Tak między nami i z dobroci serca. Wątpię, żeby Zakary docenił doświetlanie półek świecami. I ja też osobiście wolałbym zastać następnym razem warsztat cały i zdrowy, jeśli miła pani wie, co mam na myśli. Miłego dnia.

Poborca zadudnił dwukrotnie w drzwi, a gdy potężne przedramię jego ochroniarza uchyliło skrzydło, wyszedł dziarsko w żar przedpołudnia.

W warsztacie na najkrótszy moment zapadła cisza, którą natychmiast zburzył ruch czarnowłosej dziewczyny – wpierw zasunęła ze szczękiem mechaniczny zamek drzwi wejściowych, a następnie jednym ruchem zerwała szmatę z klatki Gregory'ego.

Papuga wykonała kilka kursów wte i wewte po swej krótkiej poręczy, a następnie wypięła pierś, jakby chciała coś swoim zwyczajem wykrzyknąć, ale ostatecznie zadowoliła się kilkoma niemymi machnięciami głową w górę i w dół. Bez swojego wieloletniego przyjaciela ptak był wyraźnie nieswój.

– Gregory – szepnęła Kai, gdy otworzyła drzwiczki klatki. – Gregory, o co mu chodziło? Jakimi świecami?

Nie przestając machać głową, papuga niechętnie przeskoczyła na jej palec i wpiła się weń mocno pazurkami. Nie wyglądało na to, by miała właśnie teraz na nowo odnaleźć swój głos.

Dziewczyna rozejrzała się po całym warsztacie. Wpadające do środka przez kilka podłużnych szpar światło rozbijało się we wnętrzu o białawą posadzkę i spowijało pomieszczenie w mlecznozłotej poświacie. Kilka dobrych chwil zajęło jej zorientowanie się, że coś jest nie tak. Jedna z półek w narożnym kredensie pulsowała ze swej głębi światłem. Jakby ktoś zostawił tam kaganek. Albo...

– Żarokamień! – wykrzyknęła Kai i wyjęła przedmiot z trzewi głębokiej półki. – To żarokamień, Gregory, p-pulsuje... szyfrem... szyfrem! Dawaj mi tu coś do pisania. Gdzie on trzyma swoje pisadła?!

Nawet gdyby dostała do swej ręki najznakomitsze pióro i zanurzyła je w najdroższym inkauście w Zakkanie, Kai nie byłaby w stanie opisać rozmiaru swej euforii. Zakary zniknął miesiąc temu, pozostawił po sobie niepilnowany warsztat i ani jednego słowa pożegnania. Opuścił miasto i jej życie, jak jej najbliżsi przyjaciele, za którymi tęskniła codziennie, z mocą, o jaką samej siebie by nie podejrzewała. On i jego tajemnice. Jego niesłychane, starożytne, niebezpieczne tajemnice...

– Na Isztar, wybacz mi, Gregory – szepnęła Kai i zdecydowanym szarpnięciem wyrwała ptaku jedno z piór z ogona.

Papuga zaskrzeczała przejmująco, ale nie uciekła. Zeskoczyła z jej palca na drewniany kontuar warsztatu i szeroko otwartym okiem, w którym odbijały się ich obojga smutek i nadzieja, patrzyła, jak Kai wydziera w pierwszym pochwyconym pergaminie symbole odpowiadające długości kilku ostatnich błyśnięć kamienia. Jak z całych sił próbuje sobie przypomnieć litery, jak przeszukuje biblioteczkę opasłych tomów Zakarego w poszukiwaniu podpowiedzi.

Jak wreszcie, spocona szamotaniną i południowym saahijskim żarem, który nie oszczędza nawet tych, którzy chowają się za grubymi murami, zapisuje jedyny odzyskany fragment wiadomości. Jak szepcze jej dwa ostatnie słowa.

– Serce Imoren.

Imoren... Mapy. Zakary miał całą półkę atlasów w piwnicy.

Nie wypuszczając żarokamienia z dłoni, Kai wyszła z pracowni i dobrała się do kłódki u drzwiczek, które wiodły do piwnicy. Gdy rozedrganymi palcami pokonała wreszcie oporną barierę, ostrożnie zeszła po wąskich i stromych schodach. Przed nią, w ciemności, ziała pachnąca kurzem i suchym drewnem paszcza składowiska gratów Zakarego. Chwilę trwało, nim jej oczy przyzwyczaiły się do mroku, który rozpraszany był przez światło jedynie w pobliżu zlokalizowanego po przeciwnej ścianie pomieszczenia lufcika.

Przez ostatnie tygodnie zajrzała tu dwukrotnie, za każdym razem poddając się jeszcze przed rozpoczęciem jakichkolwiek poszukiwań. A przecież gdzieś w tych zwałach osobistych rzeczy starego rzemieślnika musiały się znajdować jakieś wskazówki, informacje, zapiski na temat symbolu pięciu okręgów wpisanych w jeden większy. I na temat tego, co Alyn i Toryn widzieli na Kaim. Czego doświadczyli na własnej skórze. Za co przyszło im teraz obojgu płacić zdrowiem. Dopóki gdzieś w głębi duszy liczyła na to, że Zakary któregoś dnia jakby nigdy nic powróci i pomoże jej i rodzeństwu odnaleźć sens tego wszystkiego, Kai odsuwała ten moment w czasie. Ale wiadomość – którą odczytała z błysków żarokamienia, zapisaną szyfrem znanym od lat

jedynie kilkorgu dzieciakom zagubionych niegdyś w wielkim mieście – oprócz właściwej treści niosła ostateczne ponaglenie: Zakary miał prawdziwe kłopoty.

– Odwagi – szepnęła, postawiwszy pierwszy krok w mrocznym labiryncie chyboczących się szpargałów. – Najpierw zorganizujemy nieco światła.

Rozgrzewanie kamienia, który w każdej chwili mógł na nowo zacząć przekazywać wiadomość, ani zaprószanie ognia w jakiejkolwiek postaci nie wchodziło w grę. Nauczona doświadczeniem, Kai metodycznie, krok po kroku, zaczęła przesuwać się pomiędzy górami nóg i blatów oraz chwiejącymi się stosami ksiąg i papierzysk. To, że piwnica Zakarego nie została wywrócona na lewą stronę po jego zniknięciu, czy raczej porwaniu, było co najmniej zastanawiające, ale na dobrą sprawę, gdyby jako porywacz miała sama stanąć przed zadaniem znalezienia czegokolwiek w tej graciarni, prędzej wolałaby sobie ubrudzić ręce po łokcie podczas przesłuchania.

Gdy przestąpiła na palcach ostatnie puchnące od kurzu pułapki i dotarła wreszcie do lufcika, sięgnęła ku zwisającemu z otworu w suficie niepozornemu sznurkowi. Pociągnęła go energicznie. Zaszyty w fałszywym stropie piwnicy mechanizm pisnął i stęknął, ale zadziałał niezawodnie – w jednej chwili od ścian odkleił się rój ukrytych lusterek, które, umieszczone w precyzyjnie wybranych miejscach, skupiły i rozprowadziły pojedynczy promień słońca z lufcika po całym pomieszczeniu, rozszczepiając go następnie i kierując na białe, odblaskowe plamy farby na ścianach i suficie. Pod nimi w pełnej krasie wyrosły wydobyte z mroku łańcuchy górskie gratów. I choć efekt wciąż daleki był od oślepiającej jasności, wyglądało na to, że w takich warunkach dało się już przynajmniej cokolwiek znaleźć.

– Jak ja mam w takich warunkach cokolwiek znaleźć? – mruknęła Kai i pokręciła głową.

A potem podeszła do najbliższej szafki i, poczynając od najniższej półki, zaczęła jeden po drugim wyciągać grube, nieoznakowane i szare od kurzu inkunabuły.

*

Alyn minęła otwarte wejście do przedsionka biura i gdy sięgnęła do kieszeni po wytrych, tuż obok rozległo się krótkie, agresywne chrapnięcie. Zamarła. Kiedyś...

...już tu była. Pamiętała ten moment. Mgliście. Ale tym razem nie zamierzała jeszcze raz popełnić błędu. A zresztą czy to był błąd, czy tylko pech, łagodny zbieg okoliczności, który poruszył kilka napiętych nici losu? Zostawiła śpiącą dziewczynę samej sobie, po czym pchnęła ciężkie drewniane drzwi i...

...znalazła się na zewnątrz. Wysoko nad miastem, pod piekącym słońcem. Stała pod iglicą najwyższej wieży. Poniżej w żarze dnia falowały kamienice. Na jej prawej ręce falowały zaś...

...śliskie, różowe glisty. Były ich setki. Tysiące. Pęczniejących naprzemiennie wrzecion, które tworzyły jej przedramię. Bez palców. Bez dłoni. Otrząsnęła się. Nie pamiętała, po co się tu wdrapała. Pamiętała tylko, że...

...nigdzie nie było Żółwia. Nigdzie go nie było.

Wychyliła się za barierkę. Z jej oczu pofrunęły w dół dwa mieniące się w słońcu brylanty łez. Usłyszała kroki, ale było już za późno. Nawet nie zauważyła, kiedy do niej podbiegł. Wypchnął ją bez słowa. Poczuła nagły podmuch powietrza i usłyszała świst. Spadając, odwróciła się, aby mu się przyjrzeć. Miał niezwykle

jasną skórę. Na pożegnanie machał jej na wietrze pojedynczy kosmyk jego długich, czarnych...

Złodziejka otwarła szeroko oczy i spędziła chwilę w bezruchu, starając się spowolnić oddech. Obejmująca pomieszczenie ciemność szybko ustępowała blademu światłu, które wraz z zimnym powietrzem wpadało przez pojedynczy okratowany otwór okienny. Było zimno. Burczało jej w brzuchu. Na moment jej serce stanęło w miejscu, gdy wydawało się, że słyszy przyspieszone oddechy przerażonych koleżanek w sierocińcu. Przerażonych samotnością i swą bezbronnością wobec...

Ale natychmiast przypomniała sobie, że sierociniec spłonął.

Sierociniec spłonął. Sama go spaliła. A prawe przedramię wciąż niemiłosiernie ją swędziało.

Z westchnieniem ulgi rozluźniła mięśnie i powolnym ruchem nakryła się kolejną warstwą derki.

Przypomniała sobie, gdzie jest.

A potem przypomniała sobie, gdzie jest Toryn.

I przez moment tej zimnej ciemnej nocy wszystko było w porządku, a potem sen znów wyciągnął ku niej swą poparzoną, zdeformowaną dłoń.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Grzało niemiłosiernie.

Powietrze falowało w agonii nad białym piekłem pustyni, zmuszając skuloną postać do przytulenia się do boku wielbłąda w poszukiwaniu choćby najmniejszego skrawka cienia. Strome, kamieniste wzniesienie nie ułatwiało wędrówki, ale wydłużony grzbiet widoczny daleko z przodu obiecywał na większych wysokościach nieco chłodu. Wiatru. Lekkiej bryzy chociażby.

Posapując, Fel poklepała zwierzę po zadzie. Gdy to nie dało skutku, wsunęła dłoń w jego twardą, krótką sierść i ścisnęła.

– Uch... huh... Czekaj, no, Osieł... Stój, powiedziałam.

Wielbłąd zatrzymał się z wyraźnym tupnięciem. Jego wzrok zdradzał stan znacznego niepocieszenia.

Wędrowczyni oparła się o niego całym ciałem i wytrząsnęła między spękane usta ostatnie krople z manierki, po czym rzuciła ją pod nogi. Rozejrzała się.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Naprawdę nie rozumiem, dlaczego ktoś chciałby się w ogóle zapuszczać w te strony.

Osieł potrząsnął głową i tupnął jeszcze raz.

– Saahii? Rozumiem. Szeroka rzeka, zielone brzegi. Morze. Ale tu... Ech, potrzebuję pić!

Jak na dany znak wielbłąd podniósł głowę i w swej zwyczajowej dumnej postawie podjął marsz, starannie omijając większe kamienie.

– Oż ty... Uch... czekaj, no!

Dziewczyna podbiegła kilka kroków i zrównała się ze zwierzęciem. Wiedziała, że już za chwilę będzie głęboko żałować tego dodatkowego wysiłku.

– Niech cię samum porwie. Naprawdę.

Przez kilka chwil szli w ciszy, zmagając się z wyjątkowo stromym podejściem. Na szczycie pagórka Fel przystanęła, próbując złapać oddech, a następnie pochyliła się i podniosła kamień. Był płaski i obłupany z jednej strony. Przyłożyła do niego opuszek palca. Oblizała usta.

Naprawdę chciało jej się pić.

– A wiesz co, idź sobie! – krzyknęła w stronę oddalającego się zwierzęcia. – Precz!

Wyprostowała się i zanurzyła dłoń w kieszeni, w której trzymała dwa niewielkie otoczaki. Zaczęła je machinalnie obracać palcami, ocierając jeden o drugi. To był jej gest spokoju. Pierwsze lekarstwo, po które sięgała, gdy czuła, że za chwilę będzie źle. A o tym, że zło nadchodziło, świadczył fakt, iż moment wcześniej podwinęła wolno rękaw i wbiła wzrok w gładką skórę przedramienia. Nie miała nad tym kontroli. Wciąż międląc kamienie w dłoni, wyjęła rękę z kieszeni i uniosła na wysokość piersi. Powolnym ruchem przyłożyła

do skóry trzymany w drugiej dłoni ostry szpikulec dopiero co podniesionego kamyka. Zbliżyła go do sinej nitki żyły tuż pod czarnym okręgiem tatuażu przedstawiającego ptasie oko. Oblizała spierzchnięte wargi. Delikatne pociągnięcie w poprzek pozostawiło za sobą białą linię, która moment później wybrzuszyła się i zaczerwieniła.

Wrzask, który usłyszała nad głową, sprawił, że wzdrygnęła się, a ostrze przebiło skórę. Zanim zdążyła zareagować, najpierw pod nogami zauważyła cień, a moment później trzepoczące skrzydła uderzyły ją w ucho i policzek, gdy Ifiko wylądowała na jej ramieniu.

Niewzruszona, Fel uniosła rękę wyżej, obserwując, jak w miejscu nakłucia pęcznieje mokry, szkarłatny bąbel. Cudowronek zagruchał tuż przy jej uchu, zaświergotał i, przestępując z nogi na nogę, zaczął układać na skrzydłach pióra. Po chwili zawahania dziewczyna przytknęła usta do przedramienia i zlizała krew. A potem podjęła marsz.

Nigdy nie odgadła, czy jej ptak potrafił i chciał się z nią komunikować. Wydawało się, że do tej pory, będąc razem, wiedli odrębne życia. Choć duże oczy Ifiko obserwowały świat czujnie i z ciekawością, zwierzę nigdy nie zrobiło tego, o co Fel je bezpośrednio poprosiła. Nawet pomysł z targaniem kapelusza po bruku podczas występów z Zainem i Najilą wydawał się urodzić i dojrzeć w opierzonej główce ptaka, który po prostu bardzo lubił być w centrum uwagi. Ów nagły powrót Ifiko z chłodnych przestworzy na rozgrzaną powierzchnię pustynnej patelni mógł zatem oznaczać wszystko.

Utkwiwszy wzrok w rysującym się daleko z przodu szczycie kolejnego wzniesienia, Fel postanowiła z całych sił uwierzyć, że znalazła się już blisko celu.

*

Złodziejka naciągnęła na głowę kaptur i otuliła się mocniej ciepłym sanghati podarowanym przez mnichów. Siedziała na szczycie muru okalającego Vihar Arapi – Świątynię Beduinów. Gmach klasztoru trwał od setek lat na skalistym zboczu Wzniesienia Bogów – potężnym masywie, który niczym wyprysk burzył niezmierzoną bladożółtą równinę pustyni. Jak okiem sięgnąć wokół rozlewało się morze skał, które daleko w dole przechodziło w spalony ocean piachu. Pustelnia, niczym forteca, opierała się nieustannie przetaczającym się po zboczach wzgórza wiatrom. Była domem dla kilkudziesięciu mnichów i mniszek, którzy pewnego dnia postanowili dać sobie spokój z szukaniem dobra tam, gdzie bieg wydarzeniom nadają chciwość i zepsucie. Tu szczęście kryło się w prostych czynnościach. W codziennym zamiataniu podwórza, które co noc było na nowo zasypywane świeżą warstwą pyłu i kamyków. W dojeniu stadka kóz i doglądaniu wielbłądów tych, którzy przybyli tu na nich na zawsze lub na chwilę. W porannym zbieraniu życiodajnej wilgoci niesionej nad ranem przez wiatr, który pokonał rysujące się na dalekim horyzoncie szare szczyty łańcucha Bhalu Devi i nie zdążył całkowicie wyschnąć w swej podróży nad Pustynią Nomadów.

Szczęście.

Alyn wydawało się, że przez ostatnie miesiące słowo to straciło swoje znaczenie. A może owo znaczenie rozmyło się, zmieniło w niemożliwą do odszyfrowania abstrakcję. Przeprowadzka do klasztoru dała jej i Torynowi tak potrzebne spokój i poczucie bezpieczeństwa. Czas na wyleczenie ciał i umysłów. Na wymyślenie i podjęcie dalszych kroków. Albo decyzję o zostaniu tu na zawsze.

Ale kuracja szła powoli, a bliskość brata paradoksalnie sprawiała, że czuła się gorzej. Gdy tylko mogła, wymykała się. Na mury albo za mury. By jakoś spróbować okiełznać gotujący się w niej niepokój. By zagłuszyć tęsknotę ciała za niebieską krwią. Ale wciąż trawiła ją od środka nieznośna myśl o tym, że powrót z Kaim bynajmniej nie zamknął żadnego rozdziału w jej życiu. Wręcz przeciwnie.

Złodziejka westchnęła, oparła się plecami o blankę i skupiła wzrok na mozolnie wspinającej się po zboczu sylwetce wędrowca, którego wysiłek obserwowała już od jakiegoś czasu. Może ty, pomyślała, znajdziesz tu, czego szukasz.

– Sanjai-baba! – krzyknęła w dół, w kierunku dziedzińca, gdy zauważyła znajomego mnicha kierującego się ku stajni.

Łysy mężczyzna natychmiast wypatrzył ją wysoko w górze i uśmiechnął się szeroko. Dziewczyna zamachała do niego i narysowała dłońmi w powietrzu kształt wielbłądziego garbu, a następnie wskazała za siebie.

– Aaaa, dobrze, dobrze, Alyjn-baba! Podziękowania!

Goście byli na zboczach Wzniesienia Bogów rzadkim, ale wciąż w miarę regularnym widokiem. Dwa razy w miesiącu mnisi wyruszali małą karawaną po zapasy, co jakiś czas do klasztoru zaglądali również zaprzyjaźnieni beduini skupujący wytwarzane na miejscu narzędzia i dziergane z dostarczonych przez nich materiałów gobeliny. Drobna na pierwszy rzut oka osoba, która wraz z pojedynczym wielbłądem zmierzała ku wrotom świątyni, należała do odrębnej grupy – tak licznej, jak powody, które mógłby wymyślić człowiek, by opuścić cywilizację i udać się w morderczą wędrówkę na łysy szczyt pośrodku pustyni.

Gdy podróżnik zbliżył się do wrót, na spotkanie – ze zwyczajowym podarunkiem w postaci wody i złożonego w równą kostkę sanghati – wyszedł mu Sanjai. W świadomości Alyn natychmiast rozbłysło wspomnienie o tym, jak dwa i pół miesiąca wcześniej wyczerpany, chory Toryn podtrzymywał ją półprzytomną podczas tego rytualnego przywitania. Jeszcze pół dnia wędrówki, może nawet mniej, i ich ciała schłyby teraz gdzieś na skałach, omiatane suchymi powiewami wiatru. Ta... wędrowczyni – złodziejka poprawiła ułożenie szkieł i zmrużyła oczy na widok długiej wstęgi prostych, brązowych włosów, która wydobyła się spod kaptura nieznajomej – wyglądała nieco lepiej. Sądząc po łapczywości, z jaką przyssała się do podarowanej manierki, i jej pustynia kazała zapłacić morderczy trybut. Ale przynajmniej stała pewnie na nogach.

– Na Isztar – szepnęła złodziejka, gdy wytężyła wzrok. – Przecież to jeszcze dziecko.

– Alyjn! Alyjn-baba!

Dopiero trzecie zawołanie Sanjaia zwróciło uwagę Alyn zapatrzonej w drobną sylwetkę podróżniczki. I dopiero teraz zauważyła, że dziewczyna patrzy wprost na nią.

– Alyjn-baba! Wiadomość!

Wiadomość. Alyn spięła mięśnie i przełknęła ślinę. Następnie naciągnęła rękawiczkę na przedramię i skarciła się w myślach za mimowolne drapanie swędzącej skóry. Potem ostrożnie ruszyła z powrotem w dół po ścianie.

*

„Samcu, samico,

Wasz list trafił do mnie bez problemu. Cieszę się, że dotarliście na miejsce, i mam ogromną nadzieję, że czujecie się już cokolwiek dobrze. Mnie jest za to cholernie źle, że Was tu nie ma, wredne rudzielce, chociażby dlatego, że siedzę tu sama i chciałabym się Was poradzić, a nie mogę pozwolić sobie, by czekać na odpowiedź.

Gdy to czytacie, zapewne jestem już w drodze. Żrę piach, pragnę wody i klnę, na czym świat stoi. Pieprzony Zakkan, niech go diabli pokąsają. Wszystko dlatego, że... dostałam wiadomość od naszego Wuja! Nie wyszczególnię, jak mi ją przekazał, bo i tak nie dalibyście wiary. Na dodatek dotarł do mnie jedynie jej fragment. Ale i on wystarczył, bym pogrzebała w jego spiżarni w poszukiwaniu jakiej płynnej kompanii do świętowania, bo stęskniłam się za Nim bardzo (za Wami też, Szkodniki!).

Wujo podróżuje, zdaje się, daleko na południu, w sercu Imoren. Być może zechcecie przekazać mu moje pozdrowienia? Macie w końcu tak blisko.

Ale wracając do spiżarni, znalazłam tam, wyobraźcie sobie, butelki, jakich nigdy wcześniej u Wuja nie widziałam. Wiecie, te, które wiedzieliśmy, że są, ale Wujo nigdy się o nich nie zająknął. I... były takie dobre, że postanowiłam, że muszę koniecznie poznać ich recepturę u źródła (gorzelnia ma nazwę Raina). Będzie z tego solidny pieniądz, mówię Wam!

Tak czy siak, ruszam jutro, ale czuję się z tym dobrze. Jakbym znów wybierała się rano za mur ku dachom kamienic w dawnym kraju. Saahii jest już dla mnie jak willa Villefortów – nic mnie tu nie trzyma. Jeśli wszystko się powiedzie, spotkamy się w miejscu, do którego dotarł ten list.

Trzymajcie się ciepło (ha, ha!), Szkodniki,

Wasza Trzpiotka.

PS Rzućcie bratersko-siostrzanym okiem na dostarczycielkę tego listu. Przynajmniej tak długo, jak z Wami zostanie. To dziewczę młode i dzikie, ale wydaje się bardzo w porządku".

Toryn podniósł wzrok znad listu i puknął w niego palcem.

– To ona. To Kai – powiedział.

Wstał i przystawił kartkę do otworu okiennego, jakby spojrzenie pod światło miało ostatecznie potwierdzić lub podważyć autentyczność korespondencji.

– Ja też w to nie wątpię – Alyn oparła się o drzwi celi i założyła ręce na piersi. Mnisia klitka była niewiele większa niż ta, którą okupowali z Torynem w innym życiu, pod przywołaną przez przyjaciółkę willą Villefortów. – To była jej pieczęć, jej pismo i jej słowa. Nie wierzę, by ktoś zaglądał do środka.

– „Wujo" to...

– Zakary...?

– Z jakiegoś powodu jednak pisała to szyfrem. Bała się, że ktoś to może zobaczyć, przechwycić.

– Pisze, że skontaktował się z nią. Myślisz, że ma to jakikolwiek związek z...

– No, co chcesz powiedzieć? – żachnął się Toryn. – Z Maszyną? Z tajemnym bóstwem, które jak gdyby nigdy nic potrafi wpływać na umysły całego narodu? Alyn, żyłem w tej rzeczywistości pół roku. Żadne „bóstwo", żadne... cuda, nic, w co ktokolwiek postanowił wierzyć, nie jest dla mnie głupie. Zakary żyje i chce,

żeby go odnaleźć w Imoren.

– W... jak ona to napisała? „Sercu Imoren”?

– To akurat proste – Castanet. Stolica. Piękne miasto, z tego, co czytałem, i uważam, że powinnaś wybrać się tam jak najprędzej.

– Co... Ja? A ty?

– Nie dam rady.

– Toryn.

– Patrz na mnie. Imoren to gorący kraj. Nie tak jak Zakkan, to nie pustynia, ale wciąż słońce nie bierze tam jeńców. Z tą chorobą byłbym dla ciebie tylko ciężarem. Ale to tylko jeden powód. Inny jest taki, że... ruszę w inną stronę.

Alyn przyjrzała się uważnie bratu. Od czasu przybycia do klasztoru zdołał przybrać na wadze, choć dwa posiłki dziennie wystarczyły zwykle co najwyżej na to, by stłumić nieco głód rano i wieczorem. Z łysą głową, którą zgolił na modłę tutejszych mnichów, a także głębokimi cieniami pod oczami i wystającymi kośćmi policzkowymi wydawał się bardziej chorowity i kruchy, niż faktycznie był. Górski chłód tępił objawy przypadłości, która toczyła ich oboje, ale nawet tutejsi znachorzy nie potrafili znaleźć recepty na jej wyleczenie. Przyszłość rysowała się nieciekawie, ale o powrocie na Kaim żadne z nich jeszcze głośno nie mówiło.

– Chcesz pójść za Kai? – zapytała wreszcie. – Nawet nie wiemy, dokąd się udała. Chyba że...

Toryn uciszył ją gestem.

– Posłuchaj. „Jakbym znów wybierała się rano za mur ku dachom kamienic”. To jest wskazówka.

Alyn wzięła list do ręki i wbiła w niego wzrok.

– „Saahii jest już dla mnie jak willa Villefortów”. „Jakbym znów wybierała się rano ku dachom kamienic”. Jakbym wybierała się... ku dachom kamienic. Pamiętasz? Miasto było po zachodniej stronie posiadłości. Myślisz, że o to chodzi?

– Jeżeli tak, to na zachód od Saahii...

Oboje zamilkli i spojrzeli po sobie. Następnie wyprostowali się i odwrócili głowy ku oknu celi, które, choć niewielkie, wyglądało ponad mury ze słusznej wysokości. Pejzaż, który ukazywało, zawierał głównie jasną, paląca w oczy połać pustyni i bezkres nieba. U granicy obu plam, niemniej, na wysokości horyzontu, majaczyły blade zęby odległego pasma górskiego.

– Jeżeli tylko przeżyję marsz przez pustynię, będzie dobrze – powiedział Toryn. – W Bhalu Devi chłodu będę miał więcej, niż trzeba.

Alyn pokręciła głową, cofnęła się o dwa kroki i ponownie oparła plecami o drzwi.

– Wciąż tego nie rozumiem. Co Zakary robi w Imoren? Co to za „butelki”, o których mówi Kai? Symbole? No i Raina? Jeżeli Kai odnalazła te kobietę albo chociaż dowiedziała się, że należy jej szukać w Pahaadzie, to ja chcę...

Złodziejka zamilkła. Nie była gotowa dokończyć tego zdania. Nie potrafiła ot, tak dokonać tego wyboru.

– Może – Toryn wbił wzrok w oczy siostry – jest ich więcej. Tych Maszyn.

Alyn westchnęła i uniosła brwi, sama dziwiąc się temu, jak bardzo naturalny był to pomysł. Skoro znaleźli jedną, nic nie stało na przeszkodzie, by gdzieś tam, na drugim końcu świata była jeszcze jedna. Jeszcze

jedna iluzja albo inna potężna siła. Niewyobrażalna dla tych, którzy nigdy nie stanęli z jej potęgą twarzą w twarz. Niewyobrażalna, więc... nieodkryta. Nieznana.

– Załóżmy, że wyruszymy – powiedziała, choć oboje wiedzieli, że niczego nie trzeba było zakładać, decyzja została podjęta w milczącym porozumieniu. – Gdzie spotkamy się ponownie? Tutaj? Tu, gdzie chciała wrócić Kai?

– Tak.

– A co z tą dziewczyną? Tą, co przyniosła nam jej list? Kai pisze, żebyśmy się nią „zaopiekowali". To nie znaczy „możecie jej zaufać".

– Tak czy siak musimy ją poznać.

– Widziałam ją przelotnie. Jest zmordowana. I młoda. Sanjai powiedział mi, że teraz dochodzi do siebie w stajni.

– Zajdziemy do niej po kolacji. A właśnie... Sanjai?

Alyn zauważyła błysk w oku brata.

– Co z nim? – odparła.

– Nie wiem. Co z nim?

– Nic.

*

Fel nie mogła spać. Czuła wpijające się w łopatki i biodra deski mnisiego posłania, czuła chłód nocy, który spłynął na klasztor chwilę po tym, jak ustał wiatr. Od jego świstu cały czas zresztą szumiało jej w uszach. Wciąż miała spierzchnięte usta, a w zębach rozgryzała piasek. Była pewna, że jego nieprzebrane zwały kryły się w jej nosie i uszach. Ifiko zabrano do osobnego pomieszczenia. Nie było przy niej Zaina i Najili ani nikogo innego. Ale to jej nie przeszkadzało.

Nie mogła spać, wciąż jeszcze podekscytowana tym, że do niej przyszli.

Toryn i Alyn. Rodzeństwo z dalekiego Rowan. Ją polubiła od pierwszego uśmiechu, ale wiedziała, że tak będzie. W końcu ruda dziewczyna przyciągała jej wzrok już miesiące temu w Kukh. Tam miała niedługie, wygolone z prawej strony włosy, które z trudem kryły pod sobą długą, majestatyczną szramę. Była niespokojna i gniewna. Z daleka było czuć, że gdyby chciała, mogłaby roznieść całą dzielnicę w pył. Ten gniew pozostał w niej do teraz. Miała łagodniejszy wzrok i dłuższą, już w miarę równą fryzurę, a także długą, sięgającą aż pod łokieć rękawicę na prawej ręce. Ale Fel wiedziała, że będzie musiała się przy niej pilnować. Lubiła musieć się przy kimś pilnować. Brakowało jej tego.

Toryn zrobił na niej równie silne wrażenie. Zwłaszcza tym, jak na samym początku był dla niej absolutnie przezroczysty, a jednocześnie zamknięty. Pozbawiony jakichkolwiek manieryzmów, emocji, niemający charakteru. W końcu zdała sobie sprawę, że kiedy ona próbowała go „czytać", on robił z nią dokładnie to samo, nie zdradzając niczego o sobie. Wtedy poczuła ten dziwny magnetyzm, który sprawia, że nagle dostrzegasz w człowieku, jak na ciebie patrzy, jak miły jest dla ciebie jego głos. Byli nieprzeciętnymi ludźmi.

Fel przejechała palcem po przedramieniu i zatrzymała się na strupku powstałym po ranie, którą zadała

sobie pustynnym kamykiem. Zakreśliła wokół niego kilka drobnych kółek i nacisnęła go mocno, aż do momentu, w którym nie mogła dłużej wytrzymać z bólu. Poczuła na opuszku nieco wilgoci.

Uwielbiała nieprzeciętnych.

Treść listu, który dostarczyła, a także jego znaczenie, były dla niej mgliste. Podsłuchując pod drzwiami, zrozumiała tylko część rozmowy rodzeństwa, którą odbyli w celi Toryna. Usłyszała słowo „Kaim", a to było miejsce, z którego – wedle jej wiedzy – wrócili przed blisko trzema miesiącami. Pomyślała też o Kai, którą przez lata zdążyła polubić jako kobietę jej przybranego brata. I choć z Colmem nie byli już blisko, to właśnie do Fel kobieta zgłosiła się z prośbą o udanie się do Vihar Arapi i przekazanie jej korespondencji. Oferowała krocie, ale podskórnie wiedziała, że Fel tylko czeka na najmniejszy pretekst, by opuścić to przeklęte Saahii. Zaznać przygody. Poznać nieco świata.

Uciec, pomyślała Fel i otarła łzy bólu grzbietem dłoni. Uciec od mężczyzn w czarnych kurtach, którzy śledzili każdy jej krok.

CZĘŚĆ II

ROZDZIAŁ PIĄTY

And as we wind on down the road
Our shadows taller than our soul
– *Stairway to Heaven,* Led Zeppelin

Kaktusy, manna, jantak, oliwnik, pięciornik. Pająki, muchy, żmije. „Pustynia nigdy nie była tak naprawdę pusta", nauczał Sanjai. I teraz, na powrót zmagająca się z gorącem i zimnem, wiatrem i suchością, Alyn zaczynała dostrzegać wokół siebie to, co zazwyczaj jest przed ludzkim okiem ukryte. Drobinki życia. Na wpół uschnięte pędy sterczące spod kamieni. Udające brunatne kamienie, twarde skorupy porostów. Roje muszek, które tłoczyły się w powietrzu tuż nad zupełnie niewyróżniającym się punktem w morzu piachu. Wskazywały, że gdzieś płytko pod ziemią znajduje się woda. Wszystko to można było wykorzystać do przeżycia w sztuce przetrwania, którą od setek lat kultywowali beduini.

Dlatego szły głównie nocą. Kierowały się światłem księżyca, prowadziły je gwiazdy. Tak długo, aż chłód zmuszał je do znalezienia cichego kąta, przytulenia się do siebie i okrycia kocem. Rankiem brały po kilka łyków wody, zmiękczały w ustach ziarna kaszy i zagryzały kawałkiem suszonego koziego mięsa. Ruszały dalej szlakiem, który między rozmieszczonymi zawsze w zasięgu wzroku palikami – przewróconymi czy nie – prowadził na południe.

O tym, że Fel pójdzie z Alyn, rodzeństwo zdecydowało już następnego dnia po pojawieniu się dziewczyny w klasztorze. O celu podróży dowiedziała się tylko tyle, ile trzeba – że zmierzają do Imoren, by odwiedzić lub sprowadzić z powrotem do Saahii Zakarego, rzemieślnika z targu. Choć wciąż widoczne były na jej twarzy trudy podróży do Świątyni Beduinów, szesnastolatka nie posiadała się ze szczęścia, że będzie mogła zobaczyć jeszcze więcej świata. I to ona wyperswadowała Alyn powrót do Saahii i udanie się na południe drogą morską. Poza faktem, iż do wynajęcia łodzi potrzebne były pieniądze, które trzymano w bankach kontrolowanych przez Hanso Trzeciego, sprawę komplikowały polityka i geografia. Pierwszej Alyn nigdy nie poświęcała wiele uwagi, zwłaszcza jeśli chodziło o domniemane niesnaski pomiędzy odległymi narodami. A wieści o nich płynęły ulicami wartkim strumieniem, trzeba było tylko chcieć z niego zaczerpnąć. I Fel, tańcząc i śpiewając w Kukh, czerpała.

– Imoren i Taidan – powiedziała jej z surową miną i wskazała na pożyczonej z archiwum mnichów mapie dwie podłużne plamy krajów na południe od Zakkanu – od lat planują wzajemne rozszarpanie sobie gardeł, ale ostatnimi czasy jest na tyle źle, że Korona Castanet postawiła w gotowości całą flotę. Mimo że oba kraje łączy długa granica lądowa, Imoren postawiło morskie blokady wzdłuż wybrzeża na wschodzie. Trzepią wszystkich po równo i nie puszczają bez srogiego haraczu. Zrzutki pasażerów, kwarantanny i przeganianie płazem szabli to codzienność. Duże ryzyko. A potem jest to.

Fel przesunęła palcem w dół ku długiemu, zakrzywionemu półwyspowi, który wrzynał się w toń morza

daleko na wschód.

– Krwawy Jęzor – mruknęła Alyn.

Przypomniała sobie tawerniane opowieści o niekończącym się, pustym, skalistym kawale lądu, który trzeba opłynąć, tracąc tygodnie na nawigowanie pomiędzy zdradliwymi płyciznami, by dotrzeć do Castanet drogą morską.

Byli tacy, którym wciąż się to opłacało. Być może któryś z kapitanów kupieckich statków akurat cumował w Saahii i lada dzień wypływał na południe. Być może zgodziłby się wziąć na pokład dwie niewiasty – jedną ze złodziejskim piętnem w postaci poparzonej ręki, drugą młodą i nieopierzoną, a w dodatku ze skrzekliwym ptakiem w komplecie. Być może dowiózłby je bez problemu i opóźnień do stolicy Imoren, do serca kraju win, życząc jeszcze miłego pobytu na pożegnanie.

Ale szanse na to, zgodziła się Alyn, były takie jak to, że Hanso któregoś dnia zatańczy na saahijskim rynku w skazańczym kubraku. Wybrały więc z Fel pewniejszą drogę. Krótszą. Ale równie niebezpieczną.

Wspominając moment podjęcia decyzji, złodziejka wpatrzyła się w idącą z przodu nastolatkę. Fel miała uroczą manierę stawania na palcach po usłyszeniu dobrych wiadomości, a jej długie brązowe włosy spięte w dwa kuce podskakiwały razem z nią, potęgując efekt. Wyglądała niewinnie, ale Alyn pamiętała o tym, że Kai z dużą rozwagą dobierała znajomych i wspólników. Robiła tak przez całe życie. I nigdy nie ufała ludziom krystalicznie czystym. Fel miała swoje sekrety i nie było trudno to poznać po jej zachowaniu. Gdy podjęła już decyzję o zabraniu jej ze sobą, złodziejka uznała, że będzie musiała mieć oczy dookoła głowy. Ale był też niewątpliwy plus z całej tej sytuacji – wraz z dziewczyną w podróży towarzyszyć jej miały zarówno jej piękny ptak, jak i przede wszystkim wielbłąd, na wypożyczenie lub zakup którego od mnichów nie było Alyn po prostu stać.

Więc szły.

Szły, a gdy Fel nie zajmowała jej rozmową o jej wyprawie na Kaim i o jej dzieciństwie w Rowan – każdego dnia przychodził bowiem moment, w którym zdrowy rozsądek kazał uspokoić oddech i oszczędzać siły – Alyn tęskniła. Za Torynem, który został w klasztorze jeszcze na kilka dni, by wyruszyć wraz z karawaną, która zmierzała na północny zachód, ku wsiom położonym nad rzeką Maraak. Ale to już nie było to uczucie, które kazało jej rzucić wszystko i pojechać za nim na Kaim. I czuła się z tym źle. Bo jej myśli częściej krążyły wokół Kai i Zakarego. Wokół Żółwia i tajemniczej Rainy. A nawet, na Isztar, Sanjaia. Było coś w naturze łysego mnicha... tego konkretnego łysego mnicha, co naturalnie przyciągało jej spojrzenie. Wywoływało uśmiech. Może jego pogodność wobec wszystkiego, co codziennie rzucał mu pod nogi los. Może stanowczość i twarda ręka, z jaką zapędzał do nauki i pracy gromadkę sierot sporadycznie oddawanych pod opiekę mnichom przez najuboższych z pustynnych nomadów.

Ale wówczas, w momentach, gdy jej myśli wędrowały zbyt daleko w stronę Vihar Arapi i uśmiechu Sanjaia, przed oczami stawał jej Jakob de Witt. Jako kapitan saahijskiej gwardii, gdy poszukiwał jej w warsztacie Zakarego. I jako gość kolonii karnej na Kaim, gdzie w ciemnej klatce pośrodku placu, który wiódł do kamieniołomu, opowiadał jej szeptem o Hanso Trzecim. A gdy zaciskała powieki, wiedząc, co zobaczy za chwilę – kałużę krwi, w której leży jego martwe ciało – nienawidziła się za te myśli. Robiła wszystko, byle nie pamiętać. Skupić się na celu.

A cel był jeszcze daleko. Królestwo Imoren graniczyło, co prawda, z Zakkanem, ale jak uświadomiła sobie, patrząc na mapę mnichów, geograficznie było bardzo wydłużone z północy na południe. A to tam właśnie, na dalekim południu, gdzie klimat pozwalał prowadzić uprawy – ze szczególnym uwzględnieniem soczystych gron winnych – toczyło się życie jego mieszkańców. O Castanet, „sercu Imoren", jak nazwał stolicę Zakary, Alyn nie wiedziała nic prócz tego, że wedle legend było najpiękniejszym miastem świata. Pełnym bujnych ogrodów, parków o wielobarwnych drzewach, a także stawów i kanałów. W ich wodach miały pływać ogromne ryby stanowiące wizytówkę całej metropolii, umieszczone zresztą w godle całego królestwa. Były chronione, rzecz jasna, z całą surowością przez miejscową straż. Alyn zbyt wiele widziała jednak tego typu miast-perełek w Rowan, by uwierzyć, że pod wypacykowaną fasadą kamienic, na biednych przedmieściach czy w kanałach nie kryły się ludzkie tragedie związane z biedą, chorobą, a najczęściej i tym, i tym naraz. Chciała zobaczyć Castanet, o tak. Ale jeżeli Zakary miał kłopoty, prawdopodobnie trzeba będzie go szukać w miejscach, do których porządkowi i straż rzadko się zapuszczają. Bo – jak mawiał Toryn – „im większe miasto, na tym grubszej warstwie gówna je postawiono".

Z zamyślenia wyrwała złodziejkę Ifiko, która kolejny raz już tego dnia sfrunęła z wrzaskiem, usiadła na ramieniu Fel i zrobiła pierzasty raban, aż dziewczyna uspokoiła ją wreszcie pieszczotami.

– Durne ptaszysko – powiedziała Fel łagodnie, głaszcząc cudowronka. – Co ci dzisiaj jest?

Na widok zamieszania sunący miarowym krokiem za podróżniczkami Osieł parsknął i splunął przed siebie, a następnie wbił obrażony wzrok w Alyn. Minęły cztery dni, od kiedy opuściły klasztor. Znajdowały się w sercu pustyni. Kamieniste pustkowia i zarysy wydm na horyzoncie zlewały się w jeden niezmienny pejzaż, który sprawiał, że łatwo było odnieść wrażenie, iż podróżniczki kręcą się w kółko. Albo że mimo ich wysiłków jakaś tajemna siła trzyma je w miejscu. Nawykła do zgiełku miasta Ifiko musiała w swym małym rozumku wychodzić z siebie, widząc spod bezchmurnego nieba jedynie morze nicości. Wielbłąd zaś, uznała Alyn, po prostu był gburem.

Było duszno.

Chwilę jeszcze trwała dyskusja pomiędzy Fel i cudowronkiem, aż w końcu zgiełk całkowicie ucichł. Złodziejka odetchnęła głęboko, napawając się ciszą. Wydawałoby się, że gdzie jak gdzie, ale na środku pustyni powinno być nietrudno o nieco bezdźwięku. W tej chwili cisza była idealna, pozbawiona rozmów, wrzasków, a nawet powiewów wiatru. Ich spokojnemu marszowi towarzyszył jedynie głuchy odgłos kamieni chrzęszczących pod butami i cichy świst oddechów. Wrażenie było niesamowite. Jakby znalazły się w wielkiej sali, z której ktoś magicznym sposobem pousuwał echa.

Niesamowite i dojmujące.

Pustynia, uczyli mnisi, żyje swoimi cyklami. Oddycha. Najpierw przez wiele dni, tygodni nawet, zaczerpuje powietrza. Wdycha je, zewsząd, skąd tylko może. Chłodzi i nawilża swe połacie nieustającymi wiatrami. Wiatrami, które wysuszone z wilgoci przez bezlitosne słońce stanowią ogromne zagrożenie dla nieświadomych podróżników. Które spragnione wysysają i odparowują wodę z wszystkiego, czego dotkną.

Potem, mówili, gdy pustynia wreszcie się nasyci, zapada w sen i wszelki ruch nad nią ustaje. Piach i skały na długie dni zamieniają się w gigantyczny kocioł, w którym gotuje się wszystko, co w okolicach południa nie znajdzie schronienia przed żarem. Ci, którzy próbują wędrować w takich warunkach, narażają się na

śmiertelne niebezpieczeństwo. Na wyczerpanie i przegrzanie. Trwa to długie tygodnie, czasem miesiące.

A potem, z dnia na dzień, wiatr powraca i rozpoczyna cały cykl od początku. Wtedy – nie częściej niż raz w roku – zdarza się, że powracające powietrze przywiewa spoza zachodnich łańcuchów górskich kłęby ciemnych, ciężkich obłoków. A te w czasie krótszym niż trzeba słońcu, by wspięło się znad horyzontu ku zenitowi, wyżymają z siebie na piach całe jeziora wody. I wówczas – kończyli wykład, śmiejąc się – trzeba uważać, by się nie potopić.

Alyn bardzo chętnie dałaby się utopić. Trwało to już od dłuższego czasu, gdy przedzierając się z mozołem przez stojące powietrze, zdała sobie wreszcie sprawę z tego, że jest jej niesłychanie duszno. Zaczerpnęła kilka głębokich wdechów, ale nie była w stanie nakarmić nimi płuc. Przystanęła i spojrzała na Fel. Dziewczyna patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. Takiej duchoty jeszcze nie doświadczyły. Była tak przejmująca, że aż nienaturalna.

Wtedy Fel obejrzała się za siebie i zamarła z wyrazem przerażenia na twarzy. Po chwili wzięła oddech, by coś powiedzieć, ale w tym samym momencie zewsząd rozległ się narastający szum. Coś jakby szczęk niezliczonej ilości zderzających się metalowych wiórków. Złodziejka przełknęła ślinę i zgrzytnęło jej w zębach.

– ...o...i! ...am! – krzyknęła Fel.

Alyn wbiła wzrok w dziewczynę. Wskazywała palcem widniejący w oddali ułamany ząb skały, który wyrastał nieco ponad dno naturalnego kanionu, którym szły.

– Alyn! W nogi! Tam!

Złodziejka obejrzała się na moment, a następnie, nie namyślając się, z całej siły chwyciła lejce i bezceremonialnym klapsem popędziła wielbłąda w stronę wypatrzonego schronienia. Ruszyła tuż za nim. Nie zdążyła zrobić kilku susów, a pod jej nogami pojawił się dywan cienia. Za jej plecami zaś, wysoko ponad nieboskłon, wyrosła ściana ciemności. Zgrzyt zmienił się w łoskot. To była burza. Ale nie niosła z sobą wody.

Do pokonania złodziejka miała kilkadziesiąt kroków. Ścisnęła lejce. Osieł, choć był wyraźnie zlękniony, nie opierał się i galopował tuż przy niej. Pył nacierał jak taran, pożerając wszystko na swej drodze. Wyrastał kłębami wielokrotnie wyżej niż mury Ganiyi, których potęgę Alyn pamiętała bardzo dobrze. I był czarny. Czarny jak szlachetny kaimiański kethryl.

Gdy pokonała połowę drogi, wiatr uderzył ją w plecy z taką mocą, że niemal straciła równowagę. Schronienie, które jeszcze przed momentem było przed nią – niemalże w zasięgu ręki – zniknęło w brunatnopomarańczowej mgle kurzu, który natychmiast wdarł się Alyn do ust, uszu i nosa. Choć z całej siły przyciskała szkła do twarzy, wydawało się jej, że armia miniaturowych piaskowych żołnierzy robi właśnie wszystko, by wedrzeć się pod nie i wziąć szturmem jej oczy.

Szarpnęła lejce, gdy poczuła, że wielbłąd zaczyna ciągnąć w przeciwną stronę, i podjęła marsz po omacku, modląc się do Isztar, by nie pogubiła kierunków. Zakryła łokciem nos i usta. Kaszlnęła. Skały nie było. Szła dalej, ostrożnie stawiając kroki. Miała ochotę krzyknąć do Fel, ale wiedziała, że gdy tylko otworzy szerzej usta, suchy pył od razu znajdzie drogę do jej gardła i płuc. Wokół wirował pylisty sztorm. Jego wysoki pisk mroził krew w żyłach.

Złodziejka przedzierała się do przodu, ale poruszała się coraz wolniej. Wolniej w nicość. Wystarczyło, że zatrzymała się raz, by zamrugać, i nagle zyskała absolutną pewność, że zgubiła drogę. Prostą drogę do

schronienia, które było tuż, tuż. Niewidoczne za ścianą chrzęszczacego piachu. Mimo to ruszyła na powrót przed siebie, w obranym – wydawało się – całkiem przypadkowo kierunku. Krok za krokiem. W wizg i dudnienie.

Nagle jej but zahaczył o kamień i poleciała do przodu, niemalże lądując na kolanach. Zmełła w ustach przekleństwo, aby nie dać kurzawie wykorzystać okazji i wcisnąć się jej do ust. Podniosła się. Spróbowała wyszukać dłonią skałę. Musiała być niedaleko. Tak! Po lewej. Nierówna, chropowata kamienna ściana wyrosła tuż obok niej. Już była blisko. Gdyby tylko mogła zaczerpnąć głęboki oddech...

Alyn zrobiła kolejny krok, ale tym razem jej stopa nie znalazła oparcia. Jęknęła, zachłysnęła się brudnym powietrzem i runęła przed siebie. Skuliła się i ugięła nogi, próbując jakoś zamortyzować upadek, ale ten nadszedł szybciej i gwałtowniej, niż się spodziewała. Wydusił z niej dech wraz ze strugą gęstej, brunatnej śliny, która wylądowała na jej twarzy i zalała szkła.

Walcząc o kolejny oddech, złodziejka poczuła, jak coś klepie ją po łydce, a następnie wdrapuje się po udzie w górę. Poczuła szarpnięcie i przesunęła się po ziemi do tyłu. Fel! Jej drobne ręce chwyciły i pomogły Alyn znaleźć drogę pod skałę. Wykorzystując tyle powietrza, ile jej ściśnięte gardło potrafiło ze świstem przez siebie przepuścić, przeczołgała się do towarzyszki, pod górujący nad okolicą, gładki od setek, tysięcy lat znoszenia podobnych piaszczystych nawał kamienny kloc.

– Dłonie na twarz i woda przy piersi! – krzyknęła Fel, a jej jedyne słowa niechybnie natychmiast zabrał głuchy huk burzy pyłowej.

Złodziejka rozkaszlała się i położyła się na boku przodem do skały. Przyciągnęła manierkę do siebie i podkuliła nogi, jakby za chwilę miała zasnąć w zimnym łóżku sierocińca. Gdy zrozumiała, że gdzieś po drodze wypuściła z dłoni – ze swej gorszej dłoni – lejce wielbłąda, poczuła, jak do oczu napływają jej łzy.

*

Nie wiedziała, jak długo to trwało. Leżała nieruchomo w ciemności i słuchała przenikliwego, nieznośnego zgrzytu przewalającej się nad głową burzy. Być może nawet zasnęła, ale bardziej prawdopodobne było to, że nierzeczywistość sytuacji i rozbudzona nagle potęga natury sprawiły, że wpadła w trans. Albo była w szoku. Przy zmysłach utrzymywał ją tylko zaciśnięty w dłoni strzęp materiału. Kawałek spodni leżącej tuż obok Fel. Przestała nawet drapać swędzące pod rękawiczką przedramię. Trwała.

Huk w końcu ustał, a wiatr pognał dalej przed siebie, pchając niezliczone ilości wszędobylskich drobinek. Została tylko ciemność. Ta spowiła okolicę najpierw poprzez unoszący się w powietrzu kurz, potem nadejście zmierzchu i wreszcie nocy. Pozbawione zapasów, które albo leżały gdzieś nieopodal w piachu, albo znajdowały się gdzieś hen daleko wraz z przestraszonym wielbłądem, do którego były przytroczone, podróżniczki podpełzły bliżej siebie. Przysypały się piaskiem, kurzem, a nawet kamieniami, by zachować jak najwięcej ciepła na długą, zimną noc.

Pierwszy i drugi łyk wody złodziejka wykorzystała, by dokładnie przepłukać usta. Wydawało się jej, że wypluła całą kałużę czarnej brei. Kilku kropel użyła, by przetrzeć nieco twarz i szkła, ale tylko rozmazała brud jeszcze bardziej. Gdy nadszedł nocny chłód, przez chwilę rozważała oddanie moczu w swym piaszczystym

legowisku. Byłoby w końcu cieplej. Ostatecznie podjęła decyzję o tym, że wstrzyma się do rana. Albo przynajmniej do momentu, w którym nie będzie miała już innego wyjścia. Czuła się fatalnie. Była szczęśliwa.

Szczęśliwa, że żyje.

Gdy otworzyła rano oczy, ukazał się jej całkowicie obcy krajobraz. Jakby wraz z Fel przetransportowały się w zupełnie inną część pustyni. Wygrzebała się z zaspy, a następnie wytrząsnęła kamyki z rękawów i nogawek. Rozejrzała się. Nie było już kanionu. W miejsce wydm wokół pojawiły się kamieniste dziury. Tam, gdzie wcześniej nie było nic, sterczały teraz zwały piachu.

W powietrzu wciąż było czuć suchy, cierpki posmak kurzu, ale było przejrzyście. Niebo jaśniało czystym błękitem. Zaczynało przypiekać słońce.

A po wielbłądzie Fel nie było śladu.

– Osieł! Osieeeł!

Pomiędzy kaszlem i chrząknięciami głos dziewczyny odbijał się echem od nowej rzeczywistości, gdy Alyn poszła wreszcie za skałę, by zaznać odrobiny prywatności. Nagły skrzek i trzepot skrzydeł oznaczał, że Ifiko wyszła z draki cała i zdrowa. I w rzeczy samej, chwilę potem cudowronek wzbił się w powietrze i pofrunął wysoko w górę.

– Znajdź go, Ifiko! Znajdź naszego wielbłąda!

– Wszystko w porządku? – zapytała Alyn, gdy wróciła do Fel. Twarz dziewczyny była brązowa, a jej kuce szare i sztywne. Przy każdym gwałtowniejszym ruchu dziewczyny ulatywała z nich pylista mgiełka.

– Tak. Chyba tak. – Fel uśmiechnęła się nieznacznie. – Potrzebuję jakichś trzydziestu chustek i tyle samo wiader wody.

Złodziejka uśmiechnęła się.

– Zrób tak. Nabierz tyle powietrza, ile możesz, zatkaj palcem jedna dziurkę od nosa, a drugą dmuchaj.

– Tak?

– Mocniej! Z życiem! Dmuchaj tak, jakby palił ci się dom i tylko ty mogłabyś go ugasić.

– Uch... Dobrze. O, łe! Fu! To obrzydliwe, nie patrz się!

– Dobra robota. Teraz druga. No, raz, raz!

– A ty?

– Na mnie też przyjdzie pora, nie martw się.

– Uch, Alyn? Co teraz? – Fel spojrzała na nią spod oka, trąc przedramieniem nos. – Nie wiem, co się robi w takiej sytuacji.

Złodziejka spojrzała dziewczynie w oczy. Spodziewała się ujrzeć wzbierający potok łez. Na Isztar, sama była od niego tuż, tuż. Ale Fel patrzyła na nią rezolutnie, bez strachu. Alyn uznała, że brak strachu zdecydowanie im się teraz przyda.

– Wszystko po kolei, damy sobie radę – odpowiedziała po chwili, a następnie obficie wysmarkała się na piach.

Ifiko nie znalazła wielbłąda. Nie znalazła albo doskonale wiedziała, gdzie jest, tylko nie chciała lub nie umiała tego przekazać. Tak stwierdziła Fel, gdy cudowronek sfrunął na jej ramię i zaczął wydłubywać spomiędzy piór drobinki piasku. Wdrapały się więc na pobliską wydmę. Tam, po trwających wieki zabiegach,

które miały na celu oczyszczenie szkieł ze smug brudu, Alyn rozejrzała się uważnie i wypatrzyła w oddali coś, co mogło być częściowo zasypanymi śladami zwierzęcia. Trop biegł na zachód, z dala od kierunku, w którym zmierzały, ale decyzję podjęły jednomyślnie – bez zapasów, które niósł Osieł, mogły nawet nie spoglądać na południe, tylko najwyżej położyć się z powrotem w dołku i poczekać cierpliwie na śmierć.

Rozpoczęły zatem wędrówkę w dół wydmy, otrzepując się nawzajem i pokasłując. Kilkakrotnie wydawało się, że wypatrzony trop gubił się i rozpływał, ale maszerowały niewzruszone. Podtrzymywały się nawzajem na duchu. Fakt, iż ślady były wciąż widoczne, wskazywał na to, że wielbłąd szedł tamtędy stosunkowo niedawno. A na pewno już po burzy. Wystarczyło tylko go znaleźć.

*

Dogoniły go po południu. Zrezygnowały z dłuższego odpoczynku w najgorętszym momencie dnia i ociekając błotnistym potem po długim marszu, zauważyły go w kotlince między trzema wydmami. Gdy dojrzała go po raz pierwszy, Alyn zlękła się, że zdechł, ale wyglądało na to, że Osieł tylko odpoczywał, podkuliwszy pod siebie nogi.

Podróżniczki powstrzymały przemożną chęć pokonania ostatniego odcinka biegiem. Uradowane wypiły głębokimi haustami resztkę wody z ich jedynej manierki i podjęły wędrówkę. Na wszelki wypadek cicho i ostrożnie, aby nie spłoszyć zwierzęcia, które – znając jego charakter – gotowe było pogalopować w górę wydmy i zniknąć poza jej szczytem, prawdopodobnie na zawsze.

Ale Osieł nie uciekł. Nawet nie podniósł się, gdy je zauważył. Odwrócił tylko kilkakrotnie głowę, spoglądając na nie to jednym, to drugim okiem. Alyn gotowa była stwierdzić, że wielbłąd wręcz się z nich śmieje. „Patrzcie, suche istoty. Patrzcie, jakieście słabe. Uciekłem wam i w każdej chwili mogę wam uciec dalej. Znajcie moją łaskę”.

Ja ci dam łaskę, pomyślała złodziejka, podchodząc do zwierzęcia, gotowa klepnąć go ze złości po zadzie, ale gdy mu się przyjrzała z bliska, zatrzymała się w pół kroku.

– Fel – powiedziała, nie patrząc na towarzyszkę. – Oczy dookoła głowy.

– Co...? Co jest?

Alyn zachowała milczenie, słuchając, jak w głębi jej ciała na nowo rozbrzmiewa szum krwi popędzanej szybkimi uderzeniami serca. Powód jej zaniepokojenia widoczny był jak na dłoni. I nie był nim fakt, iż Osieł nie miał na sobie połowy ich zapasów.

Bo tuż przed nim, na wpół zagrzebany w piasku, leżał wysuszony ludzki trup.

Złodziejka rozejrzała się uważnie. Zamknięte z trzech stron górami piachu podróżniczki znajdowały się w doskonałym miejscu na pułapkę. A nawet jeżeli nikt nie czyhał na ich życie, owo truchło, a także świecące się nieopodal niego kawałki kości znaczyły, że tu, w tym właśnie miejscu na Pustyni Nomadów, się umiera.

I wtedy sobie przypomniała. Stało się to tak nagle, że aż cała wyprostowała się z zaskoczenia. Bakkus! Znajdowały się na terenach zamieszkiwanych przez wyznawców okrutnego boga pustyni. Szalonego Demiurga Diun. To stąd wywodzili się najbardziej zacietrzewieni i bezwzględni z rozbójników znanego świata. Tu był dom służek Bakkusa.

Na myśl o Laetitii i Shoi Alyn poczuła bolesne ukłucie pod mostkiem. Potęga, jaką dysponowały, gdy

spotkała je na Kaim, była przytłaczająca. Nie było nikogo, kto mógł im się przeciwstawić w równorzędnym starciu. Po prostu nie było takiej możliwości. I choć tamte dwie zostały na zawsze za morzem, nie wiadomo, ile podobnych im, władających tajemnymi mocami zabójczyń chowały tutejsze wydmy.

– Musimy stąd odejść – powiedziała złodziejka przez ramię, wciąż wypatrując niebezpieczeństwa. – Im szybciej, tym lepiej.

Gdy nie doczekała się odpowiedzi, spojrzała za siebie. Fel miała łzy w oczach. Kilka zdążyło już spłynąć w dół jej policzków, żłobiąc w brudzie jasne linie, rozmazane tam, gdzie dziewczyna otarła je ręką.

– Osieł, on... – powiedziała cicho.

Alyn spojrzała jeszcze raz na zwierzę i zrozumiała natychmiast. Wielbłąd był ciężko ranny – zgięcie jego prawej tylnej nogi było rozcięte do kości. Rozszarpane. Świeciło się w słońcu niezdrową wilgocią oblepioną piaszczystym błotem. Podobnych ran i ranek na jego ciele, częściowo poukrywanych pod sierścią, było więcej. Osieł oddychał szybko i ze świstem, jego zazwyczaj wyniosły i lekceważący wzrok wyrażał nieopisany ból. Złodziejka przeniosła wzrok niżej. Spod jego ogona wyciekała gęsta, śmierdząca krew.

On też miał tu umrzeć.

– Przepraszam cię, Osiełku. Przepraszam za wszystko – mówiła Fel, klęcząc przy zwierzęciu i głaszcząc jego szyję. – Jeszcze będziesz zdrowy, wszystko będzie w porządku. Musisz się napić. Pij.

Alyn zareagowała odruchowo. Zanim młoda zdążyła odkorkować swoją manierkę, złodziejka podeszła do niej i położyła dłoń na jej dłoniach.

– Nie, Fel – powiedziała łagodnie.

Przez chwilę wydawało się, że zapłakana dziewczyna zacznie się wyrywać, ale po chwili bezruchu opuściła ręce i głowę. Usiadła na piętach. Pociągnęła nosem.

– Ja... Ja naprawdę nie wiem, co teraz – rzekła i zaczęła szlochać. Wtuliła głowę w sierść wielbłąda.

Nie mamy jak go dobić, stwierdziła w myślach Alyn i dopiero teraz poczuła niewysłowiony smutek. Nie mamy jak dobić tego biednego zwierzaka. Nie mamy broni. Pozostawimy go tu, by umarł z bólu i pragnienia.

Zsunęła do połowy rękawiczkę z poparzonego przedramienia i wyłuskała z jej wnętrza tępy pręcik, nie dłuższy niż jej dłoń wraz z palcami. Służył jej do drapania nieustannie swędzącej skóry, gdy już nie mogła wytrzymać, nadawał się do tego znakomicie. Ale do niczego więcej. Aby zrobić nim krzywdę, trzeba było się naprawdę postarać. I do tego mieć szczęście.

Westchnęła. Nie wiedziała, jak powiedzieć o tym młodej. Toryn by wiedział. Toryn zawsze wiedział, co powiedzieć. Nie zawsze miał rację, ale w takich momentach nigdy o to nie chodziło. Jeżeli jednak nie chciały skończyć jak Osieł, w piachu na środku pustyni, musiały iść. I to teraz.

Złowiła zapłakany wzrok młodej. Fel wstała. Chyba rozumiała ich położenie.

– Dziękuję, że ze mną byłeś. I że mnie prowadziłeś przez taki kawał – dziewczyna szepnęła do ucha wielbłąda.

Fel przytuliła się jeszcze do szyi zwierzęcia, a następnie mocno szarpnęła ciałem, po czym odeszła kilka kroków do tyłu. Osieł jęknął raz, a następnie opuścił głowę. Z szerokiego rozcięcia pod pyskiem wodospadem buchnęła krew, barwiąc jego sierść ciemną czerwienią.

Alyn powiodła szeroko otwartymi oczami za rękami Fel, na których rozmazało się kilka pierwszych gorących kropel posoki. W jednej z nich trzymała wąski, cienki sztylet. Jego ostrze było krótkie i stanowiło niemal całość broni, jeśli nie liczyć drobnego, obłego „T”, które służyło za rękojeść. Doskonale można było ukryć go w dłoni, nawet w świetle dnia, aż do momentu użycia. Tak wyglądały gimlety saahijskich zabójców.

Fel, choć wyraźnie wstrząśnięta, machinalnie otarła krew z ostrza o swą dżalabiję, a w następnej chwili sztylet zniknął z jej dłoni. Jakby rozpłynął się w powietrzu.

Kai, pomyślała złodziejka, w co ty mnie wpakowałaś?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

– Major audytor Abel Reynauld...

Komendant taidańskiego garnizonu „Sefira” przeciągnął palcem po ostrych pętlach i zawijasach liter składających się na jego stopień wojskowy i nazwisko. Oprócz tych czterech słów, nakreślonych prosto i starannie, koperta nie miała adresu. I nie musiała mieć, z czego był na swój sposób dumny. Kto miał wiedzieć, dokąd dostarczyć tak zaadresowaną korespondencję, ten wiedział, a takich ludzi codziennie przybywało.

Postukał w zamyśleniu kantem koperty o blat biurka, po czym wyjął ze środka idealnie złożoną na pół kartkę. Zbliżył ją do nozdrzy, z zadowoleniem odnajdując w jej woni niezwykle delikatny zapach perfum. Niemal niewyczuwalny, jakby ktoś zalewie wśliznął się do buduaru baronessy, kiedy ta oddawała się porannej toalecie, i machnąwszy papierem, zebrał na nim zaledwie kilka drobinek jej zapachu. Tego, którym skrapiała jedynie najintymniejsze okolice swojego ciała.

– Subtelna i zadziorna – mruknął i uśmiechnął się na wspomnienie wielkich, niewinnych oczu dziewczyny. – Żeby tatko tylko wiedział...

Tam, gdzie miało to dla niej najmniejsze znaczenie, baronessa nie siliła się na konwenanse. Jej pismo było twarde i agresywne. Niecierpliwe. Pisała:

„Żebym ja wiedziała, że tak mi źle będzie, gdy odjedziesz na powrót do swojego wojska, nie spojrzałabym na Ciebie nawet przez moment. Nie masz niczego, co mógłbyś mi dać, a czego mogłoby mi brakować. Nie masz niczego poza tą Twoją bladą skórą i gładką buzią, która przystoi żołnierzowi tak, jak siekiera poecie. Jakież ja niemniej katusze przez Ciebie teraz przechodzę, zdana na awanse tego prosiaka, Baoudwena. Z przypadku, czy własnej chęci, cierpię i umieram. Przyjechałeś z tym swoim orszakiem, zabrałeś na wojenny front i zostawiłeś mnie tam, na samym środku, gdy już zasmakowałam zapachu prochu i smaku krwi. Szujo! Tęsknię tak bardzo...”

I tak dalej, i tym podobne.

Reynauld przeczesał włosy, zgiął kartkę na powrót wpół i włożył do koperty, a tę umieścił w szufladzie obok pozostałych listów baronessy Ederhaal, tuż obok pierwszej w kolejności korespondencji grafiny Fainn.

Dopiero wtedy, jakby oczekując wcześniej na odpowiedni moment, rozległo się pukanie do jego drzwi.

– Wejść!

Do środka weszła porucznik Varga.

– Sir.

– Ikke.

Żołnierka zamknęła za sobą drzwi i zasalutowała. Karnie odczekała na gest, którym jej przełożony pozwoli jej podejść.

Czasami, tak jak w tej chwili, Reynauld pozwalał sobie na zwłokę w tej kwestii. Porucznik fascynowała go, od kiedy pierwszy raz ją zobaczył. I to nie seksualnie – o ten aspekt zadbały jej jasne włosy, do którego to koloru od zawsze z jakiegoś powodu czuł u kobiet niepohamowaną odrazę. Nie, Ikke Varga imponowała mu formą, jakie przyjęło jej ciało. Ciało kobiece, o szerokich biodrach i delikatnie zarysowanym biuście, wtłoczone w mundur jego kompanii, przyjmowało – zwłaszcza w tak oficjalnych sytuacjach – formę niezwykłej rzeźby, której trudno było nie podziwiać. Idealne proporcje, niezwykła plastyczność kontrastu czerwieni z szarością i podręcznikowy, niemal nierzeczywisty bezruch, gdy salutowała. Karność, gorliwość, profesjonalizm. Takiego skarbu nie doceniłby tylko ślepiec. Poza tym była znakomitym oficerem. I aby zachować ją jak najdłużej przy sobie, pamiętał, by o tym drugim fakcie regularnie ją upewniać.

– Spocznij. Słucham.

– Jeńczyni, sir – powiedziała kobieta, wpatrując się w ścianę nad jego głową, po czym spuściła oczy i spojrzała wprost na niego. – Nie żyje.

Reynauld z miejsca poczuł się, jakby ukąsiła go żmija. Zacisnął pięść i wydał z siebie powolne sapnięcie.

– Jak?

– Rozcięła sobie żyły. Ale zrobiła to...

– Idziemy.

– Sir?

– Idziemy!

Wstał i ominął zaskoczoną podwładną. Wypadł z biura, zamaszyście otwierając drzwi. Dwóch szeregowych, gdy go zobaczyło, natychmiast wcisnęło się w ścianę i wyprężyło na baczność.

– Warta! – warknął Reynauld w ich kierunku. – Dopóki nie wrócę!

Schody do piwnicy ciągnęły się bez końca. Gdzieś z tyłu Ikke próbowała dotrzymać mu kroku, ale przynajmniej wiedziała, kiedy zachować ciszę. Nie zniósłby jej jazgotu. Nie w tej chwili. „Rozcięła sobie żyły". Kto popełnia samobójstwo w pustej celi pod obserwacją? I to jeszcze w ten sposób?!

Pilnujący drzwi żołnierz ledwo zdążył odryglować zasuwę i pchnąć skrzydło, ale Reynauld i tak dołożył starań, by kopnąć drewno w progu tylko po to, aby przyprawić chłopaka o przemożny lęk o swoją karierę, przynajmniej do kolejnego apelu.

Gdy wszedł do sali, która służyła jednocześnie za korytarz, wybieg pomiędzy celami, lazaret i prosektorium – w zależności od biegu najświeższych wypadków w areszcie – jego wzrok od razu padł na ciało leżące na oświetlonym lampami postumencie w centrum. Chłodny przeciąg natychmiast przywiał ku jego nozdrzom silny zapach krwi.

Dwaj pozostali mężczyźni, których zastał w pomieszczeniu – młody wartownik i łysiejący medyk – stali cicho i na baczność, gdy Reynauld podszedł do trupa i obszedł go dookoła. Zrobił to powoli i ostrożnie, uważając, by nie wdepnąć w szeroką kałużę lepkiej krwi penetrującej przestrzenie między kamieniami posadzki.

– Jak to się stało? – zapytał wreszcie, kierując spojrzenie na żołnierza.

– Ona... – Kapral chrząknął i przeniósł ciężar ciała z nogi na nogę. – Sama to zrobiła. To był moment, sir. Nie było możliwości... N-nie mogłem...

Reynauld uciszył żołnierza gestem. Odwrócił głowę w bok.

– Varga!

– Sir? – odpowiedział głos zza pleców, w którym Reynauld wyczuł spodziewaną nutę szoku, niepokoju, zniesmaczenia.

– Aresztować go. Do celi. Klucz do mnie.

– Tak jest.

Kapral zachłysnął się powietrzem, gdy Ikke pojawiła się przy nim i wykręciła mu ręce za plecami, ale to był ostatni dźwięk, jak z siebie wydał w obecności Reynaulda, co ten postanowił uznać za ewentualną okoliczność łagodzącą na później. Major audytor przeniósł wzrok na medyka. Jako porucznik dorównywał stopniem Ikke, ale trząsł się pod wzrokiem swego dowódcy jak poborowy.

Tego, zanotował w myślach Reynauld, trzeba się pozbyć czym prędzej.

– A od ciebie co usłyszę? – warknął.

Medyk wziął głęboki oddech i po cokolwiek długiej chwili odpowiedział płynnie:

– Gdy przybyłem na miejsce, było już za późno, sir. Ale nawet gdybym zajął się nią tuż po... Proszę spojrzeć, paznokcie nie są długie, ale niezwykle ostre. Ona musiała wbić je, wszystkie, w szyję po obu jej stronach i szarpać, aż... aż zostało to, co widać. Kapral Reeis powie na przesłuchaniu, że nie zareagował, bo zrobiła to w... Zrobiła to w całkowitej ciszy. Rozszarpała sobie ciało i wywlekła żyły i ścięgna na zewnątrz. Nie wydała z siebie dźwięku. Nie mogła przecież tego uczynić w inny sposób, nie miała czym.

Reynauld nie był o tym przekonany. Ale pokiwał głową.

– Co jeszcze? Skóra? Tatuaże?

– Nic konkretnego. Po karnacji można ją przypisać do ludów z dalekiej północy, z Maru Atalli, albo pustynnych plemion Zakkanu. Trudno orzec. Tatuaże... nic mi nie mówią, sir.

– Czy to może w takim razie być... – Reynauld zawahał się.

– Sir?

Ciemna skóra, białe włosy, ciało pokryte tatuażami. Milcząc, major audytor przesunął wierzchem dłoni po torsie martwej dziewczyny, omijając krwawe zacieki, aż do łona. Pokręcił głową w zamyśleniu. Niezwykła wojowniczka. Zaczepiona na rutynowym patrolu przy północnej granicy zabiła pięciu i ciężko raniła dwóch, zanim pozostała trójka zdołała ją zmęczyć i unieruchomić. Pojmaną skatowali niemal na śmierć, nim została przywieziona do garnizonu, opatrzona i osadzona w celi. Po zaledwie dwóch dniach połamała kości dwóm kolejnym żołnierzom, którzy przynieśli jej jedzenie i nowe opatrunki. Następne pobicie, zanim osobiście zainterweniował, sprowadziło ją na skraj śmierci.

Ale zabiła się sama. I to dopiero teraz. W taki sposób.

Z zamyślenia wyrwał go rwetes dochodzący zza drzwi wejściowych. Brzmiało to tak, jakby ktoś pieklił się przed dopiero co postawionym do pionu szeregowym, który za punkt honoru postawił sobie nie wpuszczać nikogo, dopóki nie dostanie pozwolenia.

– Poruczniku! – zawołał do Ikke, która skinęła, podeszła do drzwi i ostatecznie wpuściła intruza.

– Goniec...

– ...ze sztabu, widzę. Dziękuję, poruczniku.

Reynauld zmrużył nieprzyjemnie oczy na widok chuderlawego chłopaka z rudawym soplem młodzieńczej bródki, który pojawił się u progu. Jego koścista piegowatość, a także nieodzowny brud i smród potu i konia, które ciągnęły się za nim z drogi, sprawiały, że za każdym razem, gdy go widział w murach „Sefiry", czuł na jego widok coraz większy niesmak.

– Kapral Jerome O'Hannes, sir. Mam pilną wiadomość...

– Chodź tu, O'Hannes – przerwał chłopakowi major audytor. – Nie wrzeszcz przez całą salę, to nie przystoi.

Reynauld wbił wzrok w gońca, który podszedł niepewnie. Zerkał co i raz na pozostające w centrum, doskonale oświetlone zwłoki jeńczyni. W końcu, gdy był już wystarczająco blisko, zasalutował i jęknął, wyraźnie walcząc z kotłująca się w jego środku zawartością żołądka.

Oficer odczekał chwilę, podobnie jak w przypadku Ikke, ale z zupełnie innych powodów. Następnie odsalutował i niemal wyrwał kopertę z garści wstrząśniętego młodzieńca.

– Spocznij.

Kapral O'Hannes, zupełnie nieprotokolarnie, odkłonił się, po czym zrobił dwa kroki do tyłu w cień, odwrócił się i kaszlnął mokro i obrzydliwie. Otwierając korespondencję, Reynauld przeniósł wzrok z gońca na Ikke, która przeczuwała już, co mogła zawierać wyczekiwana „pilna wiadomość", i wpatrywała się w niego z błyskiem w oku.

Czy to już?

Major audytor armii Taidanu zerknął raz jeszcze przez ramię na zimne ciało tajemnicy, która prawdopodobnie nigdy nie zostanie rozwiązana, i przeczytał depeszę. Była krótka.

Zachichotał pod nosem, gdy zauważył, że Ikke aż wzdrygnęła się od jego szerokiego uśmiechu.

– To już. Wreszcie.

*

Do wieczora nie zamieniły ani jednego słowa. Gdy Osieł wydał ostatnie tchnienie, pozbierały to, co zostało z niesionych przez niego zapasów – w tym dwie ostatnie manierki wody – i przysypały go piaskiem na tyle, na ile mogły. Poświęciły chwilę na żałobę – Fel z głową wtuloną w pierś Alyn – a następnie ruszyły na południe, wypatrując schronienia przed wspinającym się wysoko ponad ich głowy słońcem. Próbowały nie myśleć o tym, w jak poważnych znalazły się kłopotach.

Środek dnia przedrzemały w wąskim trójkącie cienia rzucanego przez nawis skalny. Ten wystawał niedaleko ponad suche dno wijącego się przez pustynię z zachodu na wschód wadi. Gdzieś daleko w dole koryta znajdowało się morze. Brzeg. Chłód słonej wody. Ale nie wpadły w pułapkę chęci podążania wężowatą pustynną koleiną. Obie zbyt dobrze znały historie o podróżnikach, którzy mamieni wizją Zatoki ruszyli śladem wyschniętej rzeki, by po długim marszu okazało się, że ta nagle urywa się w miejscu, w którym ulotny strumień znalazł ujście pod ziemię. Rozumiały się bez słów.

Gdy tylko zrobiło się mniej gorąco, ruszyły znów przed siebie. Pilnowały, by czerwieniejące słońce

grzało ich prawe policzki. Piły małymi łykami, ale stosunkowo często. Żuły ziarna kaszy. Suszone mięso przepadło w burzy. Było źle.

Ale szły.

Szły, a pustynia cierpliwie zamykała wokół nich swe ramiona tak jak rowańskie muchołówki o liściach więżących nieświadome zagrożenia owady w śmiertelnej pułapce. Wysokie, faliste wydmy, które towarzyszyły im przez ostatnie dni, stopniowo wtapiały się wokół nich w równą taflę piasku, aż ten w pewnym momencie skończył się i podróżniczki weszły na bezkresną, twardą, wypłowiałą skałę. Zrazu poza kamieniami i czarnymi zmarszczkami pęknięć nie było na niej nic. Potem pojawiły się skorpiony. Najpierw pojedyncze, drobne okazy, które wraz z pokonywanym przez wędrowczynie dystansem w niepokojący sposób rosły w liczbę. Późnym wieczorem były już wszędzie, a chrzęst ich odnóży mroził krew w żyłach szybciej niż nadciągające wraz z nocą zimno. Tylko czekać, aż po ciemku obie wlezą w środek ich kolonii i pożądlone na śmierć posłużą wielu pokoleniom pajęczaków za źródło pożywienia.

Położyły się spać wyczerpane i spragnione, w momencie gdy nocny chłód stał się już nie do zniesienia. Wybrały najwyższy punkt w okolicy, świecącą się blado w księżycowym świetle poszarpaną skałę, na której widok już z daleka bolały plecy i pośladki, ale przynajmniej obiecującą jako taką izolację od tutejszej fauny. Zasypiając, Alyn zastanawiała się, czy jedząc ją, skorpiony zaczną od oczu, czy ust.

Obudziły się niezjedzone, ale to była jedyna dobra wiadomość. Zła była taka, że obu doskwierał potworny ból głowy. Alyn miała do tego żużel w ustach i rozmazany wzrok, którego nie były w stanie wyostrzyć nawet sfatygowane szkła. Na ból mięśni i stawów żadna z nich już nie zwracała nawet uwagi.

Zanim ruszyły w dalszą drogę, wypiły połowę zawartości ostatniej manierki. Złodziejka niemal siłą musiała powstrzymywać Fel, która w pewnym momencie gotowa była kilkoma haustami pochłonąć całą zawartość. Tak czy inaczej, pomogło. Ból nieco zelżał, usta z ulgą powitały wilgoć śliny, wzrok na nowo złapał ostrość.

Szły.

Szły, a zamierające w bezruchu na ich widok skorpiony odprowadzały je obłymi oczami i stawiały w gotowości swe żądła. One też czekały cierpliwie. Już niedługo, zdawał się mówić żar buchający z nieba i płaskiej tafli skalistego oceanu. Już niedługo.

Po raz pierwszy Fel upadła tuż po tym, jak na horyzoncie z przodu zamajaczył nowy kształt. Chudy i strzelisty, ścięty u szczytu. Wyglądał jak kolumna. Albo gigantyczny pal. Alyn natychmiast klękła przy dziewczynie i wlała jej w usta strumyk ciepłego płynu. Może odrobinę za dużo, co uświadomiła sobie, gdy potrząsnęła manierką.

Tajemniczy obiekt był za daleko, by zdążyły do niego dotrzeć przed południem. Słońce już na dobre zaczęło palić tego dnia, a absolutny brak wiatru sprawiał, że niezmiernie trudno było oddychać. Złodziejka postawiła Fel z powrotem na nogi i, podtrzymując ją, zaprowadziła marszem, który trwał wieczność, pod widoczny w oddali wysoki, obły głaz – jedyny obiekt w okolicy, który mógł prędzej czy później rzucić jakiś cień.

Gdy dotarły na miejsce, okazało się, że samotny kawał skały był kilkakrotnie wyższy od Alyn i wyglądał jak ogromne, nieregularne jajo, które stało pionowo, w niepojęty sposób utrzymując równowagę. Wydawało się, że najlżejszy podmuch wiatru przeważy go i przewróci, a wszystko, co będzie miało pecha leżeć tuż pod

nim, zostanie zmiażdżone pod masywnym cielskiem. Ale nie było innego wyjścia – u jego podstawy, między rozszerzającą się ku górze talią głazu a ziemią, znajdowała się wąska niecka. Skromny okrąg cienia, w którym można było spróbować na leżąco przeczekać, aż słońce zakończy wędrówkę ku zenitowi i na nowo podejmie swój niespieszny marsz ku horyzontowi na zachodzie.

Czując wzmożone odwodnieniem objawy przywiezionego z Kaim ciepłowstrętu, Alyn ułożyła półprzytomną Fel pod głazem, a następnie sama owinęła się wokół niego. Gdy zamknęła oczy, wydawało się jej, że słyszy, jak resztka wody w manierce szepcze do niej zalotnie.

*

Fel śniła o mężczyźnie. Byli we dwoje na dziedzińcu Świątyni Beduinów. Prowadził ją za rękę do głównej bramy długimi krokami, tak, że musiała za nim podbiegać. Trzymał ją mocno.

Gdy dotarli na miejsce, przystanął i wbił wzrok w jej oczy. To był Toryn. Rude włosy odrosły mu i swym naturalnym bałaganem, wraz z niedługą brodą, łagodziły jego ostre rysy. Trzymał ją za rękę, a ona przesunęła swą dłoń po włosach na jego przedramieniu.

– Za chwilę wejdziemy tam – mówił – a ty będziesz się zachowywać tak, jak przystało na moją towarzyszkę.

Słuchała. Wrota prowadziły na zewnątrz, na pustynię, ale w głębi czuła, że gdy je przekroczy, wejdzie do najpiękniejszej i najbardziej ekskluzywnej sali bankietowej świata. Chłonęła to wrażenie całą sobą.

– Nie sprawisz mi zawodu, Felicio – zakończył Toryn stwierdzeniem tak naturalnie prawdziwym, że nawet nie przyszłoby jej do głowy, by miało być inaczej.

Przytaknęła.

To był przyjemny sen.

*

Alyn wytrząsnęła ostatnią kroplę wody i spojrzała w ciemny otwór manierki z przemożną tęsknotą. To było wszystko. Ani kropli więcej. Przeżyją jeszcze jeden, dwa dni, jak obliczyła. W tym połowę następnego dnia i całą pozostałą resztę dokładnie w miejscu, w którym ciała ostatecznie odmówią im posłuszeństwa. Umrą w bólu, posłużą za źródło pożywienia dla wiecznie podążającej za nimi Ifiko, a przez następne dziesięciolecia wiatr wysuszy i utwardzi ich zapomniane ciała na kamień. To była zła wiadomość.

Dobra była taka, że na niebie, po raz pierwszy, odkąd wyruszyły z Vihar Arapi, pojawiło się stado bladych obłoczków. Były drobne i cienkie, ale spowiły nieboskłon cienką płachtą, osłabiając – jakkolwiek skromnie – mordercze zapędy słońca. Oprócz tego obiekt, który zauważyły w oddali, nabrał już wyraźnego kształtu i tekstury, więc mogły z pewnością stwierdzić, że była to kolumna. A raczej ruiny jednej z kilku kolumn, które niegdyś wspierały zapewne strop jakiejś większej budowli.

Miasto na środku pustyni. Cóż, były na świecie rzeczy bardziej nieprawdopodobne od tego.

Same nie dowierzały własnej wytrwałości, gdy dotarły do niego przed zmierzchem. Był to kamienny las równo ciosanych bloków i przewróconych kolumn, posadzony na połaci szczerbatego i popękanego bruku.

Ruiny rozciągały się na płaskim terenie we wszystkie strony i daleko jak okiem sięgnąć. Tu i tam schody urywały się w powietrzu lub wnikały nagle w głąb ziemi, ku przestrzeniom zasypanym piachem i kamieniami. Wzdłuż szerokich, zaokrąglonych ulic wyrastały z ziemi szpalery prostokątnych fundamentów otoczonych postrzępionymi koronami połamanych ścian. Na pierwszym placu, na który wkroczyły, szyderczym uśmiechem powitała ich popękana niecka fontanny. Po jej dnie krążyło niemrawo kilka chmurek pyłu.

Tyle z nadziei na wodę, pomyślała Alyn i zaśmiała się cicho. Fel, która, od kiedy zdrzemnęła się pod głazem, czuła się wyraźnie lepiej, zawtórowała jej głośniej i po chwili obie zanosiły się suchym śmiechem. Gdzieś pośrodku opuszczonego miasta schowanego w bezkresie Pustyni Nomadów.

I dopiero wtedy, gdy siadły na ziemi i oparły się o jedną z tysiąca ścian wyrastających z ziemi nie wyżej niż na wysokość człowieka, zwróciły na to uwagę. To, co tak naturalnie wpisywało się w krajobraz, że zupełnie umknęło ich percepcji. U podstawy każdego z murków, wąskimi pasami, wyrastały z ziemi drobne, brązowe porosty. Miały chude, patyczkowate łodyżki, o zgrubieniach rozmieszczonych w równych odstępach na ich całej długości. Przywoływały na myśl długie, chude palce. I to była pierwsza myśl, która pojawiła się w głowie złodziejki, gdy tylko im się przyjrzała. Druga była taka, że skoro żyły, musiały mieć dostęp do wody. A gdy zrozumiała, skąd ją brały, poczuła tak wielką euforię, że wbrew zdrowemu rozsądkowi wstała i z pękającą od bólu głową oraz nieznośną suchością w ustach odtańczyła w miejscu „Marsz piratów". Widząc to, Fel najpierw złapała się za głowę, by po chwili dołączyć do niej – znacznie zgrabniej i jeszcze weselej. Niedługo później zmorzył je sen.

*

Minęła kolejna noc. Pierwsza w tej dziwnej, martwej metropolii. Sytuacja nie wyglądała tak dobrze, jak poprzedniego wieczora wyobrażała ją sobie Alyn, ale postawa Fel, która – choć była na skraju wyczerpania – wydawała się mieć dobry humor, podnosiła ją na duchu. Obudziły się tuż przed świtem i natychmiast dopadły do najbliższego muru. Była tam. Zimna i oblepiająca kamień morzem małych kropelek. Rosa.

Kiedy oblizały już dokładnie ścianę, przy której spały, rozdzieliły się i każda zajęła się kolejną, nie zważając na ziemisty posmak w ustach i podrażnienia na językach. Piły długo, aż zaczęło robić się ciepło, a rosa wyparowała. Aż wspólnym wysiłkiem, wykorzystując najmniej brudny kawałek dżalabii złodziejki, zebrały i wycisnęły tyle kropel do manierki, ile się dało. Aż usiadły z bólem brzucha, zadowolone z tego, że przeżyją jeszcze jeden dzień.

Wyglądało na to, że znalazły doskonałe miejsce do odpoczynku przez dobę lub dwie, by napełnić manierki wodą. Kaszy miały jeszcze na kilka dni, założywszy, że ograniczą się do głodowych porcji. Ale obie wiedziały, że potrzebowały dużo więcej, by nabrać sił do wędrówki. Że równie dobrze mogłyby ruszyć jeszcze tego samego dnia, dopóki ich ciała nie wpadły jeszcze na to, że ktoś od dawna oszukuje je na pożywieniu. Że pracują za więcej, niż im się płaci.

A potem Alyn poszła na krótki rekonesans i plany obu zmieniły się w jednej chwili. Znalazła ślady. Były niewyraźne, niemal niewidoczne w cienkiej warstwie piasku i kurzu na popękanym kamieniu, ale ewidentnie tworzyły szlak, którym ktoś niedawno musiał przemierzyć okolicę. Mógł być to zbłąkany beduin, przyjazna dusza. Ale równie dobrze patrolować ten teren mogli słudzy – a zwłaszcza służki – Bakkusa.

Gdy opowiedziała Fel o swoim znalezisku, okazało się, że dziewczyna nie słyszała wiele na ulicach Saahii o Bakkusie ani jego wyznawcach oprócz oczywiście znanej przyśpiewki dzieciaków z biednych dzielnic.

Służki Bakkusa, służki Bakkusa,
Córki nocy na piasku,
Piękno i groza, piękno i groza,
Zatańczą w księżyca blasku.

Czując gęsią skórkę na myśl o tym, co krewna Laetitii lub Shoi mogłaby zrobić ze zbłąkanymi wędrowniczkami w środku jej świętego miasta, Alyn zaordynowała wymarsz jeszcze tego samego dnia, po południowym żarze. Ten zresztą zapowiadał się łagodniej niż kilka, kilkanaście poprzednich. Wciąż było gorąco, ale od rana pomiędzy pokruszonymi pomnikami życia, które niegdyś musiało wrzeć na ulicach miasta, przemykała łagodna bryza. Chłodziła i dawała nadzieję. Poprawiała humor. Złodziejka pomyślała, że obecność wiatru musiała być jednym z głównych powodów, dla których ktoś stanął te setki albo tysiące lat temu pośrodku spalonej nicości i powiedział: „o, tu założymy wioskę".

Ale nie mogła pomyśleć inaczej. W końcu wszelkie dowody na to, że dawno temu w tym miejscu rozciągały się bujne łąki poprzecinane wstęgą potoku, z biegiem czasu zostały roztarte w pył i zakopane głęboko pod zwałami piachu.

*

Po południu zostawiły ruiny za plecami i z nowym zapasem sił wdrapały się na górujące nad miastem wzniesienie. Po jego drugiej stronie Pustynia Nomadów otwierała swe bezkresne ramiona. Zapraszała do piekła falującego powietrza.

Na jej widok usta Fel złożyły się do tego, by wypowiedzieć słowa protestu przeciw dalszej wędrówce, ale resztką siły woli powstrzymała się. Trwała tak przez chwilę, nie oddychając, głaszcząc w kieszeni palcami obłe kamyki. Następnie wzięła głęboki wdech i zanuciła cicho „Tęsknotę", piosenkę, którą chętnie śpiewała i tańczyła na ulicy do akompaniamentu Zaina i Najili.

Zeszłabym za tobą świat,
Księżyc zeszłabym i wraz,
By móc znów spojrzeć w twe oblicze,
A za mną pomknie krwawy szlak,
Z tęsknoty serce krwawi tak,
Przy tobie wszystko,
Znów wszystko jest niczym.

Gdy na nowo poczuła spokój, spojrzała w górę, gdzie szybowała Ifiko, ciesząc się wiatrem. Jeszcze

żyjemy, pomyślała Fel. Damy radę. Następnie skierowała wzrok w dół zbocza, śladami Alyn, która poszła przodem. W końcu jeszcze raz obejrzała się na płaską, kamienną szachownicę ruin. Z tej wysokości miasto wydawało się dużo mniejsze, możliwe do zamknięcia w obręczy ramion. Spróbowała między ogryzkami dawnych budynków wypatrzyć jakikolwiek ruch, kształt niepasujący do reszty. Czyjeś wścibskie oczy. Ale ruiny były spokojne. Ciche. Zanurzone we wspomnieniach o dawnych jej mieszkańcach.

Ciekawe, ile osób na świecie wie o tym, że kiedyś toczyło się tu życie, pomyślała. Wspólna podróż jej i Niezłomnej Alyn nie potoczyła się tak, jak planowały. Każdy dzień spędzany pośród pustynnej nicości przybliżał je do śmierci. Były już tak jej blisko. Ale jednak znalazła powód, by tu, w sercu niczego, być szczęśliwą. Po to wyjechała z Saahii. Po to uciekła od nich wszystkich. Zastanawiała się tylko, dlaczego rudowłosa kobieta do tej pory nie zapytała o jej gimlet. Musiała kojarzyć tę broń, wiedzieć, skąd pochodzi. To niewypowiedziane pytanie wisiało gdzieś między nimi, było powodem, dla którego Alyn wyraźnie traktowała ją z rezerwą. Ale póki nie padło, nie było tak naprawdę czym się przejmować.

Z nową nadzieją w sercu Fel ruszyła w dół za swoją towarzyszką.

*

Z kolejnych dwóch dni wędrówki dnem szerokiego wadi, które poprowadziło je względnie prosto na południe, Alyn nie zapamiętała niemal niczego. Podróżniczki otoczył ocean białych kamieni, których blask zmuszał do marszu z niemalże całkowicie zakrytymi oczami. Ich skórę chłodził pustynny wiatr, a choć woda w manierce skończyła się już pierwszej nocy, nauczone doświadczeniem wybierały na nocleg pobliże skał. Przed zaśnięciem omiatały je zapobiegliwie z kurzu, a rankiem czerpały z bogatych i ulotnych złóż rosy, ile mogły.

Szły.

Szły, a do bólu głowy dołączyły skurcze mięśni. Do suchości w ustach – majaki. Gdy w pewnym momencie złodziejka zdała sobie sprawę, że brodzi po kostki w zimnym potoku płynącym wadi, padła na kolana i tylko szybka interwencja Fel ustrzegła ją przed nasypaniem sobie w usta solidnej garści kamyków i piachu.

Czwartego dnia suche koryto otworzyło się tak szeroko, że jego brzegi całkowicie wtopiły się w otoczenie, wyprowadzając wędrowczynie na bezkresną, płaską połać. Równy horyzont poprzecinany był jedynie kilkoma suchymi drzewami, które wyrastały z ziemi otoczone kępami kolczastych krzewów. Niczym piaszczyste wysepki na morzu.

A potem pustynia się skończyła.

Jej miejsce zajęła wypłowiała sawanna trawy o krótkich, twardych źdźbłach, z której coraz częściej i gęściej wypryskały rachityczne nagie łodygi, kaktusy i szerokie drzewa o rzadkich, drobnych liściach. Skończyły się skały, ale woda pojawiła się w innej postaci.

Późnym popołudniem piątego dnia po opuszczeniu ruin natknęły się na wgryzające się w grunt koryto strumyka o szerokości dwóch dłoni i takiej samej głębokości. Woda była mulista i pachniała nieprzyjemnie, ale przynajmniej miały jej pod dostatkiem. Zanim napiły się, Fel, twierdząc, że „usłyszała na mieście, że tak się robi”, postanowiła skonstruować namiastkę filtru. Do tego celu użyła jedynego przedmiotu posiadającego

jakąkolwiek wymierną wartość – utkanej i sprezentowanej im przez mnichów biało-błękitnej chusty. „Na wypadek konieczności”, powiedział enigmatycznie Sanjai, gdy im ją wręczał, uśmiechając się jak zwykle.

Z pewnością nie spodziewał się, że zamiast u bandytów czy pustynnych handlarzy jego dzieło sztuki skończy upaćkane mokrą ziemią i piachem, a wędrowczynie będą przez nie przesączać kolejne garści wody.

Wytrzymały do momentu, w którym to, co skapywało z wierzchołka odwróconego stożka filtra straciło już zabarwienie, ale nie zapach. Potem, zamieniając się, zaspokajały pragnienie, walczyły z bólem brzucha, odchodziły na stronę, i wracały, by na nowo tchnąć płynne życie w swe zmęczone, obolałe ciała.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przez moment wydawało się jej, że to oni. Mężczyźni w czarnych kurtach. Że wyruszyli za nią z Saahii i dogonili ją na pustyni. Pośrodku niczego. Ale to wrażenie szybko minęło, gdy Fel zdała sobie sprawę, że pojawienie się za ich plecami nieznajomych mogło oznaczać coś znacznie gorszego.

Poprzedniego dnia tuż przed zapadnięciem zmroku nad horyzontem zauważyły dym. Jego wąska nitka zapewne unosiła się na horyzoncie przez dłuższą część wieczoru, ale były tak zaaferowane korzystaniem z dobrodziejstw brudnego strumyka, chusty i mokrego piachu, że cudem zwróciły na niego uwagę, nim przestały widzieć cokolwiek w ciemnościach. Po krótkiej dyskusji Fel zdołała przekonać Alyn do tego, by następnego dnia sprawdziły z bezpiecznej odległości, czy była to wioska, czy obóz. I czy nie znalazłoby się tam coś do jedzenia. Kaszy nie zostało im wiele, a poza tym obie miały jej już powyżej uszu.

Wyruszyły wczesnym rankiem. Ostrożnie. Wypatrywały na horyzoncie ruchu. Zwierząt. Ludzi. Chłód poranka orzeźwiał i wyostrzał zmysły, ale nie zaobserwowały nikogo ani niczego aż do momentu, gdy przed nimi wyrósł pagórek, a w kotlince przy jego stromym zboczu dostrzegły opuszczone czarne truchełko ogniska. Było pusto i cicho. Bezpiecznie.

Więc jak głupie jedna za drugą wlazły w pułapkę.

Jak na dany znak wyłonili się zza skał chwilę po tym, jak wraz z Alyn stanęły nad kupką popiołu i zwęglonymi gałązkami. Było ich dwóch. Jeden trzymał na lejcach chudego konia, a drugi dzierżył w dłoniach napiętą kuszę.

W innej sytuacji Fel gotowa byłaby się roześmiać. Pierwszy z nich był niski, gruby i zarośnięty czarną, kędzierzawą szczeciną, która oplatała całą dolną połowę jego twarzy, obrastała szyję i wdzierała się pod szeroki kołnierz. Drugi – wysoki, chudy i gładki – stawiał długie, powolne kroki, jakby szedł na szczudłach.

Wyglądali jak para jarmarcznych błaznów.

Z pierwszych słów, które padły z ust tego niższego, dziewczyna nie zrozumiała niemalże nic. Mówił zakkańskim dialektem pustynnym, do tego z silnym akcentem. Wyłowiła jedynie frazy, w których pojawiały się „kobieta" i „brud". Drugi na to wydał z siebie chrząknięcie. Trudno było poznać, czy był to wyraz rozbawienia, czy pogardy.

Fel spojrzała ukradkiem na Alyn, która stała obok niej wyprostowana, trzymając się pod boki. Była zmachana i uwalana od stóp do głów w słonej od potu brei, ale wciąż potrafiła zachować pewność siebie.

– Sprawa jest prosta – rzekł po zakkańsku zachrypniętym głosem zarośnięty. – Idziecie, moje pustynne lisiczki, z nami. Do obozu, gdzie znajdzie się dla was użytek. A obiecuję, że się znajdzie.

Drugi znów chrząknął. Dokładnie tak samo jak wcześniej.

– W tej chwili zrzucacie z siebie te łachy i wszystko, co macie przy sobie, ląduje na ziemi. To jedna

możliwość. Druga jest taka, że dołączacie do tego tam *murkha*, który swego czasu miał podobny wybór. A my już wtedy sami z was ściągniemy, co trzeba.

Fel podążyła wzrokiem za skinięciem mężczyzny. W cieniu leżały brudne, popękane kości. Alyn też je zauważyła. Ogryziona czaszka była ludzka.

Fel na powrót odwróciła się w stronę bandytów. Na dobrą sprawę nie wyglądali szczególnie inaczej od elementu, który patrolował nocą zaułki Saahii w poszukiwaniu łatwego zarobku. Byli brudniejsi, a ich oczy patrzyły pusto. Niemal obojętnie. Ale byli tacy sami. Szczapowaty z kuszą wyglądał tak, jakby dobrze wiedział, co robi. Z drugiej strony miał tylko jeden strzał, po którym musiałby albo przeładować, albo zmienić broń. Gruby z kolei jedną rękę miał zajętą lejcami. Drugą mógł w każdej chwili sięgnąć do pasa po rękojeść nadgryzionego rdzą bułatu, ale nie zrobiłby tego błyskawicznie.

Fel zauważyła spojrzenie towarzyszki i mrugnęła do niej porozumiewawczo. Ciekawe, czy boi się tak jak ja, pomyślała. Czy też promienieje jej takie ciepło w podbrzuszu.

*

Alyn przede wszystkim chciało się siku. Była zdumiona, że to jedyne, co czuje w tej sytuacji. Nie miała pojęcia, dlaczego tak jest, podobnie jak nie wiedziała, co miało oznaczać to mrugnięcie Fel.

Być może też to zauważyła. Ognisko, kości, zasadzka – wszystko wyglądało na skrupulatnie zainscenizowane i wielokrotnie już odegrane. Wypatrywali, wabili, a potem, gdy ofiara – strudzony podróżnik czy niedoświadczony beduin szukający bezpiecznej przystani po pokonaniu pustyni – łyknęła przynętę, wkraczali na scenę. Dały się złowić w dziecinny sposób.

Mężczyźni całkiem udanie sprawiali wrażenie niecierpliwych.

– Zastrzel rudą – powiedział niski do drugiego. Po zakkańsku. Tak, żeby zrozumiały.

Jeżeli to była gra, nie pozostało nic innego, tylko rzucić kośćmi.

Alyn natychmiast podniosła wyprostowane ręce do góry, a gdy upewniła się, że wysoki nie zamierza jak na razie wykonywać polecenia, powolnym ruchem uniosła pas, który miała przewieszony przez ramię, i położyła u swoich stóp. Kątem oka zauważyła, że Fel zrobiła to samo. I wtedy dopiero to poczuła. Złość na samą siebie, że przez karygodną nieuwagę wpakowała niewinną dziewczynę w środek swoich własnych kłopotów.

Ale mogło być gorzej. Mogła już nigdy nie poczuć niczego.

Wzięła głęboki wdech i wykonała krok do przodu. Niespiesznie zdjęła przez głowę brudną dżalabiję. Przypomniała sobie, jak w dniu, w którym wyruszyły z klasztoru, otrzymały od mnichów złożone w równiutką kostkę ubranie podróżne. Wtedy jeszcze bladobłękitne.

W następnej kolejności zzuła buty, a potem rozwiązała pasek i zdjęła spodnie. Fel dotrzymywała jej kroku w tej swoistej rozbieranej szaradzie, a w pewnym momencie nawet ją wyprzedziła, jednym rzutem pozbywając się wszystkiego, co miała na sobie, oprócz majtek. Mężczyźni wydawali się zadowoleni, ale daleko im było do utraty kontroli nad sobą. Znali każdą scenę przedstawienia.

Stanęły obok siebie – brązowe na twarzach i szyjach i białe wszędzie indziej, zasłaniające ramionami

blade, nieimponujące biusty. Niski dał znak dryblasowi i razem zbliżyli się, z uwagą taksując ich ciała. Pierwszy puścił lejce i położył dłoń na zwoju liny przy pasie. Drugi wciąż był gotowy do strzału.

– Dobry wybór, lisiczki – rzekł wyraźnie zadowolony z siebie niski, gdy stanął przed swymi zdobyczami. Skierował wzrok na Alyn i skinął na jej rękawiczkę, jedyny fragment odzieży, który pozostawiła na sobie prócz majtek i szkieł. – A to co? Na ziemię z tym. Już.

Złodziejka przytaknęła usłużnie i zacisnęła wnętrzem dłoni metalowy pręcik. Zaczęła zsuwać rękawiczkę powoli, licząc na to, że wyłaniająca się spod niej różowa, złuszczona i pomarszczona skóra odwróci ich uwagę.

Następne wydarzenia rozegrały się w jednej chwili. A zaczęło się od tego, że Fel nagle wykrzyknęła:

– Ale wujku!

A potem doskoczyła do włochatego i wydawało się, że chce rzucić się mu w ramiona, lecz wyciągnęła tylko rękę. Tak, jakby chciała go pogłaskać. Alyn kątem oka zobaczyła błysk.

*

Zrobiła to tak, jak zrobiłby to Madżid. Jak robił wielokrotnie. Jeden szybki ruch ręką tuż przy szyi. I krok do tyłu. Odruchowo, choć tu nie był potrzebny. Bujna broda mężczyzny wchłaniała krew jak gąbka.

Czując, jak jej ciało tężeje, Fel stała jak zahipnotyzowana. Patrzyła.

*

Gdy zrozumiała, co się dzieje, Alyn wykorzystała jedyną przygotowaną zawczasu broń, która miała jakiekolwiek szanse na powodzenie w tej sytuacji, i wykrzyczała słowo, na które żaden człowiek pustyni nie był obojętny.

– Karakurt!

Zgodnie z oczekiwaniem oczy chudzielca rozszerzyły się w przestrachu. Mało kto nie trząsł portkami przed najbardziej jadowitym pająkiem, jakiego nosiła Pustynia Nomadów. Ale tryumf złodziejki był krótki. Mężczyzna instynktownie cofnął się o krok i uniósł kuszę do twarzy, więc błyskawiczny wypad rudowłosej dziewczyny minął go o włos. Zamiast uderzyć go Alyn straciła równowagę w pół kroku i w tym samym momencie trzasnęła zwalniana cięciwa. Nie wiedziała, czy to siła, z jaką bełt trafił w jej ciało, czy z jaką spięła mięśnie do uniku, ale w tym samym momencie obróciła się na palcach i silnym wymachem uderzyła nadgarstkiem w łuk kuszy. Kolba z chrzęstem wyrżnęła prosto w nos mężczyzny, który padł ciężko na plecy. Alyn dopiero wtedy poczuła, jak cały jej bok ogarnia rwący ból. Spojrzała w dół, gdzie na obrzeżach pomiędzy dwoma płatami głęboko rozciętej skóry zaczynała się właśnie zbierać gęsta wilgoć. Bełtu nie było nigdzie widać.

Odetchnęła z ulgą i spojrzała w lewo, a jej serce znów ścisnął przestrach. Niski jedną ręką trzymał Fel za szyję, a drugą próbował wyszarpnąć zza pasa bułat. Dziewczyna nie broniła się, ale rękaw jego wyciągniętego ramienia był już czerwony aż do łokcia. Alyn zawahała się. Wysoki nie miał możliwości załadować kuszy na czas, ale nie był jeszcze wyłączony z walki. Twarz dziewczyny już za chwilę za to zrobi się sina.

Gdy złodziejka już miała ruszyć pędem w stronę Fel, pod duszącym ją mężczyzną ugięły się wreszcie nogi i upadł na ziemię. Zanim puścił swoją ofiarę i rozłożył się bezwładnie na plecach, próbował jeszcze z cichym jękiem pociągnąć ją za sobą. Dziewczyna oparła się i odepchnęła go nogą, a potem wylądowała na kolanach. Usiadła na piętach, trzymając się za szyję i łapiąc głębokie hausty powietrza.

– Na Isztar, wszystko dobrze, Fel? – jęknęła Alyn.

Dziewczyna odpowiedziała skinieniem w kierunku mokrej czerwonej krechy tuż pod biustem Alyn.

– Wyliżę się.

Nie zabrzmiało to pewnie, pomyślała złodziejka. Bełt poszedł po żebrze, ale zostawił za sobą głębokie rozcięcie. Na pustyni rany krwawiły dłużej i goiły się trudniej, tak mówił Sanjai. A tu zdecydowanie było co łatać.

Jej uwagę zwrócił ptasi wrzask i trzepot skrzydeł. Ifiko sfrunęła spod nieba i rzuciła się nieprzytomnemu grubemu do twarzy z dziobem i pazurami. Alyn odpędziła ją zirytowanym wymachem, choć wiedziała, że teraz nie ma to już żadnego znaczenia. Mężczyzna, przy którego głowie piach zwarł się w brunatne grudy, umrze już dosłownie za chwilę. I nic nie było w stanie mu pomóc.

Gdy upewniła się, że Fel może oddychać, Alyn chwyciła z ziemi bułat i podeszła do chudego. Naga i wkurwiona, górując nad mężczyzną, który podpierał się na łokciach i krwawił obficie z nosa, poczuła się jak sama Isztar. Widziała jego zaskoczenie. I gniew. Na siebie albo na swojego kompana, który nie potrafił zapewnić im obu bezpieczeństwa w spotkaniu z dwiema chudymi, zmęczonymi niewiastami na środku pustyni.

Ale złość w jej własnym wnętrzu buzowała pod wielokrotnie większym ciśnieniem. Ścisnęła z całej siły rękojeść.

– Jak się nazywasz?! – szczeknęła.

Sprytnie, Alyn, pomyślała. Znając jego imię, będzie ci trudniej zrobić coś naprawdę, naprawdę głupiego.

– Dorga. – Mężczyzna wypluł krew i przełknął ślinę. – Radzo Dorga.

Uderzenie kolbą zrobiło niemałe spustoszenie na jego twarzy. Przetrącony, czerwony nos właśnie zaczynał puchnąć na kształt mięsistego, nieforemnego grzyba, jakie w Rowan przynoszono z lasów po co bardziej obfitych opadach.

Alyn oparła ostrze o skórzany bukłak, który leżał na piasku u jego pasa.

– Radzo, porozmawiajmy. Gdzie jest twój obóz?

Mężczyzna milczał, ale jego oczy z niepokojem śledziły ruch klingi, która zagłębiała się w miękkiej poduszce manierki.

Na piasku do cienia złodziejki dołączył drugi. Fel położyła dłoń na ramieniu Alyn.

– Nic ci nie powie – szepnęła nie bez trudu. – Prędzej nażre się piasku i umrze. Oni tak mają.

Kolejne ukłucie gniewu sprawiło, że złodziejka szarpnęła lekko dłonią. W miejscu zetknięcia ostrza ze skórą manierki pojawiły się pierwsze krople wody.

– Alyn, co robisz? – zapytała młoda, ale jej szept zginął w świszczącym odgłosie, z jakim mężczyzna wciągnął powietrze przez bulwę na twarzy.

Nikt nie marnował w taki sposób wody. Nikt nie wylewał drogocennego płynu na ziemię, nawet po odebraniu go najgorszemu wrogowi. Takie było prawo pustyni. Nie stosowały się do niego tylko zwierzęta.

– W porządku, zapytam inaczej – podjęła złodziejka nieswoim głosem. – Wyobraź sobie, Radzo, że jesteś tu sam. Kończy ci się woda. Potrzebujesz dotrzeć do źródła, rzeki, oazy. Dokąd idziesz? Na to pytanie możesz odpowiedzieć? Co?

Alyn szarpnęła jeszcze raz, poszerzając otwór. Niczym uwolniona z niewoli ciepła woda wąskim strumykiem zaczęła spływać po skórze bukłaka na gorący piach. Mężczyzna jęknął, spod opuchlizny na jego twarzy wypełzła i natychmiast pękła różowa bańka.

Fel podsunęła złodziejce podniesioną z ziemi dżalabiję, nałożywszy wcześniej swoją.

– Masz. Załóż to na siebie. I odetchnij, daj mi spróbować.

– Młoda, na Isztar, nie mieszaj się do tego.

Nie robiąc sobie nic ze słów Alyn, Fel kucnęła przy mężczyźnie i zaczęła coś szeptać do niego. Podała mu przedziurawiony bukłak. Na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi, ale zniknął moment później, gdy dziewczyna pomachała mu przed oczami ostrym jak brzytwa gimletem. Brudnym i wilgotnym jeszcze od krwi jego kompana.

Alyn stała jeszcze chwilę nad obojgiem, po czym odwróciła się i pozbierała swą odzież. Wewnątrz wciąż nią trzęsło. I nie miało to nic wspólnego z zasadzką sprokurowaną przez tych dwóch skurwysynów. Użyła odrobiny wody z manierki zarośniętego, aby obmyć bok. Rana nadawała się do zszycia, ale próżno było szukać w okolicy przyborów tkackich. Po chwili zastanowienia ze skórzanej kieszonki przy pasie martwego mężczyzny wyciągnęła kozik, którym wycięła z niezakrwawionego rękawa jego kurty pas materiału. W końcu pozbawiła trupa lnianego pasa, którym był przewiązany, złożyła kilkakrotnie materiał i przytwierdziła go do rany, mocno się obwiązując.

Poczuła się jak hiena.

*

Fel wstała wreszcie znad mężczyzny. Chwyciła kuszę i odeszła na bok pozbierać resztę odzieży. Próbowała oddychać głęboko, ale przy każdym wdechu jej krtań odzywała się tępym bólem. Przez chwilę próbowała powstrzymać drżenie rąk, zakładając ubranie, ale bardzo szybko uznała, że nie miała szans. I że w zasadzie nie miało to znaczenia. Alyn ją obserwowała. Rudowłosa złodziejka przenikała ją wzrokiem, próbując odczytać jej myśli.

Spojrzenie było pełne współczucia.

Ale Fel nie potrzebowała współczucia. Wręcz przeciwnie. Potrzebowała podzielić się z kimś swoją euforią.

*

– „Wujku”?

– Co? Nie miałaś nigdy wujka?

– A ty?

– O co ci chodzi?

– Zabiłaś go, Fel. Poderżnęłaś mu gardło.

– Tak. I co, kurwa, z tego!

– Fel, oddaj mi sztylet.

– Chyba śnisz.

– Fel.

– ...

– Nie jesteś już dzieckiem, Felicio, więc nie zachowuj się jak bachor. Wydarzyło się coś strasznego i jesteś w szoku. Ale to w porządku. Już po wszystkim. Już jesteś bezpieczna. Chodź tu i oddaj mi sztylet.

– Ja...

– Dziękuję. Damy radę. Choćby nie wiem co, damy radę.

CZĘŚĆ III

ROZDZIAŁ ÓSMY

Przyjaciół, których doświadczysz, a których
Wybór okaże się być ciebie godnym,
Przykuj do siebie żelaznymi klamry.
– *Hamlet,* Wiliam Szekspir (przekł. J. Paszkowski)

Gdy stanęły nad rzeczką, a na drugim jej brzegu przywitała je szczerbata ściana pierwszego lasu, jaki zobaczyły, Alyn niemal się popłakała. Dotarły do Imoren, nie ulegało to wątpliwości, ale jak daleko w głąb, nie były w stanie orzec. Pogranicze, jak przekonały się przed dwoma dniami na własnej skórze, było dzikie. Prawdopodobnie gdzieś w okolicy kręciły się patrole imoreńskiego wojska, więc starały się nie rzucać w oczy. Od momentu, gdy zostawiły sawannę daleko za sobą, nie widziały ani żywej duszy.

Rozorany bok Alyn piekł i dokuczał. Rana zasklepiła się jako tako, ale jej lekko spuchnięte i zaczerwienione brzegi nie zwiastowały rychłego końca katuszy. Dałaby się jeszcze raz zaprowadzić na środek pustyni, gdyby mogła w zamian dostać nieco leczniczego specyfiku Umphefumulo, beznogiego dziadka z Kaim. Jak na razie regularnie przemywała ją wodą, choć coraz częściej zastanawiała się, czy nie łatwiej i szybciej byłoby przytknąć do niej kawał rozpalonego drąga.

Ale nie. Nie była gotowa na powtórkę z przesłuchania przez Hanso. I nie wyglądało na to, żeby kiedykolwiek miała być.

Zanim weszły w las, z ciężkim sercem zdjęły uprząż szkapie i puściły ją wolno. Podebrana bandytom klacz niosła przez ostatnie dni raz jedną z nich, raz drugą, pozwalając zaznać nieco odpoczynku. Skubiąc trawę, stary koń patrzył za nimi, gdy oddalały się w gęstwinie. Ale tak było

bezpieczniej.

Przez las szły skrajem traktu. Częściej niż rzadziej zbaczały z ostrożności w jego gęstsze partie. Fel odzyskała siły, żując kawałki zdobytego na bandytach suchego mięsa. Ale już nie odzywała się tak często. W porównaniu do pierwszych dni wędrówki praktycznie milczała. Od czasu do czasu wtrącała jedynie swoją opinię o tym, która leśna przecinka wyglądała bardziej obiecująco.

Za to Alyn nie miała apetytu. Bolało ją wszystko: bok, stopy, łydki, ramiona, szyja. Nawet stłuczone dawno, wydawałoby się, temu biodro ćmiło ją nieustannie. Marzyła o prawdziwym odpoczynku. Najlepiej kilkudniowym.

Ale zamiast wytchnienia wieczorem los przyniósł...

*

– Trupy.

Fel wskazała Alyn swoje znalezisko, po czym przystanęła i odwróciła głowę w obrzydzeniu. Cofnęła się o krok, gdy powiew wiatru przyniósł odór rozkładu.

– Na Isztar – szepnęła Alyn, walcząc z mdłościami. – Czy to... Czy to wojsko?

– N-nie wiem. Alyn, chodźmy stąd.

Ciała były cztery. Zostały usadzone wokół pnia i przywiązane do niego w pasie grubym zwojem liny. Wszystkie ułożone były w tej samej pozycji – pochylony tułów, wyprostowane nogi, dłonie na udach, a w dłoniach sine odcięte głowy. Zakrwawione żółto-zielone kaftany denatów nosiły liczne ślady cięć i pchnięć. Nad ponurą inscenizacją wirował rój much.

– Wygląda jak robota jakichś szaleńców. Tak, Fel, idziemy.

Robota szaleńców, pomyślała Alyn, albo przestroga. Lata temu, gdy znalazła się wraz z Torynem na górskim pograniczu Rowan, trafiła na coś podobnego. Ale tam z dwóch ciał pozostały tylko ogryzione przez zwierzynę i rozwleczone po okolicy kości. Okoliczni kmiecie mówili potem, że to dzieło bojówek Kaartańczyków zza Łańcucha. Zasadzali się na patrole, rozcinali pochwyconym brzuchy i zostawiali umierających na pastwę leśnych drapieżników. Chcieli walczyć o zabrane pokolenie wcześniej ziemie dziadów. Ale nie mieli armii. Pozostało im tylko to.

Strach.

*

Gdy następnego dnia dotarły do pierwszej wsi, przekonały się, że trwoga rządzi ludźmi nawet na drugim końcu świata. Osada drwali wciśnięta była w róg rozległej łysej polany, którą z kolei otaczał bór wysokich drzew. Ku zaskoczeniu Alyn część chatynek była podmurowana, co zazwyczaj świadczyło o zamożności, a przede wszystkim trwałości sioła. Na trawie pasły się krowy, a w jednej czy dwóch zagrodach konie sennie skubały siano.

Mimo to na twarzach Imoreńczyków śledzących ich marsz od momentu, w którym wyszły ze ściany lasu, nie było dumy. Choć odziane w brudne dżalabije podróżniczki z pewnością były niecodziennym widokiem, spojrzenia miejscowych nie były ani ciekawskie, ani wrogie.

Bali się.

Nawet drwale, chłopy jak dęby, spoglądali po sobie niepewnie, obserwując z oddali tajemnicze kobiety. I trudno było uwierzyć w to, że chodziło o spracowaną kuszę, którą rudowłosa niosła przewieszoną przez ramię.

Oberża znajdowała się w pewnym oddaleniu od gromadki zabudowań, na skraju lasu. W porównaniu do okazalszych z wiejskich chałup wyglądała skromnie – przysadzista i cała z drewna. Stary konowiąz straszył próchnem i wystającymi sękami. Ale mimo to ze środka dobywały się gromkie, wznoszone po imoreńsku okrzyki. Ani Alyn, ani Fel nie znały języka, ale zawędrowały zbyt daleko, by dać się odpędzić od ciepłej strawy i zimnego dla odmiany napitku. Dziewczyna jeszcze raz spojrzała na Ifiko, która rozsiadła się na gałęzi pobliskiego drzewa, i weszły do środka.

Wewnątrz panował półmrok i w pierwszej chwili wydawało się, że nikt nie zauważył ich wejścia. Zaskakująco przestronna sala była w dużej mierze pusta. Ławy i stoły ze starego, powyginanego tu i ówdzie

drewna stały gołe, tylko przeciwległy kąt oczyszczono całkowicie z mebli, by zrobić miejsce na coś, co wyglądało jak zawody. Tam też gromadziła się piątka pokrzykujących i pohukujących ludzi. Oprócz nich w środku znajdował się jeszcze oberżysta, który chodził za kontuarem wte i wewte, poruszając ustami. Alyn nie była pewna, czy oddawał się niemej modlitwie, czy cedził przekleństwa, ale gdy zrozumiała naturę zabawy gości, stwierdziła, że najprawdopodobniej chodziło o to drugie.

Bo oto dwóch mężczyzn na zmianę ciskało w ścianę jego przybytku solidną siekierą, a trzeci wraz z dwiema kobietami z entuzjazmem dopingowali ich, fetując każde trafienie w wyciosany na niej cel, jak i każde pudło. Tym głośniej, im rzut okazywał się bardziej spektakularnym sukcesem lub porażką.

Trwało to chwilę, aż w końcu Alyn, która podeszła do kontuaru, udało się zwrócić na siebie uwagę oberżysty.

– Jedzenie. Je-dze-nie – powiedziała, po czym zawtórowała odpowiednim gestem dla pewności. – I wody.

– Weź wino – usłyszała zza pleców teatralny szept Fel. – W końcu to Imoren.

– Wino – rzekła Alyn i wzruszyła ramionami. – *Fion?*

– *A! Fion a komiita. Perimé!* – odburknął chudy wąsacz i odpędził ją dłonią, po czym odwrócił się i zniknął za drzwiami kuchni.

– Chyba zadziałało – powiedziała złodziejka, gdy zajęła miejsce naprzeciwko Fel. – Teraz będzie trzeba pomyśleć, jak...

– Zadziałało – przerwała jej młoda – ale nie tylko na niego. Uważaj.

Jedna z kobiet podeszła do nich, miękko stawiając kroki. Miała na sobie skórzaną kamizelkę z futrzanym kołnierzem, pod którą kryła się niespecjalnie szeroka przepaska na biust, i nic więcej. Gdy z rozpędem przysiadła się do Fel, jej długi, czarny kuc pofrunął daleko, zahaczając o twarz zaskoczonej dziewczyny. Przywiał za sobą zapach lasu.

Z ust nieznajomej w stronę obu podróżniczek wydobył się potok słów, ale Alyn nie zrozumiała ani jednego. Jej imoreński zdecydowanie nie był gotowy na tę wyprawę.

W końcu kobieta wskazała kuszę na ramieniu złodziejki, a następnie na egzemplarz, który leżał na stole bliżej jej kompanów.

– *Arbal* – powiedziała i skinęła porozumiewawczo.

– *Arbal* – powtórzyła Alyn. – Kusza. Zgoda, *arbal* to kusza.

Nieznajoma zaśmiała się i wypowiedziała kilka kolejnych niezrozumiałych zdań, aż wreszcie jej przerwano.

– To jest Liz – powiedział po zakkańsku nieuczestniczący w zawodach mężczyzna, który w międzyczasie podszedł do stołu. Spod jego czarnej kurtki bielą świeciła rozpięta pod szyją koszula. Miał założone na piersi ręce, a na lewym nadgarstku prostą bransoletę z plecionego rzemienia spiętego lichym kawałkiem metalu. – Liz jest ciekawa twojej broni...

– ...Alyn – dopowiedziała złodziejka. – To jest Fel.

– Gael – rzekła Liz i wskazała mężczyznę, po czym zaśmiała się gromko. Wtedy dopiero głowy obróciła reszta ekipy.

– Wyglądacie, jakbyście przeszły przez piekło – powiedział Gael i przysiadł się na ławie po stronie Alyn. – Co was sprowadza do Imoren?

Nim skończył wypowiadać pytanie, wokół stołu zgromadziła się pozostała trójka gości. Wszyscy patrzyli na Zakkanki z zaciekawieniem.

Alyn chrząknęła.

– Ponoć macie nie najgorsze wino.

Jeden z obserwujących ją mężczyzn, najstarszy i najszczuplejszy, z drucianymi okularami na nosie, prychnął. Stojąca obok niego blondynka trąciła go łokciem w bok.

– To jest Edwin – Gael przedstawił kompana. – Edwin, Imoreńczyk z dziada pradziada, gardzi, widzisz, tutejszym winem i ma własny pomysł na to, jak powinien smakować alkohol. To jest Jeanine, a ten duży to...

– Guido – rzekł basem najwyższy, najszerszy, ale też i najmłodszy z mężczyzn.

Ten wydawał się typem człowieka, z którego ust nigdy nie schodzi uśmiech. Gdy Alyn dojrzała przy jego pasie brudny nóż z najdłuższym ostrzem, jakie kiedykolwiek widziała, uznała jednak, że nie każdemu uśmiechowi warto ufać. Cała piątka była zresztą, jak dostrzegła dopiero teraz, uzbrojona. Nawet wyglądająca zdecydowanie najniewinniej blondwłosa Jeanine bawiła się wcale nielichym kozikiem.

– Najemnicy? – Fel wypowiedziała na głos pytanie, które krążyło w myślach Alyn.

– Szpiedzy? – odparł niewzruszony Gael.

– Tylko podróżniczki – rzekła Alyn i uniosła ręce w geście absolutnej szczerości.

– Taaak. Ta kusza... To imoreńska konstrukcja.

Złodziejka uniosła brwi w zdziwieniu. Zdjęła broń z ramienia i położyła przed sobą na stole. Obok niej ułożyła wszystkie pięć bełtów, które znalazły przy bandytach. Liz pochyliła się po drugiej stronie stołu, by się jej przyjrzeć. Po chwili spojrzała porozumiewawczo na Gaela i przytaknęła.

– Pozwolisz, że zapytam, skąd ją masz? – ton mężczyzny wciąż był przyjazny, ale jego spojrzenie już nie.

Alyn zerknęła na Fel, a następnie utkwiła wzrok w oczach Gaela.

– Wiem, o co pytasz. Pytasz o to, co się dzieje w tych lasach, prawda? O bezgłowe trupy przywiązane do drzew. To nie nasza rzecz. Tę kuszę znalazłyśmy daleko na północ stąd. Na sawannie. Należy do nas. No, chyba że ktoś z was ma na nią kwitek.

Gael odwrócił głowę w stronę Edwina i wraz z Liz zamienili kilka krótkich zdań po imoreńsku. Ku uldze Alyn zagłuszyli tym samym długie burczenie, które rozległo się z głębi jej trzewi. Zza zamkniętych drzwi kuchni dotarły pierwsze zapachy pieczystego. Przez myśl przeszło złodziejce pytanie, czy oberżysta przyjąłby zapłatę w owej kuszy.

– To jest własność imoreńskich sił zbrojnych – powiedział wreszcie Gael i wskazał na leżącą na stole broń. – I jestem pewien, że wojsko raczy wystosować jakąś nagrodę za nią. Zdecydowanie więcej zapłacą jednak za informacje o zaginionym przed miesiącem patrolu przy granicy. Jesteś pewna tego, że ci, o których wspomniałaś, byli Imoreńczykami?

W ciszy, która nastała, wydawało się, że cała sala z najwyższą uwagą wyczekuje jej odpowiedzi. Alyn

jeszcze raz przywołała obraz zakrwawionych, pociętych żółto-zielonych kaftanów, które otulały sine, śmierdzące ciała żołnierzy.

– Tak – powiedziała.

– Potrafiłybyście trafić tam jeszcze raz?

– Obawiam się, że jest nam to bardzo nie po drodze.

– Obawiam się, że jestem zmuszony nalegać.

– Może w tej chwili na to nie wygląda – wtrąciła się Fel, skupiając na sobie uwagę reszty – ale nie jesteśmy na wycieczce krajoznawczej. Ucieka nam czas i musimy jak najszybciej dostać się na południe...

– ...Możemy wam powiedzieć, jak znaleźć te rejony – weszła w słowo młodej Alyn. – Ale nie wrócimy tam z wami. To jest dzień drogi. Dzień, którego nie mamy.

Gael wyprostował tułów i oparł się ręką o krzesło. Zmarszczył brwi.

– Wiecie, jak rzecze Korona, przebywając na tych terenach, mamy pełne uprawnienia wojsk przygranicznych. Możemy was wylegitymować, a potem zakuć w kajdany i popędzając batogiem, zagonić do pracy na roli ku uciesze i dobrobycie okolicznych mieszkańców. Dobrych Imoreńczyków zresztą.

– Zrób to! – zawołał Edwin.

– Jasne, jak tylko Bon-Bon wróci – bąknęła Jeanine, a reszta zarżała ze śmiechu.

– ...Ale wolałbym – podjął Gael głośniej – żebyśmy sobie nawzajem pomogli. Zmierzacie na południe, tak? A wiecie w ogóle, gdzie jesteście? Co was czeka na tym waszym południu?

*

Fel złapała się na tym, że patrzy na Gaela od dłuższego czasu. Nie mogła odwrócić od niego wzroku. Miał doskonałe połączenie arystokratycznych, południowych rysów z niedługim, włóczęgowskim zarostem, który okalał jego brodę i zahaczał swą twardą, czarną szczecinką o szyję. A na domiar wszystkiego od czasu do czasu na jego ustach pojawiał się łobuzerski uśmiech. Któregoś razu popędziła za podobnym grymasem, którym stale i uparcie raczył ją Farid ze slumsów. Zniknęła wówczas z domu na kilka pamiętnych dni na drugim końcu miasta.

Otrząsnęła się w momencie, gdy okazało się, że cała sala czeka na jej odpowiedź. Spojrzała na Alyn, ale w tym momencie Liz, która zapewne zrozumiała większość z dyskusji, westchnęła głośno, po czym z rozmachem wbiła nóż w blat, a następnie zaczęła wydrapywać wydłużony kształt.

– Liz... – zaczął Gael, ale przerwał mu łomot drzwi wejściowych, uderzających z rozmachem o framugę.

Fel podniosła głowę i podążyła wzrokiem za spojrzeniami pozostałych.

Do oberży wkroczyła wysoka kobieta.

– Kurwa mać! – huknęła po imoreńsku z taką werwą, że wydawało się, że spod powały posypał się strumyk drzazg i kurzu.

Liz natychmiast podniosła się, Gael również wstał, choć z pewnym ociąganiem.

– To wojsko czy gimnazjum?! – ryknęła ponownie nieznajoma, podchodząc do stołu. – Gdzie warta?! Co to, kurwa, w ogóle jest?!

– Vaala... – zaczął Gael pojednawczym tonem.

– Wojna jest, Gael! I wy, reszta!

Kobieta powiodła wzrokiem po wszystkich, chwilę dłużej zatrzymując go na Alyn i Fel. Miała przenikliwe niebieskie oczy, a na niewygolonej połowie głowy długie, jasne, poskręcane w warkocze włosy. Przy jej pasie wisiała wojskowa szabla, która przy dwóch potężnych pniakach ud wyglądała jak licha wykałaczka.

Fel skoncentrowała się na jej ustach. Imoreńskiego uczył ją w domu guwerner z uniwersytetu. Przynajmniej do momentu, w którym uznała, że akademia wepchnęła mu kij tak głęboko w dupę, że jego końcówka zmieliła mu mózg. Wtedy też stwierdziła, że pieprzy taką edukację. Ale coś tam zapamiętała.

– Jest wojna – powtórzyła Vaala, tym razem łagodniej. – Od przedwczoraj. Charty Abla już tu pędzą, żeby przeprowadzić wojska północnym tunelem na wschodnią flankę Esterhazego. Od morza. Do wieczora wieś będzie albo w rękach Taidańczyków, albo w gruzach. Nikt nie wie, jakie mają rozkazy, wywiad zawiódł na całej, kurwa, linii.

– O w dupę – szepnął Edwin.

– I co teraz? – zapytała Jeanine.

– Co teraz? – Vaala spojrzała na blondynkę jak na plwocinę, którą za chwilę miała rozetrzeć podeszwą. – Teraz, najemni żołnierze, będziecie żołnierzyć. Zasadzicie się w okolicy i przygotujecie obronę. Dobra wieść jest taka, że Castanet jeszcze dziś otrzyma wieści o ataku Taidan i uruchomi rezerwy z przygranicznych prowincji. Ale sami wiedzieliście, że to musi kiedyś nastąpić. No i nastąpiło.

– Vaala – powiedział Gael – nie nazywaj nas żołnierzami. Już cię kiedyś o to prosiłem. Jesteśmy przedsiębiorcami. Ja, Liz, Guido, Edwin, Jeanine i ty. I ty, Vaala. Jeżeli jest wojna, to fatalnie, moje myśli są z jej niewinnymi ofiarami. Ale to nie nasza wojna.

Kobieta zacisnęła pięści, aż zatrzeszczały jej skórzane rękawiczki, i stanęła tuż przed Gaelem. Przewyższała go o pół głowy. Wyglądała tak, jakby miała zamiar za chwilę zmiażdżyć jego czaszkę w dłoniach.

– Nazwaliście się Valanga – wysyczała mu prosto w twarz, odganiając gorącym oddechem kilka niesfornych włosów z jego czoła – więc macie jakąś tam namiastkę lojalności. Honoru. Wszyscy pochodzicie z tej ziemi. Niech mnie Dalia pokara, ale jeśli nie zamierzacie nawet stanąć do walki, nie pokazujcie mi się nigdy więcej na oczy.

– Tak, Vaala, pochodzimy. I oddaliśmy tej ziemi wiele, i nie zyskaliśmy nic, kurwa, w zamian. Życie zawdzięczamy tobie i za tobą pójdziemy w ogień, każdy jak tu stoimy. Ale Korona lepiej niech wyciągnie w naszą stronę mieszek. I byleby był pękaty. Na nic innego się nie pisaliśmy.

– Nie do wiary – powiedziała Vaala cicho, a w hardym do tej pory spojrzeniu Gaela pojawił się cień poczucia winy. – Ile?

Mężczyzna przełknął ślinę.

– Dwa razy więcej.

Kobieta powiodła powoli wzrokiem po najemnikach, a następnie powiedziała coś pogardliwym tonem w nieznanym Fel języku i splunęła pod nogi.

– Dostaniecie swoje dwa razy – powiedziała wreszcie. – Ale kiedyś skończycie na palach, Gael. Każdy jak tu stoicie.

– I tak, i tak zginiemy, Vaala. Wiesz, jak jest.

W ciszy, która zapadła, słychać było jedynie przyspieszone oddechy najemników.

Wojna, pomyślała Fel i poczuła, jak z piersi po całym jej ciele rozpełza się nieprzyjemne, parzące ciepło. „Żyj w pokoju", powtarzał jej zawsze Madżid, gdy żegnali się po ćwiczeniach. Wpijał w nią wtedy niewidzące spojrzenie swego ślepego oka. „Przestrogi przed złym czasem", jak je nazywał.

– Ludność nie ma dokąd uciekać – powiedziała Vaala łagodniej. – Wątpię, żeby Abel chciał pacyfikować tutejsze wsie, Taidan będzie potrzebował wykwalifikowanych pracowników na tych ziemiach. Wezmą ich na miecze dopiero wtedy, gdy będą sprawiać problemy lub sytuacja na froncie będzie się przeciągać. Macie trochę czasu. Dojdźcie ze sobą do porozumienia. Wyhodujcie jaja. – Kobieta odwróciła się i podeszła do drzwi wejściowych, po czym przystanęła i dodała: – W przeciwnym razie będziecie się nienawidzić przez resztę życia.

– Vaala... dokąd...? – głęboki, pełen troski bas wydobył się z krtani Guido.

– Są jeszcze inne wsie – odrzekła Vaala i wyszła.

Moment później na zewnątrz rozległ się tętent galopu, który natychmiast ucichł w oddali.

*

Alyn czuła, że za chwilę, już za moment, ogarnie ją amok. Nie zrozumiała niemal nic z dyskusji Gaela z kobietą, a sytuacji nie poprawiała nęcąca woń pieczeni, która sprawiała, że jej żołądek zwijał się w waltornię. I mniej więcej tak właśnie brzmiał.

Gdy najemnicy odeszli od stołu, natychmiast wstała, ale kiedy tylko zrobiła krok w stronę kontuaru, poczuła, jak Fel szarpie ją za nadgarstek i ciągnie z powrotem w dół.

– Musimy z nimi iść – powiedziała Fel. Wyglądała na przestraszoną. – Cokolwiek się stanie.

– Co? Dlaczego? Rozumiesz imoreński? Kim była ta kobieta? Fel?

Dziewczyna uciszyła ją gestem i wskazała w stronę kontuaru, do którego podszedł Gael. Zamienił kilka słów z oberżystą i uścisnął mu dłoń, po czym właściciel wyraźnie przejęty wybiegł na zewnątrz. Z ich rozmowy Alyn zrozumiała tylko jedno słowo: *geneia*. Rodzina.

– Proszę, Alyn, chodźmy z nimi.

Do oczu Fel napłynęły łzy. Złodziejka nie widziała jej w takim stanie nawet podczas morderczej przeprawy przez pustynię.

– Najpierw powiedz mi wszystko.

– Dobrze. Ta kobieta... Vaala. To... ech... jakby ich przełożona.

– Ich?

– No, najemników. Jest łącznikiem Korony z wojskami zaciężnymi. Imoren ma po prostu takich ludzi. – Fel westchnęła. – Nie wierzę, że akurat to zapamiętałam ze szkoły. To jest takie... wolne wojsko zawodowe. Ale nieważne. Chodzi o to, że Taidan... Że pomiędzy Imoren i Taidanem od dawna trwał konflikt o wschodnie tereny nadmorskie. I że chyba właśnie ten konflikt zamienił się w wojnę.

– Powoli, Fel. Północne tereny nadmorskie?

– Tutaj. Tu, gdzie jesteśmy. Będą tu jeszcze dzisiaj, rozumiesz?!

– I dowiedziałaś się tego wszystkiego z ich rozmowy?

– Tak. Dlatego musimy stąd uciekać, Alyn. Alyn?

– Posłuchaj mnie. Nie znamy tych ludzi. Wiemy o nich tyle, że noszą przy sobie broń i zabijają za pieniądze. Znałam kilku takich i nie widzi mi się poznawać kolejnych.

– Ale...

– Nie becz. Dotarłyśmy tak daleko, to i teraz damy sobie radę. Pójdziemy lasem, we dwie. Przedostaniemy się na południe, choćby nie wiem co. Ta... wojna, czy cokolwiek to jest, nas nie dotyczy, rozumiesz?

Uwagę Alyn zwróciło poruszenie na środku sali. Najemnicy pozbierali swoje rzeczy i zgromadzili się przy wyjściu. Do stołu, przy którym siedziały, podszedł Gael.

– Idziemy stąd – powiedział po zakkańsku. – Tej wsi nie obronimy. Możecie się zabrać z nami. To nasza jedyna oferta.

Złodziejka powiodła wzrokiem po jego kompanii. Jedynie Liz spoglądała w stronę podróżniczek z zaciekawieniem.

– Dzięki – odpowiedziała Alyn – ale nie skorzystamy. Powodzenia.

Z piersi Fel wydobył się cichy ni to jęk, ni to szloch, ale natychmiast umilkł. Mężczyzna jeszcze przez moment w milczeniu patrzył na cudzoziemki, po czym odwrócił się i marszem wyprowadził Valangę na zewnątrz.

– Na Isztar, Fel – powiedziała Alyn po długiej chwili, w czasie której słychać było jedynie oddalające się kroki najemników. – Jesteś wolnym człowiekiem. Szczylem jeszcze, ale wolnym. Wiem, że chcesz i jak bardzo chcesz iść własną drogą. Ale Kai prosiła nas, żebyśmy się tobą zaopiekowali, więc przez wzgląd na nią zaufaj mi, że to zły pomysł. Możesz to dla mnie zrobić?

Dziewczyna prychnęła, ale przytaknęła.

– Dobrze. A teraz zjedzmy wreszcie, co przygotował kucharz, póki ciepłe.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Milczały, słuchając szeptów lasu. Chude drzewa wokół nich kołysały się lekko w rytm słabych powiewów wiatru, rzadkie korony o drobnych listkach nie wydawały z siebie żadnego dźwięku. Szeleściły za to szerokie liście rozłożystych krzewów, które wydawały się wypełniać każdą wolną przestrzeń pomiędzy pniami. Alyn i Fel powoli brodziły wśród nich po ciemku, ale alternatywą był patrolowany przez taidańskie wojska trakt.

Szły, a myśli Alyn zaprzątało nieodparte wrażenie, że na własną prośbę pakują się pod koła rozpędzonej machiny wojennej. Nie miała ochoty na jakiekolwiek towarzystwo poza Fel, ale warto było przynajmniej przemyśleć ofertę najemników. Noc nie potrwa wiecznie i rano staną się łatwiejsze do wypatrzenia. A Zakaremu na nic się zdadzą w niewoli. Albo martwe.

Fel, wydawało się, dzielnie zniosła decyzję o wyruszeniu we dwie. Dorośle. Inna rzecz, że na pewno pomogło w tym wspólne zaspokojenie głodu pieczenią z kluskami owiniętą zielonymi liśćmi, których wygląd nic co prawda Alyn nie mówił, ale które doskonale uzupełniały danie swym kwaśnym posmakiem. Pierwszy ciepły posiłek, który zjadły od momentu opuszczenia Vihar Arapi, zdecydowanie zbliżył je i – przynajmniej na jakiś czas – dał poczucie względnego spokoju. Bezpieczeństwa.

A potem, niedługo przed tym, jak ku trwodze mieszkańców we wsi rozległy się pierwsze okrzyki taidańskich oficerów, zanurzyły się w gęstwinę lasu i skierowały na południe. Szły długo, pokonując po drodze kilka pagórków i ocierając sobie boleśnie kostki i dłonie o ukryte w miękkim puchu kolczaste łodygi wyjątkowo zdradliwych krzewów. Kilkakrotnie przystawały na dłużej, by napić się zaczerpniętej do manierki wody i słuchać. Ciszę mąciła jedynie swym skrzekiem Ifiko – to rozglądając się niespokojnie na ramieniu Fel, to krążąc wysoko nad koronami drzew. Od czasu do czasu przysiadała na gałęziach.

Podczas czwartego postoju usłyszały kroki.

Było ich dwóch. Szli w stronę drzewa, za którego pniem się schowały. Szeptali coś po taidańsku, pod ich nogami szeleściły liście. Alyn wyjrzała i wytężyła wzrok, ale sylwetki nieznajomych doskonale wtapiały się w czerń nocy.

– Myślisz, że wiedzą, że tu jesteśmy? – zapytała Fel szeptem lżejszym od chłodzącego okolicę nocnego wiaterku.

– Wątpię – odpowiedziała Alyn i bardzo powoli wyciągnęła nogi do przodu, zagłębiając się bardziej w listowie. – Ale może myślą, że usłyszeli jakieś zwierzę. Chodź.

W momencie gdy Fel zaczęła zsuwać się ku zielonej płachcie, szelest nieznajomych urwał się. Przystanęli, nasłuchując. Fel zatrzymała się w pół ruchu. Jęknęła cicho, podpierając się na zgiętych ramionach. Za

chwilę zaczną jej drżeć. Alyn wyciągnęła powoli ręce, by pomóc jej delikatnie opaść na ziemię. Moment później mężczyźni na powrót ruszyli. Prosto w kierunku drzewa.

– Możemy ich zaskoczyć – powiedziała niemal niemo Fel. – Mamy przewagę.

Alyn pokręciła głową i gestem rozkazała młodej zamilknąć. Z dnia na dzień miała coraz silniejsze wrażenie, że gdzieś za całą swoją sympatycznie dziarską fasadą Fel ma nierówno pod sufitem.

Dwa wysokie cienie wyłoniły się zza pnia tuż po tym, jak obie zamarły w bezruchu, leżąc plackiem w morzu szerokich i grubych łodyg. Żołnierze szli powoli. Nie zatrzymali się. Alyn nie była w stanie dostrzec, czy rozglądają się po ziemi, czy próbują wypatrzeć cokolwiek w oddali. Połówka tarczy księżyca, choć w pełni widoczna na niebie, z trudem penetrowała swymi promieniami korony drzew.

Mężczyźni obeszli pień i zmienili kierunek tuż za plecami Zakkanek. Jeden z nich potknął się, nastąpiwszy na podeszwę buta Alyn, i wycedził taidańskie przekleństwo. Złodziejka wstrzymała oddech. Zacisnęła z całej siły dłoń na gimlecie Fel. Gdyby zaatakowała, nie zdążyłby zareagować. Nie wiadomo tylko, co z drugim.

Żołnierz jednak splunął tylko w liście, wytarł podeszwę o trawę i podjął marsz.

Przez kilka następnych chwil obie słuchały, jak szelest oddala się powoli za ich plecami. Gdy ucichł, Fel podczołgała się bliżej.

– Jeszcze mamy szansę, Alyn – powiedziała z szeroko otwartymi oczami. – Jakbyśmy zabrały im ubrania...

– To tak nie działa, Fel – syknęła złodziejka ostrzej, niż miała zamiar. – Zapewniam cię, że jeżeli nawet udałoby nam się ich ogłuszyć, zanim byśmy ich poukładały i rozebrały, zdążyliby się kilka razy obudzić. A nawet jeżeli nie, to weź pod uwagę ich rozmiar. Nie mówiąc o smrodzie. Wiesz, jak długo się nosi takie rzeczy na wojnie?

– Brzmisz... Brzmisz, jakbyś wiedziała, o czym mówisz.

Alyn wydawało się, że usłyszała w tonie Fel nutę podziwu. Ale tak właśnie było. Wiedziała, o czym mówi. Pierwszego roku po przybyciu do Saahii Toryn o mało nie zabił portowego strażnika, tłukąc go po głowie kamieniem, by pozbawić go przytomności, aż w końcu biedak, cały zakrwawiony, zemdlał z bólu. Po czymś takim żadnemu z rodzeństwa nie chciało się kontynuować skoku. Zdaje się, że Toryn zostawił mu nawet kilka dni później zawiniątko z jakimiś drobnymi na lekarza. Więcej czegoś takiego nie próbowali.

Chyba że była taka potrzeba. Alyn westchnęła, gdy przed oczami stanęła jej śpiąca siostrzenica Hanso w jego willi.

– Fel – szepnęła złodziejka. – Zrobimy to po mojemu. Ominiemy Taidańczyków i dostaniemy się nad morze. Jeżeli będzie trzeba, cofniemy się na północ, byle znaleźć jakąś łódź. Nawet najmniejszą. Zostawimy front na lądzie, a ja już poprowadzę nas wtedy na południe. Musimy tylko być ostrożne jeszcze dziś i może jutro. Najwyżej przez dwa dni. Zgoda?

Dziewczyna pokiwała niemrawo głową.

– Zgoda, Fel?

– Zgoda.

*

Alyn utrzymywała, że sprzyja im szczęście, skoro nie zostały zauważone przez patrol Taidańczyków. Być może był to jej sposób na radzenie sobie ze strachem. Fel potrafiła to docenić, bo bała się jak nigdy, całą sobą. Ale wiedziała też, że jeżeli dzieciństwo na ulicach Saahii czegokolwiek ją nauczyło, to tego, że szczęście nigdy nikomu nie sprzyjało. Co najwyżej przydarzało się, a i to zwykle wiązało się z biedą kogoś innego. Gdyby szczęście miało nogi, biegałoby z gołą dupą, wystawiając ją w kierunku każdego, kto chwilowo go zaznał. Takie było prawdziwe szczęście.

I przekonały się o tym nad ranem.

Nie miały pojęcia, jak to się stało. W jednej chwili przedzierały się przez gęstwinę, próbując prześcignąć rysujący się na horyzoncie świt, w następnej znalazły się o linię krzewów od wybiegnięcia na polanę, której niemal całą powierzchnię zajmowały wojskowe namioty. Obóz miał kształt podkowy i otaczał leśny spłachetek, w którym się kryły, szerokim łukiem.

To nie hałas powstrzymał je przed zbyt pośpiesznym opuszczeniem bezpiecznej gęstwiny – obóz jeszcze spał. To był smród.

Smród pozostawiany przez tych, którym nie chciało się drałować do żołnierskiej latryny. Mdły i lepki. Gdy tylko go poczuła, Fel zebrało się na wymioty. Ale kiedy moment później Alyn zarządziła szybki odwrót, dziewczyna powstrzymała ją. Wypatrzyła coś między drzewami. Ignorując ponaglenia towarzyszki, Fel wstrzymała oddech i ostrożnie podeszła na skraj zieleni. Jej uwagę zwrócił spory fragment polany, na którym nie było namiotów. Miał kształt prostokąta i ogrodzony był rachitycznym płotkiem z drewnianych palików i drutu. W jego środku, na wilgotnej od rosy ziemi, w grupkach leżeli ludzie. Kobiety, dzieci i starcy w codziennych wiejskich ubraniach. Były ich dziesiątki – spali, siedzieli, modlili się, klęcząc. Wokół zagrody w równych odstępach stało kilku uzbrojonych żołnierzy. Trzech od strony obozu i dwóch od strony lasu. Wyglądali na znudzonych i zaspanych.

– Dlaczego oni nie uciekają? – pomyślała na głos Fel i zacisnęła pięści.

Spojrzała w górę. Cień Ifiko bezszelestnie krążył wysoko nad obozem niczym skrzydlaty stróż.

– Nie nasza rzecz – odrzekła Alyn. – Jeśli tu zostaniemy, dołączymy do nich.

Fel podziwiała rudą złodziejkę. Po takim czasie, jaki z nią spędziła, potrafiła to przyznać przed sobą otwarcie. Chciała być jak ona. Ale nie w takich momentach. Nie wtedy, gdy jej odległy, mętny cel, o którym nie chciała rozmawiać w szczegółach, przesłaniał jej rzeczywistość. Bo to przez to, że nie poszły za Gaelem i najemnikami, znalazły się w tej sytuacji. Z winy Alyn.

A może... Może właśnie dzięki Alyn.

– To są Imoreńczycy, prawda? – zapytała Fel, nie odwracając się. – Ludzie z okolicznych wsi.

– Fel, nie mamy na to czasu.

Fel poczuła uderzenie gniewu i w ostatniej chwili ugryzła się w język. Miała ochotę przywołać poparzoną rękę Alyn. Nie spytała jej dotąd o nią, ale dobrze wiedziała, że nie był to wypadek. Złodziejka była torturowana. Wiedziała, co to cierpienie. A teraz, w obliczu nieszczęścia tylu ludzi, jej obojętność była bolesna. Krzywdząca. Nikt nie zasłużył na to, by trzymać go w zamknięciu pod gołym niebem.

Gdy podążyła wzrokiem dalej w głąb obozu, Fel zauważyła jeszcze jedno ogrodzenie. Mniejsze, ale chronione przez taką samą liczbę żołnierzy. W środku znajdowali się mężczyźni. Byli skuci łańcuchem. Dziewczyna zwróciła uwagę na poruszenie w tamtej okolicy – dwóch żołnierzy prowadziło brodatego starca w łachmanach ku placyku w centrum polany. Tam czekał na niego wysoki mężczyzna. Miał czarne włosy do ramion i niesłychanie bladą twarz. W momencie gdy zbrojni rzucili więźnia na klęczki przed dowódcą, Fel poczuła szarpnięcie. Alyn odwróciła jej głowę w swoją stronę.

– Na Isztar, co ty robisz? – zapytała złodziejka.

– Nic. Myślę tylko... Powinnyśmy im pomóc. Musi być jakiś sposób. To są zwykli cywile.

Fel złowiła spojrzenie Alyn. Czujne. Jakby nie była pewna tego, co usłyszała. Dopiero po pewnej chwili oprzytomniała i pociągnęła Fel za ramię.

– Zastanowimy się nad tym, jak wydostaniemy się z tej pułapki – powiedziała, po czym ostrożnie ruszyła w kierunku, z którego przyszły. – Obiecuję.

Fel niechętnie podążyła jej śladem. Wyglądało na to, że nikt ich dotychczas nie zauważył, i prawie zdążyły wycofać się z leśnego półwyspu, gdy wszystko trafił szlag.

Spostrzegły go jednocześnie, gdy obeszły z obu stron pień jednego z najszerszych drzew w okolicy. Na widok nieznajomych kucający żołnierz zachłysnął się powietrzem, zamachał rękami i siadł gołą dupą między korzenie. Był młodym chłopakiem, nie mógł mieć więcej niż osiemnaście lat.

Fel zareagowała pierwsza, ale i tak zbyt wolno. Nim zdławił go kopniak dziewczyny, żołnierz zdążył w przestrachu wydać z siebie urwany okrzyk.

– Daj mi sztylet! – syknęła do Alyn. – Daj, bo zaraz znowu zaśpiewa.

– Czyś ty zwariowała? Zabieramy się stąd. Teraz!

Ostatnie słowo wybrzmiało tonem rozkazu, jakiego się nie podważa. Ale to nie Alyn go wydała, pomyślała Fel, to jej brat przemawiał przez nią.

*

Przez chwilę wyglądało na to, że Fel się opamiętała. Jak na dany znak obie odwróciły się plecami do młokosa siedzącego z portkami przy kostkach i puściły pędem przed siebie. Alyn prowadziła. Sadziła długie susy przez kołdrę zieleni. Nawet nie próbowała udawać, że stara się pozostać niezauważoną. W tej chwili obie potrzebowały oddalić się od obozu tak daleko, jak to było możliwe. Ich szalony bieg poprzez poranny półmrok obwieszczały szelest i trzask łamanych gałązek. Za nimi ciągnęły się dwa korytarze porwanych i zdeptanych liści.

Gdy w oddali z tyłu rozległ się przeciągły gwizd, Alyn przyspieszyła jeszcze bardziej. Aż do utraty tchu. Zatrzymała się dopiero wtedy, gdy poczuła, jak kolczaste płuca próbują przebić jej pierś i wydostać się na zewnątrz. Sapiąc, schowała się za drzewo, oparła o pień i wyjrzała za siebie, ale nie zauważyła nic ponad ledwo oświetloną brzaskiem gęstwinę. Nadstawiła ucha, ale jej oddech i łomotanie serca zagłuszały wszystkie dźwięki otoczenia.

Wtedy zdała sobie sprawę z tego, że nigdzie nie ma Fel.

– O chuj – szepnęła i otarła z czoła pot.

Zrobiła kilka głębokich wdechów. Smarkula musiała skręcić i wrócić do obozu, pomyślała.

Miała wielką ochotę zostawić Fel na pastwę losu, który sobie sama zgotowała, ale Kai nie wybaczyłaby jej tego. Poza tym to dzięki młodej przeżyła wyprawę przez Pustynię Nomadów. Była jej winna przynajmniej tyle.

– Chuj, chuj, chuj – rzekła i ostrożnie zaczęła wracać po własnych śladach.

*

Była tam. Tuż przy ogrodzeniu, w cieniu jedynego drzewa w okolicy. Kucała o kilkanaście kroków od pogrążonych w ożywionej dyskusji strażników.

Alyn łyknęła chłodnej wody nabranej w studni za oberżą, oparła się o pień i przetarła zaparowane szkła. Wytężyła wzrok.

Fel rozmawiała z kimś. Z dzieckiem. Nie, z jego matką. Inne więźniarki zdawały się nie wiedzieć o tym albo po prostu nie dawały niczego po sobie poznać. Dalej, po drugiej stronie prowizorycznego aresztu, widać było wyraźne poruszenie wśród Taidańczyków. Z głębi polany co raz echem wybrzmiewały okrzyki oficerów. Było jasne, że nie ma najmniejszej szansy na oswobodzenie kogokolwiek. Aby tego dokonać, trzeba by było chyba dywersji o skali szalejącego pożaru na pół obozu. Dziewczyna była wariatką.

Ale nie znaczyło to, że zasłużyła na zakucie w kajdany i sąd polowy. Z pewnością uznano by ją za szpiega. Co gorsza, Alyn rozumiała ją doskonale. Różnica między nimi polegała na tym, że gdzieś po drodze od śmierci rodziców w Rowan do kradzieży kosztowności możnych Zakkanu zdążyła się na takie widoki znieczulić.

Jeszcze raz przyjrzała się dwóm strażnikom. Właśnie skończyli rozmowę i jeden ruszył w stronę lasu. Drugi za chwilę się obejrzy. A wtedy zobaczy Fel pomagającą chudemu chłopcu przecisnąć się między drutami. Potem zawoła pozostałych.

Złodziejka schyliła się, gorączkowo rozglądając się po ziemi za czymkolwiek, co mogłoby odwrócić uwagę strażnika. Liście i ziemia. Żadnych kamieni, żadnych gałęzi, kasztanów, żołędzi. W końcu jej dłoń odsunęła zwisającą luźno na plecach kuszę i przesunęła się po przytroczonej do pasa manierce.

Nie.

Sięgnęła ku wewnętrznej kieszeni dżalabii i chwyciła ciepły metal gimletu.

Też nie.

Wtedy strażnik odwrócił się w stronę Fel, a Alyn zrobiła jedyną rzecz, której mimo wielu prób nigdy do tej pory nie udało się jej zrobić. Zagwizdała na palcach.

Nie był to bynajmniej czysty, przeszywający dźwięk, jaki Toryn potrafił wydobyć z siebie w ten sposób na zawołanie. Nuta, która wybrzmiała, gdy Alyn dmuchnęła z całej siły, zraszając najbliższą okolicę pióropuszem śliny, była nierówna i fałszywa.

Ale wybrzmiała. I spełniła swoje zadanie.

Żołnierz natychmiast spojrzał w jej stronę. Fel również. Zapewne podobnie uczyniła połowa obsady taidańskiego obozu.

Alyn schyliła się i wycofała w las. Próbując nie stracić z oczu Fel i chłopca, którzy jednocześnie ruszyli

wzdłuż ogrodzenia w stronę drzew, zatoczyła łuk, by spotkać się z nimi przy granicy leśnego półwyspu. Tam, gdzie przed dosłownie kilkoma chwilami natknęły się na załatwiającego swoje potrzeby młokosa.

Nie patrzyła na obóz, ale nie było jak uciec od odgłosów, które rozległy się, kiedy strażnik zorientował się, co się stało, i okrzykami zaalarmował kompanów. Nagle w okolicy zawrzało jak w ulu, a rój za chwilę miał się rzucić na Fel i biegnący obok niej chudy cień chłopca, którego udało się jej wyciągnąć przez ogrodzenie. Ale wciąż miały szansę. Choć były zmachane po wcześniejszym sprincie, las dawał im szansę na ucieczkę i zmylenie pościgu. Byleby tylko trzymały się razem.

Wtem ze ściany zieleni, wzdłuż której biegła Fel, wyskoczyła prawdziwa ludzka góra, która z niesłychaną szybkością, jednym susem, dopadła do dziewczyny i powaliła ją na ziemię. Chłopiec odwrócił głowę za swoją wybawicielką, ale nie zatrzymał się.

– Puszczaj! – wrzasnęła Fel, czym skupiła na sobie uwagę większości zdezorientowanych jeszcze żołnierzy. – Zostawże mnie!

Alyn wychyliła się zza pnia i machnęła ręką do chłopca, który natychmiast skręcił w jej stronę.

– Daj mi rękę! Szybko! – krzyknęła.

Była pewna, że dzieciak ni w ząb nie rozumie zakkańskiego, ale jej gest mówił sam za siebie. Wyczekała, aż przekroczy linię drzew, po czym złapała go za nadgarstek i ruszyła pędem w głąb lasu.

Za nimi podążył ten, który złapał Fel. Wielkolud zdążył oddać zdobycz w ręce dwóch kolejnych żołnierzy i z kocią zwinnością ruszyć za Alyn i uciekinierem w las.

Alyn dojrzała go tylko kątem oka – rozmazaną ciemną plamę, która goniła ich ze straszliwą nieustępliwością, jakby chciała ich wciągnąć w swą nieprzebraną czerń. Kiedyś, dawno temu, też uciekała przed bestią przez las. Wtedy u jej boku był Toryn, a na pomoc przyszła im Kai. Tym razem nie mogła liczyć na nikogo.

Zabiegli może o połowę dalej niż wtedy, gdy pędziła na złamanie karku z Fel. Równy, nieustanny szelest za plecami ani myślał milknąć. Przeciwnie, zbliżał się. Jak łowczy, który już za moment dopadnie ranną zwierzynę. Pełen tego rodzaju energii, który czuje się przed upuszczeniem ofierze krwi.

Czując, że nie dobiegnie dalej niż do następnego drzewa, Alyn puściła dłoń chłopca, który natychmiast stracił równowagę i wyrżnął z rozpędu w grunt. Sama wykonała kilka chwiejnych kroków i chwyciła się pnia, który wyrósł przed nią, a następnie zawinęła się siłą bezwładności na jego drugą stronę. Drżącymi rękoma ściągnęła z ramienia kuszę, po czym wsunęła but w strzemię i zaparła się. Z całej siły pociągnęła za cięciwę. Pociemniało jej przed oczami i niemal straciła równowagę. Oparła się ciężko plecami o pień i najostrożniej jak mogła, obolałymi palcami nałożyła bełt.

Szum ucichł, pościg zatrzymał się. Mężczyzna stał o kilka kroków od niej po drugiej stronie drzewa, ze świstem wciągał hausty powietrza. Chłopiec, którego Alyn pozostawiła na jego pastwę, nie wydał dotąd żadnego dźwięku i złodziejka była mu za to po stokroć wdzięczna. Zdawała sobie sprawę z tego, że bał się jak nigdy dotąd. Że ten dzień będzie mu się śnił jeszcze latami.

Ale tak to się musiało rozegrać. Nie było innego wyjścia.

Gdy usłyszała, jak mężczyzna warczy coś do chłopca po taidańsku – faktycznie, zupełnie jak chart – Alyn przełknęła ślinę, wstrzymała oddech i zrobiła krok, wystawiając tułów poza obręb pnia. Gdy oparła kolbę o ramię, spostrzegła, iż ręce trzęsą się jej tak mocno, że za nic nie będzie w stanie dokładnie wycelować. A

miała tylko mgnienie oka na to, by strzelić do żołnierza lub zastraszyć go, nim ten zorientuje się, co się dzieje. Nie wiadomo, jak daleko w tyle była reszta pościgu.

Echo okrzyków penetrujące las podpowiadało, że niedaleko.

– Hej! – krzyknęła, mierząc do mężczyzny.

Chciała mu się przyjrzeć. Chciała zobaczyć, co to za potężne ludzkie zwierzę wyhodował lud odległego, egzotycznego Taidanu. Kim był człowiek, który mimo ogromnego wzrostu poruszał się zwinnie i nieustępliwie jak kot.

Ale wtedy z urwanym trzaskiem zwolniła się cięciwa jej kuszy, a bełt z sykiem przeciął powietrze.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Gdy patrzyła na poruszające się wąskie usta czarnowłosego mężczyzny, Fel była skłonna uznać, że język taidański może być najdźwięczniejszy spośród tych, z którymi się do tej pory zetknęła. Pełno w nim było melodyjnych zmian intonacji i wydłużanych sylab. Samogłoski harmonijnie wymieniały się z delikatnymi, bezdźwięcznymi „t", „k" i „p", które co chwilę zaskakiwały ją pojawianiem się dwu-, trzy-, a nawet czterokrotnie w jednym wyrazie. Nawet surowy ton, którym napastował ją żołnierz, nie był w stanie wytrącić dziewczyny z zazdrości o to, jak na co dzień porozumiewali się ze sobą Taidańczycy.

Słuchała więc, odpowiadając co najwyżej wzruszeniami ramion i wypowiadanymi z głupim uśmiechem ulicznymi zakkańskimi odzywkami. Pytania zadawane po imoreńsku na wszelki wypadek ignorowała w podobny sposób, choć te rozumiała bardzo dobrze.

Kto jest twoim dowódcą? Gdzie stacjonujesz? Jakie było twoje zadanie? Skąd wiesz o tym obozie?

I tak dalej.

Nawet nie spytał, jak się nazywam, pomyślała po którejś rundzie pytań – z boleśnie wykręconymi dłońmi i obolałymi policzkami. Ukradkiem wypatrywała wśród jeńców Alyn i chłopca, któremu pomogła przecisnąć się przez płot. Ale choć jej wybryk zdawał się postawić cały obóz na nogi, wydawało się, że ruda złodziejka i mały chudzielec zbiegli, nim zorientowano się, co się dzieje. W pewnej chwili mignął jej jedynie ten, który ją złapał. Potężny brodaty mężczyzna szedł podtrzymywany przez dwóch niższych o głowę kompanów, jego lewy rękaw przesiąknięty był krwią. Wyraz bezwzględnej determinacji, który rysował się na jego wykrzywionej w bólu twarzy, zwiastował fatalny los dla tego, kto go tak urządził.

Z Alyn, gagatku, nie będzie ci tak łatwo, pomyślała Fel.

I wtedy przyprowadzili tłumacza. Był to łysy dziadyga o ostrych rysach i żółtych zębach, wśród których brakowało kilku kluczowych okazów. Na głowie miał bliznę, która na pierwszy rzut oka przypominała bezwłosy pas na skroni Alyn, ale gdy się jej bliżej przyjrzeć, opasała jego głowę w całości, jakby ktoś kiedyś chciał odkroić jej czubek. Albo przynajmniej obrać z łuszczącej się skóry.

Od kiedy się pojawił, jegomość nie spuścił z Fel wzroku. Robił upiorne wrażenie.

– Sir Reynauld mówi, żeś z Zakkanu. Przedstaw się – rzekł, zamieniwszy uprzednio kilka słów z bladym mężczyzną.

Fel wzięła głęboki oddech i przywołała na usta półuśmiech.

– Mówią mi Taya.

Mimo swej wrednej aury łysy wydawał się łatwy do rozgryzienia. Reynauld wciąż był dla niej zagadką.

Kolejna komenda oficera. I jeszcze jedno spojrzenie tłumacza. Tym razem zaskoczone.

– Po... ehkem... po jaki trąd zrobiłaś coś tak głupiego?

Fel zagryzła wargę. Sir Reynauld dobrze wiedział, co robi. Zamiast pytać ponownie o to samo, otworzył zupełnie nową rozgrywkę. „Wiem, że rozumiałaś poprzednie pytania", zdawał się mówić, „nie jesteś głupia. I ja też nie".

Chrząknęła. Stała przed nim tak, jak ją złapano, jej nadgarstki związane były tylko prowizorycznie. Przeszukano ją bardzo pobieżnie. Skandalicznie pobieżnie, jak na jej gust. Z początku myślała, że tak to po prostu wygląda na wojnie. Albo że – w przeciwieństwie do Madżida i jego podopiecznych – Taidańczycy zupełnie nie mają doświadczenia w radzeniu sobie z jeńcami, co znacznie zresztą zwiększyłoby szanse na powodzenie jej planu. Ale w tej chwili wrażenie to mijało jak ręką odjął. Reynauld patrzył jej prosto w oczy.

– Pij – rozkazał i skinął na karafkę z wodą, która stała między nimi na prowizorycznej ławeczce z deski przybitej do dwóch pieńków.

Fel bardzo miała ochotę się napić. To prawdopodobnie była jej jedyna szansa i wiedziała, że jeżeli tego nie zrobi, jej ciało będzie cierpieć przez resztę długiego dnia. Ale gra toczyła się o większą stawkę.

A żeby zagrać, trzeba było zapłacić wpisowe.

Nie spuszczając wzroku z oficera, dziewczyna uniosła naczynie na wysokość twarzy, przechyliła i wylała całą zawartość na ziemię.

*

Chłopiec, którego Alyn zabrała beczącego spod rąk rannego Taidańczyka, miał głowę na karku. Nie pomylił się nawet na jotę – najpierw poprowadził oboje najgęstszymi ostępami z powrotem ku swej osadzie, a potem wskazał z pomocą wdzięcznych i zaaferowanych Imoreńczyków, dokąd powinna udać się następnie. Trafiła prosto do celu. I oto teraz rozpościerał się przed nią widok na otoczoną murem posiadłość, w centrum której, na szczycie łagodnego pagórka, czuwał trzypiętrowy budynek starej willi. Popękane tu i ówdzie ściany nosiły liczne ślady ubytków wydrapanych i wydrążonych przez bluszcz. Twarde i suche pędy niczym w pośmiertnym skurczu trzymały się jeszcze fasady na całej szerokości parteru.

Nie ulegało wątpliwości, że włości stały od długiego czasu opuszczone, ale nie znaczyło to, że były bezużyteczne. Zwłaszcza w obecnej sytuacji. Całość stanowiła bowiem zarazem punkt orientacyjny, jak i nie najgorszy fort.

Złodziejka zdecydowała, że zanim podejdzie bliżej, poświęci nieco czasu na obserwację. Jeżeli ktokolwiek był w środku, musiała upewnić się, że to ci, których szukała. Przysiadła pod pniem, w osłoniętym gałęziami dołku, i wyjęła starannie zapakowany przez żonę oberżysty, tłusty od masła, miękki chleb. Odgryzła kawałek, delektując się słonym smakiem i aromatem przypraw. Do zmierzchu zostało jeszcze trochę czasu.

Popijając posiłek wodą, wróciła pamięcią do poprzedniego dnia. Począwszy od ucieczki z taidańskiego obozu na łeb na szyję i posłanego niemal na oślep bełtu, który wbił się głęboko w ramię zmachanego pogonią wielkoluda. Grot prawdopodobnie strzaskał mu kość albo przeciął jakiś nerw, bo mężczyzna zaczerpnął nagle powietrza, zacisnął powieki, padł na kolano z bólu i tak już został. Alyn chwyciła przerażonego chłopca za dłoń i pociągnęła za sobą, ale gdy tylko zniknęli za kilkoma warstwami drzew, odzyskał rezon i uwolniwszy się z jej uścisku, ruszył przodem, wprost w najciemniejszy gąszcz. Dokładnie wiedział, dokąd iść, a okrzyki grupy poszukiwawczej wysłanej za nimi z obozu ani razu nie zbliżyły się na tyle, by zagrozić uciekinierom.

Kiedy zaś umilkły, umilkły na stałe.

Chłopiec, który przedstawił się Alyn jako Filipo, poprowadził oboje chyżym krokiem na północ. Raz tylko, gdy już ewidentnie nie mógł wytrzymać, poprosił cudzoziemkę o wodę. Wypił pół manierki, ukradkiem wpatrując się w spłowiałą rdzę jej włosów.

Kiedy po całodziennym marszu wreszcie przystanęli i wyjrzeli zza ściany drzew, ich oczom ukazała się dobrze już znana Alyn osada drwali. Filipo poinformował, że nazywała się Cobu i – jak przepowiedziała Vaala – znalazła się w międzyczasie pod taidańską okupacją. Okolicę patrolowało czworo żołnierzy w kaftanach o szaro-czerwonych barwach – dwie kobiety zaglądały do chat wzdłuż głównej ścieżki, mężczyźni zaś obchodzili polanę dookoła z pochodniami. Nie zachowywali się agresywnie, ale było jasne, że są gotowi puścić z dymem dach dowolnego domostwa w zasięgu rzutu kamieniem na wypadek jakichkolwiek oznak nieposłuszeństwa. Gdy Alyn i Filipo uznali, że to wszyscy Taidańczycy w zasięgu wzroku, chłopiec wskazał swą chudą ręką okolice oberży. Złodziejka natychmiast zrozumiała, o co chodzi – jeżeli wojska było więcej, to pewnie spędzało czas właśnie tam.

W następnej chwili, jak gdyby nigdy nic, mały pomachał jej dłonią i podreptał główną ścieżką wprost do swojej chaty, gdzie zniknął niezauważony. Alyn odczekała dłuższą chwilę w ukryciu, aż wreszcie podjęła decyzję, że powinna zacząć szukać Gaela i najemników na własną rękę. Wtedy zaszli ją po cichu od tyłu – Filipo i brodaty oberżysta. Z ich słów nie zrozumiała dobrze, czy mężczyzna był ojcem chłopca, ale po sile, z jaką ją uściskał, i łzach w jego oczach poznała, że muszą być rodziną w ten czy inny sposób.

Oberżysta wcisnął jej w ręce chleb, dwa pęta tłustej uwędzonej w ziołach kiełbasy i manierkę, w której zamiast wody chlupotało aromatyczne wino. Następnie razem z Filipo, żywo gestykulujc, objaśnili jej drogę do opuszczonej posiadłości na skraju lasów prerii.

Nazywali ją Seine.

*

To nie byli bandyci. Ani zwyrodnialcy. Siedząc na ziemi zaraz za furtką, przez którą ją wprowadzono, Fel rozglądała się po twarzach uwięzionych razem z nią mężczyzn. Byli zaskoczeni, przejęci, zmartwieni. Wpijali w nią zmęczony wzrok, ale w ich oczach nie było wrogości. Nie było zła. Kilku z nich nawet nie zarejestrowało, że pojawiła się w ich zagrodzie. Ci siedzieli lub klęczeli przy ogrodzeniu naprzeciwko, próbując wypatrzyć w wieczornym półmroku sylwetki swoich żon i dzieci zamkniętych za płotem w innej części obozu.

Imoreńscy jeńcy z okolicznych wiosek, takich jak ta, którą sama odwiedziła wraz z Alyn. Tęskniący, zmarnowani i wkurwieni.

Widzieli, co zrobiła. Musieli widzieć. A to, że choć złapano ją samą, nie udało się schwytać uwolnionego przez nią chłopca, zapewniało jej ich sympatię. Zostawili jej nawet nieco miejsca, jenieckiego luksusu, którego sami sobie skąpili, tłocząc się na powierzchni nie większej niż pół parteru saahijskiej knajpy. Było ich trzydziestu, może więcej.

Od rana nic nie piła. Czuła wióry w ustach i co chwilę łapała się na przygryzaniu suchych łusek, w które obrosły jej spękane wargi. Ale jeszcze miała parę w płucach. Jeszcze mogła śpiewać.

Uspokoiła oddech i zamknęła oczy. Chwilę później wśród skrzypienia świerszczy i ptasiego pohukiwania z głębi lasu, tuż przy wilgotnej, udeptanej trawie, popłynęły z jej ust melancholijne nuty „Tęsknoty".

Jeszcze jeden ulotny sen,
Sen, gdy obejmujesz mnie,
I odpływasz w morze koniczyn.
Nigdy nie otworzę oczu,
Byś tęsknotę moją poczuł,
Przy tobie wszystko,
Mój, wszystko jest niczym.

Mężczyźni – i ci zamknięci wraz z nią, i ci po drugiej stronie ogrodzenia – milczeli. Wysoko w górze, na tle ciemniejącego nieba, przefrunął furkoczący długimi piórami cień Ifiko.

Budziła się noc.

*

Alyn wydawało się, że będzie czekać do końca świata. Wieczór był niedługi i szybko oddał pola nocnej czerni, ale zanim ta zdążyła objąć niepodzielne panowanie nad okolicą, na nieboskłonie pojawił się blady pysk księżyca, który zrosił Seine jasną poświatą i wyciągnął spod pni okalających włości długie cienie. Nie mogła się ruszyć, dopóki łysy służył warcie najemników (z pewnością wystawionej i prawdopodobnie uzbrojonej w kusze) za latarnię. A siedziała już w jednym miejscu długo. Zrobiło się chłodno i tyłek bolał ją niemiłosiernie. Tyle dobrego, że drgawki i bóle, które złapały ją w najgorętszym momencie popołudnia, chwilowo zdecydowały się dać jej spokój.

Czekała, aż wreszcie – gdy rozważała już wycofanie się w głąb lasu i wyszukanie drogi naokoło do bliższej murom kryjówki – z północnego wschodu nadciągnął klucz kędzierzawych obłoczków, który przytłumił światło i dał jej wolną drogę ku willi.

Plan w najprostszej wersji zakładał rekonesans domniemanej obsady ruiny, potwierdzenie – z pomocą Isztar – że jest nią poznana w Cobu ekipa najemników Gaela, i dopiero wówczas najostrożniejsze z możliwych ujawnienie się. Tak, by wszystko rozegrało się bez przestrachu, nagłych wzdrygnięć czy innych niespodziewanych reakcji, które przypadkowo mogłyby sprowokować wybuch przemocy. Po spotkaniu z zakkańskimi bandytami u stóp pustyni oraz posłaniu bełtu w stronę gończego wielkoluda Taidańczyków miała jej dość na jakiś czas. Zarekwirowana kusza była tylko zabezpieczeniem, jej miejsce było na ramieniu.

Ruszyła niespiesznie, cicho. Najpierw wprost ku murowi, a potem wzdłuż niego w górę zbocza. Widoczny z oddali budynek miał na najwyższym piętrze balkony wyglądające w trzy strony świata. Wystawionego ku szerokiemu pejzażowi północy tyłu willi złodziejka nie miała jak zobaczyć, ale założyła, że i tam mógł być punkt obserwacyjny, a w nim czujka. Stacjonarna albo patrolująca co i raz każdą ze stron. Doświadczenie podpowiadało jej jednak, że tylne wejście często było dla straży tym najoczywistszym.

Alyn wiedziała, dokąd zmierza. Kamienny mur, którego licha zaprawa ukruszyła się już w znacznych

ilościach, mimo krągłości występów, nie wyglądał na taki, który sprawiłby jej trudność we wspinaczce. Tuż przy szczycie pagórka zaś znajdowała się jego najwyższa i – na co głęboko liczyła – najmniej interesująca z punktu widzenia obrońców ściana. Ponadto, jak zauważyła jeszcze przed zapadnięciem zmroku, na samej górze wyprofilowana była w płytkie siodło, co mogło okazać się przydatne.

Trawa uginała się pod jej stopami miękko i cicho, nie bała się, że ktoś ją usłyszy. Gdy stanęła wreszcie pod wybranym fragmentem muru, dokładnie omiotła dłońmi kamienne występy, czyszcząc ścianę z ukruszonej zaprawy. Mimo zaniedbania całość wciąż sprawiała wrażenie solidnej. Złodziejka obejrzała się jeszcze raz na zakryty chmurami księżyc, odetchnęła głęboko i ruszyła w górę.

Chrupnęło raz, gdy tylko oderwała obie stopy od ziemi. Obły kamień, na którym chciała oprzeć swój ciężar wysoko nad głową, najpierw poruszył się w swej niecce, przywołując deszcz pyłu, a następnie całkowicie wysmyknął się z muru i z głuchym tupnięciem upadł w miękką czerń. Alyn chwyciła się w ostatniej chwili innego występu i wstrzymała oddech, by nie jęknąć, gdy rana na żebrach odezwała się pieczeniem. Wyglądało na to, że zerwała strup.

Gdy przeszedł pierwszy ból, poprawiła pozycję, a następnie wykorzystała świeżą dziurę, by pewnie wspiąć się wyżej. Wszystko odbyło się zbyt cicho, by ktokolwiek mógł to usłyszeć, chyba że znajdował się zaraz po drugiej stronie muru. Tak czy inaczej, nie było odwrotu. Ani przez linię frontu, ani przez pustynię. Musiała odbić Fel, znaleźć Zakarego i przekonać do pomocy w tym najemników.

Wychyliła głowę nad siodło muru i poświęciła chwilę na rozpoznanie kształtów, które wyrastały z ziemi na dziedzińcu willi. Z daleka nie była w stanie rozpoznać, czym były, i dopiero teraz, nie od razu, zdała sobie sprawę, że wzdłuż zarośniętych ścieżek poustawiano niewysokie kamienne posążki przedstawiające wyprostowanych na baczność ludzi. Wszystkie postacie, co do jednej, były odwrócone w tę samą stronę. Wyglądały niepokojąco, niczym zaklęta w kamień gwardia gotowa w każdej chwili otworzyć puste oczy i ciężkim, łamanym biegiem pogonić intruza. Albo... zakląć go w kolejną statuę.

Alyn wzdrygnęła się na tę myśl i przeniosła wzrok dalej, ku ścianom willi. Ta robiła jeszcze potworniejsze wrażenie. Puste okna ziały czernią, a wokół nich, tuż nad ziemią, suche pazury bluszczu drapały podziurawione cegły. Powoli pulsujące blade światło księżyca i panująca wokół cisza dodawały całemu obrazowi atmosfery grozy.

Wciąż było to dobre miejsce na kryjówkę. Gdyby tylko udało się jej wypatrzyć...

Jeden z cieni poruszył się nieznacznie niedaleko schodów prowadzących do głównych drzwi willi. Alyn wytężyła wzrok i dojrzała w nim sylwetkę siedzącego mężczyzny. Postać skierowana była ku południu – otwartej przestrzeni wiodącego ku lasu zbocza. Po układzie prostopadłych ścieżek złodziejka poznała, że na łagodnym stoku musiał niegdyś rosnąć bujny sad. Albo, co było może nawet bardziej prawdopodobne, winne krzewy.

Oprócz nieznajomego nic już się w nocnej ciemności nie ruszało. Alyn wzięła to za dobrą monetę. Ostrożnie podciągnęła się wyżej, przełożyła nogi na drugą stronę muru i zeszła na dół. Pod jej stopami zaszeleściły źdźbła wysokiej trawy. Przesmyknęła się do najbliższego posągu, przekroczyła chrzęszczącą kamykami ścieżkę, która okalała willę, i dopadła do ściany. Stąd do odwróconego do niej plecami mężczyzny miała już tylko kilkanaście kroków. Siedział nieruchomo na kamieniu, na który narzucił uprzednio złożony kilkakrotnie

materiał.

W tym momencie wiatr przewiał najgrubszą warstwę chmur sprzed tarczy księżyca i w srebrnym świetle dojrzała okulary na nosie wartownika. Teraz zyskała pewność – to był Edwin. Nigdzie wokół niego nie dojrzała żadnej kuszy, ale na jego kolanach leżała w pochwie długa szabla. Uśmiechnęła się. Kilka lat temu wraz z Torynem znalazła się w podobnej sytuacji. Wiedziała, co robić, i zawahała się tylko na chwilę. Tak jak niegdyś jej brat, kilkoma długimi, nieregularnymi krokami zbliżyła się do najemnika, stanęła tuż za jego plecami i szepnęła:

– Edwin.

*

Ogolony na gładko, pachnący mydłem tak intensywnie, że aż nie do zniesienia, żołnierz bezceremonialnie wepchnął Fel do namiotu. Dziewczyna wykonała dwa niezgrabne susy i niemal straciła równowagę, nie mogąc sobie pomóc związanymi z przodu rękami. Gdy już miała wyrżnąć twarzą w ziemię, natrafiła na ścianę mięśni, od której odbiła się jak piłka, i stanęła na baczność. Spojrzała do góry, wprost w skryte w mroku pod krzaczastymi brwiami oczy łowczego. W nieprzebranej czerni błyszczały dwie złowróżbne iskry.

Mężczyzna miał na sobie tylko spięte szerokim pasem spodnie i wojskowe buty. Jego lewa ręka – grubsza, jak zauważyła Fel, niż jej noga – zwisała bezwładnie obwiązana na wysokości bicepsa bandażem. Owłosiona pierś unosiła się w szybkim oddechu, jakby właśnie przebiegł kilka okrążeń dookoła całego obozu. Wyraz jego twarzy zdradzał, że bynajmniej nie chodziło o wysiłek fizyczny. Wielkolud był wściekły.

Skupił wzrok na dziewczynie, zacisnął pięść i obnażył zęby, jak gdyby za chwilę miał jednym ciosem zmiażdżyć ją niczym arbuza. Jego uwagę odwrócił głos zza jego pleców. Ku zaskoczeniu Fel odezwał się w bliskim zakkańskiemu języku Pahaadów.

– Løc, zostaw nas.

Łowczy parsknął i pokręcił głową, ale zastosował się do polecenia. Odepchnął Fel i schyliwszy się, wyszedł na zewnątrz w ciemną noc. Dziewczyna powiodła za nim wzrokiem, ale nie zdołała wypatrzeć na jego plecach tradycyjnego pahaadzkiego warkocza.

– Taya – powiedział po imoreńsku Reynauld, gdy zostali sami. Opierał się o liche biurko, na którym oprócz kilku zapalonych świec walał się stos papierzysk. Większość miała złamane pieczęcie. W dłoni trzymał drewniany kielich. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. – Znałem jedną nomadkę o imieniu Taya. Zuch dziewczyna. Najdzielniejsza wojowniczka w swoim plemieniu. Urodziła się w biedzie i jeszcze zanim osiągnęła dorosłość, samym swym hartem ducha i charyzmą zebrała pod sobą trzy grupy beduinów. A to był tylko początek, wkrótce usłyszeć o niej miała cała pustynia, cały Zakkan. Do dziś opowiada się jej historię dziewczynkom w waszym kraju, nieprawdaż?

Fel uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

– Napij się – czarnowłosy mężczyzna wyciągnął kielich w zapraszającym geście. Na jego ustach pojawił się półuśmiech. – Nikt nie patrzy.

Niczego od ciebie nie wezmę, pomyślała Fel, zachowując kamienną twarz. I prawie wierzyła samej sobie.

– Dobrze. Zrobimy to inaczej.

Mężczyzna rozejrzał się i spod ściany przesunął nogą pieniek. Ustawił go przed stopami pojmanej i umieścił na nim kielich. Następnie cofnął się do biurka.

– Napij się. Potrzebuję twojego głosu. Jest naprawdę ładny. Słyszałem.

Fel spojrzała z góry w głąb łyskającej na pomarańczowo w czarce płynnej czerni. Na jej widok poczuła ból pod językiem. Pragnęła wody tak, jak po tygodniu wędrówki po pustyni. Pragnęła jej całym ciałem. Tak bardzo, że...

...nim zdążyła zarejestrować, co robi, sięgnęła po naczynie i wypiła duszkiem całą zawartość. Ciekła słodycz, która rozlała się w jej ustach, była aromatyczna i owocowa. Pozostawiła po sobie cierpki posmak. I błaganie o więcej.

– Brawo – rzekł Reynauld. – Smakowało?

Gdy nie uzyskał odpowiedzi, mężczyzna westchnął i wyprostował się. Gdy zaczął odpinać pas, Fel przełknęła ślinę.

– Podejdź.

– Ale...

– Podejdź do mnie.

Fel utkwiła wzrok w dłoni żołnierza, który okręcił wokół niej pas, i zrobiła dwa drobne kroki do tyłu. Czując pierwsze zawroty głowy i ciepło, które zaczęło rozlewać się z jej żołądka po całym ciele, zatrzymała się, założyła ręce na piersiach. Skinęła na niego głową.

– Będziesz mnie rznął, czy bił?

– Mówi się „rżnął" – powiedział Reynauld z kamienną twarzą. – I nie, nie będę cię rżnął.

Fel nie zarejestrowała momentu, w którym do niej podszedł. Po prostu, gdy mrugnęła, stał już przy niej, trzymając ją za kołnierz. Jednym szarpnięciem pociągnął ją do biurka. Gdy wylądowała pochylona nad papierami, zaszumiało jej w uszach. Kątem oka zauważyła, jak mężczyzna zestawia świece na ziemię.

– Czego chcesz ode mnie? – zapytała ciszej i mniej wyraźnie, niż miała zamiar.

W następnej chwili ogarnął ją mrok, a wokół nastała cisza. Została sama w całkowitej czerni. Nie, nie całkowitej. Stała jak sparaliżowana, pochylona, z łokciami na drewnie biurka. Nad nią i pod nią błyskało morze gwiazd.

– Posłuszeństwa – usłyszała. – Niczego więcej.

Madżid, pomyślała, próbując zapanować nad oddechem. Widziała, jak palce jej dłoni mielą powietrze, w którym nijak nie chciały zmaterializować się kamienie.

Nie zrobi mi nic, na co nie przygotował mnie Madżid. Nie wystraszy mnie bardziej niż ludzie w czarnych kurtach. „Przyjaciele rodziny".

Poczuła je, zanim usłyszała. Ostre smagnięcie, które z pewnością przepołowiło ją na wysokości pośladków. Ryknęła urywanie, a ból wycisnął z jej oczu ciężkie łzy bólu i zaskoczenia. A potem je usłyszała tuż przed drugim uderzeniem.

Świst i trzask, jakby łamał się konar potężnego drzewa.

Oczy zalała jej czerwień i ugięły się pod nią kolana, ale jego ręka nie pozwoliła jej opaść na ziemię.

Pchnął ją głębiej na biurko, aż położyła się na nim całym tułowiem. Pośladki paliły ją ogniem, dokładając do przelewającego się po jej ciele we wszystkie strony ciepła. Była pewna, że krwawiły.

Jeszcze jeden trzask.

I jeszcze jeden.

Nie mogła złapać oddechu. W ustach czuła mokrą sól, która z kącików spływała dalej na brodę i na blat. Za chwilę uderzy jeszcze raz. Za chwilę odrąbie jej nogi. Wystarczy jeszcze jeden raz.

Reynauld nie uderzył. Fel jęknęła, gdy poczuła, że dotknął jej pośladków, ale zamiast bólu poszło za tym uczuciem ciepło. Taidańczyk delikatnie rozmasował jej napuchniętą, zaczerwienioną skórę, po czym zabrał dłoń.

Gdy pochylił się do jej ucha, Fel poczuła na karku jego oddech i natychmiast dostała gęsiej skórki.

– Jak masz na imię? – spytał cicho.

Fel wzdrygnęła się...

*

...całym ciałem. Zaskoczenie wywołane jej szeptem wystarczyło, by Alyn zdążyła wyszarpnąć Edwinowi z rąk szablę i obnażyć ją w świetle księżyca.

Najemnik błyskawicznie obrócił się, stracił równowagę i wyrżnął tyłkiem w trawę.

– Ciii... – szepnęła złodziejka i przytknęła palec do ust. Następnie wyprostowała w bok rękę, w której trzymała szablę, i schyliła się, by odłożyć ją na ziemię. – To ja. Alyn. Z Cob...

Dziewczyna zamilkła, gdy poczuła silne ukłucie na wysokości karku. W natychmiastowym odruchu uniosła ręce. Zza jej pleców dobył się znajomy, lekko zachrypnięty głos. Z trudem zrozumiała imoreńskie słowa.

– Edwin? Żyjesz?

Najemnik westchnął, wstał i otrzepał się.

– Żyję.

Dopiero w tej chwili Liz odjęła od skóry Alyn ostrze. Jej ruchy były pewne i stanowcze. I niezwykle ciche.

– *Umpressaire* – mruknęła kobieta i zarzuciła złodziejce rękę na ramiona. W drugiej wciąż trzymała w gotowości nóż. – *Que geni. Ver sa, Edwin.*

– Tak, tak...

Nie spuszczając wzroku z Alyn, najemnik potarł brodę, podniósł szablę z ziemi, a następnie skinął na dziewczynę i powiedział:

– Idziemy. Powoli.

Złodziejka obejrzała się na Liz. Wokół jej łagodnych, pomalowanych czarnym tuszem oczu światło księżyca rozlało się po wzgórzach i dolinach pierwszych zmarszczek.

– Alyn – powiedziała Imorenka i wyciągnęła dłoń. – *Arbal*.

Zabrzmiało to bardziej jak prośba niż rozkaz. Alyn nie zamierzała nadużywać uprzejmości najemniczki. Zdjęła z ramienia kuszę i podała kobiecie bez słowa.

Edwin gestem zaprosił ją przed siebie i wskazał zejście do piwnicy wgryzające się w fundamenty bocznej ściany willi.

– A, Edwin... – zagadnęła Liz.

Alyn obejrzała się. Liz wyciągała wyczekująco rękę w stronę mężczyzny.

– *Culer*... – westchnął najemnik.

Następnie wysupłał z kieszeni jakiś drobny przedmiot i rzucił w stronę Liz. W powietrzu błysnął wypolerowany metal imoreńskiej monety.

Nieprzebraną ciemność piwnicy, w którą Imoreńczyk poprowadził złodziejkę, oświetlała pomarańczowa poświata świecy umieszczonej za załomem korytarza. W środku śmierdziało sfermentowanymi owocami. Ostry kwaśny zapach wdarł się w nozdrza Alyn. Pozostał w nich nawet wtedy, gdy odnalazła schody do góry i zachęcana gestami Edwina wdrapała się na parter. U szczytu stopni rozpostarł się przed nią długi smolisty dywan korytarza biegnącego przez całą szerokość willi. Mniej więcej w jego połowie z półotwartych drzwi wylewała się strużka migotliwego światła, padając pomarańczowym pasem na podłogę i kawałek ściany.

Mężczyzna wyminął złodziejkę i gestem dał znać, żeby podążyła za nim. Weszła do przestronnego, pachnącego drewnem i dymem salonu. Tuż obok wejścia z trzaskiem buzował ogień w kominku, rzygał żółcią i pomarańczą na zmurszałe deski parkietu, postrzępiony dywan i zakurzone ściany. Naprzeciw paleniska, na rozlatującej się kanapie, siedział dobrze zbudowany mężczyzna. Alyn poznała w nim Guido. W pomieszczeniu nie było nikogo więcej.

Kiedy wprowadził dziewczynę, Edwin zamienił z Guido kilka zdań po imoreńsku, których sedno zrozumiała ze słów „czekać" i „Gael". W następnej chwili w mroku przeciwległej ściany rozjarzyła się pionowa linia uchylonych drzwi. Moment później w ich progu stanęła Jeanine.

– Ha! Ha! – zaśmiała się i tanecznym krokiem podeszła do kanapy.

Wydawało się, że blondynka ma na sobie jedynie płócienną koszulę. W dodatku całkowicie rozsznurowaną na piersiach. Uwadze Alyn nie umknęła również szybkość, z jaką Guido odwrócił wzrok, gdy znalazła się w zasięgu światła z kominka. Edwin, z drugiej strony, nie wydawał się zainteresowany jej półnagością w najmniejszym stopniu.

Jeanine obeszła Alyn dookoła, lekko i rytmicznie stąpając po kwilących deskach parkietu. Nuciła i gestykulowała tak, jakby udawała krawca z dumą oceniającego widok swojego dzieła na klientce. Gdy zakończyła rewię piruetem, skinęła z uśmiechem na Edwina i podobnie jak wcześniej Liz wyciągnęła w jego stronę dłoń. Najemnik ponownie zaklął i rzucił dziewczynie srebrną monetę.

Blondynka posłała Alyn i Edwinowi całusa, po czym mrugnęła do złodziejki, obróciła się na palcach i bez słowa wróciła do swojego pokoju.

Edwin zauważył wyciągniętą dłoń szczerzącego się w uśmiechu Guido i burknął coś w jego stronę. Następnie złapał Alyn za oba ramiona i z pełną stanowczością umieścił na kanapie. Wreszcie pożegnał się w dwóch słowach i wyszedł z powrotem na korytarz.

Obserwując, jak odchodzi, złodziejka obróciła w palcach monetę, którą wyłowiła z jego kieszeni, gdy sadzał ją obok Guido. Uznała, że prawdopodobnie kiedyś mu ją odda. Ale jeszcze nie dziś.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Przez noc Guido nie odezwał się do niej ani słowem, ale nawiązała z nim nić porozumienia, gdy za resztę kiełbasy i chleba od oberżysty poczęstował ją grubą kostką sera. Poczęstunek podał jej nabity na ostrze noża – kreując przy tym znakomitą okazję do tego, by zrobić jej krzywdę, gdy po niego sięgała. Spojrzała mu wówczas w oczy, niemal jak dzikiemu zwierzęciu z rowańskich lasów, ale nie była w stanie rozgryźć jego emocji. Gdy złapała palcami ser, szarpnął ostrzem – nieco mocniej, niż to było konieczne, ale nie na tyle, by ją skaleczyć. Była zaintrygowana niewielkim drewnianym pudełeczkiem, na którym nieustannie spoczywała jego dłoń, ale nie zdecydowała się o nie zapytać. Podziękowała mu tylko po rowańsku i w ostateczności uznała to za udaną interakcję.

Gael pojawił się nad ranem. Porę dnia Alyn poznała po bladej poświacie spowijającej korytarz widoczny przez uchylone drzwi, gdy ocknęła się z półsnu. Ów obraz szybko zasłoniły jej ciała czwórki najemników, którzy stanęli nad nią w półkolu. Wśród nich nie było tylko Edwina. Wyglądało również na to, że Jeanine znalazła w międzyczasie spodnie.

– Dzień dobry – powiedział Gael po zakkańsku. – Liz powiedziała mi, że napędziłaś Edwinowi niezłego stracha. Brawo. Nie ma go tutaj z nami, bo zasłużył na dodatkową wartę. Ale skoro już nas znalazłaś i przedostałaś się... prawie przedostałaś się przez naszą, hm, straż, mów. Słuchamy.

Alyn powiodła wzrokiem po najemnikach. Na ich twarzach nie było widać wrogości, ale zdecydowanie byli czymś zaniepokojeni. Wojna – ale nie ich wojna – wyciągała po nich ręce. To było w rzeczy samej bardzo proste. Nikt z „ich" obozu nie był gotowy zapłacić wystarczająco dużo, by wzięli w niej udział.

To zdecydowanie nie był dobry moment na to, co miało się wydarzyć. Ale nie było innego.

Złodziejka wstała i złapała się pod boki. Nie uśmiechało się jej rozmawiać, zadzierając głowę.

– Fel, moja towarzyszka... Złapali ją Taidańczycy, gdy pomagała uciec imoreńskiemu chłopcu z ich obozu. Dwa dni stąd na południe. Nie wydostanę jej sama.

Gael podrapał się po brodzie i wzruszył ramionami.

– Zostaw ją. Taidańczycy to banda krwiożerczych agresorów, ale cywilizowanych. Nie zabijają jeńców wojennych. Przesiedlają. Czasem głodzą. Rzadko... No, rzadko okaleczają. Znajdziesz ją, gdy wszystko ucichnie. Jeżeli jest mądra – najpewniej w całości.

– Gdy wszystko ucichnie?

– Z pół roku – Gael obejrzał się na kompanów, szukając wzrokiem aprobaty dla swych słów. – Może rok?

Liz przerwała tłumaczenie po cichu rozmowy reszcie i przytaknęła Gaelowi z powagą.

Alyn wzięła głęboki oddech.

– Nie chcę niczego za darmo – odrzekła, próbując zapanować nad głosem. Słowa spływały z jej ust szybciej, niż była w stanie je przemyśleć. – Oferuję wam wymianę. Zrobię, co zechcecie. Pomogę, jak tylko będę mogła. Oddam wszystko, co mam przy sobie i co wpadnie po drodze w moje ręce, niech mnie szejtan pokąsa. Widziałam ten obóz, wszystko przygotuję. Potrzebuję tylko pomocy w odwróceniu uwagi. Tylko tego. Ta dziewczyna jest droga mojej przyjaciółce... no i uratowała mi życie.

Gdy Gael przełożył jej wypowiedź na imoreński, zarówno Guido, jak i Jeanine pokręcili głowami.

– Moglibyśmy z ciebie skorzystać, to nie ulega wątpliwości – powiedział po chwili milczenia lider najemników. Być może była to kwestia akcentu, ale nie usłyszała w jego głosie ani krzty drwiny czy sarkazmu. Uznała, że przynajmniej tymczasowo zasłużyła sobie na jego szacunek. – Kto wie, pewnie nadajesz się do naszej Valangi bardziej niż co poniektórzy jej weterani. Ale to, co oferujesz, jest po mojemu niewspółmierne do tego, czego od nas oczekujesz.

Złodziejka zmrużyła oczy. W dobrze ustawionej rozgrywce, mawiał Toryn, punkty można zdobyć na kilka różnych sposobów. Alyn zawsze uznawała to za jedną z najgłupszych maksym, jakie podłapał, gdy zwykł – jeszcze w Rowan – cytować wszystko i wszystkich na lewo i prawo. Ale co jej szkodziło spróbować?

– Być może takie jest twoje zdanie – odrzekła. – A co na to Liz, Guido i Jeanine?

Jeżeli go zaskoczyła, nie okazał tego. Zamiast tego z uśmiechem przełożył jej słowa kompanom. Wydawali się nieprzekonani, ale przynajmniej pod wrażeniem, że zapamiętała ich imiona.

– Głosowanie! – zarządził Gael, gdy upewnił się, że reszta najemników zrozumiała jej słowa. – Ta oto sympatyczna Zakkanka... o imieniu...

– Alyn.

– ...O imieniu Alyn, oferuje swoje szerokie usługi za pomoc w uwolnieniu jej towarzyszki z serca taidańskiego wojskowego obozu. Kto jest za?

Nikt nie podniósł ręki.

– Przeciw?

Pierwszy dłoń uniósł Gael. Potem Jeanine, a za nią Guido. Liz nie zdążyła podnieść.

– *Cuan Bon-Bon revuel...* – powiedziała nagle blondynka, po czym cała czwórka zaniosła się śmiechem.

„Kiedy wróci Bon-Bon”.

Gael rozłożył ręce. Nic więcej nie trzeba było mówić.

*

Poranek dął w twarz chłodnym wiatrem. Z jakiegoś powodu przypomniało to Alyn o tym, od jak dawna nie myła włosów.

– W końcu Taidan przyjdzie i tu – powiedział Gael, gdy wypełzli przez na wpół zabite dechami okno.

Przed nimi rozpostarł się widok na zamglony południowy stok posiadłości. W oddali majaczył ciemny kontur lasu. Mimo braku wiatru wydawał się poruszać, buzować nieprzebraną energią. Złodziejka wzdrygnęła się lekko, czując na plecach ciarki. Mimo to oparła się ostrożnie o skrzypiącą barierę balkonu.

Gael spoglądał w dal w zamyśleniu.

– To łapczywe kanalie. Roszczą sobie prawa do niewielkiego skrawka na wschód i północ od swych

ziem, ale ambicją sięgają o wiele, wiele dalej. Z jednej strony chcą dostępu do wschodniego wybrzeża – o, tu, tym właśnie pasem granicznym. Z drugiej, gdyby mogli, wgryźliby się jeszcze głęboko w pustynię, aż do Al-Arak i podobnych. To niby wasze... zakkańskie ziemie, ale tylko na mapach. I to nie wszystkich. Założę się, że plemiona nomadów obśmiałyby dowolny przejaw narodowo-państwowych roszczeń z Saahii.

– Polityka to twoja pasja? – zapytała Alyn.

– Nie – zaśmiał się. – Smutna konieczność.

Polubiła go. Wpadł jej w oko już przy pierwszym spotkaniu, ale teraz, gdy oprowadzał ją po zakamarkach Seine, mogła przyznać to z całą pewnością. W porównaniu do Toryna był... Nie była jeszcze w stanie tego zdefiniować. Może chodziło o lekkość bycia. Pogodę ducha, którą z jej brata, podobnie jak z niej samej – musiała przyznać – najpierw dawno temu wyssało Rowan, a teraz cała ta historia z Kaim.

– I co w takim razie zamierzacie zrobić, gdy przyjdą Taidańczycy? – zapytała.

Gael przyjrzał się uważnie dziewczynie.

– Zastanów się, o co pytasz. Jeszcze nie jest za późno, by wrócić do domu, Alyn.

– Wiem, o co pytam. Mówiłam ci: wszystko, czego chcę, to dostać się do Castanet. Ale nie odejdę bez Fel. Jestem jej to winna. Na Taidan nie mogę liczyć. Wy wciąż możecie mi pomóc.

– „Pomóc" – powtórzył mężczyzna w zamyśleniu i ponownie wbił wzrok w szary horyzont. – Do stolicy najłatwiej będzie ci dostać się morzem. Kto wie, jeżeli przeżyjemy następny tydzień, być może ostatecznie dalibyśmy radę ci w tym pomóc. Do brzegu będą stąd dwa, może trzy dni marszu. A wsi i osad rybackich ci w Imoren bez liku. Nawet tu, na północy.

– Morzem? A blokady? A Krwawy Jęzor?

Gael uniósł brwi.

– Blokady są, i owszem, ale głównie przy brzegu i bliżej północy, na szlaku wiodącym właśnie ku wierzchołkowi Jęzora. I słusznie, bo wojna nie jest tania, a zarobek pewny. Ale poniżej granicy sito marynarki ma szerokie oka. U korzenia Krwawego Jęzora mało co już pływa, bo swoich nie będą przecież grabić.

– Ale półwysep i tak trzeba...

– Nie trzeba. Precyzyjne informacje i nieco złota wystarczą, by pokonać szerokość półwyspu pieszo, z zaufaną obstawą, i kontynuować rejs po drugiej stronie. Tymi pierwszymi możemy się z tobą podzielić. Jeżeli jednak chodzi o twoją przyjaciółkę...

– To co zrobicie, gdy przyjdzie wojsko? – Alyn przerwała Gaelowi z uśmiechem.

Mężczyzna westchnął, po czym wgramolił się przez ciasną dziurę z powrotem do środka.

– Chodź, jeszcze piwnice.

*

Leci.

Leci z rozłożonymi szeroko ramionami, rękawy jej kurty furkoczą w zetknięciu z ciepłym wiatrem. Leci wysoko nad miastem. Nad biało-beżową mozaiką dachów i ulic. Jest lekka i szczęśliwa.

Jej ręce...

...to skrzydła. Barwne, smukłe skrzydła głaszczą powietrze, kreślą za nią faliste linie, które powoli,

tysiącem małych piórek, opadają na ziemię. Słyszy cichy szum, jakby frunęła wśród drzew.

Zatacza szeroki krąg i zniża lot. Z tej wysokości widzi wyraźnie ludzi. Widzi kupców ciągnących wozy przez Most Maharadży. Widzi Zaina i Najilę, którzy grają, niesłuchani przez nikogo, przy jednej z kamienic. Nie słyszy ich muzyki. Jej pióra opadają na ulice, barwiąc je na pomarańczowo, fioletowo i zielono. W jej uszach szumi wiatr.

Śmieje się pełną piersią i przelatuje między strzelistymi wieżami posiadłości w dzielnicy kupców.

Na ścianie jednej z nich, wysoko nad ziemią, zauważa odzianą na biało postać. Zawraca, by się jej bliżej przyjrzeć.

Przyklejona plecami do ściany postać kieruje się do jedynego okna w wieży. Potyka się, spod jej nóg ulatuje kawał gzymsu.

Fel leci w jej kierunku. Przyspiesza.

Pikuje.

Nie może... nie chce się zatrzymać. Pędzi z ogromną prędkością. Ulice miasta rozmywają się na dziesiątki wirujących, wielobarwnych pasów.

Nieświadoma niczego postać rośnie w oczach. Zaraz zostanie trafiona. Zaraz umrze!

Fel otworzyła oczy i pierwszym, co zobaczyła w bladej poświacie poranka, były pióra Ifiko. Cudowronek chodził przed jej twarzą wte i wewte, wydrapując pazurkami ślady w miękkiej ziemi i zacierając je barwnymi wstęgami ogona. Co chwilę zatrzymywał się tylko i spoglądał na nią raz jednym, raz drugim okiem.

– Ej, zmykaj stąd – syknęła dziewczyna, gdy rozejrzała się wokoło. – Zmykaj, słyszysz?

Wciąż trzymano ją w zagrodzie dla mężczyzn. Wciąż miała swój pusty kąt. Ale dziś jakby mniejszy. Ciaśniejszy.

– Sio! – krzyknęła i machnęła ręką, na co Ifiko, wyraźnie wzburzona, odpowiedziała przeciągłym skrzekiem, po czym rozpostarła szeroko skrzydła i wzbiła się w powietrze.

– Leć – szepnęła Fel, czując jak do oczu napływają jej łzy. – Nie wiem, co zrobię, jeżeli cię stracę.

Usiadła i syknęła z bólu. Spała nierówno, wykrzywiona, przeciwko czemu ciało zaprotestowało dopiero teraz. Moment zajęło jej przypomnienie sobie, co wydarzyło się w nocy, a gdy zrozumiała – gdy dotarło to do jej świadomości – aż zadrżała.

Wojna była zimna.

Kuląc się pod lichą płócienną płachtą w zagrodzie dla jeńców, gdzieś hen z dala od domu, Fel tęskniła, choć nie wiedziała za czym.

*

– Na początek pojawi się grupa ekspedycyjna – tłumaczył Gael. – Pięcioro do dziesięciorga ludzi. Dwoje z nich zwykle jest nieuzbrojonych.

Słuchając go, Alyn rozglądała się wokół po zniszczonym wnętrzu. Na pierwszy rzut oka z dawnej świetności Seine nie pozostało nic poza łysymi, popękanymi ścianami. Gdy jednak spojrzeć uważniej, dało się dostrzec wciąż solidne zdobione stropy, a także fragmenty bogatej boazerii w miejscach, do których nie dosięgły długie ręce szabrowników. A i to nie wspominając o jasnych plamach na cegłach zdradzających pokaźne

rozmiary obrazów i bogactwo ornamentów ram, w które dzieła były wciśnięte. Mimo swej nagości budynek wciąż onieśmielał klasycznym dostojeństwem.

Gael stanął przed prostokątną plamą czerni w ścianie i zajrzał do środka, przyświecając sobie pochodnią.

– Teraz będzie wąsko i stromo – powiedział, gdy Alyn dołączyła do niego. – I na dole nie ma dwóch schodów.

– Pamiętam – odburknęła złodziejka. – Szłam tędy wczoraj. Mówiłeś o grupie ekspedycyjnej.

– Tak, to ich standardowa procedura, którą zaobserwowaliśmy już podczas poprzedniej wojny. Najpierw Taidan wchodzi zbrojnie na sporne ziemie, a potem niewielkie oddziały wynajdują wszelkie interesujące punkty orientacyjne ze starych map oraz oznaczają nowe. Bez wątpienia trafią i tu – i to na dniach. Tyle że jesteśmy na to przygotowani i jeżeli umiejętnie to rozegramy, wszyscy, którzy tu się pojawią, co do jednego, znikną w tych oto piwnicach. Uważaj na zawalisko po prawej. Konie prawdopodobnie zabierzemy i rozpuścimy na północy na sawannie. Zyskamy kilka kolejnych dni.

– Nie uciekniecie?

Gael zaśmiał się cicho.

– Na to ci to wyglądało? Na plan ucieczki? Armia Korony idzie tu. Idzie powoli, zbiera po drodze oddziały, bo nie wie, co Taidan ma w zanadrzu, skoro zdecydował się ot, tak wkroczyć na te tereny. Może ma zupełnie nową broń, może wspiera go potężny sojusznik. Nikt nic nie wie. Więc sztab działa ostrożnie. Tak czy siak nasi w końcu tu dotrą. Rzecz w tym, żeby nie pozwolić Szarym w spokoju się tu rozsiąść. No, a tutaj... – mężczyzna schylił się, przechodząc pod niebezpiecznie wyglądającą, ułamaną belką – znajduje się magazyn.

Migotliwe światło pochodni lękliwie polizało dziesiątki pękatych beczek, które leżały na zakurzonych stojakach. W odróżnieniu od innych drewnianych elementów zabudowy Seine te ostatnie wyglądały nadspodziewanie solidnie.

– Wino... – szepnęła Alyn.

Gael podszedł do najbliższego stojaka i popukał w beczkę.

– Zepsute. Wszystko.

– Jak to...

– Skisło. Stężało. Zaśmierdło. Po prostu się zepsuło.

– Wszystko?

– Jeżeli się nad tym zastanawiałaś, oto powód, dla którego Seine wygląda, jak wygląda. Tę historię zna cała północ Imoren. Winnica starego Freyhoffa przetrwała zaledwie cztery lata, za każdym razem produkując niepijalną breję. Nikt nie wie dlaczego. Powiadają, że to choroba roślin, inni, że woda. Jeszcze inni winią właściciela, który za młodu wrednym był ponoć skurwysynem i dwie żony, co najmniej, wpędził do grobu. Że to kara boska na niego spadła. Fakt jest taki, że to najdalej na północ położona winnica w całym kraju. Jedyna taka. A tu inna gleba, inne owady, inna roślinność... Nie wiadomo. Chodź za mną.

Wędrując w głąb tunelu, przy ścianie którego beczka na beczce czekało kresu swych dni zepsute wino, Alyn poczuła ów kwaśny zapach. Ten, w którym zanurzyła się wraz z Edwinem, gdy najemnik wprowadził ją nocą do budynku. Po kilkunastu krokach odór stał się tak silny, że musiała sobie zatkać nos.

– Dostały się do jednej z nich. Szczury. To musiało się zdarzyć w ostatnim półroczu. Któregoś swędziały

zęby i przegryzł się tam, gdzie nie trzeba. To, co wyciekło, zaschło. Teraz klei się na posadzce i śmierdzi na całą piwnicę.

Gdy wydostali się na zewnątrz bocznym wejściem, Alyn wypuściła powietrze z płuc. Jej wzrok natychmiast przykuły oświetlone łuną brzasku posągi. Były jeszcze dziwniejsze, niż wydawały się w nocy. Teraz dopiero dostrzegła, że wszystkie, co do jednego, nie miały prawej stopy – ich zaokrąglone kikuty albo wspierały się na kamiennym wybrzuszeniu podstawy, albo po prostu wisiały tuż nad ziemią. No i równie oczywisty, co tajemniczy fakt – stały zwrócone w kierunku punktu, który znajdował się, jak oszacowała Alyn, gdzieś w połowie południowego zbocza. Nawet te z postaci, które ustawiono na tyłach domu, wlepiały swój pusty wzrok w jego ścianę, jakby chciały go siłą woli przeniknąć i również uszczknąć dla siebie część rozgrywającego się po drugiej stronie tajemniczego widowiska.

– Lepiej się nad tym nie zastanawiać – powiedział Gael, gdy zauważył konsternację na twarzy Alyn. – To dzieło syna starego Freyhoffa. Smutna historia chorego człowieka. Nie powinniśmy pokazywać się na zewnątrz tak długo.

Mężczyzna odwrócił się i ruszył z powrotem w dół schodów.

– Dlaczego mi to wszystko pokazujesz? – zapytała Alyn.

– Musimy spowolnić działania Taidańczyków do czasu przybycia armii z południa – odrzekł Gael. – Musimy i zrobimy to. Jest w tym, jak by nie było, solidny pieniądz. Skoro z nami zostaniesz, lepiej, żebyś wiedziała o tym miejscu równie dużo, co my.

– Po co?! – krzyknęła złodziejka w kierunku znikających w ciemnościach pleców Gaela. – Przecież odmówiliście mojej prośbie!

– Przecież nam nie uwierzyłaś! – dobyło się ze śmierdzącej octem i zepsutymi jajami czeluści piwnicy.

Gdy z pewnym ociąganiem zeszła wreszcie z powrotem w ciemność i zaryglowała za sobą drzwi, Gael znalazł dłonią jej ramię, ścisnął i przysunął do siebie. Nie za blisko. Pochylił się do jej ucha i powiedział cicho:

– Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, że jeżeli zechcesz sobie teraz stąd pójść, wyślę za tobą Liz. Jesteś dobra, widziałem. Ale nie aż tak.

Najemnik puścił ją i rozpłynął się w mroku piwnicy. Alyn machinalnie poprawiła na sobie ubranie. Przed oczami miała obraz błyszczących się w świetle księżyca, pomalowanych czarnym tuszem oczu najemniczki, która bezszelestnie zaszła ją w nocy od tyłu.

– Liz...

*

– Alyn.

Kobieta pojawiła się znikąd. Przysiadła na oparciu kanapy obok zaskoczonej złodziejki, która do tego momentu wpatrywała się z oddali w zaciętą karcianą partię rozgrywaną przez Guido, Edwina i Jeanine. Odpoczywała. Było jeszcze grubo przed południem, a już zdążyła pod okiem najemniczki dwukrotnie obejść szerokim kołem mur otaczający Seine. Szukały śladów taidańskich szpiegów, próbując jednocześnie nie pozostawić własnych. Choć wciąż nie była pewna słuszności swej decyzji o tymczasowym przystaniu do najemników, Alyn czuła się w roli zwiadowczyni nieźle. A przynajmniej było tak do momentu, kiedy zdała sobie

sprawę, że Liz, która prowadziła ich dwuosobowy patrol, szła tak cicho i tak niezauważalnie, że wydawała się wręcz lewitować.

– Ładne imię – powiedziała kobieta po zakkańsku. Jej głos był przyjemnie chropowaty, a silny imoreński akcent nadawał jej słowom miłej uchu melodii. – Atoli to nie z Zakkanu? Hm?

– Nie, z Rowan. Mówisz po zakkańsku?

– Tylko trochę. – Kobieta zaakcentowała swe słowa gestem, który najwyraźniej w Imoren znaczył „tylko trochę". – *Te pur Imorenne voce va?*

– *Ne* – odpowiedziała Alyn jednym z dosłownie kilku imoreńskich słów, co do których znaczenia była pewna. – Byłaś kiedyś w Zakkanie?

Liz sama do niej przyszła. Chciała porozmawiać. To była okazja. Złodziejka nie wiedziała jeszcze tylko na co.

– *Ne*. – Kobieta uśmiechnęła się. Była ładna. – W zasadzie tak, jednakże. Raz jeden na pustyni. Niedaleko. Za gorąco.

Alyn zaśmiała się cicho.

– Wiem. Ale myślę, że polubiłabyś Saahii. Noc jest tam...

– Pomogę ci – Liz przerwała złodziejce w pół słowa i wbiła w nią wzrok.

– S-słucham?

– Pomogę z twoję przyjaciółka. Obóz Taidan. Pójdę z tobą.

Złodziejka przełknęła ślinę. Tego się nie spodziewała.

– A Gael?

Liz wzruszyła ramionami i przewróciła oczami, co najwyraźniej wystarczyło za odpowiedź.

– Ale mam jeden warunek – powiedziała po chwili milczenia, po czym zbliżyła się do Alyn i ściszyła głos. – Chcę, ażebyś otwarła pudełko Guido i powiedziała mi, co jest w środku.

Złodziejka zmarszczyła brwi i gdy upewniła się, że się nie przesłyszała, skierowała wzrok na stół, przy którym grali najemnicy. Guido siedział bokiem. W prawej dłoni trzymał karty. Lewa, którą z rzadka wybierał te, które chciał zagrać lub wymienić, niemal cały czas spoczywała na drewnianym pudełku. Nikt nie wydawał się zwracać na ten fakt jakiejkolwiek uwagi.

– To jakiś test?

– Tylko zabawa. I ciekawość.

– Nie rozumiem. Nie wiesz, co on tam trzyma?

– Nikt nie wie tego – Liz mówiła powoli, z absolutną powagą na twarzy. – Miałam je w dłoniach już wiele razy, ale nie umiałam go otworzyć. Nikt nie widział, by Guido je otwierał. To nie daje mi spokoju.

Jak na zawołanie, postawny najemnik zgarnął ze stołu część pomiętych sztonów i wszystkiego, co w trakcie gry trafiło na blat, po czym odwrócił głowę w stronę Alyn i Liz, i uśmiechnął się, unosząc brwi. Złodziejka natychmiast przypomniała sobie o jego długim nożu, którym bez wątpienia ciął już dużo więcej niż tylko gałęzie na chrust.

– On to zamyka na klucz czy jak?

Liz wzruszyła ramionami.

– Jest dziurka. Przemyśl propozycję.

Najemniczka poklepała dziewczynę po ramieniu i podeszła do stołu. Chwilę później przysunęła sobie stopą ostatnie wolne siedzisko, położyła na blacie monetę i płynnie włączyła się do gry.

Alyn chwilę jeszcze patrzyła na swych nowych towarzyszy, obserwując kolejne rozdanie. Nie znała tej gry, ale wyglądało na to, że jej reguły przynajmniej w części przypominały saahijskie qanhu. Rozważając propozycję Liz, machinalnie sięgnęła do kieszeni, w której schowała Edwinowego srebrnika. Kieszeń była pusta.

– A to suka – szepnęła i pokręciła głową.

Liz, śmiejąc się do Jeanine, dorzuciła do puli srebrny krążek i rozłożyła w dłoni plik świeżo rozdanych kartoników.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Minęło półtora dnia patrolowania, ćwiczeń, nudy, a przede wszystkim oczekiwania. Oczekiwania na nieuniknione, jak na nadchodzącą zagładę. Napięcie, rozluźniane w zasadzie wyłącznie podczas coraz rzadszych i coraz cichszych partii przy stole, rosło. Zamykało najemnikom usta i burzyło ich spokój.

Alyn spędziła noc na parterze. Na śmierdzącym stęchlizną posłaniu w jednej z wielu ciemnych komnat bez drzwi. Dumała o Guido i jego pudełku. Przypominała sobie wszystkie zamki, które otworzyła w życiu. Wszystkie mechanizmy, które swego czasu podpatrzyła w warsztacie Zakarego. Nie każda szkatułka była zamykana kluczem. Niektóre konstrukcje z dalekiego Cesarstwa Tsukuni, wykonane w całości z drewna, były małymi dziełami sztuki i wymagały przesunięcia kilkudziesięciu elementów w odpowiedniej kolejności, by móc odsłonić ich wnętrze. Bez znajomości kombinacji można było sobie nimi co najwyżej popotrząsać. Pudełko Guido z daleka wyglądało na bardzo proste, było sękate i poobijane na kantach. Trudno było spodziewać się w nim tak skomplikowanego mechanizmu. Ale z drugiej strony o to przecież w tych szkatułkach chodziło. Z daleka nie dostrzegła na nim żadnego otworu na klucz – prawdopodobnie zakrywała go prosta zaślepka.

Konkretne przygotowania zajęły jej niemal cały kolejny dzień. Pozwoliły oddalić myśli od Fel, a tym samym Zakarego i Toryna, który – miała nadzieję – dotarł już do stóp Bhalu Devi i cieszył się kojącym chłodem gór. Imoreńskie popołudnia regularnie sprawdzały jej odporność na ból, więc kiedy zorientowała się, że nikt nie ma nic przeciwko temu, by myszkowała po piwnicy, zgłosiła się do tego, by przygotować ją na przyjęcie Taidańczyków.

Nie, Alyn, nie Taidańczyków. Tylko ich zwłok...

Spędzała tam tyle czasu, ile mogła, nim pełzający nisko przy ziemi smród wyganiał ją na parter albo wyżej, na balkon. Potem jednak wracała jak ofiara zakochana w swym oprawcy. Tam też nabrał kształtów jej plan, do którego zamierzała zaangażować Liz. Podziwiała umiejętności Imorenki, ale jednocześnie bała się ich i wciąż była daleka od zaufania kobiecie. To, o co poprosiła, było trudne, uciążliwe i zdecydowanie niebezpieczne. Prosta odmowa, którą uraczyli ją pozostali najemnicy, była dużo zwyklejsza, dużo bardziej... ludzka niż wysunięta znienacka przez Liz kontrpropozycja.

Wieczorem złodziejka zjadła porcję suszonego mięsa z zapasów Gaela i Guido. Żując słone, głęboko marynowane płaty z zająca, patrzyła na drzwi komnaty, do której miała się włamać. Powtarzała sobie, że Fel, Zakary i Toryn są tego wszystkiego warci. Poza tym robiła gorsze rzeczy. Dużo gorsze.

Wyczekała więc na wieczorną zmianę warty, a kiedy kominek znów zapłonął chudym, bezdymnym płomieniem i rosły najemnik wrócił do swojego pokoju, dała znak siedzącej obok na kanapie Liz i ulotniła się do piwnicy.

Plan był prosty, ale i obarczony sporym ryzykiem, bo też na skomplikowane, bezpieczniejsze manewry

nie było Alyn stać. Po pierwsze, Gael był na zewnątrz, a Jeanine u siebie – oboje byli więc w teorii wyłączeni z interakcji. Edwin siedział w salonie i Liz miała go zgarnąć razem z Guido w drodze do piwnicy pod pretekstem konieczności odsunięcia ciężkiego stojaka z beczkami, który zasłaniał znalezioną przez Alyn dziurę w ścianie. I było to jak najbardziej zgodne z prawdą – podejrzaną wnękę złodziejka zauważyła już podczas pierwszego obchodu podziemi, ale dopiero tego dnia, w spokoju, przyjrzała się jej uważniej. Nie tylko przyjrzała – wcisnęła się w nią, prując sobie co najmniej kilka szwów dżalabii i ocierając absolutnie każde miejsce na ciele, które wciąż odzywało się bólem po wyprawie na Kaim i przez pustynię. Okazało się, że w środku wydrążono ni to komórkę, ni to niedokończony tunel. Był niemal pusty – na ziemi leżało zaledwie kilka czarnych grudek. Alyn podejrzewała, że to węgiel, ale wolała niczego nie dotykać. Gdy zapytała o to Liz, najemniczka wydawała się zaskoczona. Powiedziała, że gdy tylko okazało się, że wino do niczego się nie nadaje, nikt już nie poświęcił nieznośnie śmierdzącej piwnicy większej uwagi.

Ot i urodził się plan. Zanim najemnicy poprzesuwają stojaki, wejdą do środka i dobrze się rozejrzą, powinno minąć wystarczająco dużo czasu, by zdążyła rozprawić się z pudełkiem Guido w jego komnacie. W idealnym świecie znalezisko zajęłoby ich w takim stopniu, że nie chcieliby zastanawiać się nad tym, gdzie jest sama znalazczyni.

Oczywiście plan ledwo trzymał się kupy, ryzyko było tak duże, że gdyby rozważała podjęcie się czegoś podobnego w Saahii, powstrzymaliby ją Toryn i Kai. Ale była Fel dłużna.

Wciąż przecież wszystko miało szansę się powieść, jeżeli Liz udałoby się nakłonić wielkoluda do tego, żeby zostawił szkatułkę u siebie. A w razie kłopotów zawsze było okno i sus w ciemną noc.

*

Okna, okazało się, jednak nie było. Nie wystarczyło najwyraźniej zabić go dechami, ktoś je po prostu zamurował.

Ale oprócz tego wszystko wyglądało nieźle. Do pokoju dostała się szybko, niezauważona. Szkatułkę również znalazła szybko. Była pod poduszką.

Odkrywszy ten fakt, ktoś mógłby uznać, że Guido nie był najmądrzejszym człowiekiem na świecie, ale Alyn miała inną teorię. Blisko siebie trzyma się sekrety związane z najbardziej pamiętnymi wydarzeniami w życiu. Ukochanymi albo znienawidzonymi osobami. A miękkie, wypolerowane drewno skrzynki wskazywało na to, że najemnik nieustannie go dotykał. Chciał mieć z nim stały kontakt. Było to coś zupełnie innego niż głupota czy nawet roztargnienie. I sprawiło, że złodziejka ponownie zakwestionowała swoją decyzję o całym tym popieprzonym przedsięwzięciu.

Czasu miała jednak tylko na jedno zbolałe westchnienie. Następnie przysunęła się z pudełkiem jak najbliżej lichego światła świecy, której, wychodząc, nie zgasił Guido. Obejrzała je dokładnie z każdej strony. Wieczko było nie do ruszenia. Tak jak się spodziewała, zamek ukryty był za prostą drewnianą zasuwką. Za nią zamiast typowej dziurki na klucz widniał jedynie pojedynczy wąski otwór. Był okrągły.

– Oż ty... – mruknęła Alyn i uniosła wysoko brwi.

To nie było dobre. Zamek był pomysłu rowańskiego wynalazcy o długim nazwisku, którego nigdy nie zdołała zapamiętać. Głównym wyróżnikiem mechanizmu było to, że nie potrzebował do otwarcia konkretnego

klucza – wystarczył prosty pręcik o kształcie podobnym do otworu. To była dobra wiadomość. Zła była taka, że w imię zasady „nie czym, ale jak" trzeba było bardzo dobrze wiedzieć, jak owym pręcikiem zakręcić, żeby puściły w środku wszystkie zapadki. Zamki z trójkątnymi i prostokątnymi otworami pozwalały jedynie na skokowy obrót „klucza", co ograniczało maksymalną liczbę kombinacji. Ten, który miała przed sobą, prawdopodobnie obracał się płynnie, wymagając do obsługi (lub złamania) ogromnej precyzji. Z punktu widzenia użytkownika jego największą zaletą było to, że choćby nawet udało się komuś wymusić zdradzenie odpowiedniej kombinacji, wciąż niesamowicie trudno było ją wykorzystać bez uprzedniego nauczenia jej palców.

To zdecydowanie nie było dobre.

Ale wszystko po kolei. Najpierw „klucz". Guido nosił swój cały czas przy sobie, nie było co do tego wątpliwości. Mógł go chować we właściwie dowolnej części garderoby. Nie było sensu go szukać.

Jeszcze raz przyjrzała się otworowi. W przypływie natchnienia zdjęła prawą rękawiczkę i starając się zignorować swędzenie, wzięła do ręki swoje metalowe drapadło. Przyłożyła do pudełka.

– Dupa – mruknęła.

Było zbyt szerokie. Niewiele, dosłownie o ułamek swojej średnicy. Gdyby miała pilnik i pół wieczoru w samotności, byłoby jak znalazł.

Rozejrzała się po pokoju. Był przestronny, ale pusty. Wszystkie elementy wystroju świadczące o tym, że ktoś z niego korzystał, zgromadzono w jednym jego rogu: rozlatujące się łóżko, brudny, postrzępiony dywanik, komódka z brudnym talerzem i świeczką, a nad nimi przewieszony skądinąd pejzaż – tak brzydki i z takimi zaciekami, że nie chcieli go nawet szabrownicy.

Wśród nich było kilka miejsc, które mogły kryć odpowiedni element. Deski komódki i łóżka były zapewne zbite gwoździami przeróżnego sortu, ba, Alyn mogłaby zrobić użytek z drzazg, jeśli dobrze porąbać meble.

Złodziejka parsknęła cicho na tę myśl i przeniosła wzrok wyżej. Na talerzu leżał widelec. Jego ząbki, pominąwszy zalegającą na nich grubą warstwę smalcu, na pierwszy rzut oka miały odpowiedni rozmiar. Ale potrzebowała jednego, a nie trzech skierowanych w tę samą stronę. Mogła je powyginać, ale dopóki miała czas, wolała nie pozostawiać po sobie tak oczywistych śladów.

Przeniosła wzrok na świecę i zamarła, gdy usłyszała cichy jęk gdzieś na zewnątrz. Podobny dźwięk wydały drzwi Jeanine, gdy dwa wieczory wcześniej powitała ją ubrana – a raczej rozebrana – w luźną koszulę.

Pewnie po prostu wyszła do salonu. Albo na zewnątrz, do Gaela.

Alyn wzięła głęboki wdech i chwyciła świecę. Była wąska, a jej wosk śmierdział jak pot, ale najważniejsze, że nabito ją na niewielki stojak. Ostrożnie rozdzieliła oba elementy, ujawniając długi, śliski szpikulec.

Pasował. Na twarzy złodziejki nie zagościł jednak uśmiech tryumfu. Podstawka miała nieregularny kształt i niezmiernie trudno było nią precyzyjnie operować. A jako że Alyn nie chciała pozostawić po sobie plam z wosku, w drugiej dłoni musiała trzymać świecę, która regularnie smarkała na jej palce gorącymi, śmierdzącymi kroplami.

Mimo to wsunęła „klucz" do otworu i powoli przekręciła o pół obrotu w prawo, a potem w lewo. Prawidłowo wykonane ruchy ustawiały zamek w gotowości do wprowadzenia właściwej kombinacji. Na końcu każdego półobrotu złodziejka powinna była poczuć delikatny opór, ale waga i kształt podstawki tłumiły całą

subtelność mechanizmu. Nie miała więc pojęcia, czy zamek był gotowy do otwarcia. Była jednak i dobra wiadomość: podczas drugiego półobrotu wyraźnie słychać było chrobot, który dochodził z wewnątrz zamka. A to znaczyło, że jedna z trzech zapadek blokujących otwarcie wieczka była uszkodzona.

– Ostatnia szansa – szepnęła Alyn i nasadziła świecę z powrotem na stojak, a potem spojrzała na zapaskudzony pejzaż. – Isztar, jeżeli to słyszysz... wiesz, co powinnaś zrobić.

Stanęła na palcach, ostrożnie zdjęła obraz ze ściany i odstawiła. Następnie przeniosła wzrok z powrotem ku górze. Tym razem pozwoliła sobie na uśmiech. Wdrapała się kolanami na komódkę, chwyciła widelec i umieściła dwa jego ząbki między wbitym do połowy gwoździem.

Szarpnęła do siebie i w tym momencie usłyszała huk od strony drzwi.

Zachłysnęła się powietrzem i kilkakrotnie zamachała w powietrzu rękoma, próbując utrzymać równowagę. Wydawało się, że nie spadła na podłogę tylko dzięki czystej sile woli. Albo, jak pomyślała chwilę później, opatrzności pewnej bogini.

Zamarła i spojrzała w stronę drzwi, czując, jak jej serce próbuje się wyczołgać na zewnątrz przez przełyk. Ktoś chciał przed chwilą dostać się do środka, ale powstrzymał go haczyk na skoblu – mizerne zastępstwo zamka, który dawno temu został najwyraźniej wymontowany ze skrzydła. Ów nieznajomy nie zapukał ani nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Tylko wpełzający do środka przez szparę pod drzwiami cień zdradzał, że po chwili stania w bezruchu odszedł.

Czas Alyn definitywnie się kończył.

Ale jeszcze miała szansę. W jedną dłoń chwyciła szkatułkę, w drugą gwóźdź. Wadliwa zapadka oznaczała, że musiała jednocześnie obracać „klucz" oraz pudełko, ale dzięki temu wystarczyło wykonać w zamku dwa, a nie trzy obroty. A choć okrągły kształt otworu w teorii pozwalał na nieskończenie wiele kombinacji, ze względu na konstrukcję samego mechanizmu wytwórcy ograniczali liczbę dozwolonych położeń do kilkudziesięciu. To wciąż było kurewsko dużo.

Ale znacznie mniej niż nieskończoność.

Poza tym, choć bardzo nie chciała tego robić, złodziejka wiedziała, jak otworzyć uszkodzony zamek, niszcząc go. Zdecydowała, że tego rozwiązania użyje w ostateczności. Gdyby przyszło co do czego, łatwiej byłoby jej umknąć w lesie Guido niż Liz, która przynajmniej dostanie, czego chciała. Poza tym była złodziejką, a nie barbarzynką.

Teraz potrzebowała tylko kilku spokojnych dni na rozpracowanie mechanizmu.

– Isztar – szepnęła, poruszając w palcach gwóźdź i starając się zapamiętać wszelkie nieregularności w pracy zamka. Zerknęła na świecę, która była równie dobrą reprezentacją patronki kupców, handlarzy i, jak twierdzili niektórzy, złodziei, jak każda inna. – Ja wiem, że między nami różnie bywało. Tak, zdarzało się, że w gniewie nazywałam cię słowami, jakimi nie przystoi określać bóstw. Zwłaszcza że nie mają jak się odszczeknąć. Ale, Isztar, ty wiesz najlepiej, jak jest. Czasami po prostu inaczej się nie da. Nie da i już. I nigdy cię nie pogłaskałam po cyckach. Ani razu. Ani tam, ani nigdzie indziej. Durniejszego zabobonu w życiu nie widziałam. Tak że wiesz... Jakbyś chciała mi... Hm... – Alyn urwała i przeniosła wzrok na zamek. – Dlaczego zakładałam, że kombinacja Guido musi być szeroka i toporna? Ma wielkie paluchy, ale jeżeli zna ten zamek od lat, jeżeli uczył się nim posługiwać od dawna... Wiesz co, Isztar, chyba tym razem jeszcze dam radę sama.

Chuchnęła na trzymające gwóźdź palce, po czym wstrzymała oddech i zaczęła kręcić. Powoli, jeszcze wolniej.

Ruch na zewnątrz...

Już prawie. Tylko moment.

Stłumiona rozmowa. Nie, kłótnia...

Klik.

– Mam cię.

Czując wzbierającą euforię, Alyn otworzyła wieczko. Zajrzała do środka i zamrugała.

– Co...

Łomot, z jakim skobel odpadł od drzwi i przefrunął przez pół pokoju, sprawił, że złodziejka podskoczyła. Natychmiast zrozumiała, że nie ma dokąd uciekać. Kiedy tylko zauważył ją i otwarte pudełko, Guido doskoczył do Alyn w dwóch susach i chwycił ją za szyję.

Dziewczyna zdążyła zauważyć tylko jego rozmazaną sylwetkę i widok absolutnego zdruzgotania w jego oczach.

– Ty... Ty... – przechodząc przez jego zaciśniętą szczękę, słowa strzykały gniewem i śliną.

– Guido!

Czyjaś głowa pojawiła się w drzwiach.

– Guido, *arré*!

Alyn walczyła o oddech, ale siły szybko odpływały z jej kończyn. Wzrok zasnuła jej ciemna, kłębiąca się mgła. Rozumiała już tylko pojedyncze sylaby.

Ktoś krzyknął jeszcze raz.

Nagle poczuła się nieważka.

A potem wyrżnęła o ziemię pod czyimiś nogami. Wstrząs zarejestrowała podświadomie, ale gdzieś w głębi zdawała sobie sprawę, że za parę chwil będzie bolało. Ktoś pomógł jej wstać i wydostać się na zewnątrz, do światła. Siadła, opierając się plecami o ścianę. Gdy jej wzrok się wyostrzył, zobaczyła Jeanine, która zamknęła za sobą drzwi do pokoju Guido, i patrzyła na stojącego na środku salonu Gaela. Najemnik odwzajemniał jej spojrzenie i kręcił głową.

A potem skierował wzrok na Alyn. Tylko raz widziała takie oczy. Na Kaim.

Tak patrzył na nią Godryk.

Zanim zdążyła wziąć głębszy oddech, stanęli nad nią. Gael i Edwin.

– *Arrée* – powiedziała Liz zza ich pleców.

„Poczekajcie".

Gael odwarknął coś i na powrót przygwoździł złodziejkę wzrokiem do ziemi. Alyn zdążyła tylko zauważyć, jak Liz, oglądając się, kieruje się w stronę wyjścia z salonu. Zrozumiała, że dopiero teraz znalazła się w totalnej dupie.

I wtedy, zagrodziwszy drogę najemniczce, w drzwiach pojawiła się Vaala.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

– Au!

– *Tranquii*, Jeanine!

Alyn zrównała się z blondynką, która potknęła się o korzeń i teraz podskakiwała na jednej nodze, ledwo utrzymując równowagę. Wyciągnęła do niej rękę, ale najemniczka spojrzała tylko chłodno i przyspieszyła, kuśtykając za Guido. To on ją uciszył. Złodziejka wzruszyła ramionami i podążyła za nią.

Wszystko rozegrało się w mgnieniu oka. Gdy tylko Vaala weszła do salonu, błyskawicznie pojawiła się w nim cała ekipa najemników. Ich dowódczyni była wściekła i choć powstrzymała się przed krzykiem, wysyczała po imoreńsku gruby łańcuch reprymend. Alyn domyślała się, o co poszło. Całe to zamieszanie z włamaniem po pudełko Guido bardzo szybko sprowadziło na miejsce wszystkich członków Valangi. Nawet Gaela, który miał akurat pełnić wartę, i tym samym nie dopełnił swoich obowiązków. Właściwie to dopuścił się karygodnego zaniedbania. Skrucha, jaką brodaty mężczyzna przejawiał przed wojowniczką, wiele mówiła o szacunku, jakim ją darzył.

Tyrada Vaali była dosadna, ale krótka. Po zamianie kilku spokojniejszych słów z Gaelem spojrzała z daleka wraz z resztą najemników na stojącą pod ścianą Alyn, a następnie wydała kilka poleceń i wyszła na zewnątrz. Chwilę później przy złodziejce znalazł się Gael. Powiedział tylko jedno słowo: „idziemy". Zamiast gniewu w jego oczach płonęła determinacja. Kilkanaście oddechów później cała siódemka biegła już lasem.

Właściwie nie tyle biegła, co maszerowała. Jedno za drugim – bardzo szybko i bardzo cicho. Na czele, w pewnej odległości od reszty, wynajdując ścieżki, przemykała Liz. Dalej szła Vaala, Guido, Jeanine i Alyn. Pochód zamykali Edwin i Gael.

Był późny wieczór. Złodziejka próbowała zorientować się, dokąd zmierzają, ale nie było momentu, żeby opuścili jednolitą plamę lasu. Zdążyła jedynie zarejestrować, że udają się mniej więcej na południe i ominęli okolice Cobu szerokim łukiem. Odpoczywali w ciszy, ukryci w gęstwinie krzewów. Napili się dwukrotnie przy strumykach tak wąskich, że sama nie zauważyłaby ich, stojąc nad nimi w rozkroku. Gdy noc zapadła na dobre, zatrzymali się na skraju polany, na której – pomiędzy liśćmi – Alyn wypatrzyła niewielką, oświetloną światłem księżyca chatynkę. Udali się do niej tylko Gael i Liz. Wrócili tak samo, jak zniknęli – szybko i bezszelestnie. Tuż przed wyruszeniem w dalszą drogę ktoś wcisnął jej w dłoń tłusty kawałek przyprawionej wędliny. Alyn pochłonęła go, zanim jej żołądek zdążył przypomnieć sobie o głodzie i zwrócić uwagę wszystkich w okolicy swoim burczeniem. Chwilę potem usłyszała przed sobą cichy szelest. Najemnicy podjęli marsz.

Zapowiadała się długa noc.

*

Pozwolili jej przysnąć, gdy księżyc zniknął już z pola widzenia i bardzo niemrawo zaczęło się przejaśniać. Spała krótko i niespokojnie, w majakach sennych przed oczami przemykały jej niewyraźne kształty to Żółwia, to Godryka. Obudziła się obolała i zmarznięta. A w zasadzie obudził ją dźwięk. Odległy tętent. Gdy przetarła i otworzyła szerzej załzawione oczy, nad sobą dojrzała gwieździstą przerwę we wszechogarniającej czerni lasu. Zrozumiała – zatrzymali się tuż przy trakcie.

I przygotowali zasadzkę.

Jeździec nie zauważyłby go nawet, gdyby się bacznie rozglądał. Guido – Alyn poznała go po postawnej sylwetce – z potężną siłą wbił nóż w szyję konia, gdy ten mijał go, niosąc galopem kuriera. Zwierzę wydało z siebie przeciągły, chrapliwy jęk, po czym ugięły się pod nim nogi i zaryło brzuchem po ziemi. Zaskoczony mężczyzna zleciał z grzbietu plecami na twarde i zachłysnął się powietrzem. Takiego właśnie, rozpaczliwie walczącego o oddech, chwyciła go za fraki Vaala i pociągnęła po trawie i liściach w głąb lasu.

W tym momencie Alyn była już trzeźwa jak po czarce kawy z kramu Ikajaba na saahijskim rynku. I głęboko tego żałowała, bo wyobraźnia nazbyt żywo podpowiadała jej, co się zaraz stanie. Nawet gdyby nie chciała o tym wiedzieć, nawet gdyby nie chciała w tym uczestniczyć, głos niósł się w leśnej ciszy jak po tafli wody. Gdy skończyło się szuranie liści, rozległ się odgłos szeptów i jęków. Nie było od tego ucieczki. Nie chciała uciekać. W tej chwili była jednym z nich. Jednym z żołnierzy, którzy znaleźli się na wojnie. Była im to winna.

Gdy nagle echo poniosło między drzewami głośny, suchy trzask i stłumiony jęk, Alyn zgrzytnęła zębami i na całym ciele poczuła dreszcze. Chciała wierzyć, że to była gałąź.

Ale to nie była gałąź.

O tym, że Liz przykucnęła tuż za nią, zorientowała się dopiero, gdy poczuła na włosach jej oddech.

– Tak być musi – usłyszała półszept najemniczki tuż przy uchu.

– Isztar... – szepnęła złodziejka. Roztarła ręce ni to dla otuchy, ni to aby oddalić nieco poczucie dojmującego porannego chłodu.

– Och, tak... Isztar. Słyszałam. Ale tutaj nie jej ziemie. Nie jej sprawa.

Alyn poczuła ukłucie gniewu.

– O, tak? A gdzie jest? Tam, w Seine? W pokoju Guido?

– Wiesz...

– Jak ja mu teraz spojrzę w oczy? Chcesz wiedzieć, co było w jego szkatułce? Chcesz wiedzieć? Bo wydaje mi się, że nie zasługujesz. Ty i twoje kaprysy. Wiedziałaś, że to się tak skończy, prawda?

– Tak.

Alyn wstrzymała oddech. Nie spodziewała się tego. Nie tak naprawdę.

– Guido – podjęła najemniczka – nie powie tego tobie, bo nie chce i nie umie, ale zrobiłaś na nim wrażenie.

– Ale... Pudełko.

Złodziejka przywołała w pamięci obraz oświetlonego rozedrganym płomieniem świecy wnętrza szkatułki. Nie od razu rozpoznała ten przedmiot, ale teraz była tego pewna – wciśnięty między drewniane ścianki leżał jasny dziecięcy kapturek.

– To szmatka jego brata – kontynuowała Liz niewzruszona. – Z czasów, gdy był mały.

– Co się z nim stało?

– Nic.

– Liz...

– Nic. Żyje. Daleko na południu. Szczęśliwie ponoć.

– To dlaczego...

Alyn przerwała na dźwięk stłumionego śmiechu najemniczki. W tej chwili miała ochotę walnąć ją w gębę. W tej jednej, konkretnej chwili nie bała się jej ani trochę. Miała dług wobec Guido i Liz pomoże jej go uregulować.

Z oddali dobiegł kolejny trzask. Tym razem cichy, stłumiony. Jak chrupot. I znów wszystko ucichło. Złodziejce natychmiast zrobiło się niedobrze.

A potem zza pobliskich drzew wyłonił się Gael i podszedł do Alyn. Z jakiegoś powodu zwróciła uwagę na jego dłonie, czarniejsze w mroku od reszty ciała. I na to, że nie miał na nadgarstku swej bransolety.

– Chodź – powiedział, po czym, nie czekając na nią, wrócił po swoich śladach.

Zaprowadził ją na miejsce przesłuchania. I kaźni. Kurier leżał pod drzewem, jego twarz zakryta była gałęziami i liśćmi, spod których wystawały pojedyncze strąki kręconych włosów. Na ich widok Alyn nerwowo przełknęła ślinę. Były rude.

Złodziejka postanowiła dołożyć wszelkich starań, żeby na niego nie patrzeć. Nie dlatego, że brzydziła się trupów. Jedynie tego, że, gdy na nią spojrzy, przybierze twarz Jakoba de Witta.

Albo Toryna.

Dlatego skierowała wzrok na ostatnią z obecnych osób. Widok zamyślonego oblicza Vaali w niemrawej poświacie poranka zaskakiwał. Pahaadka miała łagodne rysy twarzy, rumieniec wysiłku na jej pełnych policzkach kontrastował z czernią krwi, którą ścierała właśnie liśćmi z palców. Asymetria jej fryzury, która niemal pół głowy pozostawiała gładką, nadawała jej w ciemności niepokojącego, demonicznego wyrazu.

– Siadaj – rozkazał Gael i poczekał, aż Zakkanka umości się przy kucającej Vaali, po czym sam przyklęknął. Odezwał się dopiero, gdy wojowniczka skinęła przyzwalająco. – Z południa przyszedł rozkaz przechwycenia korespondencji wojskowej Taidańczyków. Po to tu jesteśmy. Głęboko na terenie wroga, jeśli jeszcze się nie zorientowałaś. Problem w tym, że kurier, którego złapaliśmy, jechał nie w tę stronę, co trzeba. Wszystko, co miał, zostawił w obozie. Po prostu wracał do domu. Co więcej, zarzekał się, że był ostatnim na jakiś czas. Postanowiliśmy – tu spojrzał na Vaalę, która z kolei nie spuszczała oczu z Alyn – mu uwierzyć i zmienić plany. Mówisz, że byłaś tam, w obozie Taidańczyków. Potrzebujemy dowiedzieć się wszystkiego, co pamiętasz.

– Trzymają tam...

– Wiemy.

Surowy ton Vaali ułatwił złodziejce zrozumienie jej silnie zabarwionego pahaadzkim akcentem zakkańskiego. Ale bynajmniej nie dodał otuchy.

– Nie mogę nic obiecać, ale być może uda nam się wydostać twoją przyjaciółkę.

„Towarzyszkę”, pomyślała Alyn, ale powstrzymała się przed komentarzem. Czy dla zwykłej towarzyszki włamywałaby się do pokoju w samym środku kryjówki najemników? Spojrzała w oczy wojowniczki. Z „nie mogę nic obiecać” też da się żyć...

Opowiedziała o wszystkim, o czym pamiętała. Gael tłumaczył to, czego nie rozumiała Vaala. Pahaadka dopytywała o pojedyncze szczegóły i w zamyśleniu kiwała głową. Nie wyglądała na zdziwioną, nawet gdy dowiedziała się o taidańskim łowczym, który na dobrą sprawę wyglądał jak jej krajan z dziada pradziada. Przez całą odprawę, która nastąpiła chwilę później wraz z resztą najemników, Alyn zastanawiała się, kto z ich dwójki wyszedłby górą w bezpośrednim starciu. I czy się znali.

Wolała myśleć o tym niż o samobójczym planie, w który chciał ją zaangażować Gael.

*

Gdy zasunęła się za nią płachta wejścia do namiotu, Fel zrobiła trzy kroki i przystanęła. Aby nie upaść, pochyliła się i oparła dłonie o kolana. Pociągnęła głośno nosem i z ulgą przywitała powiew wieczornej bryzy.

Pilnujący ją strażnik był tuż obok, ale nie zbliżył się. Reynauld nauczył go, że kiedy potrzebowała chwili dla siebie, miał jej ową chwilę zapewnić. Nawet jeśli ta chwila miała się odbyć na środku najruchliwszego placu, pełnego zbrojnych i żołnierzy zaplecza.

Dziewczyna otarła łzę, która zebrała się w kąciku jej prawego oka. Nie pamiętała, kiedy ostatnim razem płakała tak bardzo. W takim poniżeniu. Ale jednocześnie z taką uwalniającą mocą. Jej uda, pośladki i dolna część pleców były jedną pulsującą masą ciepła i mrowienia. Ból już odpłynął. Pozostało...

No właśnie. Co?

Pociągnęła jeszcze raz nosem i wyprostowała się.

– Idziemy – zakomenderowała wyuczonym tonem dowódcy garnizonu.

Zauważyła, że były momenty, gdy ją bił lub chłostał, w których czuła, że jeżeli jest w stanie znieść ten ból, może dokonać wszystkiego. Ale potem wracał wstyd. A wraz z nim pragnienie tego, by wypatroszyć swojego oprawcę, majora audytora taidańskich wojsk, gołymi rękoma.

Poszli dobrze już jej znaną ścieżką. Najpierw obok gromadki namiotów oficerskich, a potem między kuchnią a lazaretem. Z początku nienawidziła zapachów dobywających się z pękatego czarnego gara, który stale buzował parą na małym ogniu. Przez pierwsze dwa dni dałaby wszystko, by podkraść choć łyk pachnącego ziołami wywaru z dziczyzny. Gdy zorientowała się jednak, że dwójka kucharzy na zmianę dorzuca do niego tylko coraz starsze ochłapy i zalewa wiadrami wody ze strumienia, nie trudząc się nawet, by go w międzyczasie wyczyścić, poczuła się lepiej z lichą dietą jeńców, której składników nie znała. Zwłaszcza że Imoreńczycy – dopóki jeszcze zamykano ją z nimi – całkiem ochoczo dzielili się z nią swoimi racjami.

Po drugiej stronie ścieżki, pod szerokim dachem wspartym na równo ociosanych gałęziach, czekały na rannych rozłożone na trawie posłania. Jeszcze puste. Taka to wojna, zdawały się mówić. Skoro już przyszła, to w którymś momencie pokaże swoją wredną mordę. I Taidańczycy wyglądali na gotowych na każdą ewentualność. Mimo to żaden z żołnierzy, którzy codziennie dziesiątki razy przechodzili obok lazaretu, nawet na niego nie zerkał z przesądnej obawy o sprowadzenie na siebie nieszczęścia. Fel za to za każdym razem wyobrażała sobie stłoczoną tam masę zakrwawionych, dogorywających ciał jej ciemiężycieli. Bardzo chętnie by

wtedy na nich popatrzyła. Ale jak na razie napotkała wyłącznie wzrok jedynego rannego w obozie, który akurat pojawił się na zmianę opatrunku.

Løc próbował poruszać ramieniem, w którym kilka dni wcześniej utkwił bełt wystrzelony przez Alyn. Wyglądało na to, że zabiegi lekarzy zapobiegły zakażeniu rany. Ale zdruzgotanie i wściekłość, które na przemian malowały się na twarzy potężnego mężczyzny, zdradzały, że spustoszenia były naprawdę duże. Fel odwróciła wzrok. Życzyła w duchu złodziejce, by nigdy nie miała okazji zostać z nim sam na sam.

Dwa zakręty dalej rozwinął się przed nią ostatni odcinek ścieżki wiodący do zagrody dla kobiet i dzieci, do której przeniesiono ją wreszcie tego poranka. Areszt wciąż stanowił jedną z granic obozu, ale od kiedy ją złapano, pilnowało go dwa razy więcej strażników. I każdy z nich codziennie, w ten czy inny sposób, dawał Zakkance do zrozumienia, jak bardzo nienawidzi tych dodatkowych obowiązków.

Z zamyślenia wybił Fel skrzek wysoko w koronach drzew. Ku wielkiej satysfakcji dziewczyny jej cudowronek codziennie uprzykrzał życie żołnierzom, niemiłosiernie drąc dziób. Była to cokolwiek gorzka pociecha. Wiedziała, że Ifiko tęskni, ale nie pozwalała jej na to, by przylatywała do zagrody. Z biegiem czasu irytujące odgłosy sprawiły, że kilku Taidańczyków zasadziło się na ptaka z łukami i kuszami, ale Reynauld szybko doprowadził ich do porządku.

Dziś jednak było inaczej.

Nie od razu usłyszała zmianę w tonie, z jakim Ifiko jęła raczyć wszystkich wokół swoją pieśnią. Skrzek był wyższy, głośniejszy i urywany. Drżał. Fel poczuła, jak przyspiesza jej puls, choć nie wiedziała w zasadzie dlaczego. Nigdy nie udało się jej wytresować swojego zwierzątka. Nigdy tak naprawdę nie rozpięła się między obojgiem nić porozumienia. Ich więź była dużo luźniejsza, dużo bardziej, powiedziałbyś, partnerska. Ifiko w każdej chwili mogła sobie odlecieć. Robiła to już nie raz. Ale wydawało się, że ceni sobie towarzystwo śniadej tancerki z saahijskich ulic. W jej ptasim sensie Fel była dla niej w jakiś sposób ważna. Tak przynajmniej czuła dziewczyna. „Czuła", bo Ifiko nigdy nie próbowała nawet w ten czy inny sposób z nią rozmawiać. Nigdy.

Dziś jednak było inaczej.

– Janno – powiedziała Fel po imoreńsku, gdy odwróciła się w stronę eskortującego ją żołnierza. – Janno, prawda?

Gdy dostrzegła błysk zaskoczenia w jego oku, natarła:

– Potrzebuję do toalety.

To było bardzo wbrew przepisom. Ale gdy chciała, potrafiła być niezwykle przekonująca. Miała nadzieję, że mimo półmroku jej napuchnięte od płaczu oczy wciąż były dobrze widoczne.

– Daj zbolałej dziewczynie zrobić chociaż siku, zanim znowu mnie z nimi zamkniesz. Nie cierpię tych bab.

Janno – najmłodszy podoficer, jakiego widziała, ale też po prostu piegowaty czarnowłosy chłopak – przez chwilę wydawał się kalkulować w głowie swoje opcje. Wiedząc, że same jej słowa mogą nie wystarczyć, by przechylić szalę na jej korzyść, Fel wzruszyła ramionami i skręciła w lewo. Wprost ku ścieżce wiodącej do latryn. Żołnierz zawahał się, ale nie zatrzymał jej.

Tym razem pozwoli jej mieć swój kaprys, ale wiedziała, że jeszcze za to zapłaci. Zagrała najmocniejszą kartą, jaką miała od dawna. Jeżeli nic się nie wydarzy, pomyślała, wyjdzie bardzo, ale to bardzo głupio.

*

– Widziałeś? – szepnęła Alyn.

– Widziałem – odpowiedział Gael – ale nie zrobimy nic, dopóki Liz nie będzie gotowa.

Złodziejka zmełła w ustach przekleństwo. Plan był szalony. Dziki. Cały rozsądek, który pozostał jej jeszcze po wyprawie na Kaim, ostrzegał ją przed przyłączeniem się do tego, co Valanga zamierzała zgotować Taidańczykom. I sobie. Ale w tej jednej chwili, gdy zauważyła zmierzającą w kierunku półotwartej drewnianej klitki Fel, poczuła, że los wyszczerzył się do niej w uśmiechu wszystkimi kłami.

Obóz chroniony był szczelniej niż żeńskie piętra w rowańskich sierocińcach. Z każdej strony krążyły patrole, straż stała również u trzech głównych wejść na polanę. Przedostanie się na odległość strzału wymagało doskonałego zgrania w czasie, a także nieludzkiej cierpliwości i zwinności. Ale udało się. A przynajmniej wskazywał na to brak alarmów po tym, jak ekipa rozdzieliła się wczesnym popołudniem. Vaala i Guido obeszli obóz od południa i czekali, niedaleko zagród dla jeńców. Alyn i Gael podpełzli od wschodu. Liz z Edwinem mieli zacząć wszystko z północy. Zachodni śmierdzący cypel drzew, który nadawał polanie kształt półksiężyca, nauczeni opowieścią Alyn najemnicy ominęli szerokim łukiem.

Złodziejka wbiła wzrok w widniejący w oddali kontur latryny. Leżąc w listowiu, miała znakomity widok na szparę pomiędzy ścianą a ziemią – i obie stopy Fel, która najwyraźniej załatwiała swoje potrzeby na wprost eskortującego ją żołnierza. Ten zaś rozglądał się niespokojnie, jakby wiedział, że coś się kroi. Jakby przeczuwał, że lada chwila...

Ale nic się nie działo.

– Nic się nie dzieje – szepnęła znów złodziejka.

Gael nie zaszczycił jej komentarza nawet skinięciem. Alyn zmarszczyła brwi. Wiedziała, co siedzi w jego głowie. Nie był zachwycony jej prośbą, Fel była dla niego tylko komplikacją. Ale dziewczyna za chwilę miała wrócić do obozu i zniknąć w masie ciał, a złodziejka – mając ją niemal na wyciągnięcie ręki – nie mogła z tym nic zrobić. Tylko liczyć oddechy, podczas gdy serce biło jej coraz ciężej i głośniej, a chwila przeciągała się w nieskończoność.

Aż w końcu Fel podniosła się, poprawiła ubranie i powoli wyszła na zewnątrz. Żołnierz natychmiast chwycił ją za nadgarstek. Widząc to, Alyn miała ochotę wyć.

Ale to ktoś inny wydał z siebie przeciągły skowyt. Gdzieś daleko na północy. Moment później zabrzmiało tak, jakby ktoś z ogromnym entuzjazmem zaczął wymachiwać sercem okrętowego dzwonu.

– Alarm – potwierdził spokojnie Gael.

Choć jej nogi rwały się do biegu, złodziejka pozostała wraz najemnikiem w bezruchu. Jeszcze za wcześnie. Jeszcze nie teraz.

I wtedy zauważyła je. Spomiędzy krzewów na granicy obozu wyłoniły się białe jęzory dymu. Sunęły tuż przy ziemi pchane powiewami północnego wiatru. W pewnej odległości za nimi namioty i drzewa jedno po drugim połykała ściana mgły.

– O w dupę.

– Tak – przyznał Gael – zadziałało.

Edwin zarzekał się, że pomysł był przez niego wielokrotnie przetestowany, ale na poparcie miał tylko słowa Jeanine, z którą najwyraźniej znał się dłużej niż z resztą. Vaali to wystarczyło. W ramach testu użył żywicy czereśniawki, którą do własnych, jak powiedział, celów zgromadził dzień wcześniej z tych kilku ledwo żywych pni pozostałych po sadzie na zboczu Seine. Gdy połączył ją z odrobiną swojego alkoholu, otrzymał gęstą czarną substancję. Wystarczyły dwie krople, które umieścił w dziupli pobliskiego drzewa, i krótka zabawa z krzesiwem, by maź zajęła się niebieskim płomieniem i natychmiast zaczęła wydzielać kłęby gryzącego dymu. Trzeba było ją gasić wilgotną koszulą, bo w przeciwnym razie ogień wgryzłby się w drewno i pochłonął pień, a w następstwie zapewne pół lasu – wraz z ich ówczesną kryjówką. Mieli swoją zasłonę dymną. Drażniącą, cuchnącą i wyduszającą powietrze z płuc. Zapewne bliżej jej było do pełnoprawnego środka bojowego.

Gdy tylko poczuła swąd, Alyn nasunęła na nos wilgotną chustę. Znalazła spojrzeniem wzrok Gaela. Najemnik skinął.

Teraz.

Wystrzeliła z miejsca niczym saahijski rabuś portowy. Wiedziała, że nie powinna była nabierać zbyt głębokich haustów powietrza, ale nic nie było w tej chwili ważniejsze niż Fel. Gael, miała nadzieję, był tuż za nią.

Gdy dobiegła na miejsce, Zakkanka i pilnujący jej żołnierz byli już tylko sylwetkami zatopionymi w umazanych rozproszonym światłem pochodni kłębach dymu. Mężczyzna do samego końca nie zauważył pędzącej w jego kierunku rudej dziewczyny. Ta zaś nawet nie zwolniła, tylko wbiła się barkiem w jego ciało. Chłopak zawył, rozpaczliwie zamachał rękami w powietrzu i popędził przed siebie, próbując zachować równowagę. Pchnięcie zaprowadziło go wprost na płot, za którym natychmiast zniknął, wykonawszy malowniczego fikołka.

Gdy Alyn chwyciła zdezorientowaną Fel za rękę, tuż przed nimi przebiegło dwóch Taidańczyków, kierując się do obozu. Niczego nie zauważyli.

– Mam ją, Gael! – krzyknęła złodziejka, nieco zbyt głośno, w stronę najemnika, który nadbiegł truchtem od strony lasu. Następnie odwróciła się do Fel i dodała ciszej: – Hej, wszystko w porządku? To ja.

– Wiedziałam... – odrzekła Fel, ni to uradowana, ni to zamyślona. – Kurwa, wiedziałam!

– Zabieram ją na miejsce zbiórki! Powodzenia, Gael!

Najemnik przytaknął, po czym nagle chwycił Fel za ramię i odwrócił ją do siebie.

– Poczekaj – powiedział. – Byłaś na zewnątrz zagrody. Widziałaś obóz od środka?

Do chóru okrzyków i rozkazów dochodzących z głębi chmury dołączyło kilka kolejnych dzwonów. Alyn zastanawiała się, czy Edwin faktycznie nie podpalił przypadkiem całego lasu. Fel wydawała się w ogóle nieprzejęta sytuacją.

– Widziałam. Kogo szukacie?

– Fel... – jęknęła Alyn.

– Kurierów, namiotów logistyki i dowództwa. Listów, rozkazów...

– Za mną. Trzymajcie się blisko!

Złodziejka zdążyła tylko zarejestrować, jak Fel mruga do niej, a w następnym momencie rusza biegiem

z powrotem w rozwarte, rozszczekane paszcze Chartów Abla. Nie namyślając się długo, wraz z Gaelem popędziła jej tropem.

Bardzo szybko okazało się, że obsada garnizonu była doskonale wyszkolona i przygotowana – przynajmniej na zaprószony przez wrogów pożar. Czujni strażnicy zauważyli intruzów niemal od razu po tym, jak ci przekroczyli granicę obozu. Fel natychmiast skręciła w prawo, na północ, kierując się tam, gdzie dym był najgęstszy. Poprowadziła ich wąskim przesmykiem pomiędzy płotem a namiotami. Alyn zaklęła, gdy cudem wywinęła się strażnikowi, któremu udało się ją chwycić za rękaw. Jeżeli plan Vaali nie był samobójstwem, to tego rodzaju improwizacje na pewno nim były. Wystarczyło, aby ktoś zaszedł im teraz drogę, i zostaliby uwięzieni. Chociażby jeden człowiek. Ale pędziła. Pędziła ile sił.

Wieść o intruzach podróżowała, wydawało się, na równi z nimi. Gdy po lewej skończyły się namioty, Fel odbiła ostro w kierunku centrum obozu, korzystając z mniejszej ilości światła i jeszcze gęstszego dymu. To jakiś nieludzki pomiot, sarknęła w myślach Alyn, starając się nie zgubić pleców Gaela. Nic dziwnego, że zwróciła uwagę Kai. Na ulicach Saahii mogłaby mi dawać lekcje.

Przemierzyli szeroką ścieżkę i znów znaleźli się między namiotami. Tu zgiełk wybrzmiewał głośniej i ze wszystkich stron, ale wydawał się ich nie dotyczyć. Zatrzymali się, a potem przysiedli, sapiąc. Wcisnęli się między beczki ustawione przy największym namiocie, jaki tu widzieli. Gael zajrzał do jednej z nich, po czym uciął nożem kawałek rękawa Fel, zanurzył w beczce i oddał dziewczynie.

– Zawiąż to sobie wokół głowy. Oddychaj przez to – powiedział.

Fel wykonała polecenie bez słowa, po czym wskazała przed siebie.

– Listy są t...

Spomiędzy płacht namiotu wystrzeliła potężna dłoń, która złapała ją za kołnierz i wciągnęła do środka. Gael natychmiast rzucił się ku ziejącemu czernią otworowi. W jego dłoni znikąd pojawił się nóż. Alyn nawet nie drgnęła.

Przez moment ze środka było słychać tylko szuranie i oddechy. Chwila zdawała się dłużyć w nieskończoność, aż w końcu z dziury wychynęła głowa Fel. Złodziejka dopadła do niej i pomogła wydostać się na zewnątrz. Obie drżały.

– Gael go zatrzyma – wysapała w końcu Fel.

– Kogo?

– Musimy iść!

– Jesteś pewna?

– Chodź!

Tym razem Fel ruszyła sporo wolniej. Wyglądała na wstrząśniętą do głębi, ale Alyn nie chciała jej zatrzymywać. Była dziewczyną od Kai. Nie było mowy, żeby nie dała sobie rady.

– Biegną nie tam, gdzie trzeba – zauważyła Fel, gdy przystanęła po niedługim marszu i wychyliła się zza ściany kolejnego sporego namiotu.

– Pewnie do zagród – odrzekła Alyn. Już dawno straciła orientację w dymie, ciemności, hałasie i smrodzie. – Vaala i Guido robią tam małą dywersję.

– Małą? Pół garnizonu tam biegnie.

– To znaczy, że udało się uwolnić część Imoreńczyków. To powinno zająć obsadę na jakiś czas. Fel, ten, który złapał cię za kołnierz. Czy Gael...

– Nie wiem. Nie mamy na to czasu. Chcesz te papiery czy nie?

– Chcę.

– To już tutaj. – Fel machnęła ręką w kierunku wyrastającej przed nimi płachty. – Masz mój gimlet?

Złodziejka westchnęła, ale w następnej chwili wyciągnęła sztylet i podała go dziewczynie. Udała przed sobą, że nie widzi uśmiechu, jaki zagościł na jej twarzy.

Fel cofnęła się o kilka kroków, pomacała chwilę materiał, po czym wbiła w niego ostrze i kilkoma szarpnięciami wyrżnęła w nim niewielką dziurę. Pomarańczowa poświata, która jaśniała wewnątrz, zdradzała, że ktoś zostawił w środku zapalone świece.

Przecisnęły się do środka. Tu również widać i czuć było dym, ale w dużo mniej wykręcającym wnętrzności na wierzch stopniu niż na zewnątrz. Alyn rozejrzała się uważnie. Przestronny namiot gościł na co dzień najwyraźniej tylko jedną osobę. Schludny przepych i solidne biurko ustawione naprzeciw wejścia wskazywały na to, że był to ktoś na kluczowym stanowisku. Zdecydowanie nie chciały zostać przyłapane na przeczesywaniu kwatery owej osoby. Ale Fel wydawała się wiedzieć, gdzie i czego szukać.

– To się porobiło, co? – Zakkanka zaśmiała się nerwowo, zgarniając z blatu powyciągane z szuflad papiery, gdy złodziejka podeszła do biurka. – To, czego szukają najemnicy, jest gdzieś tutaj.

– Tak – odrzekła Alyn, kiedy przyjrzała się pierwszemu lepszemu listowi. – Nawet nie chcę wiedzieć, skąd miałaś pojęcie, gdzie tego szukać, Fel. Naprawdę.

– Co potem?

– Nie rozumiem.

– Co będzie potem? Po tym wszystkim?

– Mam plan, będzie dobrze. Gael... Hm, Gael...

Na krótką chwilę zapadła cisza.

– Musimy stąd iść – powiedziała wreszcie Fel.

– Ładuj pod ubranie – rozkazała Alyn, starając się ukryć drżenie głosu. – Ładuj wszystko i zabieramy się stąd.

W tej chwili płachta w wejściu do namiotu załopotała i wpadł przez nią uzbrojony Taidańczyk. Obie wbiły wzrok w intruza i zamarły w pół ruchu. Oświetlone migotliwymi płomieniami były doskonale widoczne. Gdy tylko podniósł się z ziemi, żołnierz wytrzeszczył w ich kierunku oczy. Alyn natychmiast chwyciła najbliższą świecę, gotowa rzucić jej podstawką w stronę mężczyzny, ale kolejny łopot odwrócił uwagę wszystkich trojga. W następnej chwili ktoś z rozpędem pchnął Taidańczyka, który zrobił dwa koślawe kroki do przodu, po czym padł tuż przed biurkiem. Jego plecy zdobiła ciemna, wilgotna plama.

– *O, malapeste*! – wykrzyknął napastnik, gdy ujrzał Alyn i Fel. – *Que conho voce facitu aqui?!*

– Edwin?!

Zdyszany najemnik przytaknął. Poprawił pokrzywione oprawki okularów i wytarł nóż o nogawkę. Skinął na wystające obu dziewczynom zza kołnierza papiery.

– Mamy wszystko – powiedziała Fel po imoreńsku. – Którędy teraz?

– *Siga a me*.

Mężczyzna przywołał je gestem i wrócił do wejścia.

– Tędy!

Fel wskazała na własnoręcznie wyciętą dziurę. Edwin spojrzał na nią, pokręcił głową i wykonał gest, który mógł znaczyć wszystko. W następnej chwili wyszedł na zewnątrz, a spomiędzy łopoczących płacht buchnął do środka kolejny kłąb dymu. Alyn podążyła za Fel przez otwór w ścianie namiotu i rozejrzała się na zewnątrz. Było już jednak zbyt ciemno, by cokolwiek dojrzeć – światło pochodni rozpływało się we mgle przede wszystkim w południowej części obozu. Było również wyraźnie ciszej.

Edwin wyłonił się z dymu tuż przed nimi. W milczeniu wskazał im drogę i ruszył przodem. Słysząc, jak cała szeleści schowanymi za pazuchą papierami, Alyn z ulgą przywitała wizję opuszczenia wreszcie tego miejsca. Cała ta akcja to był fatalny pomysł. Czuła się jak pozbawiona skrzydeł mucha złapana w kręgu, którego granice ktoś wysmarował miodem. Było jej jednocześnie zimno i gorąco, a na domiar złego znów zaczęła się odzywać tajemnicza choroba z Kaim.

– Dasz radę, *vaika* – szepnęła do siebie i uśmiechnęła się na myśl o wciąż niedokończonych porachunkach z Szaloną Margo. To zagłuszyło nieco ból. – Zrobisz to. Ta suka jeszcze o tobie usłyszy.

Nie była w stanie sobie wyobrazić, co Fel czuła przez cały ten czas, gdy ją tu trzymano. I nie wiedziała, czy kiedykolwiek ją o to zapyta.

O tym, że ich trójka jest śledzona, zdała sobie sprawę instynktownie, kiedy usłyszała za sobą dokładną kopię dźwięku, który wydały jej stopy, gdy przebiegała po wieku przewróconej skrzyni. Edwin też to usłyszał i natychmiast zmienił kierunek biegu. Alyn podążyła za nim, obserwując, jak najemnik wyciąga z kieszeni coś, co wygląda na małą fiolkę. Przebiegli tuż obok paleniska, nad którym ktoś pozostawił buzujący parą garnek. Złodziejka poczuła ulgę. W każdym garnizonie, nie tylko taidańskim, bardzo poważnie traktowano zagrożenie pożarowe. Do zabaw z ogniem wydzielone były osobne strefy na obrzeżach. A więc byli już niedaleko.

Edwin w ostatniej chwili cisnął naczynko w żar i w jednej chwili rozległ się trzask pęknięcia i głośny syk, a okolicę za ich plecami spowiła kolejna gęsta chmura dymu.

Żryjcie to, Charty, pomyślała Alyn, po czym odwróciła głowę w stronę najemnika...

...i w tym momencie czas spowolnił do tempa, z jakim w kaganku wypala się knot. Widziała wszystko wyraźnie. Schowane za szkłami oczy nie szczypały jej od dymu, wzrok miała czujny i skupiony. Najpierw z mgły wyłonił się cień trzymającej długą szablę ręki, a potem tułów i reszta ciała. Należały do bladego, wysokiego mężczyzny, którego po raz pierwszy zobaczyła z oddali te kilka dni temu, gdy trafiła tu wraz z Fel.

Ostrze poszybowało błyskawicznie i w prostej linii. Przeszyło szyję Edwina aż do kości. Ciało najemnika poleciało jeszcze z rozpędem do przodu, po czym uderzyło głucho o ziemię i zamarło w bezruchu tuż przed nadbiegającymi kobietami.

– Taya! – krzyknął szermierz, gdy poznał Fel.

Dziewczyna zwolniła, ale Alyn, widząc jedyne wyjście w szarej plamie, którą pozostawiła po sobie fiolka Edwina, natychmiast chwyciła ją za nadgarstek i pociągnęła okrężną drogą z powrotem.

– Szybko! – wysapała złodziejka w stronę dziewczyny. – Nie oglądaj się!

– Wracaj tu! Natychmiast! – mężczyzna ryknął za ich plecami po imoreńsku, po czym wyszczekał serię rozkazów w języku Taidańczyków.

Jej koniec zagłuszyło przerażające wycie, na którego dźwięk – ignorując swoją własną radę – Alyn odwróciła głowę. Zanim dym na powrót przesłonił jej cały widok, dojrzała tylko potężny cień, który spadł na zaskoczonych żołnierzy jak lawina.

– Vaala... – szepnęła złodziejka.

Ale jej głos uleciał w szeleście rozgarnianych liści i trzasku łamanych gałęzi. W następnej chwili w jej nozdrza z pełną prędkością wbił się smród odchodów. I nigdy... Nigdy nie spodziewała się, że kiedykolwiek przywita go z taką ulgą.

Była poza granicami. Biegła przed siebie. Biegła na złamanie karku, trzymając się nadziei i dłoni, którą ściskała tak, jakby puszczenie jej oznaczało zagładę dla całego Zakkanu. Dla całego Rowan. Brakowało jej tchu, w jej żyłach buzował płynny ogień i czuła, że jeszcze moment i padnie nieprzytomna. Zaczęła już mieć omamy – tuż obok niej w mroku nocy mignęła sylwetka pochylonego wielkoluda. Wysoko między liśćmi świeciło szeroko rozwarte oko księżyca. Las wokół niej zaczął pochylać w ciekawości swe pnie i przeraźliwie skrzeczeć.

A potem, w jednej chwili, wszystko zamilkło. Dół przestał być dołem, a góra górą. Ktoś lub coś pociągnęło jej ramię. Za ramieniem podążył tułów. W plecy uderzył ją mech. Nad jej głową rozpostarł się czarny most zwalonego pnia. Świat zatrzymał się w pół kroku.

Leżała tak chwilę w bezruchu. Oddychając. Chłonąc słodycz wolnego od dymu i smrodu powietrza. Odwróciła głowę. Z wielką uwagą i troską patrzyły na nią znajome oczy. Twarz wokół nich była umazana krwią, włosy zlepione w twarde, błyszczące się zawijasy.

– Będą szukać – powiedziała twarz – ale tu nas nie znajdą. Wszystko w porządku?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Na wspomnienie widoku sprzed dosłownie kilku chwil (a może minęły już miesiące?) w jej oczach zebrały się łzy.

– Co z... – wychrypiała po kilku chwilach, gdy jej przełyk na powrót się otworzył.

– Śpi. Mamy czas. Dobra robota. – Twarz skinęła na to, co wystawało zza jej pazuchy. – Jestem z was dumny. Nie spodziewałem się, że... Hej, nie odpływaj. Alyn. Alyn, mów do mnie. Nie możesz stracić przytomności. Nie teraz. Potrzebuję, żebyś tu teraz ze mną była. Opowiedz mi coś. Opowiedz mi wszystko.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

– Pasujesz do nas – powiedział Gael.

Przerwał tym długie milczenie, które nastąpiło po tym, jak skończyła opowiadać. O Rowan, Zakkanie, Saahii. Wyprawę na Kaim pominęła całkowicie.

Na jego ustach wykwitł cień uśmiechu – pusty, odruchowy. Żadne z nich nie wiedziało na dobrą sprawę, czy po całej tej akcji jest jeszcze jakieś „my". Brudne ściany Seine patrzyły na nich posępnie. Swą nagością wzmacniały tylko ciszę, jak lustra odbijały smutek wszystkich, którzy dotarli z powrotem.

A było ich boleśnie niewielu. Fel leżała w pokoju Alyn – słaba i pokasłująca. Gael był cały pocięty i posiniaczony. Podobnie Guido, który nie wychylał nosa ze swojej kwatery. Tylko Jeanine wydawała się chodzić szybciej, mówić głośniej i zachowywać się bardziej beztrosko, a co za tym idzie jeszcze nieznośniej niż dotychczas. Jakby chciała wypełnić przestrzeń po tych, których nie było. Tych, którzy nie dotarli.

Edwin był martwy.

Vaala zaginęła.

Przy tym bilansie domniemany sukces ich operacji był doprawdy marną pociechą. Liz natychmiast po spotkaniu w punkcie zbornym i krótkim, niemym pożegnaniu wybrała się ze znalezioną przez Fel korespondencją na południe. Z powrotem w głąb terytorium zajętego przez Charty, aby spróbować przedrzeć się do wojsk Imoren. I nikt nie spodziewał się, że wróci.

– Powinniśmy stąd wiać, Gael. Wiesz o tym. Powinieneś zabrać mnie i Fel nad morze.

W jej głosie nie było pretensji. Była na to zbyt zmęczona. Przemawiała przez nią czysta, pozbawiona emocji logika.

Najemnik wzniósł – niby w toaście – pucharek, w którym błyskała przejrzysta tafla wody.

– A ty powinnaś była trzymać się z daleka od kwater swoich towarzyszy, Alyn.

– Wiem. I mówiłam ci, że...

– Tak. Liz. Mówiłaś. Ale z tego, co wiem, nie zamieniłaś jeszcze ani słowa z Guido. A do tego wydajesz się zbyt bystra na to, by bez refleksji robić to, do czego namówią cię inni.

Złodziejka ugryzła się w język. Miała ochotę podnieść głos. Nie – miała ochotę solidnie Gaelowi przypieprzyć. To gotowało się w niej od dawna. Bunt przeciw niemocy. Bezsilności wobec losu, który zdawał się bawić nią jak latawcem na wietrze.

Jak lepiej z nią walczyć niż przy użyciu starego, dobrego odreagowania poprzez picie i przemoc?

Tylko poprzez naukę. Zaspokajanie wiecznie głodnej ciekawości.

– Liz... – powiedziała w końcu cicho i rozluźniła mięśnie. Fumu byłby dumny, pomyślała. – Opowiedz mi o niej. Dlaczego ona...

– ...jest, jaka jest? – Gael pociągnął długi łyk w zamyśleniu. Gdy Alyn uznała, że jej ostatecznie nie odpowie, chrząknął i rozparł się wygodnie na kanapie. – To jej historia i to ona powinna ją opowiedzieć. Być może nigdy to nie nastąpi. Nie wiem. Liz miała męża i dziecko. Pewnie nie powiedziała ci o tym, co? Miała rodzinę w Castanet. On był jubilerem, ona po akademii usilnie starała się dostać do gwardii królewskiej. Od lat zresztą. Ale przyjęli ją do korpusu logistycznego. Kazali jej rąbać drzewa i odstrzeliwać zwierzynę w rezerwatach Korony. Tylko tyle wiem o tym, co robiła w tamtych czasach, ale masz już pojęcie o jej zawziętości i o odwadze, choć znam wielu, którzy nazwaliby to lekkomyślnością. To czasy, w których łatwo pomylić jedno z drugim. Ale to nie wszystko. W korpusie, już po narodzinach jej córeczki, poznała dziewczynę. Spodobały się sobie i w miarę szybko nawiązały romans. Jej mąż oczywiście o niczym nie wiedział, miał w domu bachora, którego mu urodziła niedługo przed przeniesieniem na północ. Nie musiała tego robić. Zgadzać się na transfer. Ale chciała – Gael wzruszył ramionami. Ten jeden gest wystarczył Alyn, by pojąć, że zarówno on, jak i każdy inny członek Valangi miał w sobie to samo pragnienie. Niewypowiedziane, ale dostrzegalne przez tych, którzy również nosili je głęboko pod sercem. Znała je. Znała je bardzo dobrze. – Zatem wylądowała tutaj. Miała wszystko, czego było jej potrzeba: siebie, lasy i kochankę. Nie wiem, ile to trwało, ale w końcu złapali je.

– Złapali?

– Imoren to królestwo prawa, wolne od słabości i perwersji, nie wiedziałaś? Ich związek był oczywiście nielegalny. Liz wydalono z armii w trybie natychmiastowym, jej kochankę, cywila, dosłownie uprowadzili i zamknęli w cytadeli w Castanet. Z tego, co wiem, Liz nigdy nie postawiła już na południu nogi.

– Zostawiła rodzinę? Tak całkowicie?

– Jak powiedziałem, to jej historia. Z perspektywy otoczenia, z perspektywy prawa przyniosła na siebie i swoich bliskich hańbę. Jedynym, na co mogła się zgodzić, by dać im szansę na jakiekolwiek życie, było dobrowolne wygnanie. Zresztą jej mąż wcale nie kwapił się do tego, by szukać z nią kontaktu. Zwłaszcza po tym, jak pewnej nocy jakaś grupa zradykalizowanych nastolatków wrzuciła pochodnię przez okno ich domu. Spłonęło wszystko. Jej mąż, z tego, co mówią, wybiegł z córką na rękach w ostatniej chwili. Ot, Liz. Nigdy sobie tego nie wybaczyła. I jak ją znam, pewnie nie wybaczy.

Gael zasygnalizował koniec opowieści głębokim pociągnięciem z pucharu. Powiódł wzrokiem za Jeanine, która zapląsała przed kanapą, zerkając na oboje to zalotnie, to w rozbawieniu.

– Kogo obgadujesz? – zapytała roześmiana. Zaraz potem jej ton zmienił się jednak całkowicie. – Nie zapomnij wspomnieć o mnie! Nie zapomnij o biednej kurwie z Mestras!

Każdy ma swoją historię, pomyślała Alyn i odwzajemniła, cokolwiek machinalnie, pusty uśmiech blondynki. Wszystkich łączyły ich osobiste sploty wydarzeń. Nie mogła się oprzeć dojmującemu wrażeniu, że Edwin i Vaala to jeszcze nie koniec. Że los jest wciąż głodny i że chce więcej.

– Idę się przejść – powiedziała. – Bez obaw, nie zapuszczę się daleko.

Prawda była taka, że nie mogła już patrzeć na pustkę, która ziała z oczu Gaela i Jeanine. Bała się jej całą sobą. Bała się, bo widziała ją tylko raz, daleko stąd, w opuszczonej jaskini, w której o mało nie zginęła.

*

Gdy zauważyła, jak złodziejka wstaje z kanapy, Fel cofnęła się od szpary między drzwiami a framugą.

W cień swojego tymczasowego azylu. Zdusiła spazm kaszlu, a po policzkach pociekły jej kolejne łzy. Wydawało się, że, choć zdążyła już oczyścić płuca z gryzącego dymu, jej ciało wciąż pamiętało to, co działo się dwie noce wcześniej. Ale to było coś innego. Coś, co nie chciało wypuścić jej przełyku z uścisku. Coś, co sprawiało, że czuła narastający gniew, zwłaszcza na Alyn.

Odwróciła się i pokuśtykała z powrotem do posłania. Padła na nie ze świszczącym wydechem. Spojrzała na Ifiko, która stała obok jedynej świeczki w pomieszczeniu i gładziła dziobem swoje pióra. Od kiedy na powrót złączył się ze swoją właścicielką, cudowronek zachowywał się niesłychanie cicho. Znalazł sobie legowisko wysoko między belkami stropu. I najemnicy dziękowali za to opatrzności. Dla Fel jednak cisza była katorgą.

Tęskniła za śpiewem.

Śpiew zawsze koił jej nerwy i pozwalał przetrwać najgorsze chwile. Piosenki, przekleństwa i słodycz saahijskiego lakiszu. Wszystko, czego w tej chwili, leżąc ze ściśniętą krtanią, nie mogła mieć. A miała tylko ciemność, siebie i swój sztylet.

Przyjrzała się swoim dłoniom, nadgarstkom i przedramionom. Były blade i chude. Poznaczone niezliczoną ilością ran i zadrapań. Pamiętała, że po dotarciu do Seine myła je długo, ale i tak nie udało się jej pozbyć uczucia oblepiającego ją brudu. Była wolna, ale czuła się źle.

Gdy usłyszała kroki przed drzwiami, zakryła ręce i wsunęła ostrze pod poduszkę. Odruch wyniesiony z dzieciństwa.

– Jak się masz? – spytał Gael po tym, jak przekroczył próg i przymknął za sobą drzwi.

– Doskonale.

Nie wiedziała, dlaczego tak odpowiedziała. Potrzebowała poczuć się bezpiecznie. Ale też nie chciała go zawieść... zasmucić. Tego mężczyzny, który w obliczu nadchodzącej próby przyszedł spytać ją, czy dobrze się czuje. Na dobrą sprawę w wielu aspektach wcale nie było mu daleko do Reynaulda.

– Cieszę się. – Jeżeli Gael przejrzał jej blef, nie dał tego po sobie poznać. – Pij, ile możesz. Jak staniesz na nogi i dasz radę rozmawiać, znajdź mnie. Chciałbym ci zadać kilka pytań na temat tamtego garnizonu... Wiem, że możesz nie chcieć o tym opowiadać, ale będę nalegał. To może ocalić nam życie.

Fel pokiwała głową.

*

Gdy wyrósł przed nią w półmroku korytarza, odruchowo cofnęła się o krok. To był zwykły przypadek. Nie czekał na nią. Niósł drewno i wodę do salonu. I to ona stanęła mu na drodze, nie na odwrót.

Przez chwilę patrzyli na siebie, aż w końcu on odstawił wiadro i położył stos szczap przy nodze.

– Guido... – zaczęła Alyn, choć tak naprawdę panicznie szukała odpowiednich słów. – Guido, ja...

– Ciii...

Najemnik przyłożył palec do ust, po czym zrobił krok w jej stronę i owinął wokół niej swoje mocarne ramiona. Pogładził dłonią jej włosy.

– Bardzo mi przykro – wyszeptała po zakkańsku i poczuła, że jeżeli zaraz nie wbije się twarzą w jego pierś, po jej policzkach spłynie wartki potok łez.

Trwali tak przez moment, nie niepokojeni przez nic ani przez nikogo. Aż chwila minęła, Guido podniósł z ziemi swoje rzeczy i bez słowa poszedł dalej.

Alyn odetchnęła głęboko i pociągnęła nosem. W końcu zebrała się do kupy i ruszyła przed siebie. Gdy dotarła do schodów, zeszła do piwnicy. To tam czuła się najlepiej, nie wiedziała dlaczego. Na pewno chodziło o chłód kojący niezmiennie dręczącą jej ciało chorobę, ale to nie było wszystko. Wkroczyła w mrok pewnie, z poczuciem bezpieczeństwa. Zupełnie przeciwnie niż w Saahii. Tam, w chwilach, gdy próbowała ją dorwać melancholia, uciekała do ludzi. Tutaj odpoczynkiem było dla niej towarzystwo tych dziesiątek beczek, które pachniały starym drewnem i kurzem. Tutaj łatwiej było jej znieść to, że wciąż wraz z Fel musiały siedzieć na dupach. Że Gael nie zamierzał wywiązać się z umowy odeskortowania ich nad morze, dopóki nie był pewien, że zrobił dla Imoren tyle, ile mógł. Dopóki nie dostał wieści o dostarczeniu przez Liz listów do dowództwa, dopóki nie wiedział, co stało się z Vaalą. Dopóki żądni rewanżu Taidańczycy koncentrowali się na tym, by odnaleźć tych, którzy zaatakowali ich obóz.

Nie trzymano jej siłą, mogła odejść w każdej chwili i wraz z Fel odnaleźć morską drogę do Castanet. Czekał na nią Zakary. Liczył na nią Toryn. Kai na jej miejscu po prostu poszłaby sobie i nawet się nie obejrzała. Po prostu to w sobie miała.

Alyn westchnęła. Gdzie był Żółw, gdy potrzebowała jego blaszanego głosu?

Tęskniła za nim, ale nie lubiła zapuszczać się myślami na Kaim. Gdy po „przesłuchaniu" u Hanso dotarła do Vihar Arapi z jątrzacymi się ranami na ręce, gdy jedyne, co mogła robić, to całymi dniami leżeć i cierpieć z bólu, przypominała sobie Górę Gigantów i ukrytą w jej wnętrzu Maszynę. Czasami ból był tak silny, a ona na tyle słaba, że miała wrażenie, że to wszystko halucynacja. Koszmar umęczonego umysłu. Wtedy do rzeczywistości przywracał ją głos i oddech Toryna, który cierpiąc przecież jeszcze bardziej, pochylał się nad nią i dawał jej wody. Karmił ryżową papką bez smaku. Kiedy ponownie wsiadali na statek Szalonej Margo, wszystko miało być dobrze. Dziś wszystko było źle.

Gdy przemierzyła korytarze piwnicy, idąc niemal na pamięć, złodziejka wstrzymała oddech i wkroczyła do śmierdzącego przedsionka. Przeskoczyła po dwa schodki i odryglowała drzwi. Zawiasy skrzypnęły cicho. Stare skrzydło wpuściło do środka świeże powietrze i ukazało za sobą ciemny granat późnego wieczoru. Alyn stanęła w progu i wzięła głęboki wdech. Mniej więcej w jego połowie zdała sobie sprawę, że coś było bardzo nie tak. Otworzyła szeroko oczy i wtedy go dojrzała – jeden z ogrodowych posągów najwyraźniej zszedł w międzyczasie z podestu i stał tuż obok. Wlepiał w nią pusty wzrok.

Czując, jak serce skacze jej do przełyku, złodziejka spięła mięśnie gotowa bić albo uciekać. I wtedy posąg wyciągnął w jej stronę dłoń, a potem zatoczył się i upadł na ziemię.

*

– Zjebałam... Zjebałam, Gael.

Fel przyglądała się kobiecie, która siedziała z podkulonymi nogami na ziemi przed kanapą. Oświetlona migotliwym płomieniem tańczącym w kominku w żadnym stopniu nie przypominała tej, która w karczmie przedstawiła się jako Liz. Jej brudne dłonie o szkarłatnych zaciekach za paznokciami drżały, głaszcząc i drapiąc czerwoną od krwi szyję. Jej twarz była czarna jak jej ubranie, w jej centrum żarzyły się niemrawo dwa

zmęczone ogniki.

Gdy Guido wniósł najemniczkę do sali, Fel wyszła z pokoju po raz pierwszy, od kiedy znalazła się w Seine. Teraz siedziała oparta o ścianę, wciąż trzymając się z dala od zgiełku. Wsłuchiwała się w imoreńskie słowa kobiety.

– Pomysł był dobry. Odbić nieco na północ, zahaczyć o chatkę Pierre'a i potem w głąb Imoren. Na wschód i następnie na południe, brzegiem. Mogłam prześcignąć jakiekolwiek siły ekspedycyjne Chartów. Mogłam, kurwa, to zrobić. Przesmyknąć się między okupowanymi wsiami. Ale jakimś cudem wieść o naszej akcji rozeszła się błyskawicznie. Taidan... Dowódca garnizonu rozkazał swoim spalić wszystko. Wszystko! Sioła, zagrody, wsie. Spalić i iść dalej. Zostawić tylko spichlerze, ratusze i karczmy, żeby jego ludzie mieli co jeść. Co myśmy zrobili, Gael? Stąd tego jeszcze nie widać, ale nad lasem na południu wciąż wyrastają czarne słupy dymu, jeden obok drugiego. Powinnam była to zostawić, powinnam była iść dalej... Ale akurat mijałam jedną z tych małych przygranicznych osad w momencie, gdy zabierali się do palenia. Wczoraj wieczorem. Wyciągnęli wszystkich na zewnątrz. Głównie kobiety i dzieci, bo większość mężczyzn już wcześniej zgarnęli do obozu. I nie chodzi o to, że zdzierali łachy z tych biednych kobiet. Nawet nie musieli. Podpalali dachy i kazali wybierać – na ziemię z zadartym giezłem albo z powrotem z dzieciakiem do chałupy. Skurwysyny. Jak usłyszałam, jak jedna z drugą zanosi się płaczem, jak zaczynają się do nich dobierać...

– Wiem, jak jest, Liz – wtrącił Gael. – Cokolwiek zrobiłaś...

– Była jedna grupka najbliżej lasu. Oczy zaszły mi krwią, dosłownie widziałam wszystko na czerwono, ale... nie wiem, teraz nie wiem, czy to byłam ja. Zabiłam czterech, jednego po drugim – nożem w szyję. Nie patrzyłam, co się dzieje wokół, widziałam tylko ich. Trzeci chlusnął tak, że dostałam w twarz, poleciało mi po oczach. Ostatniego trafiłam na oślep, poszło po kości. Zawył tak głośno, że nie było szans, żeby nie zlecieli się ci, co byli kilka domów dalej. Kazałam kobietom spierdalać natychmiast do lasu, zniknąć stamtąd. Ale skądże! Bały się mnie jeszcze bardziej niż tych gnoi. I wiecie, co zrobiły? Poleciały do Taidańczyków po pomoc. Tamci od razu ruszyli za mną. Z całej wsi. Wzięli pochodnie. Rzuciłam wszystko i zaczęłam biec. Na północ. Z powrotem. Zgubiłam ich, ale oni tu przyjdą. Będą tu nad ranem...

– Papiery? – zapytał Gael po długim milczeniu.

Liz nawet na niego nie spojrzała. Wyszarpnęła spod kurtki pomięty zwitek zakrwawionych listów i uniosła do góry.

Najemnicy, jak jeden mąż, opuścili głowy.

Alyn – jako jedyna – ją uniosła.

– Chodźmy stąd – powiedziała do Gaela. – Ruszajmy na północ. Teraz, zaraz. Póki jest czas.

Kilka głów odwróciło się w jej stronę.

– Taidan jest zbyt blisko – odrzekła po zakkańsku Liz, wciąż wpatrując się w płomień. – Mają konie. Jeżeli ruszymy w sawanny stronę. W północną stronę...

– Znajdą nas po śladach – dokończył Gael. – Zrobią to, Alyn, bo nie mają innego wyjścia. Co dziesiąty żołnierz z tamtego garnizonu będzie za to, co zrobiliśmy... Za to, co osiągnęliśmy, stracony. A karę na nim wymierzą jego koledzy z oddziału. To dumny kraj oświeconych barbarzyńców. I to czyni ich takimi groźnymi.

– No to w drugą stronę! Między nimi, na południe!

Alyn nie poddawała się. Zacisnęła pięści, niemal krzyczała. W tym momencie Fel przypomniała sobie, dlaczego w ogóle zgodziła się na całą tę wyprawę.

Gael pozostał niewzruszony.

– Nie nabiorą się na to znowu. Jesteśmy w pułapce. Musimy się tu bronić. Musimy utrzymać Seine. Tak długo, jak się da. Musimy to zrobić. Nie dla Imoren. Dla Vaali. I Edwina.

Gael spojrzał każdemu z najemników w oczy. Zwrócił się również w kierunku Fel, aż wreszcie zatrzymał wzrok na Alyn. Jego podszyte entuzjazmem – jeszcze nieśmiałym, jeszcze rodzącym się – słowa długo odbijały się echem od pustych ścian sali, którą zdążyli już nazwać domem.

Noc i tak miała być bezsenna, pomyślała Fel.

*

Noc i tak miała być bezsenna, pomyślała Alyn. Ale przynajmniej nie była już posępna. W końcu nawet Liz podniosła się z ziemi. Opłukała się w piwnicy najmniej śmierdzącym z otwartych win i zamieniwszy czerń na twarzy na rozmazany, smużysty róż, wzięła się do pracy.

Plan powstał szybko, bo był prosty. A był prosty dlatego, że takie – jak wyjaśniła Jeanine, udając, że poprawia sobie okulary na nosie – są po prostu najskuteczniejsze. Najwięcej wysiłku wymagało przemeblowanie piwnicy. Wszędzie również, gdzie tylko się dało, rozmieszczono tlące się szczapy. Tak, żeby w każdej chwili można było odgrodzić się od napastników ogniem. Albo ich uwięzić. Skutkiem ubocznym tego była rzadka mgła, która unosiła się przy suficie, i zapach palonego drewna. Całe dolne piętra domu zostały sprawdzone i uszczelnione. Ujście dla dymu stanowiły jedynie drzwi północnego i południowego balkonu.

Od południowej strony na piętrze przygotowano dwa stanowiska strzeleckie. Nic nie broniło ewentualnym napastnikom obejść willi od którejkolwiek ze stron, ale Taidańczycy mieli przyjść z południa. To tam najprawdopodobniej ulokować się miało dowództwo.

Reynauld. Tak dowódcę garnizonu, którego Alyn minęła w pełnym biegu, uciekając z obozu, nazwała Fel. To jego namiot obrabowały, to on wołał dziewczynę, gdy brały nogi za pas. To jego miała na myśli Vaala, gdy w karczmie w Cobu mówiła o tym, że, o ironio, „wątpi, żeby Abel chciał pacyfikować tutejsze wsie". To on wreszcie zabił Edwina. I każdy z członków Valangi miał ochotę zrobić mu krzywdę.

Pozostało tylko czekać.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Zaczęło się, gdy tylko nastał brzask. Od zauważenia przez Liz ruchu na linii drzew do pierwszego kilkunastoosobowego podjazdu Taidańczyków w górę stoku minęło zaledwie kilka chwil. Szare kaftany żołnierzy doskonale wkomponowywały się w barwę ziemi, ale ruch zdradzał ich pozycję wystarczająco dobrze, by każdy z dziesięciu bełtów, które w sumie wystrzelili Liz i Gael, trafił celu. Kilku z pechowej dziesiątki padło martwych na miejscu, większość zatrzymały przebite uda, boki, ramiona. Do frontowych murów willi dotarła niemniej, w niemal absolutnej ciszy, czwarta część napastników. Nie było wiadomo, ilu szturmowało flanki.

Gdy Gael uznał, że chwilowo nie zapowiada się na więcej strzelania, Alyn zostawiła go i Liz w towarzystwie Fel, i błyskawicznie zbiegła do piwnicy. Tam, przy zawalonym połamanymi i porąbanymi stojakami od beczek przedsionku, okopali się Guido i Jeanine. Zeskoczyła z ostatniego schodka, dała im znak pochodnią i rzuciła ją w kąt, tworząc w czeluściach podziemi jedyny jasny, a więc zwracający uwagę punkt dla tych, którzy dostaną się do środka. Następnie przykleiła się plecami do ściany i wstrzymała oddech. Chwilę potem zewnętrzne drzwi drgnęły i zaskrzypiały zawiasy.

Najpierw słychać było tylko stłumione szepty. Nie było jeszcze na tyle jasno, by wpadające przez drzwi światło poranka zdołało oświetlić wnętrze piwnicy. Przyzwyczajone do mroku oczy najemników uważnie śledziły cienie rzucane przez schodzących żołnierzy. Potem do szeptów dołączył stukot drewna i szuranie, gdy zaczęli ostrożnie przedzierać się przez ustawione na ich drodze zasieki. Trwało to chwilę, aż w pewnym momencie nastała cisza i żołnierze zamarli na pozycjach. Alyn zamrugała i wytężyła wzrok, próbując dojrzeć sylwetki Guido i Jeanine, ale najemnicy doskonale zlewali się z plamą czerni.

W końcu żołnierze zdecydowali się podjąć marsz i nie minęło wiele czasu, zanim pierwszy pokonał przedsionek i stanął pewnie na posadzce, próbując przeniknąć wzrokiem mrok. Jego spojrzenie naturalnie padło na pełgający przy ziemi płomień rzuconej pochodni, ale Taidańczyk nie ruszył się z miejsca, tylko poczekał na drugiego w kolejności. Gdy za nimi zaczął gramolić się trzeci, Alyn poczuła ukłucie niecierpliwości. Kamień, który ściskała w dłoni, ciepły i obły, był w stanie zrobić krzywdę tylko jednemu. I to wtedy, gdyby trafiła go dokładnie tam, gdzie trzeba. Ale im więcej ich było w środku...

Drugi z żołnierzy wyciągnął zza pasa kij o owiniętym szmatą końcu i ruszył w stronę pochodni.

Teraz, pomyślała Alyn.

Gdy mężczyzna był już o kilka kroków od ognika, z kałuży czerni tuż obok wychynęła potężna dłoń, która chwyciła pochodnię i uniosła ją. Przez moment płomień przygasł i w piwnicy zapanowała niemal całkowita ciemność, aż w końcu ognik z furkotem przeleciał nad głowami Taidańczyków i wylądował z hukiem w gąszczu desek, przez które wciąż przedzierała się reszta grupy. Choć drewno nie zajęło się od razu, zdarzenie

to natychmiast wywołało w przedsionku poruszenie. Ktoś krzyknął, ktoś próbował go uciszyć, ktoś inny natychmiast zaczął wycofywać się w stronę drzwi.

Guido i Jeanine wyskoczyli z kryjówki jednocześnie, wciąż spowici całunem mroku. Wykorzystując mdłe światło zaklinowanej w drewnie pochodni, błyskawicznie dopadli tych spośród Taidańczyków, którzy zdążyli pokonać ustawioną na ich drodze przeszkodę. Alyn zauważyła tylko błyski ich ostrzy, które następnie gładko zatopiły się w szyjach żołnierzy. W jedną chwilę było po wszystkim.

W przedsionku buchnął pierwszy większy płomień, rozświetlając trzy trupy i stojących nad nimi najemników. Reszta Taidańczyków rzuciła się do odwrotu. Krzyczeli, popychali się i jeden na drugim pędem ruszyli w kierunku wciąż jeszcze uchylonych drzwi.

Plan się powiódł, ale Alyn drgnęła w przeczuciu niebezpieczeństwa. Coś było nie tak. Serce za każdym razem waliło jej w piersi, gdy była świadkiem ludzkiej śmierci. Zbyt często.

Ale tym razem nie chodziło o śmierć. Ani o połykające kolejne bierwiona ogień. To było coś związanego z Taidańczykami. Czy wydawało się jej, czy żołnierzy, którzy przedostali się, było...

– Czterech! – krzyknęła nagle, gdy uświadomiła sobie zagrożenie.

Zobaczyła, jak sylwetki Guido i Jeanine spoglądają po sobie w półmroku. Gdy zrozumiała swój błąd, było już za późno.

– *Cuatree!*

W momencie gdy powtórzyła ostrzeżenie jednym z niewielu imoreńskich słów, które znała, tuż przy Jeanine zamigotało ostrze szabli.

Najemniczka zdążyła się instynktownie uchylić, ale tylko nieznacznie. Mgnienie oka później w piwnicy rozległ się jej przeszywający krzyk. Czwarty Taidańczyk trafił ją w głowę. Następnie błyskawicznie odskoczył i już przyjmował pozycję do szybkiego sztychu w stronę Guido.

Było zbyt późno na jakąkolwiek reakcję. Żołnierz dobrze wiedział, co i jak robi. Znalazł się w sytuacji bez wyjścia, ale mimo to miał wolę walki i umiejętności, by przeciwstawić się losowi. Szczęście było po jego stronie, a Alyn mogła tylko obserwować, jak ziszcza się nieuniknione. To jednakże, co stało się w następnej chwili, było...

– Niemożliwe... – szepnęła złodziejka najcichszym westchnieniem.

Żołnierz z całej siły pchnął, aż mokre od krwi ostrze szabli objawiło się na moment za plecami zaskoczonego Guido. Obaj mężczyźni na chwilę zamarli, jakby zostali zatrzymani w niedźwiedzim uścisku na płótnie imoreńskiego mistrza. Lada chwila najemnik miał osunąć się na ziemię, żołnierz zaś wyszarpnąć szablę z ciała Imoreńczyka i dobić wyjącą z bólu najemniczkę.

I wtedy Guido nadludzkim, wydawałoby się, wysiłkiem chwycił napastnika swą potężną dłonią za gardło i ścisnął tak mocno, że chrzęst, który rozległ się wewnątrz ciała Taidańczyka, rozniósł się echem po całej piwnicy – ponad okrzykami wycofujących się żołnierzy i trzaskiem palącego się drewna. Ciało upadło na ziemię, a wraz z nim ze szczękiem na posadzce wylądowała szabla.

Nie przebił go, krzyczała w myślach złodziejka, biegnąc do najemnika, który klęczał nad Jeanine. Guido uniknął jego ciosu!

Była gotowa objąć go całego, rzucić mu się na szyję. Najemnik przywitał ją miną, która zdradzała jeszcze większy ból i gniew niż wtedy, gdy przyłapał ją na myszkowaniu w jego kwaterze. Wskazał palcem półleżącą na ziemi blondynkę, która jęczała, zakrywając twarz dłońmi, i wywarczał w swoim języku cały stos przekleństw i komend. Aby upewnić się, że cudzoziemska złodziejka zrozumiała, pociągnął jej rękę w stronę Jeanine i wskazał schody na górę.

Alyn przytaknęła i zerknęła w stronę przedsionka, gdzie płomienie z chwili na chwilę pozbywały się swej początkowej nieśmiałości, liżąc drewno z coraz większym pożądaniem i werwą. Przez dym, który wypełnił piwnicę, nie było widać dalej niż na długość wyciągniętej ręki.

Jeszcze moment i nie ugasi tego żadna ilość wina.

*

Gdy na zewnątrz rozległ się przeciągły gwizd, Liz przylgnęła twarzą do otworu strzelniczego. Następnie odsunęła się i zrobiła miejsce dla Fel.

– Odwrót? – zapytała najemniczka. Jej głos był chrapliwy, nieprzyjemny.

– Tak – odpowiedział Gael, wyglądając przez dziurę przy swoim stanowisku. – Zgarniają rannych i będą chcieli negocjować.

– Idziemy na górę?

– Idziemy.

Fel jeszcze chwilę pozostała na swym miejscu, obserwując przez dziurę, jak w oddali niska Taidanka zarzuca na swoje ramiona rękę trafionego w udo żołnierza i oboje powoli kuśtykają z powrotem ku linii lasu. I jak kilkakrotnie wywracają się przy tym na ziemię.

I chuj wam wszystkim w dupę, powiedziała w myślach dziewczyna, po czym wstała i podążyła za Liz i Gaelem na balkon piętro wyżej.

*

Delegacja Taidańczyków podeszła blisko. Na samym środku dziedzińca ustawiło się nie więcej niż dziesięcioro ludzi. Prowadził oczywiście Reynauld, który, gdy tylko zauważył Fel stojącą na balkonie obok dwojga najemników, skinął głową w jej stronę i uśmiechnął się krzywo. Dziewczynę na ten widok przeszedł dreszcz, ale gdy tylko przyjrzała się uważniej taidańskiej grupce, na dobre krew w jej żyłach zmroził widok ustawionej z tyłu, związanej postaci z workiem na głowie. Trudno było jej nie rozpoznać. Vaala była cała uwalana w błocie i krwi, ledwo trzymała się na nogach. Ale stała. Tuż za nią, z kamienną twarzą i zabandażowaną, opuszczoną bezwładnie lewą reką, stał Løc.

Gdy zauważyli swoją dowódczynię, Gael i Liz spojrzeli po sobie, ale nie uczynili nic więcej. Kusze były napięte po obu stronach, nikt jednak w nikogo nie celował. Na razie.

Po raz pierwszy, od kiedy postawiła nogę na ziemiach Imoren, Fel poczuła prawdziwy strach. Nie doznała tego obcego uczucia, nawet gdy była przetrzymywana w obozie. A przynajmniej nie tak wyraźnie. Teraz jednak patrzyła na tego cierpiącego niewyobrażalne katusze człowieka i czuła, że trzęsą się pod nią nogi. Że

za chwilę wydarzy się coś, czego zdecydowanie nie miała ochoty oglądać. Wzięła głęboki oddech, wycofała się o pół kroku i schowała rozedrganą dłoń do kieszeni. Spojrzała ponad siebie. Tam, na skraju dachu, bieg wydarzeń w ciszy obserwowała Ifiko.

Milczenie przeciągało się. Napinało struny nerwów do skraju wytrzymałości. Nad koronami drzew, zasłonięta bladą płachtą chmur, pokazała się okrągła tarcza słońca, ale jej światło nie dawało ciepła. Poranek był szary, chłodny i pozbawiony cieni. Jedyną osobą, która wydawała się doskonale znajdować w tej sytuacji, był Reynauld. Nie musiał nic mówić. Wystarczyło jego spojrzenie. I uśmiech.

– Co się dzieje? – zapytała szeptem Liz, gdy wydawało się już, że Taidańczycy postanowili na stałe dołączyć do grona posągów wokół willi.

Gael nie odpowiedział, a jego mina nagle stężała. Fel podążyła za jego wzrokiem ku dłoniom oficera, które uniosły się w karykaturze powitalnego gestu.

– W naszych stronach to gospodarz zwykł witać gościa, ale myślę, że sytuacja pozwala nam tu wprowadzić pewien wyjątek od reguły! – krzyknął Reynauld po imoreńsku niżej i donośniej, niż wskazywała na to jego smukła postura. – Jak możecie się domyślać, przyszedłem po moją zgubę! Ale nie ma pośpiechu, zwłaszcza że wygląda na to, iż czeka mnie coś znacznie ciekawszego! Ostatni bastion Imoren na dalekiej północy!

Kilku żołnierzy zaśmiało się pod nosem.

– Doktryna wojenna moich miłościwych zwierzchników – perorował Reynauld – zakłada w takiej sytuacji obniżenie morale obrońców i stłamszenie ich wszelkich nadziei na przetrwanie oblężenia! Według mnie całkiem słusznie, zatem zróbmy to wedle podręcznika! Panie Pincer, proszę mnie nie zawieść!

Dowódca wskazał jedynego z członków swojej świty, który dorównywał wzrostem Vaali i Løcowi. Spod hełmu mężczyzny wystawał profil jego wąskiego nosa i szerokiej, pokrytej ciemnym, dwudniowym zarostem szczęki. Gdy w jego dłoni znalazł się trzonek potężnego wojennego topora, Fel mocniej ścisnęła przegniłą barierę balkonu. Przełknęła ślinę i usłyszała, jak przyspiesza jej oddech.

– Gael... – powiedziała Liz błagalnym półszeptem.

Fel przyjrzała się Imorence. Wciąż brudne od krwi knykcie najemniczki bielały zaciśnięte na kolbie kuszy. Na dole „pan Pincer" stanął za plecami Vaali i kopnął w zgięcie jej kolan, a następnie zdjął jej z głowy worek. Fel zakryła dłonią usta.

Twarz Pahaadki była jednym wielkim strupem. W nielicznych miejscach, w których nie czerniła się zaschnięta krew, przebijały się czerwień i fiolet siniaków. Jej powieki były napuchnięte, ale była w stanie je otworzyć. W środku kryły się dwa czarne węgielki, w których wciąż jarzyły się iskry woli walki.

– Ten Pahaad... – powiedział Gael ze ściśniętym gardłem. – Ten, co za nimi stoi. To on mnie tak urządził w obozie. I zrobił to jedną ręką. W walce to prawdziwa bestia, ale połowa siły takich jak on bierze się z charakteru. On nie pozwoli na to.

– Gael, ja nie będę... Nie będę stała tu i patrzyła.

Liz uniosła nieznacznie kuszę, ale najemnik powstrzymał ją stanowczo.

– Nie. Jeśli strzelisz, zabiorą ją stąd i wrócą do tego, co robili wcześniej. Popatrz na nią. Bogowie wiedzą, ile wycierpiała. To... To Vaala, Liz. Ona się nie podda. Minie dużo czasu, zanim uzna, że wystarczy i pora umierać.

W dole Reynauld pochylił się nad kobietą. Wyszeptał coś. W odpowiedzi Vaala dziko wierzgnęła. Gdyby nie więzy, Pahaadka bez wątpienia powaliłaby go i w jednej chwili roztrzaskała mu głowę czołem. Oficer cofnął się o krok i wydał rozkaz po taidańsku. Kolejni dwaj żołnierze klęknęli za kobietą i gdy rozwiązali jej więzy, jeden z nich stanął po jej prawej. Trzymał ją za przedramię, wyciągając je w bok równolegle do ziemi.

– Zjawiskowa kobieta! – zakrzyknął Reynauld i uśmiechnął się szeroko. Rozłożył szeroko ręce w teatralnym geście i zwrócił się do najemników na balkonie. – Doprawdy mam wątpliwości, czy na podwładnych wytresowanych przez taką dowódczynię nasze przedstawienie zrobi jakiekolwiek wrażenie! Ale przekonajmy się! Panie Pincer! Wet za wet!

Gdy kat przygotował topór do uderzenia, Fel poczuła przejmujący chłód, który spłynął jej po karku w dół pleców. Zanim zdążyło się rozlać po całym jej ciele, zimno trwogi zostało wyparte przez uderzenie gorąca, które nagle i niespodziewanie zaczęło promieniować z jej podbrzusza. Dziewczyna zmusiła się, by zerknąć w bok na swych kompanów – Liz odwróciła głowę, Gael zamknął oczy. Ona jednak nie mogła nie patrzeć. Nie potrafiła. Wbiła rozedrgany wzrok w klęczącą jeńczynię i szykującego się do zadania ciosu żołnierza. Była przerażona i jednocześnie pełna energii. Skrzyżowała nogi, oddychała coraz szybciej i płyciej. Na policzkach czuła poranny wietrzyk chłodzący jej łzy. Wokół panowała doskonała cisza.

– Ani słowa – powiedział cicho Gael.

Wtedy głowica topora poderwała się z ziemi i zatoczyła niemal idealny, pełny okrąg, by z ogromną siłą wbić się ostrzem w ramię Vaali, tuż nad łokciem. Kość trzasnęła jak łamana gałąź, a całym ciałem kobiety wstrząsnął spazm bólu. Kobieta jęknęła przeciągle, a stojący z tyłu żołnierz chwycił ją za kołnierz, aby nie poleciała twarzą do przodu.

Gdy kat opuścił topór, Fel z przerażeniem odkryła, że uderzenie nie odcięło ramienia. Choć kość z całą pewnością pękła, zabrakło podpory u dołu, aby wykonać czystą amputację. Chwycona przez stojącego z boku żołnierza ręka Vaali była wykrzywiona pod nienaturalnym kątem, jak złamana w połowie gałąź. Wciąż trzymała się na kilku mięśniach, ścięgnach i kawałkach pogruchotanej kości. Z głębokiej, czarnej rany trysnął na ziemię wartki strumień krwi.

Kat przez moment patrzył zaskoczony na swoje dzieło, wyraźnie nie mogąc podjąć decyzji co dalej. Stał tak chwilę, aż do momentu, gdy tuż obok niego wyrósł z ziemi Løc. Łowczy bezceremonialnie odepchnął Taidańczyka, odebrał mu topór i błyskawicznym wymachem dokończył dzieła. Żołnierz, który wciąż jeszcze kurczowo trzymał rękę Vaali, upuścił wreszcie odrąbaną kończynę, zrobił trzy kroki do tyłu i wyrzygał się na trawę. Reszta patrzyła, jak Løc zdrową ręką i zębami zawiązuje opaskę wokół buchającego krwią kikuta, po czym zarzuca kobietę na swe potężne barki i odchodzi bez słowa w stronę lasu. Nikt nie próbował go zatrzymać.

Gdy Reynauld odwrócił się z powrotem do najemników, jego pewny, donośny głos niemal nie zdradzał targających nim emocji.

– I jak?! Oto wasza ostatnia szansa na rozwiązanie tej sytuacji bez większego rozlewu krwi! Akurat kończyn ma wasza dowódczyni pod dostatkiem!

– Skurwysynu!

Fel, ogłuszona nagłym krzykiem Liz, zdążyła jedynie zarejestrować pchnięcie, które posłało ją plecami na ścianę, i szczęk zwalnianej cięciwy. Tym razem Gael nie zdążył jej powstrzymać. Dziewczyna nie widziała, czy bełt dosięgnął celu, ale odpowiedź przyszła błyskawicznie. Głos Reynaulda zagrzmiał dwukrotnie po taidańsku, wydając rozkazy.

– *Á porra,* Liz! – zagrzmiał najemnik. W oczach miał ogień. – *Á porra cavė!*

Fel już chciała z powrotem wyjrzeć przez barierkę na dziedziniec, gdy Gael w jednej chwili zamilkł, przywarł do ziemi i ściągnął jej głowę w dół.

– Padnij!

Dziewczynie wydawało się, że najemnik syknął w jej kierunku, ale mgnienie oka później odgłos rozdzieranego powietrza nadciągnął z pełną mocą tuż nad ich głowy. Wraz z nim w zmurszałe drewno desek i okiennic Seine z ogłuszającym stukotem wbił się ciągnący za sobą kłęby czarnego dymu rój strzał z płonącymi grotami. Te, które trafiły w ścianę, odbijały się z trzaskiem i rozpryskiwały wokół małe kamienne pociski. Jedna, wciąż rozpalona, wylądowała na nodze Fel i pozostawiła po sobie palącą skórę smugę rozgrzanej mazi. Poranek momentalnie przybrał gryzący zapach gotowanej smoły.

– Do środka! – zakomenderował Gael. – Teraz!

Wykorzystując przerwę w ostrzale, najemnicy wskoczyli jedno po drugim w czarną, zadymioną czeluść oblężonej willi.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Ohydna mieszanina różu i czerwieni, wilgotna od wciąż sączącego się z kilku miejsc płynu. Sieć żylastych, ponalepianych bez ładu łat. Swędząca obca skorupa odpadających płatów skóry.

Alyn przejechała powoli palcem wzdłuż prawej ręki. Oparzenia zaczynały się tuż pod łokciem, nieregularnie, jakby z całej siły chciały wedrzeć się wyżej i zagarnąć dla siebie resztę kończyny. Całe przedramię, jeszcze tak niedawno śliskie i lepkie od śmierdzących mnisich maści, wyglądało, jakby ktoś zdarł z niego skórę i założył z powrotem na lewą stronę. „Oddechy lewiatana", jej tatuaż, który świadczył o doskonałości w tajnikach morskiej żeglugi, zmienił się w rozmytą brudną plamę. Dłoń była jak zasuszony połeć mięsa. Pozbawione paznokci palce – jak sztywne, ogryzione z kory gałązki. Mogła nimi poruszać. Mogła nawet coś chwycić, choć bardzo słabo. Całość wywoływała wrażenie tyleż upiorne, co bezmiernie przykre.

Opierając się o pustą framugę, która wiodła do przedsionka głównego wejścia, złodziejka lustrowała swą niesprawną, „obcą" rękę i zerkała na przygotowania Guido i Liz do odparcia szturmu Taidańczyków. Najemnicy rozmawiali cicho, żartowali. Pierwsze dlatego, żeby nie trząsł im się głos, drugie – bo było to dużo lepsze niż nerwowe przełykanie śliny i szczękanie zębami.

– To co, poddajemy się? – Liz błysnęła okiem w półuśmiechu, po raz piąty układając równo bełty przy biodrze.

– Jasne – odparł Guido, wykrawając nożem jeszcze jeden wiór z trzymanej w drugiej dłoni pochodni. – Jak tylko Bon-Bon wróci.

Alyn uśmiechnęła się wraz z najemnikami. Znała dobrze to uczucie. Moment tuż przed. Gdy czeka się na pierwszy cios, pierwszy krok w głąb strzeżonego domu, pierwszy ból chłosty, gdy straży udało się przyłapać ją na gorącym uczynku. Nigdy nie wiedziała, co ze sobą począć w takiej chwili. Jej ciało garnęło się do działania. Jej umysł był spragniony problemów do natychmiastowego rozwiązania. A jedyne, co mogła robić, to patrzeć tępo na swoją okaleczoną rękę. To było gorsze niż moment, w którym podczas przesłuchania przez Hanso Trzeciego poczuła tuż przy sobie złowrogi oddech gara z rozgrzanym olejem. Gorsze niż krótkie chwile strachu, gdy zdała sobie sprawę z tego, jaką zamierzał wymierzyć jej karę.

Wejście do piwnicy Seine stało w płomieniach. Dach kopcił gęstymi brunatnymi chmurami. Dym był wszędzie. W salonie blada od utraty krwi Jeanine dochodziła do siebie z owiniętą szmatami połową twarzy. W roztrzęsionych dłoniach, opartą o uda, trzymała wycelowaną w drzwi kuszę. Razem z nią na tych, którzy – to było pewne – trafią tu w pogoni za Guido i Liz, czekał Gael. Fel, podobnie jak ona sama, przydzielona została do pilnowania korytarzy, na wypadek gdyby jakaś grupa postanowiła przebić się przez zabite grubymi dechami okna i poustawiane pod nimi meble. A przynajmniej to, co zostało z nich w całym budynku.

Oczywiście każde z nich poniewczasie, po pobieżnym obliczeniu liczby żołnierzy, którzy przybyli z

Reynauldem, uświadomiło sobie, że skuteczniejszą taktyką byłaby wieczorna i nocna partyzantka w okolicznym lesie. Gdyby była z nimi Vaala, zapewne od razu po powrocie zaordynowałaby rozproszenie po terenie i sumienne eliminowanie kilkuosobowych patroli. Potwierdził to sam Gael tuż przed wysłaniem ludzi na stanowiska. Ci zaś rozeszli się bez słowa, z czystą determinacją w szeroko otwartych, choć zmęczonych brakiem snu oczach. Trzeba było się bronić, więc będą się bronić. Wtedy też Alyn zrozumiała, że nigdy nie mogłaby należeć do Valangi. Ona i jej plany ucieczki przez pustynię. Ucieczki przez las. Nocą. Konno albo pieszo. Przez moment, przez chwilę wystarczającą na jeden pełny, długi oddech, czuła za siebie wstyd. Bo za chwilę do środka miał się wedrzeć pluton taidańskich rębaczy.

I najemnicy nie mogli się tego doczekać.

*

Drzwi poddały się szybko. Alyn, Liz i Guido usłyszeli dwa szybko następujące po sobie łupnięcia. Wraz z trzecim oba skrzydła z hukiem wleciały do środka. Zaraz za nimi, zasłaniając się tarczami, wbiegło do środka dwóch żołnierzy i natychmiast zatrzymało się na kolejnej przeszkodzie. Jedyny solidny mebel w całej Seine – długa biesiadna ława – ustawiony był na ukos w poprzek korytarza, zmuszając albo do przeskoczenia go z lewej, albo przeczołgania się pod nim z prawej strony. W momencie gdy ten po lewej opuścił tarczę, by przyjrzeć się barykadzie, kusza Liz ze szczękiem wypuściła pierwszy bełt. Chrupnęło tak, że Alyn odwróciła wzrok. Następnie wycofała się i rozejrzała w lewo i prawo wzdłuż ciemnego korytarza. Wydawało się jej, że w oddali pojawiła się plamka światła, której wcześniej tam nie było.

– Ruch po prawej! – krzyknęła w stronę najemników. – Sprawdzę to!

Liz w skupieniu posłała w napierającą na drewno rzekę ciał kolejny bełt. Ktoś upadł z rykiem, trzymając się za rozszczepioną grotem piszczel. Guido wystawił w górę pięść z wyciągniętym kciukiem. Złodziejka uznała to za gest potwierdzenia i ruszyła biegiem w ciemność. Za sobą usłyszała kolejne szczęknięcie. I kolejny wrzask.

Już z odległości dziesięciu kroków zauważyła ruch. Przez wyrżniętą w drewnie dziurę ktoś wcisnął do środka rękę w grubej skórzanej rękawicy i próbował siłą wyrwać gwoździe, ciągnąc za deski. W środku było ciemno, więc niczego nie widział, ale mimo to zdążył już poradzić sobie z jedną i poszerzyć otwór. W momencie gdy złodziejka dopadła do okna, brał się akurat za drugą.

Alyn zatrzymała się tuż poza polem widzenia napastnika i spojrzała na swój tępy, zardzewiały nóż o zdobionej roślinnymi motywami głowni – ewidentną pamiątkę po sutych kolacjach Freyhoffów. Zaklęła. Nie wystarczyło pchnąć i liczyć na jak najlepszy efekt. Patrząc na grubość i solidność rękawicy, nie była nawet pewna, czy byłaby zdolna nim żołnierza skaleczyć. A i to nie gwarantowało, że za chwilę nie pojawi się następny, jeszcze cięższej uzbrojony. Gael miał rację – trzeba było ich powstrzymywać jak najdłużej. Siłą albo strachem. A najlepiej w dwójnasób.

– Isztar... – mruknęła Alyn. Wyjęła zza paska i chwyciła mocno pogrzebacz, który Guido przekuł w nocy, dwukrotnie wydłużając jego zakrzywiony szpikulec – jeśli tam jesteś, oddam ci rękę, jak tylko nas z tego wykaraskasz.

Złodziejka wypuściła z płuc powietrze, uważnie oplotła zdrową dłoń wokół poparzonych palców, które

zacisnęła na pręcie, i wzięła zamach. Gdy tylko dłoń żołnierza pojawiła się w otworze po raz kolejny, by tym razem wyrwać trzecią deskę, Alyn ryknęła i z całej siły poprowadziła szpikulec do celu.

Mniej więcej do celu.

Tuż przed uderzeniem zamknęła oczy, więc gdy pogrzebacz odbił się i wypadł jej z rąk, była pewna, że haniebnie spudłowała. Przeciągły jęk i wykrzyczana łamiącym się głosem litania taidańskich przekleństw z drugiej strony okna sprawiły, że natychmiast zlustrowała swoje dzieło.

Trafiła tam, gdzie chciała – w dłoń – ale ledwo. Pogrzebacz wbił się między knykcie środkowego i serdecznego palca Taidańczyka, po czym utkwił głęboko w desce z drugiej strony. Trochę dalej i mężczyźnie by się upiekło. Dobrą wiadomością było to, że był unieruchomiony i własnym ciałem zasłaniał otwór. Złą – że został przytwierdzony do tej samej deski, którą i tak próbował wyrwać. Ta jak na razie trzymała się mocno, ale rozkaz dowódcy miał zazwyczaj wyższy priorytet dla drużyny niż bolesne zawodzenia cierpiącego kolegi.

Rozmyślania Alyn przerwał huk i krzyki z przedsionka. Jeden z nich był kobiecy. Gdy odwróciła się w stronę zgiełku, napotkała wzrok Fel.

– Usłyszałam krzyk!

– Do Guido i Liz! Szybko!

– Alyn, a okno...?

– Szybko!!!

Sytuacja przy drzwiach frontowych brzmiała źle, ale gdy dobiegły, okazało się, że wyglądała tragicznie. Po ławie nie było ani śladu. Została roztrzaskana pod naporem ciał i stali, jej szczątki zniknęły pod nogami nacierających Taidańczyków. Ci zatrzymali się na ostatniej przeszkodzie w postaci wycofującego się Guido. Tuż obok ranna w nogę Liz, półleżąc na ziemi, niemal z przyłożenia wystrzeliła bełt w stronę żołnierza, który próbował zajść najemnika z boku. Grot wbił się głęboko pod kątem między żebrami mężczyzny, który w jednej chwili padł bez czucia i przygniótł ją swoim ciałem. Za nim natychmiast zanurkował inny. W jednej dłoni trzymał szablę – tę kobieta zablokowała łukiem kuszy. Nóż, który błysnął w jego drugiej dłoni, zniknął pod jej ręką. Liz pisnęła i zamilkła.

– Liiiz! – wrzasnęła Alyn.

Zagłuszył ją szczęk metalu i ryk rębaczy, którzy odzyskali rezon po tym, jak jeszcze przed momentem byli zmuszeni podeptać ciała swoich martwych towarzyszy. W przedsionku było ich nie więcej niż dziesięciu, ale czynili zgiełk godny pół setki chłopa.

– *Corri*! – krzyknął Guido przez ramię, powstrzymując własnym ciałem czwórkę napastników. – Wiej!

Ostrze spadło znikąd. Z krzywym, stalowym uśmiechem niezatrzymane gładko wbiło się w szyję najemnika. Guido zadrżał, a jego głowa opadła na ramię, jakby w ostatnim akcie czułości chciał przytulić się policzkiem do chłodnego metalu.

Alyn nie czekała na dalszy rozwój wydarzeń. Chwyciła stojącą z tyłu Fel za przegub i ile sił popędziła w stronę salonu.

– Nie strzelać! – zawyła ze ściśniętym gardłem po zakkańsku. – Nie strzelać, to my!

Wpadły do pomieszczenia, w momencie gdy u wyjścia przedsionka pojawił się pierwszy Taidańczyk. Alyn, ledwo łapiąc równowagę, zatoczyła się na kanapę i niemal nabiła się na trzymaną przez Jeanine kuszę.

Fel zawinęła się zwinnie wokół skrzydła i zatrzasnęła je za sobą. Złodziejka złowiła jej wzrok.

*

Fel nie widziała jeszcze Alyn tak przerażonej i jednocześnie zdruzgotanej. Powiodła oczami po pozostałej dwójce członków Valangi. Jeanine była blada, pasy materiału, które owijały jej twarz, straszyły brunatną barwą krzepnącej pod spodem krwi. Gael stał przy drzwiach, w dłoniach gotowe do wymachu trzymał stylisko toporka do drewna. Pozór spokoju demaskowała czerwień wściekłości na jego twarzy. Wyglądał tak, jakby każdego darowanego mu Taidańczyka miał zamiar metodycznie porąbać na najmniejsze kawałki. Jak rozsierdzony tytan, który sprzeciwił się bogom.

Po drugiej stronie ściany trzaskiem parkietu Taidan ogłaszał zajęcie kolejnego przyczółka. Kontynuował natarcie na fort utrzymywany przez mężczyznę i trzy kobiety. Już za moment, już za chwilę...

Drzwi tym razem uchyliły się powoli, z pojedynczym skrzypnięciem. Z czerni po ich drugiej stronie najpierw wyłonił się amb. Mały, poręczny wynalazek taidańskich rzemieślników o wyglądzie kuszy, ale o słabszym naciągu i dużo większej szybkostrzelności. Za nim, w całkowitej ciszy, płynnie wychynęła gruba skórzana rękawica i kolczuga opinająca rękę żołnierza, który najwyraźniej wylosował najkrótszą słomkę. Gdy w zasięgu wzroku pojawił się fragment jego piersi, Jeanine z pustym wyrazem twarzy spuściła cięciwę. Bełt przebił ramię Taidańczyka, który pchnięty siłą uderzenia, wydał z siebie głośne westchnienie i natychmiast zniknął z pola widzenia.

W następnej chwili drzwi z hukiem otwarły się po potężnym kopniaku i do środka wbiegło trzech żołnierzy. Pierwszy zatrzymał się w pół kroku i zgiął po tym, jak Gael z całej siły wbił mu w pierś toporek. Oprócz mrożącego krew w żyłach chrupnięcia, które dobiegło z głębi jego klatki piersiowej, Taidańczyk nie wydał z siebie żadnego odgłosu.

Naprzeciw drugiego stanęła Alyn, dzierżąc jedyną broń, którą pozostawił po sobie Edwin. Nadkruszony wazon, który przez cały poranek oczekiwał na swoją turę przy kanapie, pofrunął w stronę mężczyzny, wirując, aż został zbity szybką zasłoną przedramieniem i rozbił się pod jego nogami. Na jego łydki i stopy rozprysła się czarna ciecz. Napastnik miał jedynie chwilę na reakcję. Wystarczył krok w bok lub do tyłu. Taidańczyk – młody chłopak o okrągłych rysach twarzy i z furią w oczach – zorientował się jednak za późno. Wycofując się, Alyn rzuciła mu pod nogi również przygotowaną przez Gaela rozżarzoną szczapę, od której ciecz natychmiast zajęła się ogniem. Ku absolutnemu zaskoczeniu żołnierza płomień natychmiast wdrapał się na jego nogę i buchając gęstym białym dymem, zaczął wgryzać się w jego nogawki i skórę.

Na trzeciego rzuciła się Fel. Wskoczyła mu z rozpędu na plecy i zamachnęła się sztyletem w jego szyję. Trafiła najgorzej, jak mogła. Mężczyzna – postawny starszy brodacz, ewidentny weteran w drużynie – odruchowo zawirował w miejscu i wykorzystując jej pęd, zrzucił dziewczynę na ziemię. Fel poleciała do przodu, wykonała pokraczny, bolesny przewrót. Obejrzała się za siebie i w ostatniej chwili uskoczyła przed sztychem szablą. Spróbowała się podnieść, ale po raz kolejny straciła równowagę. Coś huknęło tuż przy jej uchu, jakby nagle całą willą wstrząsnął potężny grom i na moment usunął podłogę spod stóp. Zauważyła leżący na ziemi między stopami napastnika gimlet i zaklęła.

*

Alyn nawet nie zorientowała się, kiedy znalazła się w powietrzu. W jednej chwili nastawiała się na Taidańczyka, który ruszył na Gaela, w drugiej leciała prosto na tyłek. Cokolwiek się stało, uratowało jej skórę. Spojrzała nad siebie i zauważyła, jak obuch topora najemnika zatacza błyskawiczny półokrąg... a potem pudłuje o włos. Trzonek z chrzęstem trafił w skroń mężczyzny i popchnął go dalej, odrzucając na ścianę.

Zdezorientowana, siedząc na poszczerbionym parkiecie, Alyn skupiła wzrok na rębaczu, który rzucił się na wciąż znajdującą się na kanapie Jeanine. Blondynka, otępiała i bezbronna, bez słowa protestu dała się zarzucić na ramię. W momencie gdy w jej dłoni złodziejka zauważyła mdły błysk ostrza, widok zasłonił jej Gael, który trzymając stylisko w dwóch szeroko rozstawionych dłoniach, zablokował drogę dwóm Taidańczykom.

– Na nogi, Alyn! – warknął. Choć jego głos łamał się, wciąż biła z niego absolutna determinacja. – Na nogi i na górę! Już!

Złodziejka natychmiast otrzeźwiała. Podniosła się i wyszukała wzrokiem Fel, a potem wzięła rozpęd i pchnęła walczącego o utrzymanie równowagi brodacza na kanapę. Pod jego ciężarem mebel wreszcie poddał się i z hukiem rozłożył się na części na podłodze.

Alyn wzięła głęboki haust dymu, kaszlnęła i wyciągnęła dłoń do Fel. Dziewczyna była jednak szybsza. Wyminęła złodziejkę, przebiegła prosto po gramolącym się z ziemi żołnierzu i skierowała się ku drzwiom wiodącym ku schodom na piętro.

– Gael! – krzyknęła Fel.

– Jestem za wami! W górę! W górę!

Biegnąc przez biało-niebieski od dymu salon, złodziejka miała wrażenie, że przedziera się przez jezioro morskiej piany... gdyby owa piana śmierdziała na poły palonym drewnem, na poły topioną skórą.

Nigdy wcześniej nie biegła tak szybko po schodach. Wydawało się jej, że wręcz frunie do góry na sposób niemożliwy dla zwykłego człowieka. Na piętrze, gdzie dym zaczął gęstnieć, próbując znaleźć jakieś szpary w ścianach i dachu, na moment straciła orientację. Przed wykonaniem susa wprost na osłabione belki podłogi bezpośrednio nad salonem powstrzymała ją Fel. Tym razem to ona chwyciła złodziejkę za rękę i pociągnęła za sobą w stronę niewyraźnego, rozmytego światła. Moment później wypadły na północny balkon willi i głęboko odetchnęły świeżym powietrzem.

Alyn spojrzała na Gaela, który wynurzył się z kłębów tuż za nimi. Krwawił z kilku miejsc, ale nie była w stanie orzec, czy to nowe rany, czy na nowo otwarte obrażenia, które zadał mu pahaadzki łowczy Taidańczyków. Nie pałał radością.

– To tyle – wysapała Fel. – Nie mamy dokąd uciekać.

Jak na zawołanie, z głębi budynku dobiegły ich pokrzykiwania żołnierzy.

– Jest jeszcze dach – powiedziała Alyn bez większego przekonania i stłumiła kaszel. Podrażniony przełyk palił ją, jak wtedy, gdy założyła się z Torynem, że bez uronienia ani jednej łzy zje spodek czystej harissy podwędzonej przez niego z saahijskiego rynku.

– Dach albo trawa – jęknęła Fel, gdy wyjrzała przez barierkę. – Nie możemy się tu bronić. Są coraz

bliżej! Gael?

– Padniiij!

Zanim najemnik ściągnął jej głowę w dół, Alyn poczuła na policzku coś, co natychmiast przywołało wspomnienia z jej wyprawy na Kaim. Gorący podmuch. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

Moment później willa zatrzęsła się w posadach, a przez okolicę przetoczył się grom. I jeszcze raz. I jeszcze raz. Trzy, pięć, dziesięć eksplozji jedna po drugiej rozgrzało powietrze i rozniosło po okolicy ostry smród siarki. Pomiędzy kłębami dymu złodziejka zauważyła, jak od północnej strony zbliżają się trzy ludzkie sylwetki, następnie rozdzielają się i obchodzą willę z obu stron. Trwało to kilka długich chwil, w czasie których słychać było jedynie głuche wybuchy kul ognia i zawodzenia poparzonych żołnierzy. W pewnej chwili spomiędzy buchającego ze środka na balkon dymu, wrzeszcząc i trzymając się za twarz, wybiegł jeden z Taidańczyków. Przeleciał nad barierką i runął na trawę. Jego krzyk został urwany przez głuche gruchnięcie. Wydawało się, że na Seine spada w kawałkach samo słońce.

A potem wszystko ucichło.

Głos po głosie, rębacz po rębaczu, krzyk zmienił się w jęk. Jęk w ciszę. W pewnej chwili słychać było tylko cichy syk trawiącego drewno ognia. W oddali, z głębi leśnych koron, odezwał się pojedynczy, urwany skrzek Ifiko.

Alyn wymieniła spojrzenia z Fel i Gaelem, po czym powoli podniosła się i wyjrzała ponad barierkę. Kiedy wiatr przegonił sprzed jej oczu chmurę szarego dymu, ujrzała w dole brunatne pasy wypalonej trawy. W tej samej chwili usłyszała za sobą ruch. Natychmiast odwróciła się i spojrzała w górę. Gdy przyjrzała się uważnie twarzy ciemnoskórej kobiety, która stanęła nad nią w swobodnej pozie, poczuła, jak uginają się pod nią nogi, a jej przełyk zawiązuje się na supeł. Jakby zobaczyła ducha...

Chwilę później obok niej pojawił się młody, szeroko uśmiechnięty mężczyzna. Na jego widok Gael wstał i zaklął.

– Kurwa, nie wierzę...

– Co... Co się stało? – zapytała Fel.

Najemnik skierował na nią swój wzrok i powiedział tępo:

– Wrócił Bon-Bon.

CZĘŚĆ IV

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Pustynię upiększa to, że gdzieś w sobie kryje studnię.

– *Mały Książę*, Antoine de Saint-Exupéry (przekł. J. Szwykowski)

Było już ciemno, gdy złodziejka opuściła osmalone i wciąż zadymione wnętrze willi. Stało się to dopiero wtedy, kiedy opanowała drżenie rąk w stopniu wystarczającym do tego, by móc je ukryć za plecami czy w długich rękawach dżalabii. Podeszła do sprawy racjonalnie – jeżeli jej ciało nie zamierzało w tej kwestii współpracować, trudno. Nie mogła ukrywać się bez końca. Fel i Gael potrzebowali jej obecności. Nawet jeśli jeszcze tego nie wiedzieli.

Wyłączając niezwykłą aurę poszeptujących między sobą kobiet, które przybyły obsadzie Seine na ratunek, cisza spowijająca polankę była jak nadęty balon. Trzeszczała w szwach. Gael milczał, choć przychodziło mu to z wyraźnym trudem. Alyn zauważyła, że spogląda tylko od czasu do czasu na Bon-Bona takim wzrokiem, że sama czuła ciarki na plecach. Chłopak z kolei siedział wpatrzony w ogień. Wędrował gdzieś daleko, głęboko we własnej głowie.

Bon-Bon – czy Bonenffant, jak się przedstawił – nie mógł być starszy od Alyn, rumieńce na jego pełnych policzkach dodatkowo ujmowały mu lat. Podobnie jak korpulentne ciało, dalekie zapewne od ideałów, którym hołdowała Vaala. Migotliwe światło ogniska z trudem kryło jego podwójny podbródek i pokrywające jego okrągłą twarz piegi.

Siedział w pewnym oddaleniu od kobiet, które – nie było co do tego wątpliwości – we dwie rozprawiły się z całym taidańskim oddziałem, zabiły blisko dwie dziesiątki i przegnały drugie tyle żołnierzy. Obserwując jego zachowanie, patrząc na wyraz jego twarzy, Alyn czuła z nim pewne odległe pokrewieństwo. Była w stanie dostrzec w jego rozbieganym spojrzeniu uczucie tego, kto po raz pierwszy zetknął się z potęgą służek Bakkusa.

Przemożny, otępiający strach.

Bon-Bon przedstawił Zakkanki jako Dyanę i Adrię. Obie miały krótko ścięte włosy, matowo ciemną cerę i piękne, smukłe ciała. Obie były pokryte od stóp do głów tatuażami, które jarzyły się jeszcze długo po bitwie z żołnierzami Reynaulda.

Pierwsza miała twarz Laetitii, a druga Shoi. Tych samych, które chciały zamienić pobyt Alyn na Kaim w piekło, zanim zrobił to Godryk. I nawet byłoby to do zniesienia... do zrozumienia, gdyby nie to, że żadna z nich nie zwracała na nią większej uwagi.

Jak one mogły umrzeć i wrócić? W jaki sposób było to możliwe?

Aby wstrzymać gonitwę myśli, złodziejka zerkała w bok na ostatnią z uczestniczek całej tej niemej, wieczornej celebracji. Ale i jej spojrzenie nie przynosiło Alyn ukojenia.

„Rzemieślnicy wojny". To był termin autorstwa Kai. Tak nazywała tych, którzy od czasu do czasu przybywali do Saahii przejazdem ku konfliktom na zachodzie czy południu. Piechotą, na wielbłądach i łodziami.

To w ich oczach, przypomniała sobie złodziejka, po raz pierwszy widziała ten trudny do uchwycenia błysk. Cień bitewnego obłędu, który poznała wyraźnie i z bliska. U Godryka. U Gaela. U, czego obawiała się najbardziej, Fel.

Kontemplując kamienny wyraz twarzy młodej tancerki, Alyn obiecała sobie, że zawrze z nią pakt. Prośbą lub groźbą zmusi ją do tego, by nie zdradzała Kai tego, co przeżyła z nią na szlaku. Dobrze wiedziała, że nie na tym polegała opieka, ale ten płotek obie przeskoczyły już razem wiele dni temu.

W końcu, gdy już zdrętwiały jej dłonie, na których usiadła, Alyn odwróciła się do Bon-Bona. Przywołała na twarz najbardziej szczery uśmiech, jaki potrafiła z siebie w tej sytuacji wydobyć.

– Mówisz po zakkańsku? – zapytała. Zauważyła, że Dyana i Adria zwróciły na nią uwagę.

– Tylko trochę. Mało – odpowiedział chłopak.

Jego akcent wskazywał na dużo więcej niż „tylko trochę", ale Alyn nie skomentowała tego.

– Rozumiem, że też jesteś członkiem Valangi – powiedziała najdelikatniej, jak tylko pozwolił jej na to zachrypnięty głos. – Albo byłeś. Tak czy siak bardzo mi przykro, że... przykro mi z powodu Edwina, Liz i Guido.

– Jeanine... – zwróciła uwagę Fel, nie podnosząc głowy.

– Nie wiemy, co się stało z Jeanine, Fel – odpowiedziała. Po chwili dodała łagodniej: – Tak samo jak z Vaalą. Wziął je Taidan. Wierzę, że wciąż żyją.

Mówiąc to, czuła ulgę, że Fel jest obok, bezpieczna. Jakkolwiek było to bezduszne wobec członkiń Valangi. Zerknęła na Gaela. Przez moment wydawało się, że chciał coś powiedzieć, ale tylko zacisnął pięść i uderzył nią o ziemię.

Bon-Bon rzucił tylko na niego okiem. Chrząknął.

– Dziękuję... Alyn, prawda? Też z Zakkanu?

Złodziejka już chciała odpowiedzieć machinalnie, ale ugryzła się w język. Pytanie zaskoczyło ją. Przywołało na jej usta uśmiech. W końcu podniosła wzrok.

– Poniekąd.

– Poniekąd?

– Tak, poniekąd. Powiedz, jak to się stało, że wróciłeś?

Chłopak westchnął, skrzyżował nogi i oparł pękate dłonie o kolana.

– Znalazłem je daleko na wschodzie. Dyanę i Adrię – skinął głową w stronę ogryzających zajęcze kości Zakkanek.

Chrząknął. Swą powolną manierą wysławiania się przypominał Alyn Umphefumulo z Kaim, ale porównanie to traciło całą moc w nieokreślonym niepokoju, który delikatnym drżeniem przemycał się w suchy, śmierdzący spalenizną wieczór wraz z każdym wypowiadanym przez Bon-Bona słowem.

– Nad morzem – podjął. – No dobrze, to one mnie znalazły. Całkiem dosłownie. To było po, nie wiem, dwóch tygodniach wędrówki granicą Imoren. Gael pewnie powiedział wam. Albo ktoś... Było nam z Vaalą nie po drodze.

– Nie po drodze?! – wybuchł Gael. – Nie po drodze?! Ty skurwysynu!

– Ejże! – warknęła Alyn, a zmęczone dymem płuca i sfatygowane gardło sprawiły, że zabrzmiała tak,

jakby siedziały w niej dwie pahaadzkie przywódczynie najemników z Imoren. Za tę umiejętność dziękować mogła tylko miesiącom spędzonym na morzu pod komendą Wilmota.

Wokół ogniska na powrót zrobiło się cicho. Nawet łże-Laetitia i łże-Shoa wlepiły w nią z ciekawością świetliki swych oczu. Złodziejka zmarszczyła brwi. Na chwilę ogarnęło ją znajome uczucie bliskości. Jakby gdzieś obok, jak zwykle wtedy, gdy go najbardziej potrzebowała na Kaim, zmaterializował się Żółw.

Ale nie obejrzała się.

– Skoczycie sobie do gardeł jutro – rzekła po chwili normalnym głosem. – Proszę bardzo. Gael, wiem, że cierpisz, ja też nie mogę uwierzyć, że ich już nie ma. Pochowamy ich razem, daję ci moje słowo. Ale wystarczy gniewu na dziś.

Brodaty najemnik nie wyglądał na przekonanego, ale najważniejsze, że odpuścił, a jego twarz przybrała łagodniejszy wyraz. Wycofał się, ale jego surowy wzrok ani na moment nie opuścił twarzy Bonenffanta.

Chłopak zaśmiał się tyleż uprzejmie, co nerwowo, i chwilę potem podjął:

– Jak mówiłem, byłem na wybrzeżu. Rozkaz Vaali. Dziś rozumiem, że miał być ostatnim. – Bon-Bon wzruszył ramionami i wytrzymał spojrzenie Gaela. – Kilkoro dobrych ludzi w mijanych po drodze wsiach poczęstowało mnie chlebem w zamian za drobne usługi, ale nie było ze mną najlepiej. W końcu skończyły się okoliczne sioła i przez długie trzy dni szedłem na oślep granicą sawanny. Piłem rosę i jadłem jagody. Nie wystarczyło, że były bardziej gorzkie niż woskowina. Moje zmysły już wtedy pracowały jak po tłustym baniaku wina. Chciałem pić ziemię i gryźć deszcz. Ha, ha, tę jedną myśl pamiętam bardzo dokładnie. O tym, że to nie są jagody, przekonałem się więc pół dnia później, kiedy cały wieczór i pół nocy spędziłem w kucki... Było źle. Miałem dreszcze, co zjadłem, to wyrzygałem... Na dobrą sprawę byłem już prawie martwy. I wtedy... – chrząknął i skinął w stronę Zakkanek. – Nie wiem, jak mnie znalazły. Gdy podniosłem się po tym, jak zaaplikowały mi to swoje pustynne lekarstwo, okazało się, że leżałem w zagłębieniu pod głazem u szczytu trawiastej wydmy. Zaraz za nią, jak tylko okiem sięgnąć, rozpościerało się morze. A nieco na południe, wzdłuż plaży... Wioska rybacka. A raczej to, co z niej zostało. Ogień, dym. Jak tutaj, w Seine, tylko... bardziej. Brutalniej. Pierwsze, co przyszło mi do głowy, to Taidan. Nie mogłem uwierzyć, że Charty tak szybko przecięły całe Imoren i dotarły aż do morza. Potem jeszcze raz spojrzałem na nie. I ich tatuaże. Słyszałem opowieści... Legendy. Bajki. O Bakkusie i jego służkach. Okazało się, że bajki są kurewsko bliskie prawdy.

Zakkanki zaśmiały się cicho. Ta, którą nazwał Adria, puściła do chłopaka oko. Alyn była przekonana, że rozumieją każde jego słowo. Laetitia i Shoa rozumiały zakkański i kaimiański. Dlaczego te dwie nie miałyby też?

– Wiecie, o co te dwie mnie zapytały, gdy doszedłem do siebie? Wiecie, co chciały znaleźć w tej biednej wiosce? Powiedz im, Dyana.

– Spierdalaj, synku!

– Jebnij się w ten głupi łeb!

Obie kobiety zakrzyknęły niemal w tandemie po zakkańsku i głośno się roześmiały. Alyn znów poczuła dreszcz, tym razem dlatego, że rozpoznała znajome głosy służek. Stwierdziła, że gdyby zobaczyła Laetitię i Shoę w podobnych humorach, natychmiast zaczęłaby spieprzać tak daleko, jak tylko poniosłyby ją nogi. Dyana i Adria różniły się od tamtych tylko jednym – wydawały się mieć, mimo wszystko, dużo więcej pogody

ducha.

Albo po prostu nie miała okazji spaczyć ich aura szaleństwa Kaim.

Zmieszany, ale nie zdeprymowany Bon-Bon chrząknął dwukrotnie i kontynuował:

– Wina chciały. Pitnego ognia. Byle jakiego. Aby tylko mógł zakręcić. Aby miał... Jak to było? Wagę?

– Ciężar, dupku – dopowiedziała z uśmiechem Dyana, po czym jej twarz stężała. – Ciężar.

– Przyprowadziłem je więc tutaj, gdzie wiedziałem, że leżą nienaruszone zapasy Freyhoffów. Pomyślałem, że z taką siłą ognia Valanga rozprawi się z absolutnie każdym, kto będzie chciał jej wejść w drogę. Liczyłem... – chrząknął, gdy załamał się mu głos. – Liczyłem, że zdążymy na czas.

Alyn drgnęła, gdy zauważyła ruch od strony Gaela. Najemnik poprawił jednak tylko pozycję, wyprostował się i skierował bezpośrednio do Zakkanek.

– Jesteście służkami Bakkusa – powiedział zaskakująco łagodnie, a one skierowały na niego wzrok. – Potrzebujecie wina do... obrzędów. Ale to z piwnic Seine... To, które z takim trudem ratowałyście, pomagając gasić pożar w piwnicy, jest zepsute. Co do jednej beczki.

– Wiemy – odpowiedziała powoli Adria.

– A nawet jeśli chciałybyście mimo to zabrać stąd wino, potrzebujecie wozu. Nie będziecie przecież turlać beczek przez wydmy.

Zakkanki przytaknęły i uśmiechnęły się tajemniczo. Bon-Bon nabrał powietrza, by wejść mu w słowo, ale Gael stanowczo uciszył go gestem.

– Jeżeli mogę zapytać: ile wina potrzebujecie? I jak daleko chcecie je przetransportować? Jestem pewien, że będziemy w stanie jakoś wam pomóc. Nie podziękowałem wam za to, ale chyba... zawdzięczamy wam życie.

Kobiety spojrzały po sobie.

– Daleko – powiedziała po chwili milczenia Dyana.

– Do Kkora-Imore – rzekła zaraz po niej Adria.

Fel zmrużyła oczy, jakby nazwa ta coś jej mówiła.

– Kkora...

– Oaza Al-Arak – wyjaśnił Bon-Bon. – Ma kilka nazw. Służki używają tej sprzed wieku, z czasów po pustynnych wojnach.

– Kkora-Imore.

Alyn usłyszała obok siebie półszept Fel. Moment później poczuła na palcach uścisk jej dłoni. Odwróciła głowę. Dziewczyna patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

– Pieprzona szkoła... Podczas pustynnych wojen Korona Castanet dotarła zbrojnie wysoko na północ. Zagarnęła szeroki przybrzeżny pas Pustyni Nomadów wraz z kilkoma oazami. Największą z nich, dumni zdobywcy, nazwali po swojemu. Kkora-Imore to beduińska wersja Coer-a-Imoren.

Alyn przełknęła ślinę i wyszeptała:

– Serce Imoren...

*

Choć wydawało się, że czas tej nocy stanął w miejscu, jego upływ subtelnie odmierzały przygasające w żarze ogniska, czarne ogryzki szczap. Wokół robiło się pusto. Najpierw zniknęła Fel. Za nią do cichego, równie osmalonego wnętrza willi podążyły Zakkanki. Wreszcie, upewniwszy się, że z zamilkłą nagle Alyn wszystko jest w porządku, towarzystwo opuścił Gael. Pozostał tylko Bon-Bon i ciężki, snujący się tuż przy gruncie dywan zimnego zapachu ognia i śmierci.

Mimo wyczerpania całym dniem, tygodniem, miesiącem, złodziejka nawet nie myślała o śnie. Jak mogła spać, kiedy wewnątrz cała kipiała od nadziei i gniewu? „Serce Imoren", kto by pomyślał... Gdyby wiedziała, gdyby poświęciła więcej czasu, przestudiowała bibliotekę mnichów, zapytała ich o radę... Być może nigdy nie musiałaby postawić nogi na terenie Imoren. Fel nie zostałaby schwytana.

Być może Edwin, Liz i Guido wciąż by żyli.

Przywołała obraz Zakarego, jego surowy ton, gdy w azylu pracowni uczył ją i Kai swych szyfrów w niemiłosiernie gorące saahijskie południa. Powtórzyła w myślach owe dwa słowa przytoczone przez Kai w liście. „Serce Imoren". Tylko tyle. Żadnych dodatkowych wskazówek. Żadnych wyjaśnień względem prawdziwej natury, prawdziwej nazwy tego tajemniczego miejsca. Czy ona też wierzyła w to, że chodzi o Castanet? Z pewnością powtórzyła dokładnie to, co przekazał jej Zakary... albo ktoś, kto pod niego się podszywał.

„Serce Imoren". Oaza w sercu Pustyni Nomadów. Wiadomość przekazana na odległość. Maszyna. Aura iluzji. Choroba niebieskiej krwi. Zabawa w boga.

Nagle perspektywa powrotu do trudnienia się drobnym złodziejstwem i relatywnie prostego życia z dnia na dzień wydała się Alyn niesłychanie pociągająca.

To był absolutnie najgorszy moment na to, by ostatni pozostały przy żarze oprócz niej Bon-Bon otworzył usta.

– Przekroczyłaś pieszo pustynię.

Wyrwana z zamyślenia złodziejka uniosła głowę i pociągnęła nosem. Czuła się tak, jakby właśnie brutalnie wyrwano ją z objęć snu. Naturalnym odruchem w tej sytuacji byłoby wstać, mniej lub bardziej sucho się pożegnać i wrócić do swojego pokoju. Ale od dłuższego czasu świat, który Alyn pozostawiała za sobą, brnąc przed siebie, miał z naturalnością coraz mniej wspólnego. Milczała więc.

– Alyn... – Bon-Bon nie poddawał się. – Ładne imię. Ciekawe. Założę się jednak, że nie urodziłaś się w Zakkanie.

Złodziejka otrząsnęła się i zmrużyła oczy, wbijając wzrok w rozświetlaną przez migotliwy, przygasający płomień sylwetkę chłopaka. W jednej chwili zrozumiała. To tkwiło w tonie jego głosu, doborze słów, gestach. Czuła to podskórnie już wcześniej. Kogoś jej przypominał, tylko nie wiedziała kogo. Aż do tej chwili. I zrobiło się jej na tę myśl niedobrze.

Wstała, ale zamiast odejść w stronę willi podeszła powoli do Bonenffanta i stanęła nad nim. Gdyby mógł zobaczyć w tej chwili jej skrytą w mroku twarz, prawdopodobnie byłby daleko stąd. Na razie tylko podskórnie, wydawało się, czuł, że coś jest nie tak. Chrząknął.

– Czy Gael... mówił ci, w jakich okolicznościach opuściłem Valangę?

Alyn rozluźniła zaciśnięte do tej pory pięści i oddała kontrolę. Pozwoliła działać temu... czemuś, co

rosło w niej od dawna. Od czasu, gdy w ciemnej, zadymionej grocie pod stolicą Kaim z jej łokcia wykiełkowało ziarno szaleństwa. Błyskawicznie spadła na niego jak drapieżny ptak nurkujący po swą zdobycz. Kolanem przygniotła jego pierś, a zdrową ręką błyskawicznie sięgnęła do jego cholewy i przytknęła mu do szyi jego własne ostrze. Prawdopodobnie nieco zbyt mocno i boleśnie, ale było za ciemno, by mieć pewność. A gdy spróbował się szarpnąć i poruszyć rękoma, przycisnęła jeszcze mocnej.

O tym, że zrozumiał swoje położenie, upewniła się, gdy usłyszała jego chrapliwy, przyspieszony oddech. Przybliżyła usta do jego ucha.

– Nie muszę się pytać Gaela, za co Vaala cię wyrzuciła – wysyczała. – Ładna opowieść, Bon-Bon. Ładna bajka. Chleb za drobne usługi? Śmiertelnie spragniony na szlaku? Wierz mi, nigdy nie czułeś pragnienia, które sprawiłoby, że mógłbyś zabić za kroplę wody. Powiedz mi coś, Bon-Bon. Twój powrót do Seine z tymi kobietami. Chcesz powiedzieć, że przyszły tu za tobą jak na łańcuchu? Że nie szczałeś w gacie, wskazując im owe wsie z „dobrymi ludźmi", którzy tak szczodrze częstowali cię niby chlebem? Powiedz mi, że te domy wciąż tam stoją.

Chłopak wierzgnął niemrawo. Przełknął ślinę.

– D-dusisz mnie...

Alyn odsunęła głowę od jego twarzy, ale nie poluźniła nacisku na jego szyję. Na zaciśniętych wokół rękojeści palcach czuła spływającą pojedynczymi kroplami wilgoć. Chłopak dyszał chrapliwie, próbując złapać oddech. Na czole wystąpiły mu okrągłe krople potu.

– Wiesz, dlaczego znaleźliśmy się w tej sytuacji? – zapytała złodziejka po chwili milczenia. Czuła się tak, jakby jej umysłem zawładnęła iluzja znad Kaim. Oszalała od żądzy i furii. – Wystarczyło mi jedno twoje spojrzenie. Jeden gest nie tak długo po tym, jak zakończył się mój prawie najgorszy poranek w życiu. Był tylko jeden gorszy i ty w nim byłeś. Twój... gatunek bandytów, skurwysynów napadających na traktach rodziny z dziećmi, zabijających dla kilku sztuk srebra, gwałcicieli...

– O czym... o czym ty...

– Jesteś jednym z nich. Powiedz to. Jesteś tchórzem, który na każdym rogu widzi własną śmierć, więc aby ją prześcignąć, zostawia za sobą szlak trupów.

Czując, że za chwilę sama zacznie drżeć, złodziejka wzięła głęboki oddech, po czym uniosła ostrze i wstała. Bon-Bon leżał na plecach roztrzęsiony i zasmarkany. Jego koszula cała była mokra od potu.

Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale odległe wspomnienie dwóch zwyrodnialców, którzy rozłupali dzieciństwo jej i Toryna na pół, sprawiło, że jej gardło zacisnęło się stalową obręczą. Upuściła nóż, który upadł płazem na pierś chłopaka, i powoli odeszła w ciemność.

Nie była pewna, co się właśnie stało. Przez moment miała wrażenie, że poczuła to, co musiała czuć Fel, w chwili gdy poderżnęła gardło bandycie na sawannie. Musiała się zmuszać do powolnych, głębokich oddechów. W dół pleców spływała jej zimna strużka potu.

*

Fel siedziała na występie, który jeszcze poprzedniego dnia był balkonem, i machała od niechcenia no-

gami spuszczonymi nad dachem przedsionka. Rozglądała się po linii drzew poniżej południowego stoku pagórka. Tego poranka słońce wzeszło na bezchmurnym niebie, zwiększając kontrast pomiędzy jasną, przypiekaną jego promieniami trawą a cieniem lasu. Poza zbłąkanym lisem nie zauważyła żadnego ruchu.

Jeżeli mieliby powrócić, przepędzeni żywym ogniem Taidańczycy zrobiliby to kilkakrotnie większą liczbą. Oczywiście jeśli dowództwo wpierw uwierzyłoby opowieściom ludzi Reynaulda i zgodziło się na taki ruch. Gael otwarcie wątpił w otwartość generałów Chartów na powrót do odizolowanego i mało ważnego strategicznie przyczółka. Fel była pewna, że upokorzony major audytor nawet się nie zwróci do sztabu. Był zbyt... zaborczy względem tego, co uważał za własne.

Dlatego rozglądała się po okolicy nieomal od niechcenia. Częściej zerkała w dół, na leżący na jej udach stary, osmalony, gruby inkunabuł – antyczny imoreński przewodnik po odmianach roślin winnych. Jego zażółcone karty były cienkie i giętkie, w wielu miejscach naderwane. Sporej liczby nie było w ogóle.

Tam, gdzie można było dostrzec litery – między odbitymi nawet przez kilkadziesiąt stron brunatnymi plamami – tekst był niemal nieczytelny. Wyblakły i rozmazany tusz czynił z niegdyś szczegółowych rycin na wpół abstrakcyjne impresje. Najważniejsze jednak było to, że księga miała wyjątkowo szerokie marginesy.

Kilka z nich zdążyła już zapisać niezgrabnie nakreślonymi symbolami. Używała grubej drzazgi, którą maczała w wilgotnej mieszance sadzy i śliny, więc nie bała się o to, że zabraknie jej któregoś z przyborów. Potrzebowała jedynie czasu, cierpliwości i ostatecznie natchnienia, by wyrazić to, co chciała, w pojedynczej, zwięzłej wiadomości.

A potem odwagi, by ją wysłać.

Spojrzała w zamyśleniu w dół, na dziedziniec, gdzie używając niewiele więcej niż drewnianego wiadra i nogi od stołu, Gael wraz z Alyn powoli, monotonnie wgryzali się w brąz wyschniętej ziemi. Obok nich, zawinięci w osmalone zasłony i narzuty, na swój pochówek czekali Guido i Liz. Fel skupiła wzrok na pomarańczowej czuprynie złodziejki. Alyn kopała z werwą, ale bez zawziętości. Miała zadanie do wykonania. Gael pracował seriami. Wpierw rzucał się w szał rozkopywania, by po dłuższej chwili, spocony, wściekły i zdruzgotany usiąść na schnącej hałdzie ze spuszczoną głową. Alyn rzucała mu wówczas kilka słów otuchy, nie przestając pracować. Nie rozumiała, czego potrzebował. Nie przeżywała nawet w drobnej części tego, co on. Była tylko kimś, kto znalazł się w pobliżu. Przelotnie znajomym duchem.

Najemnik miał ich jeszcze tego wieczoru lub następnego ranka poprowadzić na północ, na sawannę. I jeszcze dalej. Stanąć w pierwszej linii obrony przed tymi nieludzkimi dzikuskami z pustyni. Nie bez powodu został przywódcą Valangi. Wydawał się mieć wszystkie cechy, które Fel odnalazła niegdyś w Madżidzie. Oprócz spokoju, którego do tej pory nie dostrzegła w jego nieustannie rozognionych oczach. Zasługiwał na spokój. Na relaks. Na przyjemność.

– Artystka? – Fel usłyszała nagle zza pleców. Wzdrygnęła się i natychmiast zamknęła księgę z donośnym klaśnięciem.

Bonenffant stał oparty o ścianę. Próbował być nonszalancki, a jego pozę potęgował postawiony na sztorc kołnierz niestety wytartej i przepoconej koszuli. Od razu dostrzegła w nim również wyraźną niechęć do zbliżenia się do krawędzi balkonu. Jego szeroki jeszcze wczoraj przy ognisku uśmiech stracił całą swoją promienność. Ale wciąż tkwił na jego ustach.

Chrząknął.

– Dobrze wiedzieć, że w tych niespokojnych czasach nie przestaje kwitnąć sztuka.

Postanowiła nie wyprowadzać go z błędu. Wiedziała, że coś zaszło wczoraj między nim a Alyn, było to widać jak na dłoni. Postanowiła skryć swą nieufność pod swoim najbardziej protekcjonalnym grymasem.

– Dla sztuki nie są niebezpieczni podpalacze, lecz kohorty pożarniczych – odpowiedziała po imoreńsku.

– Czyżby Bérne? Brawo! – ucieszył się Bon-Bon. – Artystka i koneserka imoreńskiej poezji!

Fel absolutnie nie pamiętała, czyj był to cytat. Jakiś wędrowny kuglarz wydrapał go kiedyś na ścianie jednej z kamienic w Kukh. I choć w innych okolicznościach być może pociągnęłaby cokolwiek interesująco zapowiadającą się wymianę zdań, obecnie zupełnie nie miała na to ochoty. Poza tym... Trudno to było ubrać w słowa, ale chłopak wyglądał tego poranka wyjątkowo niezdrowo.

– Jak tam północny stok, Bon-Bon? – rzuciła przez ramię i przytknęła dłoń do czoła, by ochronić oczy od słońca. Wbiła wzrok daleko przed siebie, sygnalizując koniec rozmowy.

Gdy po dłuższym czasie siedzenia w bezruchu obejrzała się, po chłopaku nie było śladu. Otworzyła na powrót tomiszcze i przewróciła kilka kartek, by znaleźć kawałek czystego marginesu. Nawilżyła swój „tusz" kroplą śliny i zamoczyła w nim drzazgę. Westchnęła i skrzypiąc drewnem, ostrożnie, małymi literami nakreśliła pierwsze dwa słowa.

„Drogi ojcze".

Prowadziła dłoń pewnie, zawijała ogonki z gracją. Przykładała się do każdego wyrazu.

Tak, jakby była w pełni pewna tego, że nie popełnia największego błędu w życiu.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Kiedy stanęła na pierwszej napotkanej łasze sypkiego piasku, przeszedł ją dreszcz obrzydzenia. Dopiero teraz, gdy pozbyła się szczypania na skórze i chrzęstu drobnych ziarenek między zębami, gdy od kilku dobrych dni nie odczuwała głodu ani pragnienia, gdy napięcie i strach targające jej jestestwem odnalazły zupełnie nowe źródła, poczuła, jak bardzo znienawidziła tę pustynię.

To było wręcz niesamowite: żyła w niej od lat, otoczona murem, pojona wilgotnym powietrzem znad zatoki. Miały siebie nawzajem na wyciągnięcie ręki. Na podmuch prażącego wiatru. I trzeba było zaledwie ułamka tego czasu, zaledwie kilku dni, aby Alyn poznała to prawdziwe, bezduszne i bezlitosne oblicze Pustyni Nomadów. A teraz, po morderczej wędrówce i przeżyciu konfrontacji wyżymającej przez skórę wolę istnienia, żadne kolejne ich spotkanie nie mogło być takie jak kiedyś. Żar palił bardziej, piasek mocniej darł naskórek, pragnienie nadchodziło szybciej i z większą mocą. A najgorsze, że znów nieustannie i męcząco ćmiła ją głęboko pod sercem i promieniowała na całe ciało kaimiańska choroba niebieskiej krwi.

Złodziejka upiła łyk z manierki i skrzywiła się. Do wyboru było albo paskudne, szejtańsko cierpkie wino, albo brudna woda z jedynego strumyka, na który natrafili od opuszczenia Seine poprzedniego poranka. I wolała wykąpać się w cuchnącej, lepkiej pozostałości po rozlanym occie niż wziąć do ust choćby jeden łyk tej drugiej.

Obejrzała się, aby choć na chwilę stracić z oczu kłującą w oczy jasność piachu. Z tyłu Gael i Fel mozolnie ciągnęli dwukółkę z przetrąconym kołem, którą dwa dni temu z jednej ze spalonych okolicznych wsi przyprowadziła Dyana. Wóz chwiał się i klekotał, ale stabilizowało go obciążenie – sześć osmalonych beczek, które nie bez trudu całą szóstką wytoczyli z piwnicy jedna po drugiej. Trzy z nich leżały obok siebie, trzy kolejne przyciskały pozostałe do ścianki dwukółki.

Podróż szła im powoli, nawet mimo tego, że pozostawiwszy za plecami okupowane tereny północnego Imoren, pokonali dopiero twardą, co najwyżej przeoraną tu i tam kępami niskiej trawy sawannę. Za chwilę mieli wkroczyć na ulotny, podatny na zmienność pustynnych wiatrów szlak utwardzonego piasku. Przy odrobinie szczęścia ten poprowadzi ich na wschód, do Wakh Sind. Jeśli uśmiechnie się do nich los, podróż stamtąd na północny zachód, z powrotem ku sercu pustyni, będzie łatwiejsza. Na razie jednak nie było innego wyjścia. Pracowali parami, na zmianę, jak woły pociągowe. Brnęli, przeklinając na zmianę Taidan, Imoren i służki Bakkusa.

Jak by nie było, to one, Dyana i Adria, zaprzęgły ich do roboty. Nie dało się tego inaczej wyrazić. Mimo że same uczestniczyły w wysiłku, Zakkanki bez użycia siły sterroryzowały tych, których wybawiły, zmusiły do tego, by ciągnąć te przeklęte beczki w głąb pustyni. Nie potrzebowały nawet otwierać ust. Każdy, z Alyn na czele, wiedział, jak niszczycielską potęgę zaszyto – czy raczej zamalowano – w ich tatuażach. Wspomnienie

grzmotów i gorąca, które przepędziły Taidan spod willi, wciąż było świeże. Tak jak swąd pieczonych ciał poległych.

Jedyną pociechą było to, że ostatecznie również kierowały się ku oazie Al-Arak. Ku Sercu Imoren. Ku Zakaremu i... tym, którzy z pewnością siłą zabrali go z jego warsztatu w Saahii. Przypomniała sobie dwóch zamaskowanych mężczyzn, którzy dawno, w dniu jej wypłynięcia w rejs na Kaim, gonili ją przez miasto. Zapytała o nich Kai po swoim powrocie, ale nawet ona nie była w stanie dowiedzieć się, dla kogo pracowali. Od tamtego czasu nie pokazali się w mieście.

Gdy zaspokoiła pragnienie i uspokoiła żołądek, Alyn przetarła od zewnątrz i przedmuchała od wewnątrz szkła. Przez ostatnie pół dnia zaszły pyłem, który zalepiał pory skóry i właził w absolutnie każdą szczelinę ciała. Daleko z przodu, u kresu nieskończonej, wydawało się, falującej białej drogi, majaczył malutki, odrobinę tylko ciemniejszy od okolicy punkt. Podnosił na duchu, dawał nadzieję. Wakh Sind, ich pierwszy cel.

Jego kropkę na horyzoncie niczym nawiasy zamykały prowadzące tę parodię karawany służki Bakkusa. Choć minęły już trzy dni, od kiedy zobaczyła je po raz pierwszy, nie była w stanie powstrzymać szybszego bicia serca, gdy miała okazję uważniej im się przyjrzeć. Z uwagi na krótką fryzurę Adria wyglądała niemal kropka w kropkę jak Shoa. Patrząc na jej twarz, w jej oczy, przypominała sobie cały czas, który spędziła związana, gdy szła przez pola i lasy Kaim. Pamiętała niepodjętą próbę ucieczki po tym, jak Zakkanka bezszelestnie zaszła ją od tyłu z własnoręcznie ułamaną giczą upolowanego dzika. Jedyne, czego brakowało Adrii do tego, by być idealnym odbiciem swojej... bliźniaczki, to ten pogardliwy półuśmiech. I poczucie czystej przyjemności ze sprawiania bólu.

Nie były zatem Laetitią i Shoą. Nie mogły nimi być. Nie udawały również tancerek, aby sprawić wrażenie bardziej ludzkich. Nie musiały. Pociły się. Piły. Jadły i klęły. Były bliskie temu, co każdy Saahijczyk mógłby nazwać siostrami z innego gaju. Pokrewnymi nićmi myśli. Bliskie. Ale wciąż nieco inne. Niepokojące. Sztuczne. Miały te swoje drobne, trudne do nazwania manieryzmy. Zbyt nagłe ruchy. Uśmiechy bez udziału oczu. I choć podskórnie wiedziała o tym wszystkim od jakiegoś czasu, dopiero teraz Alyn zaczęła sobie przypominać, kojarzyć. Nie minęło wiele czasu, nim była pewna, że pod tym względem „prawdziwe" Laetitia i Shoa zachowywały się dokładnie tak samo. I nie wiedziała, co o tym myśleć.

W oddali ciemny punkt kamiennego schronienia tańczył na horyzoncie w gorącym powietrzu.

*

– Jak się trzymasz?

Niektórych pytań podobno nie wypadało zadawać. Tak mówili: „nie wypada". Wysoko postawieni, obyci, „poważni" ludzie. Możni Saahii. Ignoranci.

Gael nie odpowiedział, ale Fel złowiła jego wzrok. Znała to spojrzenie. Spojrzenie człowieka, który niezależnie od doświadczeń i siły charakteru nie był w stanie całkowicie odciąć się od smutku. Od dojmującego poczucia straty.

Pot na jego czole, przyspieszony oddech, czerwień skóry – wszystkie uczucia, które nim targały, najemnik maskował wysiłkiem. Nie ulegało wątpliwości, że podczas ich zmiany to on wykonywał większość pracy. A gdy jego wzrok padał na plecy Bon-Bona, wraz z narastającym gniewem jeszcze przyspieszał, wyrywał się

do przodu.

Taki był. Gdyby nie to, że czuł się w obowiązku wyruszyć z tymi, którzy uratowali jego życie, ruszyłby w las, nawet w pojedynkę. Aby odnaleźć Vaalę i Jeanine i albo je uwolnić z rąk Taidańczyków, albo umrzeć. Nawet mimo tego, że podczas ostatniej takiej wyprawy zginął Edwin. Nawet mimo tego, że teraz – samodzielnie i przy wzmożonej czujności wojsk Chartów – zapewne nie zaszedłby daleko.

Fel chciała choć na chwilę rozproszyć jego mordercze skupienie.

– Jeanine była... jest dziwką, prawda?

Lubiła to słowo. W Kukh kojarzyło się jej z przedsiębiorczością. Niezależnością kobiet i mężczyzn, którzy uprawiali seks za pieniądze nie dlatego, że ktoś – albo coś – ich do tego zmuszało. To było rzemiosło, które wbrew pozorom wymagało talentu i wprawy. Nieliczni wynosili je do rangi sztuki. W Saahii miała okazję poznać wielu profesjonalistów w tym zawodzie. I wystarczyło, że spojrzała na Jeanine wtedy, w karczmie, żeby dojrzeć to, co sprawiało, że była dobra w tym, co robiła.

Gael, wydawało się, usłyszał w słowach idącej obok niej dziewczyny echo szacunku. Spojrzał uważnie na Fel i skinął głową.

– Guido... był w niej beznadziejnie zakochany – powiedział z cieniem uśmiechu.

– Ona da sobie radę. Przeżyje. Wiesz o tym, prawda?

Tym razem najemnik uśmiechnął się szerzej.

– Tak. Jestem tego pewien. To o Vaalę się martwię.

– Czy ten, który ją zabrał... Løc...

Gael dał znak do zatrzymania się i puścił dyszel, po czym rozmasował dłonie i przedramiona. Fel zauważyła, jak ostrożnie obchodzi się ze swoją rzemienną bransoletą, utrzymując ją wolną od brudu i piasku. Totem, pomyślała, po kimś lub po czymś. Wykorzystała ten moment, by pociągnąć łyk wody z jego bukłaka. Była mdła, o gorzkim ziołowym posmaku, ale rośliny, które najemnik wrzucił do środka, miały za zadanie wchłonąć większość jej ziemistej ohydy. A kwaśnego, śmierdzącego wina nie byłaby w stanie nawet przytknąć do ust.

– Co wiesz o Pahaadach, Fel? – zapytał mężczyzna, gdy ponownie ruszyli.

Wiedziała sporo. Znała osobiście dwóch kupców, którzy w Kukh spędzali większość czasu, odpoczywając przed powrotem pustynnym traktem na zachód. Słuchała ich opowieści. Nauczyła się nawet kilku słów języka, którym mówiono na stokach Bhalu Devi.

Ale wzruszyła tylko ramionami. Wolała, żeby to on mówił.

– To naród o tradycji ściśle opartej na plemiennej hierarchii. A jednocześnie skrajni indywidualiści. Ci, których wybiera Makalu, ich święta dolina, zdobywają status wyniesionych ponad chłopstwo. Boskich wojowników – chociaż zazwyczaj świętości w ich czynach jest niewiele. To trzon sił obronnych ich kraju. Oni, potem mnisi, a na końcu wieśniacy i strome skały, na które wpierw musieliby się wdrapać potencjalni agresorzy. I tradycja wymaga od nich, by ciągle ze sobą rywalizowali. Ciągle podnosili swoje umiejętności. Część przez całe życie schodzi Bhalu Devi od szczytu do szczytu. Część wyrusza w świat. Ale nawet tam nie ma między nimi miłości. Løc i Vaala na dobrą sprawę mogliby być rodzeństwem. Prawdopodobnie nigdy nie dowiem się, jak było naprawdę. Mogę założyć tylko jedno: jeżeli Løc uratuje jej życie i przywlecze z powrotem

do domu, jej los będzie gorszy od śmierci. Pokonani i okaleczeni święci wojownicy nie mają w Pahaadzie prawa nawet do tego, by odebrać sobie życie. Będzie pośmiewiskiem, każą jej pasać bydło, sprzątać obejścia. Dadzą jej tyle jedzenia, żeby przeżyła, a potem oplują i wyleją na nią wszystko to, co duszą w sobie jako ci niegodni wyniesienia. A ona nie będzie mogła nawet podnieść na nich r...

Gael zacisnął powieki, zaklął i pokręcił głową. Szarpnęło wozem.

– Byliśmy jej sforą, Fel – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Byliśmy jej Valangą. Płomieniami Imoren. A teraz srał to pies.

Fel odwróciła głowę. Rozejrzała się. Daleko po lewej na północy żółtymi zębami wgryzały się w niebo szczyty wydm. Po prawej martwymi spojrzeniami kamieni, suchych kęp krzewów, trawy i kolców odprowadzało ich płaskie pustkowie sawanny. Z przodu odległym murem i obietnicą cienia mamiła ich przystań na jasnym oceanie piasku.

*

Karawanseraj Wakh Sind wznosił się nad płaską okolicą niewysokimi kamiennymi murami. Już na pierwszy rzut oka nie pasował do zakkańskich pustynnych budowli. Jego niemal całkowicie pozbawione okien ściany były nieznacznie pochylone do środka, a czterech jego rogów pilnowały okrągłe, łyse baszty o wybitnie południowych architektonicznych naleciałościach. Był to, jak wyjaśnił Bon-Bon, stary fort z czasów, kiedy Imoren w swych terytorialnych zapędach zapuściło się głęboko na północ, w głąb Pustyni Nomadów. Z czasów, gdy oazę Al-Arak przemianowano na Serce Imoren, aby podstępem zachęcić osadników z wygodnego, zielonego południa do przekroczenia prażącej stopy połaci piasku. Aby podporządkowali sobie wyjątkowo bezlitosną tam naturę i zbudowali tętniący życiem przyczółek Korony.

Dziś częściowo przebudowany Wakh Sind był jedynie szarym, odrapanym przystankiem na rzadko uczęszczanym szlaku wzdłuż wybrzeża. I nie wyglądało na to, by w najbliższym czasie, z uwagi na wojnę Imoren z Taidanem, jego sytuacja miała się poprawić.

Przez długi czas Alyn zastanawiała się, czy gdy ich imoreńsko-zakkański pochód dotrze wreszcie do jego wrót, znajdzie się w środku ktoś, kto będzie mógł im pomóc... Albo, co brzmiało bardziej prawdopodobnie, od kogo będzie można ową pomoc wymusić. W końcu od dwóch i pół dnia szli nieustannie na wschód, podczas gdy Al-Arak miała się znajdować daleko na północnym zachodzie.

Okazało się, że fort nie stał pusty.

Poruszenie wywołane pojawieniem się grupy wędrowców w zasięgu wzroku jedynego wartownika na murze utwierdziło złodziejkę w przekonaniu, że być może coś jeszcze będzie z całej tej wyprawy. Chłopiec, który podniósł raban, był chudy i młodszy nawet od Fel. Gdy tylko zauważył idące na czele służki Bakkusa, wydał z siebie przenikliwy trel, po czym zaczął się szarpać z jakimś mechanizmem. Dopiero gdy Alyn stanęła w cieniu portalu wiodącego do wewnątrz, zdała sobie sprawę z tego, że młody bohater usilnie próbował zwolnić zaciętą metalową bronę, która, widać, zastąpiła broniące niegdyś wstępu grube drewniane wrota.

Gdy czarna, kręcona czupryna pojawiła się na murze z drugiej strony, a jej właściciel zobaczył, że ciemnoskóre Zakkanki i ich obstawa bez problemu znalazły się w środku, zachrypnięty trel wreszcie umilkł. Alyn odetchnęła głęboko, pozwalając jeszcze chwilę odbijać się dźwiękom od ścian i rozbiec się hen wysoko ku

niebu. W jednym, cudownym momencie idealnej ciszy wydawało się, że jeśli dobrze nadstawić ucha, można było posłyszeć ciche skrzypienie wozu, jakim słońce wędrowało błękitną drogą przed siebie.

Rozejrzała się po wnętrzu karawanseraju. Podczas gdy zwyczajowe „pałace podróżnych" zamykały wewnątrz swych murów pustą przestrzeń – okazjonalnie udekorowaną drzewem, zazwyczaj z wyłożoną kamieniem niecką wokół studni znajdującej się pośrodku – wewnątrz Wakh Sind było ciasno. Zamiast placu w jego centrum stał częściowo rozebrany budynek koszar. Zagrody dla zwierząt zaś, zazwyczaj przechodzące w łagodne arkady, którymi otwierały się ku krużgankom wewnętrzne ściany murów, tu pobudowane były krzywo z kamieni. Sądząc po ich barwie, te ostatnie musiały niegdyś stanowić górne piętro koszar albo dachy baszt.

Wrota samych koszar – teraz zapewne przekształconych w kwatery dla podróżnych – otwarte były na przestrzał. Po drugiej stronie, na tle muru, w wykopanej w suchej ziemi, obłej, nieregularnej niecce, stała krzywa cembrowina. Obok niej leżało wiadro, które wyglądało tak, że strach było na nie spojrzeć, żeby przypadkiem nie rozpadło się na kawałki.

Gdy minęło pierwsze wrażenie ogólnej miernoty całości, złodziejka zaczęła dostrzegać dobre strony budowli. Po pierwsze, mimo pozornej ciasnoty, miejsc wzdłuż murów było nawet na kilkadziesiąt zwierząt. Po drugie sześć z tych miejsc było zajętych przez wielbłądy, z których cztery wyglądały tak, jakby naprawdę mogły ponieść na grzbiecie coś więcej niż swój własny garb i kępę przerzedzonej sierści. Te wyglądały na łakome kąski.

Dyana i Adria stwierdziły, że spędzą najbliższy czas przy studni, natomiast Alyn weszła wraz z Fel i najemnikami w cień budynku. Tak jak się spodziewała, w środku nie było nikogo, kto mógłby choćby w symboliczny sposób obsłużyć strudzonych kupców na szlaku. Ci zaś – było ich czterech, półleżących w pewnym oddaleniu od siebie z wyciągniętymi nogami na połamanej słomie – na widok nieznajomych podnieśli głowy i skierowali na nich uważne, szeroko otwarte oczy. Słyszeli zawodzenie młodego wartownika i bez wątpienia spodziewali się potencjalnie nieprzyjemnych gości.

Ale co mogli zrobić? Podciągnąć dżalabije do kolan i panicznie spieprzać, gdzie ich sandały poniosą?

– Szukamy zacnych wędrowców, którzy kierują się w stronę Al-Arak – powiedziała nagle śpiewnym głosem Fel, a następnie powtórzyła to samo po imoreńsku.

Mężczyźni – co do jednego brodaci, odziani w zwiewne, białe lub beżowe szaty – spojrzeli po sobie, ale żaden nie zdecydował się odezwać. W końcu wrócili do swych cichych rozmów i kontemplacji.

Uwagę Alyn zwrócił przedmiot leżący obok najbardziej oddalonego, opartego wygodnie o ścianę kupca. Wyglądał jak złożony w kwadrat materiał. Jak kurtka ze starej, wypłowiałej skóry.

Wiedziona przeczuciem podeszła bliżej i gdy przyjrzała się twarzy mężczyzny, nagle poczuła się bardzo zmęczona. Zmęczona przede wszystkim losem, który bynajmniej nie kwapił się do tego, by zacząć ułatwiać jej życie zamiast rzucać pod nogi kolejne kłody. Oto bowiem w pełni zdała sobie sprawę z charakteru czynów, na które prawdopodobnie będzie musiała się zdobyć, aby wejść w posiadanie wielbłądów.

– *Isztar-adija,* Levanderze – przywitała się i ukłoniła nieznacznie.

– *Adija ara-ara*, Rowanko! Samaś, widzę, wyłączywszy twoje obecne towarzystwo, oczywiście. Gdzież brat twój? Żyw? Wyszedł już z tej swojej popołudniowej rozedmy?

Alyn uśmiechnęła się samymi ustami. Oto stała przed człowiekiem, który, biorąc ją i Toryna pod swoje

skrzydła, prawdopodobnie uratował obojgu życie. I wątpiła, czy miała wystarczające ubytki w swym sumieniu, by zrobić to, do czego zmusi ją sytuacja.

Levander jakby czytał jej w myślach.

– A więc opuściłaś znów to przeklęte miasto – powiedział, przyglądając się jej badawczo. – Wędrujeszże z doprawdy niespotykaną kompanią. Imoreńscy najemnicy, tancerka z saahijskich ulic... I czy ja dostrzegłem służki Bakkusa, które poszły na tyły budynku? Usiądź, częstuj się.

Beduin położył przed sobą zawiniątko, z którego wysupłał pachnącą, wilgotną gomółkę beżowego sera.

– I poczęstuj też swoich kompanów. *Al-farah azam lilmusafirin aqi*.

„Największa radość to dawać podróżnym". Nie ułatwiasz mi tego, Levander, pomyślała Alyn. Ukłoniła się i przyklęknęła, by przyjąć poczęstunek w dwie dłonie. Tradycja pustyni była nieśmiertelna, przesiąkała przez historię i politykę jak woda przez chustę. Gdyby nie uczyniła tego gestu, równie dobrze mogłaby wyjąć nóż i zadźgać mężczyznę na miejscu. Jej intencje byłyby doskonale przezroczyste.

– Dokąd zmierzasz? – zapytała i ułożyła obok zawiniątka swoją manierkę ze skisłym winem.

Jego zawartość czuć było z daleka i była pewna, że Levander nawet po nią nie sięgnie. Ale wypadało zaoferować cokolwiek w zamian.

– Na południe, ku imoreńskiemu pomorzu.

– Trafiłeś w zły czas. Od tygodnia północ Imoren toczy wojna. A raczej taidańskie siły ekspedycyjne. Wiosek, ku którym się kierujesz, może już nie być.

– Zatem chwilowo uczynię Wakh Sind moim domem. Dziękuję, Alyn.

– A myślałam, że zapomniałeś mojego imienia.

– Nie zapomniałem. Nie zapominam takich rzeczy. A skoro byłaś łaskawa mnie ostrzec, posłuchaj mnie i zaniechaj podróży do Al-Arak. Przynajmniej na jakiś czas.

– Dlaczego?

– Wiatry zawracają na północy. Będzie padać. A do tego żadne z was, jak widzę, nie ma wielbłądów.

Złodziejka nie odpowiedziała. To z pewnością nie był pierwszy raz, gdy Levander spotykał się z bandytami na trakcie. Albo ludźmi, którzy mogliby bez problemu za takich robić. Przeczuwał rozwój dalszych wypadków w karawanseraju. Ale mimo to zdecydował się ją ostrzec.

Przypomniała sobie nauki mnichów ze Świątyni Beduinów o deszczowych porach Pustyni Nomadów. Ulewy nigdy nie docierały do Saahii, a poprzedzające je, zbierające się nad pustkowiem kłęby czarnych chmur rzadko były widoczne nawet z najwyższych wież miasta. Na dobrą sprawę, wędrując całymi dniami po bezkresie piachu i skał, z chęcią przywitałaby nawet najsilniejszy z morskich sztormów, byle tylko dać ciału odetchnąć od żaru, a usta napełnić słodyczą czystej deszczówki.

Nagle poczuła przemożne pragnienie – jak twierdziło zakkańskie porzekadło: haracz dla bogów pustyni za bezpieczeństwo na szlaku. Przeprosiła i skłoniła się w podziękowaniu beduinowi, po czym wstała i skierowała się na zewnątrz, ku studni. Paznokcie jej zdrowej, zwiniętej w pięść dłoni boleśnie wbiły się w jej skórę.

*

Księżyc walił w oczy tak intensywnym światłem, że aż trudno było uwierzyć, że było tak zimno. Fel

okutała się szczelniej kurtą i opatuliła ramionami. Obejrzała się w kierunku portalu, gdzie nonszalancko oparte o mur stały Dyana i Adria. Wyglądały na znudzone. Czekały na wymarsz.

Ale przedtem było jeszcze coś do zrobienia.

Wszyscy czterej kupcy stali w rzędzie, zagradzając drogę do swoich wielbłądów, które sennie łypały oczami na rzadkie zbiegowisko. Obok podróżnych, trzęsąc się jak połamany patyk na wietrze, postawę obronną przybrał młody wartownik. Tym razem zamiast zawodzenia słychać było tylko szczękanie jego zębów.

Fel ścisnęła mocniej rękojeść schowanego pod pachą gimletu. Gael i Bon-Bon stali obok w lekkim rozkroku. Mieli opuszczone ręce, ale w ich dłoniach błyskały srebrem ostrza noży. Tylko Alyn była nieuzbrojona.

Oczywiście nie było mowy o tym, by załatwić to inaczej, po cichu. Najemnicy i Zakkanki byli kłopotami, których każdy z beduinów spodziewał się na szlaku każdego dnia. Wiedzieli, że zdarzą się dni, kiedy będą musieli postawić na szali swoje życie, aby ochronić zwierzęta. „Tam mój dom, gdzie wielbłądy", mówili. I nie było dla nich głębszej prawdy na tym świecie.

– Cztery wielbłądy – Gael mówił tonem tak stanowczym, że gdyby ją miała, Fel sama by mu oddała swoją trzodę. Jego zakkański brzmiał bardziej miękko niż u tych, którzy mówili nim od dziecka, ale nie miało to teraz znaczenia. – To wszystko, czego chcemy. Jest was czterech, podzielicie się pozostałą dwójką. Te zaś będą na was czekać w Al-Arak. Ustąpcie.

Beduini, rzecz jasna, nie ustąpili. Nawet nie spojrzeli po sobie. Dziewczyna miała wrażenie, że od strony portalu dobiegł cichy chichot Zakkanek. Zastanawiała się, jak duża była ich cierpliwość.

Przy kolejnym oddechu zauważyła, że z jej ust wydobył się wątły obłoczek pary. Chłód narastał.

Gael zrobił dwa kroki do przodu, za nim podążyła reszta. Jeszcze nie wyciągnął broni, ale trzymał dłoń na głowicy swej szabli. Był wyższy i szerszy od okutanych w kamizelki założone na dżalabije dziadków naprzeciwko. Obie grupy znajdowały się w odległości dwóch dorosłych ludzi od siebie. Miał nadzieję, że obejdzie się bez rozlewu krwi.

– Tym razem jeszcze po dobroci zachęcam was, byście ustąpili. Albo poszli z nami. Tej nocy, pod tym niebem, innego, lepszego wyboru już nie uświadczycie.

– Levander... – rzekła nagle Alyn i ku zaskoczeniu wszystkich wystąpiła przed szereg.

Stanęła przed jednym z mężczyzn, który patrzył na nią jednocześnie z obrzydzeniem i politowaniem. Jak na noworodka taplającego się we własnych odchodach.

– Chodź z nami – kontynuowała. – Na południu nic na ciebie nie czeka. Zrób to dla mnie.

W odpowiedzi mężczyzna jedynie sięgnął dłonią do pasa. Gdy opuścił rękę, trzymał w niej flintę. Fel nie była pewna, jakiego typu, ale to nie miało znaczenia. Każdy rodzaj był w stanie zabić na miejscu.

Najemnicy instynktownie cofnęli się o pół kroku, ale Alyn pozostała na swoim miejscu. Ewidentnie znała skądś owego Levandera. Ale nie wyglądało na to, by ich znajomość miała tu cokolwiek zmienić.

– Ani kroku dalej, dziewczyno – powiedział beduin. – Niczego ode mnie już nie dostaniesz. Odwróć się i idź przed siebie. Zabierzże ze sobą swoich kompanów i nigdy tu nie wracajcie.

Pozostali, łącznie z młodym wartownikiem, zacieśnili szereg i wycofali się. Jakby chcieli choć trochę

schować się za jedynym człowiekiem, który mógł ich w tej chwili ochronić.

– Dobra, dosyć tego! – zakrzyknął Bon-Bon i wszystko rozegrało się w mgnieniu oka.

Najpierw zachrobotały kamienie pod podeszwą najemnika, który zrobił wypad do przodu i zamachnął się trzymanym za ostrze nożem. Aby trafić w beduina, musiał ominąć Alyn, ale złodziejka instynktownie wyczuła jego intencję. Niebywale szybkim wymachem podbiła dłoń pucołowatego najemnika tuż przed tym, jak puścił ostrze. Nóż, koziołkując, pofrunął do góry. Podczas gdy wzrok wszystkich podążył za srebrnymi błyskami stali nad głowami, Fel wbiła oczy w Levandera. W tym samym momencie beduin uniósł broń i wycelował ją w plecy rudej Zakkanki, która właśnie uratowała mu życie.

Alyn obejrzała się i na najkrótszą z chwil ich spojrzenia spotkały się. Dłoń mężczyzny zadrżała i flinta łypnęła czarnym okiem lufy w bok. Prosto w kierunku Fel.

A potem nacisnął spust.

*

Alyn nie zdążyła usłyszeć huku. Wpierw oślepił ją błysk, a gdy otrząsnęła się, nie słyszała nic prócz głuchego, przeciągłego pisku. Jakby ktoś zgniatał szczura butem i przeciągał torturę do nieskończoności. Jej nozdrza wypełnił gryzący swąd.

Obejrzała się. Levander stał z szeroko otwartymi oczami, w wyciągniętej dłoni wciąż trzymał dymiącą z lufy flintę. Drugą właśnie wyszarpywał zza pasa puginał. Z naprzeciwka, z ogniem w oczach i obnażonym ostrzem w dłoni, nacierał na niego Gael. Wyglądał tak, jakby miał zamiar przepołowić go jednym cięciem. Zakkanki przypatrywały się wydarzeniom z oddali.

I nigdzie nie było Fel.

– Z drogi, Alyn! – dobiegło do uszu złodziejki poprzez kamienny mur, jaki zdawał się oddzielać jej uszy od reszty świata.

Stała dokładnie między Levanderem i Gaelem.

– Nie! – usłyszała swój własny głos.

Rozpostarła ręce i cofnęła się, stając tyłem do nomady. Na plecach poczuła ukłucie i w jednym momencie wystosowała w myślach dziesiątki próśb do Isztar, aby był to jedynie ornament na flincie, a nie zagłębione w jej ciało do połowy ostrze zakrzywionego noża.

Gael zatrzymał się tuż przed nią. Sapał i szczerzył zęby jak ogar, który dawno temu, w innym świecie, gonił przez las parę rodzeństwa.

Tym razem nie zamierzała uciekać. Nie zamierzała ustąpić.

Spojrzała nad ramieniem najemnika w ciemność, gdzie zauważyła, że coś porusza się na ziemi.

Fel. Ranna.

Ale żywa.

– To zaszło za daleko! – donośniejszym, niż się spodziewała, głosem wybrzmiały w murach Wakh Sind jej myśli. – Nie będzie więcej zabijania, Gael! Bon-Bon, nawet mi się, kurwa, nie waż! A zwłaszcza wy, pustynne, tfu, dziewice. Nie stójcie tak, tylko zajmijcie się Fel, po co macie te swoje moce?!

Wszyscy, wydawało się, zrobili krok do tyłu od niej.

I bardzo, kurwa, dobrze, pomyślała.

Alyn odwróciła się i stanęła tuż przed Levanderem, zmuszając go do cofnięcia obu broni. Wbiła wzrok prosto w jego oczy. Nomada nie wytrzymał jej spojrzenia.

– Bon-Bon, weź cztery wielbłądy – rozkazała, nie odwracając się, po czym skinęła głową. – Tego, tego, tego i... tego. Jeśli któryś z was chociaż drgnie, niech mnie samum porwie, jeśli sama mu nie podziurawię stóp jego własnym nożem.

Znów spuściła ze smyczy tę istotę. Tę drugą siebie, która rodziła się w niej, dojrzewała poprzez trawiący ją ból przez ostatnie miesiące. I czuła się z tym podle.

Słysząc, jak za jej plecami oddech Gaela spowalnia, a jej serce kołata w piersi coraz mocniej z niepewności o los Fel, Alyn obserwowała z uwagą, jak drugi najemnik podchodzi do każdej ze wskazanych przez nią zagród. Jak ostrożnie, choć stanowczo, wyprowadza za uzdy jednego po drugim zwierzęciu i jak z całą, poparskującą, wciąż zaniepokojoną wystrzałem czwórką wychodzi z karawanseraju.

Wtedy poczuła, jak Gael, który w międzyczasie oddalił się ku Fel i obu Zakkankom, podszedł do niej i nachylił się do jej ucha.

– Będzie żyć. Zasłoniła się ręką.

Levander uniósł głowę. Złodziejka złowiła błysk ulgi w jego wzroku, ale tylko na moment. Przy następnym oddechu znów patrzył na nią z surowością, która graniczyła z pogardą.

– Jesteśmy kwita – powiedziała z zaciśniętą szczęką. – I... naprawdę mi przykro.

– Jesteśmy kwita – odpowiedział nomada i z zawiniątka leżącego przy jego stopach wyciągnął kurtkę ze starej, wypłowiałej skóry.

Po czym rzucił ją przed siebie ziemię.

*

– Jest ruch – szepnęła Ikke, po czym odsunęła się, robiąc miejsce swojemu dowódcy. – Mają dwa... trzy... cztery wielbłądy. Jedna z kobiet jedzie w siodle.

Abel Reynauld przysunął się do skraju wydmy i wytężył wzrok. Pochód prowadziły przeklęte Zakkanki. Jeszcze nie wymyślił sposobu na to, jak się ich pozbyć. Wiedział, że się oszukuje, myśląc, że problem sam się rozwiąże, gdy już dotrą na miejsce, gdziekolwiek to było. Trzeba było być przygotowanym na wszystko. Czasem to wystarczało.

A czasem spadał na ciebie deszcz ognia i nie mogłeś z tym zrobić absolutnie nic.

Nic.

Wycofać się. Przegrupować. Zorganizować niewielką drużynę najlepszych z najlepszych. I wyruszyć za zbiegami. Aby odzyskać zagubiony gdzieś po drodze honor. Ku chwale Taidanu. Nawet jeśli chwała nie miała z tym nic wspólnego.

Poklepał po ramieniu porucznik. Nie była Løkiem, ale zrobiła naprawdę dobrą robotę. Reszcie dał znak do przygotowań do wymarszu. Ci, którzy zostali obrabowani w Wakh Sind, z pewnością byli teraz skorzy do tego, by opowiedzieć o wszystkim, co się w środku wydarzyło.

A jeżeli nie byli, piątka jego ludzi z pewnością miała wystarczające kompetencje, by wyciągnąć z każdego wszelkie informacje, które były mu potrzebne.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

– Wiesz, Myszo, dlaczego moja biblioteka jest pełna baśni mimo tego, żem zasadniczo człowiek nauki i rzemiosła? – zapytał ją pewnego razu Zakary. – Tam na dole, w piwnicy, mam księgi, przepastne tomiszcza bajek, podań i legend z całego świata, z całego świata. I czytam je cały czas, na okrągło. Częściej niż podręczniki i traktaty mądrych głów z Akademii. Bo umysł ścisły, rozumiesz, dlatego nazywa się ścisły, że jest tak, jakby ta cała jego mądrość trzymała go o, w takim imadle, rozumiesz? Cała ta wiedza. Więzienie! Nie ma możliwości, żeby coś działało niezgodnie z wiekami człowieczej wiedzy gromadzonej pod tą łysą, umęczoną czaszką. Nie ma, powiadam! Jest jak profesura rzecze albo won z tych tu zacnych hal – dyletantów i marzycieli szkolić, kurwa, nie będziemy! Za przeproszeniem.

Zakary machnął wtedy ręką w stronę Gregory'ego, jak miał w zwyczaju. Papuga, wyraźnie rozbudzona perorą, chodziła w jedną i drugą stronę po swojej poręczy, i tylko czekała na moment, w którym będzie mogła dorzucić swym skrzekiem coś od siebie. Na dany znak ptaszysko zatrzymało się, skłoniło trzykrotnie i wydało z siebie pojedyncze, ciche piśnięcie.

Rzemieślnik upił łyk czaju i wbił wzrok w okienko, przez które wartkim strumieniem przesączało się do warsztatu przedpołudniowe słońce. Stał tak chwilę, zamyślony, a potem, nie odrywając wzroku od światła, powiedział:

– Moja ulubiona baśń pochodzi stąd, z Zakkanu. Posłuchaj. Dawno temu na pustyni żyła rodzina nomadów z trzema synami. Ojciec, który był wówczas w sile wieku, zmusił pewnego razu żonę i dzieci, by wszyscy razem opuścili osadę, w której spędzili dziesięć ostatnich lat, aby odnaleźć mityczną Oazę Buhajra. Ale pal licho gdzie i po co. Poczytasz, to się dowiesz więcej, Myszo. Rzecz w tym, że ze wszystkich trzech synów dwaj najstarsi byli mężni i samodzielni, ale posłuszni. Trzeci zaś, co mu matka na imię dała Tarik, okazał się wisusem, jakich mało. Szejtańskie nasienie, jak w mordę dał. Obijał się, psuł, w nocy łaził po wydmach i ciągle swym braciom za skórę załaził. I co mu się dwa razy upiekło, za trzecim razem braciszkowie odbijali sobie na nim. Ale ten i tak, jak już mógł znowu chodzić normalnie, z nudów robił swoje. I tak to trwało, aż któregoś wieczoru, a było to już daleko w głąb pustyni, gdy powoli zaczynały się kończyć racje suchego mięsa, jego bracia, straszliwie rozeźleni, postanowili bez wiedzy ojca złapać Tarika darmozjada, ogłuszyć i wynieść tak daleko od obozu, żeby nie zdołał już do niego wrócić. Czekali na niego za północną wydmą, bo co noc niepilnowany lazł na północ, jakby go dokądś ciągnęło. Rodzice poszli spać, księżyc pokazał swą japę, a oni, zakopani w piachu, leżeli i czekali. I czekali. I czekali. I się nie doczekali. Bo tej nocy Tarik po raz pierwszy poszedł na południe. Poszedł, bo zobaczył gwiazdę, która hen daleko przemierzała czarny nieboskłon nad srebrnym morzem piasku. Co się chichrasz, Mysza? Mówięż li tylko, jak napisano, jak napisano. Nie moja wina, że ładnie brzmi. No więc szedł ten Tarik i szedł przed siebie. Daleko na południe. Tam, gdzie widział tę gwiazdę.

Szedł całą noc, aż mu wszystkie palce zgrabiały z zimna i aż na horyzoncie zrobiło się szaro. A że był głodny i niemożebnie zmęczon, padł w końcu pyskiem w sypkie i tak zasnął gdzieś hen, z dala od obozu. Gdy się obudził, słońce grzało mu głowę już od jakiegoś czasu, więc pierwsze, co pomyślał, gdy zobaczył przed sobą ogromny żaglowiec sunący po wydmach jak po falach, to to, że ma zwidy. Tarł oczy i trząsł tą swoją łepetyną, ale jedyne, co widział, to potężny kadłub, który rozgarniał przed sobą piasek jakby nigdy nic. Statek był długi jak pięć galer i wysoki jak trzy. I tak płynąc, zwalniał. Zwalniał, aż się zatrzymał na środku pustkowia. Chłopczyna ukrył się więc czym prędzej za wydmą i wystawił tylko wystraszony łeb. Z pokładu na ziemię zeszła jedna osoba. Kobieta. Od razu ją rozpoznał, bo słyszał o niej opowieści przez całe życie. To była sama Isztar! Słyszałaśże o Isztar? Była, jak pisali, cała w bieli i opromieniona światłem... Ech, doczytasz sobie szczegóły. Tak czy inaczej nie zauważyła młodego Tarika, który z wrażenia mało się nie zeszczał na piasek. Poszła przed siebie do skały, gdzie dopiero teraz Tarik dojrzał wejście pod ziemię. I gdy ona zniknęła w czeluści, ten oczywiście poszedł za nią. Kto by nie poszedł? Ledwo jednak wkroczył w cień, Isztar wyszła zza rogu i stanęła tuż przed nim, grożąc mu palcem. „Tam śmiertelnicy nie mają wstępu", powiedziała mu i pstryknęła go w nos. „To jest miejsce dla bogów. Ale jako żeś mnie wypatrzył swym bystrym okiem, nie odeślę cię do domu z niczym". Rozsunęła wówczas nieznacznie poły swej szaty i spomiędzy piersi wyciągnęła gałązkę, którą wręczyła Tarikowi.

– Już widzę, dlaczego tak lubisz tę baśń, Zakary.

– Słuchajże, nie przerywaj. Gdy tylko urwis dotknął podarunku, padł nieprzytomny. Obudził się dużo później, sam, gdzieś pomiędzy wydmami. Ściemniało się i bał się, że się zgubił i wszystko to mu się śniło, ale po chwili usłyszał wątłe nawoływanie. To jego bracia wraz z ojcem szukali go nieopodal. W dłoni zaś ściskał ową gałązkę, którą natychmiast schował do rękawa i wrócił skruszony do swoich. Oczywiście dostał lanie, tym razem od wszystkich. Od matki najdłuższe, a gdy go biła swoją słabą już dłonią, łzy ciekły jej po policzkach na ziemię jak dwie rzeki. Tak bardzo go kochała, mimo że taki był z niego mały skurwiel. Widząc to, jego bracia zapałali ogromną zazdrością, bo matka nigdy nie biła ich z takim przejęciem. Tarik zaś nawet nie zająknął się na temat tego, co widział i co przyniósł z pustyni. Wytrzymał więc wszystko i przez kolejne dni szedł z bolącą dupą wraz z rodziną przed siebie. Pomagał, słuchał się, w nocy spał do rana i ani razu niczego nie spsocił. Wydawało się, że to z głodu tak nie miał sił, gdyż ostanie kawałki strawy dzielili między sobą już tak drobno, że niemal nie było widać, czy wkładają jeszcze coś do ust, czy tylko im się wydaje. Jego bracia mimo to szybko zorientowali się, że coś jest nie tak. Zaczęli go więc bacznie obserwować w dzień i w nocy, i dopiero wtedy, gdy poszli za nim, gdy poszedł zrobić kupę... W tekście stoi, że „oddalił się na stronę", ale na pustyni, Mysza, po prostu idzie się srać za kamień. No więc poszedł tam, a oni zauważyli, że bawi się jakimś dziwnym przedmiotem. Jak się na niego nie rzucili! Jeden go przytrzymał, a drugi zabrał mu ów artefakt od Isztar i zaczął się nim bawić, zginać i niemal łamać, patrząc tylko, jak mały Tarik wierzga. I wtedy, kiedy jeszcze raz zgiął ją mocniej, gałązka pękła, a ze środka na piasek wylała się boska żywica, która najpierw wsiąkła w piasek, a po chwili z tego samego miejsca wystrzeliła w górę sążnista palma, która natychmiast okryła ich swoim cieniem... Przewracajże sobie, Mysza, oczami, ile chcesz. Ale słuchaj dalej. Bo mało tego. Z palmy chwilę potem spadł kokos i rozbił się o ziemię, a ze środka wypłynęło całe jezioro wody, które zalało całą nieckę i popłynęło dalej rzeczką. Wokół zrobiło się zielono, zleciały się ptaki, przykicały zwierzątka. I

tak powstała oaza...

– ...No, dobrze, historia śliczna. Sama bym Torynowi przez rok rano szczała do mleka, gdyby to oznaczało, że spotkam kiedyś Isztar, ale co to w ogóle za morał? Bądź wredny dla bliskich, ale rób to, co kochasz, to będzie ci dane?

– Nie mamże ja ci najmniejszego pojęcia, jaki jest morał. Ale nie o to tu chodzi, nie o to! Pomyśl no tylko: okręt pływający na wydmach? Oaza wyrastająca z małej gałązki?! Kto z tych łysych chuderlaków z Akademii opowie ci o czymś takim? Kto w ogóle zatrzyma się, by pomyśleć, jak coś takiego wykoncypować? Jak to mogło działać?

– Gregory, poratuj mnie, bo twój stary właściciel chyba już do szczętu postradał zmysły. To jest baśń, Zakary! Legenda! To jest...

– ...Zmyślone? Powiedz to temu, kto pierwszy zbuduje taki okręt i podpłynie ci nim pod mury twojego miasta, Myszo. To, że nie widziałaś cudów, nie znaczy, że ich nie ma.

Tak mówił.

Kochany, stary Zakary.

Było więcej takich opowieści i oczywiście wszystkie miała sobie za nic. Za bajania rzemieślnika marzyciela.

A potem weszła na Górę Gigantów i wszystko się zmieniło.

I bardzo, jakże bardzo chciałaby teraz wsiąść na okręt, który zabrałby ją po piaszczystych falach prosto do Al-Arak.

*

Okrętu jak na złość nigdzie jednak nie było. Zamiast niego – cztery wielbłądy i skrzypiąca dwukółka z gorącymi od słońca beczkami zepsutego wina. Jedno ze zwierząt utykało, drugie pluło za kołnierz, gdy tylko ktoś wysforował się przed nie. Dwa pozostałe – w tym wielbłąd Levandera, złodziejka nie pamiętała, czy była to Ora, czy Nera – były najzwyczajniejsze na świecie. „Jeśli zamierzasz kraść, ukradnij wielbłąda, a jeśli zamierzasz kochać, kochaj kogoś pięknego jak księżyc", mówiło stare zakkańskie przysłowie. Żyj pełnią życia.

Alyn miała pełni życia po dziurki w nosie. Najchętniej splunęłaby po marynarsku na tę myśl, ale nie miała czym.

Zamiast tego spojrzała na zwierzę idące obok niej. To, które na swym grzbiecie niosło Fel.

W momencie wystrzału flinta Levandera wycelowana była prosto w pierś młodej Zakkanki. Tylko temu, że odruchowo odskoczyła i zasłoniła się rękoma, zawdzięczała to, że pędząca z ogromną prędkością kula nie pogruchotała jej mostka albo nie wśliznęła się pod niego, wprost w serce. Zapłaciła za to rozognionym, krwawym kanionem w skórze przedramienia i nieustannym bólem, którego nie zdołały uśmierzyć nawet tajemne środki, które – niechętnie, bo niechętnie – nagabywane przez roześloną złodziejkę Dyana i Adria zaaplikowały poszkodowanej niedługo po nocnym wymarszu na pustynię. Wyglądało na to, że Fel nie groziła śmierć, ale odpowiedź na to, w jakim stanie ostatecznie znajdzie się jej ręka, mogła nadejść dużo później, najlepiej po solidnej rekonwalescencji z dala od piasku i suchego powietrza pustyni.

Alyn dotknęła skaleczonego boku przez materiał i syknęła. Ostatnie wygibasy z Valangą nie pomogły

w kuracji rany zadanej przez bełt bandyty, ale przynajmniej chłodniejsza aura Imoren pozwoliła zatamować sączenie się ohydnej, przezroczystej cieczy i nabudować na skórze solidnego, swędzącego już co nieco strupa. Pustynia Nomadów, bezlitosna gospodyni, entuzjastka tortur, głodu i śmierci z wycieńczenia. Chwyciła Fel w swoje suche szpony i nie zamierzała obejść się z nią przyjaźnie. Pozostawała nadzieja na to, że wszystko naprawi pobyt w Al-Arak.

Szli zatem dalej.

Tego gorącego poranka, na twardej, wygładzonej wiekami kłujących piaskiem wiatrów skale – szli. Aż Wakh Sind na dobre skryło się za łańcuchem beżowych gór, aż pamięć o tym, jak Alyn rozstała się z Levanderem – człowiekiem, który wiele tygodni wcześniej uratował jej życie – na chwilę usunęła się w cień radości z ciągnącej się ku horyzontowi, prostej drogi do celu. Przez chwilę nie martwiła się nieustannie toczącą jej ciało chorobą. Bólem. Swędzeniem poparzonej ręki. Pragnieniem i głodem. Tym, że od dłuższego czasu nie przyśnił się je Żółw. I że od jakiegoś czasu nie słyszała skrzekliwego trelu cudowronka Fel. Szła więc, gładząc przywieszoną do siodła wielbłąda skórzaną kurtkę Toryna, i czuła się tak, jakby znów był tu wraz z nią.

Tego gorącego poranka przez jeden cudowny moment było względnie dobrze.

I wtedy pustynia postanowiła, że kopnie ich wszystkich w dupę.

*

Głosy wybuchły wokół niej nagle, wstrząsnęły nią tak, jakby zderzyła się ze ścianą dźwięku.

– Wąż! Czy to wąż?!

– Wąż! Odsuńcie się!

– Czy on go ukąsił? Ukąsił go?!

– Uwaga! Łap Fel! Ostrożnie!

– Trzymasz? Fel, obejmij moją szyję! Fel, słyszysz?! Fel!

Słyszała, ale widziała wszystko przez krwistoczerwoną mgłę. Otępiała od bólu rejestrowała tylko pojedyncze wyrazy. Czuła, że jej ręka napuchła do takich rozmiarów, że zasłaniała jej cały świat. Nie wiedziała nawet, kto i kiedy posadził ją na grzbiecie wielbłąda. Nie wiedziała, jak długo szli. Teraz zaś wszystko drżało przed jej oczami, gdy ranne zwierzę próbowało ją zrzucić na ziemię.

Upadła miękko, w ramiona Bonenffanta, który następnie zarzucił ją sobie na bark i przeniósł ku pobliskiemu głazowi. Posadził ją i oparł jej plecy o gorącą skałę. Była prawie pewna, że między łopatkami momentalnie wyrósł jej zaogniony, czerwony placek. Spod przymrużonych oczu obserwowała, jak Gael i służki Bakkusa zadeptują wijące się ciało płaza i jak Adria kuca przy wielbłądzie, by wycisnąć jad z rany. Trwało to chwilę przy akompaniamencie ożywionej dyskusji w pustynnym dialekcie, z którego nie rozumiała ani słowa. Nieco z boku, oparty o innego wielbłąda, ze spuszczoną głową stał Gael. Dobrze znała tę pozycję. Tak w Kukh wyglądali ci, którzy wytaczali się nad ranem z knajp i, odkrywszy na nowo konieczność trzymania pionu, zbierali siły przy ścianach kamienic. Aby ruszyć do domu albo wartkim strumieniem rzygnąć pod nogi. Chciała mu coś powiedzieć. Zapytać, jak się czuje. Ale zdobyła się tylko na zamknięcie oczu.

Gdy ponownie je otworzyła, znów zwisała z ramienia Bon-Bona. Tym razem ułożył ją na miękkim, chłodnym piasku. Zauważyła, że w prawej dłoni kurczowo ściska rękojeść swojego gimletu. W lewej nie miała

czucia. I traciła wzrok.

Nie, z jej wzrokiem wszystko było w porządku. Po prostu nadszedł wieczór. Ominął ją cały dzień wędrówki. Była obolała, zziębnięta i chciało jej się pić tak bardzo, jak jeszcze nigdy w życiu. Gdyby piasek był mokry, przeżułaby go i wycisnęła z niego najdrobniejszą kroplę wilgoci. Ale poza tym czuła się lepiej. Na tyle dobrze, by móc zacząć na poważnie analizować swoją sytuację.

Nie, to mogło poczekać. Alyn podeszła do niej i podała jej wodę. Była ciepła, czysta i słodka – prosto z głębin wydrążonych pod Wakh Sind. Przywracająca życie, rozciągająca usta w mimowolnym uśmiechu.

Zmartwienia mogły poczekać. Mogły poczekać jeszcze parę chwil.

Gdy napiła się do syta, rozejrzała się uważnie i policzyła głowy, które wraz z nią zgromadziły się w kręgu wokół dwóch przedziwnych, świecących jasnym żarem kamieni.Wszyscy byli na miejscu. Alyn siedziała obok i patrzyła na nią wzrokiem uczonego badającego rezultaty swoich eksperymentów. W ognikach jej oczu drżała troska. Bon-Bon patrzył wysoko w gwiazdy. Szukał czegoś na niebie. Służki Bakkusa odwróciły się bokiem i spoglądały gdzieś do tyłu, szepcząc. Wydawało się, że rozmawiają o innej gwieździe, zawieszonej bardzo nisko nad horyzontem. Czyżby orientowały się w kierunkach świata? Szukały dalszej drogi? Gael uśmiechał się do niej z naprzeciwka. Ale był to uśmiech, za którym kryło się nieustanne cierpienie. Choć najemnik siedział najbliżej kamieni, drżał. W pewnym momencie wstał i natychmiast zniknął w ciemności. Piasek zagłuszył jego kroki.

Alyn patrzyła teraz w ciemną plamę, która pozostała po nim w kręgu ciał. Bon-Bon patrzył tam, gdzie Dyana i Adria.

Fel przysunęła się bliżej ciepła i oparła wygodniej. Przeżuła chrupiący, zwilżony wodą ryż zawinięty w aromatyczny, suchy liść. Unikała patrzenia na swoją lewą rękę. Wolała zamknąć oczy. Pozwolić świadomości odpłynąć powoli w noc.

Myślała o gwieździe, która tak bardzo interesowała szepczące po swojemu Zakkanki.

Rozejrzała się sennie w poszukiwaniu sylwetek zwierząt. Naliczyła wszystkie cztery, co napełniło ją otuchą. Znów zamknęła oczy.

Tęskniła za Kukh. Za Zainem i Najilą. Za śpiewaniem.

Zastanawiała się, gdzie była teraz Ifiko.

Nie potrzebowała nikogo.

Pożądała Gaela.

W ostatniej myśli przed zaśnięciem zdała sobie sprawę z tego, że to, na co patrzyły Dyana i Adria, nie było gwiazdą, tylko ogniskiem.

*

Alyn obudziła się z walącym sercem. Choć od razu spróbowała sobie przypomnieć, jaki koszmar się jej śnił, nie znalazła w swej pamięci nic. Nawet odleglejszego wspomnienia. Wtedy zdała sobie sprawę z tego, że nie bała się snu, tylko tego, co będzie po nim. Uspokoiła oddech i rozejrzała się. Nad pustynią rozkwitał zimny przedświt.

Choć lecznicze zabiegi Adrii na wielbłądzie po ukąszeniu przez węża pomogły na tyle, by podreptać

jeszcze pół poprzedniego dnia, teraz wyglądało na to, że zwierzę nie było w stanie się podnieść. Sapało tylko ni to z bólu, ni to z frustracji, i przewracało oczami. Pozostałe wielbłądy odsunęły się nawet od niego, jakby nie chciały się zarazić. Pozostawiły go w jego własnym cierpieniu.

Równie źle było z Gaelem. Najemnik był blady na twarzy, a jego kołnierz zdobiły zaschnięte resztki zwymiotowanego w nocy pożywienia. Przypomniała sobie, że wczoraj przed zaśnięciem Fel bąknęła coś o podejrzeniu zatrucia wodą, którą Imoreńczyk pobrał ze strumyczka niedługo po opuszczeniu Seine. Z drugiej strony dziewczyna też uszczknęła z bukłaka kilka łyków, a czuła się – relatywnie rzecz ujmując – dobrze. Co gorsza, wyglądało na to, że tym razem to Gael miał spędzić cały dzień na grzbiecie zwierzęcia, podczas gdy pozostałym dwóm – utykającemu i plującemu – pozostało się zmieniać przy ciągnięciu wózka.

Nad czwartym, tym ukąszonym, stała cała gromadka. Dyana i Adria dyskutowały o czymś żywo w swoim języku. Fel spoglądała to na wielbłąda, to na Gaela, z wyrazem absolutnej determinacji na twarzy. Bon-Bon milczał. Pochylony nad drgającym niezbornie cielskiem wyglądał od tyłu jak dziecko, które odkryło mrowisko i właśnie przeżywało wewnętrzną walkę względem tego, co z malutkimi, bezbronnymi żyjątkami uczynić.

Alyn miała ochotę kopnąć go z całej siły w dupę.

Nie było mowy, by tknął tę biedną istotę. Ani on, ani Fel, która już w tym wieku dobiła o jedno umierające zwierzę za dużo. Jeżeli Zakkanki nie zamierzały tego zrobić...

Przez całe dni unikała ich, jak mogła. Trzymała się na dystans, patrzyła w inną stronę. Robiła wszystko, by nie stanąć twarzą w twarz z odbiciami Laetitii i Shoi. Z czasem jednak wspomnienia przestawały mieć znaczenie. Gdy więc otrzepała się i wysypała drapiący piasek z butów, podeszła blisko i stanęła obok Adrii tuż nad łypiącym na nią okiem cierpiącego wielbłąda.

Służka zamilkła, przerywając dyskusję. Alyn wyciągnęła w jej stronę dłoń i spojrzała jej prosto w oczy. Powiedziała tylko jedno słowo. Pierwsze, którym zwróciła się do którejkolwiek z nich bezpośrednio.

– Nóż.

Adria zmrużyła oczy. Przez moment złodziejka miała wrażenie, że kobieta uśmiechnie się do niej wrednie jak Shoa. Miała te same oczy, te same usta. W jej dłoni pojawiła się pochwa takiego samego sztyletu.

Po chwili wahania Zakkanka wyciągnęła dłoń z bronią w stronę Alyn. Widząc to, Dyana prychnęła i odwróciła się. Adria zignorowała ją.

– Masz – powiedziała służka Bakkusa czystym zakkańskim. W jej tonie pobrzmiewała nuta wyzwania. – Zrób to.

Alyn stała przez chwilę osłupiała. Z jakiegoś powodu czuła się tak, jakby właśnie odezwało się do niej leśne zwierzę. Ale wyciągnęła dłoń.

Rękojeść była ciepła i miękka. Przyjemna w dotyku. Ostrze – o ohydnym zakrzywionym kształcie, którego już nigdy nie miała wyrzucić z pamięci – czyste i błyszczące w porannym słońcu.

Uklękła przy wielbłądzie i przytknęła sztych do unoszącej się i opadającej rytmicznie sierści na szyi zwierzęcia.

– Nie tu – Adria dotknęła jej dłoni i delikatnie przesunęła dalej, nad bok wielbłąda. Następnie przesunęła palcem po jego żebrach i zatrzymała go w zagłębieniu. – W serce. Stanowczo. *Chanajr* jest wystarczająco

długi.

Alyn położyła dłoń na ciepłym cielsku tuż przy miejscu, w którym powinna była wbić sztylet, i natychmiast zrozumiała, że nie będzie w stanie tego zrobić. Za każdym razem, jak patrzyła na czyjąś śmierć, zbierało się jej na wymioty. Za każdym razem od dnia, w którym dwóch pijanych bandytów o twarzach przyglądającego się wszystkiemu Bonenffanta skatowało na śmierć jej matkę i ojca.

Myślała, że może kiedyś będzie łatwiej, ale nigdy nie było łatwiej.

Nigdy, kurwa, nie było łatwiej.

Spojrzała jeszcze raz w oko wielbłąda, a potem wstrzymała oddech i zamknęła oczy.

*

Nad ranem, tuż przed wymarszem, niebo na horyzoncie zasnuło się chmurami. Potężny front nacierał nad pustynię tak, jakby ktoś bardzo powoli zasuwał nad nią wieko. Pogrążał wszystko poniżej w mroku rozświetlanym jedynie sporadycznymi błyskami piorunów. Alyn widziała dziesiątki takich obrazów na morzu, ale i tym razem, nad nagrzewającą się z chwili na chwilę płaszczyzną pustyni, robiło to ogromne wrażenie. A na pewno, myślała, było mniej niebezpieczne. Chłód, wiatr i słodka woda bez konieczności walki z falami zaglądającymi z góry do kadłuba zdanej na ich łaskę drewnianej łupiny? Pamiętała o ostrzeżeniu Levandera, ale w tej chwili, gdy przed nią były jeszcze całe dni wędrówki po piasku i wysuszonej skale, gotowa była wskoczyć w serce burzy nawet z rozpędu.

Gdy ich pochód wyruszył i zostawił za sobą wydmy, wkroczyli na bezkres białego, przeoranego jedynie różnej wielkości szczelinami pustkowia. Szybko zdali sobie sprawę z tego, że burza przesuwa się równolegle do nich. Szanse na to, że zmoczy ich kojący deszcz, były zatem coraz mniejsze, niemniej Alyn wciąż znajdowała cień nadziei w pełnym niepokoju milczeniu Dyany i Adrii. Jeżeli ktokolwiek z nich miał jakieś pojęcie o tym, co majestat czerniejącego horyzontu znaczył dla spragnionych i strudzonych wędrowców, którzy przemierzali Pustynię Nomadów, były to właśnie one.

Tymczasem wysuszające usta na wiór pragnienie towarzyszyło złodziejce od rana. Dodawało jeszcze jedną szpilkę do tych, którymi umęczone było już jej ciało. Posadzony na grzbiecie wielbłąda Gael przez większość czasu mamrotał coś nieskładnie, a idąca obok Fel nie ukrywała bólu w rannej, stale przyciśniętej do piersi ręce. Troska, z jaką dziewczyna traktowała najemnika, utwierdziła złodziejkę w przekonaniu, że trudy całej tej wyprawy odciskały na niej coraz większe piętno. Na jej ciele i wnętrzu.

Przed południem chmury bardzo powoli przysunęły się bliżej, a pierwsze żywsze powiewy przyniosły namiastkę chłodu i zapach mokrego piasku. Ale nic więcej.

Przystanek, krótki popas i odpoczynek, i znów w drogę. Pochód prowadziły Zakkanki, które w miarę zbliżania się do celu wydawały się na powrót coraz bardziej oddalone, coraz bardziej obce. I surowe. Adria, milcząc, łypała wzrokiem co kilka chwil na płachtę granatu, który zajmował już pół nieba, ale wciąż jeszcze nie zasłaniał piekącego słońca. Dyana co jakiś czas przystawała i lustrowała okolicę. Jakby czegoś wypatrywała. Czegoś lub kogoś.

Po południu, gdy mordercze oko dnia wreszcie skryło się za dywanem z chmur, wszyscy odetchnęli z

ulgą. Wiatr wzmógł się i kilkakrotnie zrosił okolicę warstwą drobnych kropelek, które natychmiast wyparowały, ale pozostawiły po sobie coraz wyraźniejszy zapach deszczu. W oddali, głęboko pod skłębionym dachem, wyraźnie widać było już wijące się powoli w rytm podmuchów wzburzonego powietrza wodne girlandy, które sięgały samej ziemi. Na morzu była to ostatnia chwila, by obrócić się ku takiemu pejzażowi rufą i wypełnić całym tym wiatrem żagle.

Wędrowcy szli jednak dalej, aż w końcu Zakkanki skierowały wyprawę ku wystającej ponad grunt formacji głazów. Tam zatrzymali się na odpoczynek. Nagrzane przez słońce skały jeszcze długo po zapadnięciu zmroku pomagały żarokamieniom służek Bakkusa ogrzać dziewięć stłoczonych wokół nich ciał.

*

Najpierw obudził Alyn świst. Pełne pretensji wycie wichury, która zderzała się z gładką powierzchnią głazów, rozszczepiała się i brutalnie wdzierała między nie. Do tego przejmującego dźwięku zaraz dołączył stukot tysięcy ziarenek piasku, które rozbijały się o kamienie i szorowały o wysuszony grunt. Trwało to kilka chwil, aż do momentu gdy ponad wszystkie te dźwięki wybił się jeszcze jeden – stopniowo narastający grom. Skulona pod głazem w absolutnej ciemności Alyn czuła kroki nadchodzącej burzy całym ciałem. Ciarki wędrowały w górę jej ciała od koniuszków stóp w miarę, jak dudnienie nabierało mocy i wyrazu. Aż w końcu przeistoczyło się we wszechobecny szum.

Dwukrotnie błysnęło i wtedy na podróżników ostrymi igłami spadła ściana ulewy. Momentalnie przemoczyła ich do suchej nitki. Ogromne, ciężkie krople bombardowały ich z zapamiętaniem, po czym łączyły się w kałuże błyskawicznie wypełniające skalne niecki. Z nich woda wartkimi strumieniami spływała niżej, ku boleśnie smaganej przez żywioł pustyni.

Raz i dwa nad ich głowami rozbłysło srebro błyskawicy, na mgnienie oka wyciągając z mroku nocy śliskie powierzchnie głazów i gestą mgłę tuż nad gruntem.

Było zimno. Każdy silniejszy powiew chłodnego wiatru znad gór sprawiał, że Alyn jeszcze głośniej szczękały zęby. Zaledwie pół dnia temu z pocałowaniem ręki przyjęłaby choć moment wolności od żaru i bólu, który chodził za nią krok w krok od czasu powrotu z Kaim. Teraz stała oparta o skałę, aby przynajmniej nie siedzieć tyłkiem w kałuży. Rozcierała coraz bardziej zgrabiałą dłonią ramię i przeklinała w myślach Pustynię Nomadów tak, że nawet kapitanowi Wilmotowi w pięty by poszło. Nawet Szalonej Margo i jej synalkom.

Lało.

*

Deszcz zelżał późną nocą, jeszcze zanim na wschodzie pojawiły się pierwsze zwiastuny poranka. Dyana i Adria na powrót wyciągnęły i roztarły żarokamienie, nad którymi natychmiast pojawił się dach zimnych, trzęsących się dłoni. Woda spłynęła z pagórka i skała, na której siedzieli, przestała być jedną wielką kałużą. Wciąż ziębiła pośladki, ale przynajmniej nie miało się już wrażenia przebywania w balii z lodem.

Choć z ulgą przywitała ciepło, Alyn nawet nie myślała o spaniu. Gdy tylko spadła na nią ostatnia kropla, a burza całkowicie przefrunęła, by napastować pustynię i przygodnych wędrowców gdzieś dalej, zamiast ulgi

złodziejka poczuła przemożne pragnienie. A zaraz za nim złość.

Przed chwilą spadło na nią tyle wody, ile nie wypiła przez cały ostatni rok. Gdzie tam rok – przez pięć lat. Kuląc się przed deszczem, nawet nie pomyślała o tym, żeby ruszyć głową i wystawić gębę do góry. „Tak umierali ci, których ulewa zaskoczyła na środku pustyni, z pragnienia", usłyszała nagle w głowie głos Sanjaia, który jeszcze w Świątyni Beduinów próbował ją uczyć przetrwania na piasku i skale.

Teraz mógł sobie mówić. Każdy potrafił zgrywać mędrca już po tym, kiedy rzeczywiście było to potrzebne.

Tak właśnie – w zimnie, gniewie i pragnieniu – minęła jej reszta nocy. Aż wreszcie, tuż przed brzaskiem, przymknęła na chwilę oczy.

*

Kiedy je otworzyła, było jasno i ciepło. Jej ubranie nie było jeszcze suche, bo leżała częściowo w cieniu, ale wystarczyło wstać, i rozprostować na sobie spodnie i otrzepać kurtkę, by...

Gdy tylko spojrzała w dal, natychmiast zakręciło się jej w głowie i musiała objąć głaz obiema rękami, aby nie stracić równowagi. Obejrzała się i napotkała beznamiętny wzrok Dyany, która siedziała naprzeciwko i niespiesznie lustrowała swoje ubranie. Ona też to musiała widzieć. Prawda? Bo jak inaczej? A Fel? A Gael?

Alyn nie odważyła się poszukać wzrokiem reszty kompanów, tylko jeszcze raz wyjrzała zza skały. Ostrożnie. Ale ono cały czas tam było.

Bezkresne, niebieskie niebo. Wszędzie. Na górze i na dole. Ich miejsce noclegu było skalistą wysepką dryfującą wysoko przestworzach.

Pamiętała to. Uczucie wolności i euforii, gdy połączyła się z Maszyną na Górze Gigantów i swobodnie, bez strachu, leciała nad Kaim. Tam było to wspaniałe. Uwalniające. Piękne. Bezpieczne. Tutaj zaś...

Tutaj była tak wysoko, że nie było widać lądu.

Czy to magia służek Bakkusa? Czy to znów iluzja?

Czy to...

– Alyn! Hej, Alyn!

– Patrz ją, córkę wezyra! Wreszcie się podniosła! Cud! Toż to cud, powiadam!

Złodziejka obróciła się w stronę głosów Fel i Bon-Bona. Oboje mieli najwyraźniej przednie nastroje. Oboje patrzyli na nią z szerokimi uśmiechami. Oboje...

...byli zagłębieni po łydki w błękicie nieba, z którego, tuż pod nimi, wyrastały do góry nogami ich kopie. Tuż obok, również zatopione w swych odbiciach trwały sennie trzy wielbłądy.

Przez moment Alyn patrzyła na tę scenę jak na butelkę rumu, którą ktoś odkorkował i postawił szyjką do dołu. A potem wielbłąd Levandera opuścił głowę i napił się wody, a od jego pyska we wszystkie strony rozeszły się kręgi fal.

Złodziejka puściła się głazu i w trzech susach dopadła pobłyskującej powierzchni lustra, po drodze niemal wywijając orła na luźnych kamieniach. Gdy zagłębiała dłonie w chłód bezkresnego jeziora, które w jedną noc wyrosło na pustyni, przed oczami widziała jedynie stada fruwających we wszystkie strony świetlików.

Piła długo i śmiała się na głos, a wokół jej ust pękały stada bąbli.

*

Wędrówka po lustrzanej pustyni, po łydki w chlupoczącej wodzie, była dla Fel czymś nie do opisania. Oprócz dostępnej w zasięgu ręki ochłody koiła zbolałe stopy i pozwalała napić się w dowolnej chwili i ilości. Krystaliczne ploso ogromnego jeziora sięgało horyzontu we wszystkich kierunkach, malowało niezapomniany, nierzeczywisty pejzaż. Pozwalało przejrzeć się w tafli, nadziwić się śniadości własnej opalonej skóry, głębokości worków pod oczami, ostrej geometrii wystających kości policzkowych.

Ale obok ulgi pojawiły się nowe niedogodności. Woda wciąż była wodą, więc szło się, jak by nie było, wolniej i ciężej. Choć była przejrzysta, dno było widoczne dosyć dobrze tylko w najbliższej okolicy własnych stóp. Wystarczyło spojrzeć nieco dalej i szarość mokrej skały znikała przykryta błękitnym odbiciem nieba. A szczelin w gruncie, który na jakiś czas stał się dnem – nierzadko głębszych niż wysokość człowieka – nie ubywało.

Fel martwiła się również o Gaela. Choć przytomny, najemnik wciąż był zbyt słaby, żeby iść piechotą. Trzymał się siodła, ale gdyby z niego spadł, mógłby się utopić. I nie było się nawet gdzie zatrzymać na odpoczynek.

No i była jeszcze kwestia załatwiania swoich potrzeb. A zwłaszcza potrzeb wielbłądów, które wystarczająco już zdezorientowane niecodzienną sytuacją nie zamierzały się przejmować niczyim komfortem. Z każdym soczystym pluśnięciem dochodzącym z okolicy ich tylnych nóg wędrowcy mieli coraz mniejszą ochotę na dalsze pozostawanie w wodzie. Lądu nigdzie nie było jednak widać.

Karawana ciągnęła pojedynczą, wyładowaną beczkami dwukółkę, która z daleka równie dobrze mogła wyglądać jak tratwa.

Krajobraz po raz pierwszy zmienił się wczesnym popołudniem. Prowadzona niezmiennie przez Dyanę i Adrię ekipa bardzo szybko miała serdecznie dosyć nienaturalnego piękna pustynnego jeziora i zatęskniła za starym, dobrym kamieniem wrzynającym się w półdupek podczas odpoczynku na ziemi. Do bólu oczu wypatrywali choćby skrawka kamienia, który wystawałby ponad horyzont tego, co z chwili na chwilę coraz bardziej przybierało kształt morza beznadziei. Zamiast lądu wypatrzyli koniec świata.

Z początku wydawało się to złudzeniem, ale w miarę zbliżania się do dziwnego zjawiska stawało się ono coraz wyraźniejsze. A wyglądało tak, jakby płachta wody została ucięta w poprzek jakimś gigantycznym nożem. Jezioro urywało się nagle, zalotnie połyskując na krawędzi słonecznymi refleksami i niknąc gdzieś w błękitnej nicości.

Każdy chciał zobaczyć, co znajduje się za krawędzią. Nawet – co niepomiernie ucieszyło Fel – Gael, który ożywiony spoglądał przed siebie, zasłaniając dłonią od słońca przekrwione oczy. Nie inaczej było z samymi służkami Bakkusa, które ów widok również zdołał zaskoczyć.

To była chwila. Moment, w którym wszyscy, idąc, patrzyli w dal przed siebie, a nie tam, gdzie powinni.

Nagle gdzieś obok rozległ się głośny plusk i urwany jęk jednego z wielbłądów. Gdy Fel spojrzała w kierunku hałasu, w miejscu, w którym przed chwilą dreptało zwierzę, były jedynie rozszerzające się okręgi fal. W jego centrum raz i tylko na mgnienie oka mignęła wystająca z wody końcówka ogona. Dziewczyna poczuła uderzenie gorącej krwi i natychmiast wyszukała wzrokiem pozostałe dwa wielbłądy.

Były na swoim miejscu.

Niespokojne i przestraszone, ale ten, który niósł na grzbiecie Gaela, jeszcze nie panikował. Cofał się tylko powoli w stronę drugiego, zaprzęgniętego do dwukółki, a trzymający się kurczowo siodła najemnik uspokajał go głaskaniem po szyi.

Powinien zejść, pomyślała Fel. Powinien zejść, bo spadnie.

– Złaź na ziemię! – usłyszała wykrzykującego jej myśli Bon-Bona.

Sama była zaskoczona, o ile bardziej zakłuły ją wychrypiane w odpowiedzi słowa Gaela.

– Alyn! Gdzie jest Alyn?!

Dlaczego on pytał o Alyn? Z Alyn było wszystko w porządku! Przecież szła sobie beztrosko, o właśnie... Tu...

*

Chłód. Głuchota. Drżenie. I ściśnięte płuca.

Gdy tylko poczuła próbującą się wedrzeć do jej ciała przez nos wodę, przed jej oczami natychmiast pojawił się kadłub „Boskiego Wiatru". Noc. Sztorm. Rozbawiona gęba Szalonej Margo.

Otrząsnęła się i wzięła w garść. Nie. Tym razem było jasno, woda była ciepła i słodka. I zanurkowała w nią z własnej woli.

Od razu zrozumiała, co się stało. Minęła tę szczelinę o pół kroku, idąc w stronę tajemniczego „końca świata", i całkowicie zaabsorbowana dziwnym zjawiskiem nawet nie pomyślała o tym, że zaraz za nią drepczą wielbłądy. Że jeszcze chwila i jeden z nich potknie się i wpadnie w pułapkę. Wina była po jej stronie. Ale to w tej chwili było nieważne. Bezbronne, zmęczone zwierzę – już drugie w ostatnich dniach – walczyło o życie. I tym razem mogła coś z tym zrobić.

Wielbłąd wpadł w szczelinę przednimi nogami. Zaparł się nimi głęboko, w miejscu, gdzie schodziły się jego palce. Wyciągnął wysoko szyję i szarpał nią, łypiąc na wszystkie strony przerażonymi oczami, ale to było za mało, by sięgnąć chrapami powietrza. Był w potrzasku.

Złodziejka wskoczyła w czeluść tuż przed nim. Zauważyła, że głębia, w którą rozszerzała się szczelina, jest szeroka, ciemna i – jak wydawało się, patrząc z jej perspektywy – bezdenna. Olała to. Podpłynęła do zaklinowanych kończyn wielbłąda i chwyciła je dłońmi. Zaparła się nogami o śliskie ściany, szarpnęła do góry. Zwierzę drgnęło, ale natychmiast straciła przyczepność, więc odepchnęła się tylko w dół.

Czując pierwsze ukłucie w płucach, ponownie przyjęła tę samą pozycję i mocniej się zaparła. Gdy napięła wszystkie mięśnie, z jej ust dziesiątkami pęcherzy powietrza wydobył się stłumiony krzyk.

Udało się! Uwolniła jedną nogę wielbłąda, którą zwierzę przytomnie natychmiast zaparło w bok o ścianę. Kątem oka zauważyła czyjąś głowę, która zajrzała pod powierzchnię.

W tej samej chwili wielbłąd wierzgnął uwolnioną kończyną i rozorał sobie jej bok na ostrym kawałku skały. Woda wokół niej zamgliła się na czerwono.

Płuca zakłuły Alyn jeszcze mocniej, ale nie miała czasu na to, by się teraz wynurzać. Zwierzę miało już tylko kilka chwil. Jeżeli nie pomoże mu wydostać się z pułapki, nikt go nie wyciągnie na czas.

Chwyciła obiema dłońmi drugą nogę. Ponownie wbiła podeszwy w skałę. Napięła mięśnie. I zrozumiała, że nie ma siły na to, by szarpnąć jeszcze raz. Spojrzała w wyszczerzony w panice pysk wielbłąda. Za sobą dojrzała czyjś zbliżający się cień. Otworzyła szeroko oczy, ale w tej chwili dopadła ją ciemność.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

– Czekaj no... Adria? – zapytała Alyn.

Przy każdym słowie krtań bolała ją tak, jakby właśnie przecisnęła przez nią kolczastego kasztana.

Oczy Fel błyszczały się tak, jakby opowiadała najprzedniejszą z historii, które wydarzają się po zmroku w Kukh.

– Tak. Nie spieszyła się. Pierwszy byłby Bon-Bon, gdyby nie postanowił najpierw pozrzucać z siebie całego żelastwa, które nosił, hi, hi.

– Co w tym takiego zabawnego? Wielbłąd... Utopił się, prawda? Nie widzę go tu.

– Tak. Musiała podjąć decyzję. Albo on, albo ty. Uznała, że bez jeszcze jednego wielbłąda nasza wyprawa wciąż da sobie radę. Bon-Bon próbował go jeszcze ciągnąć za ogon, ale...

– Kurwa mać. A Dyana?

– Stała z założonymi rękoma. Adria też na początku, ale potem jakby ją coś tknęło. Nie wiem. Uratowała ci życie. Nawet nie użyła żadnej ze swoich... mocy. Nic. Gdy cię wyciągnęła, jej skóra była normalna. Ludzka. Jej tatuaże zwykłe. Śliczne, ale zwykłe... Ale jak patrzę na nie obie, wciąż przechodzą mnie ciarki.

Drogie dziecko, co ty wiesz, pomyślała Alyn, ale ugryzła się w język. Westchnęła i potarła dłońmi twarz. Jej ubranie było jeszcze nieco wilgotne, ale tylko na zagięciach. Oprócz gardła nic jej nie bolało. No, prawie nic.

Poprawiła się, bo kamień pił ją w półdupek.

– Niedługo wieczór – powiedziała, rozejrzawszy się po okolicy. Po jeziorze nie było ani śladu. Wszędzie wokół znów było sucho, gorąco i pusto. Tylko nieco bardziej skaliście. – Co mnie jeszcze ominęło?

– Adria oddała cię Bon-Bonowi, który chciał... Ech, jak się o tym opowiada, nie ma tego efektu. Bon-Bon chciał cię jednocześnie podtrzymać i powyławiać z wody swoje rzeczy, które przed chwilą tam wrzucił. Robił jakieś dziwne przysiady, chwiał się. Prawie cię upuścił, ale podeszłam do niego i oboje jakoś zarzuciliśmy cię na grzbiet ostatniego wielbłąda. Coś tam mamrotałaś. Coś o jakimś żółwiu. Coś o maszynie? Nie pamiętasz?

– Nie – skłamała Alyn. – Mów dalej.

Fel zauważyła. Musiała zauważyć jej zawahanie, ale kontynuowała jakby nigdy nic:

– Byłaś wyczerpana. Po tej całej twojej akcji i po podróży od rana. Wszyscy byliśmy. Więc jak już pogodziliśmy się z tym, że biedaka nie da się uratować, pozwoliliśmy ci spać przerzuconej tak, o przez siodło i poszliśmy... A właśnie! Poszliśmy wreszcie zobaczyć, co z tym urwanym jeziorem. Żebyś to widziała, to było niesamowite! Podeszliśmy do krawędzi i okazało się, że to jeden wielki...

– Wodospad?

– Skąd wiedziałaś?

– Gdy byłam pod wodą, czułam lekki prąd. Ciągnął mnie w dół i do tyłu. Dopiero teraz skojarzyłam, że tam gdzieś dalej musiało być ujście.

– Nie był wysoki. Na dwóch, trzech ludzi. I niespecjalnie stromy. Zeszliśmy ostrożnie po kamieniach. Na dole woda najpierw zbierała się w szerokie jezioro, ale to niedaleko się zwężało i szła od niego dalej rzeka. Myślałam, że za nią pójdziemy, ale Dyana powiedziała „Tam nie, bo idzie do morza".

Alyn parsknęła cicho. Nie zdając sobie z tego sprawy, Fel jeszcze lepiej sparodiowała Laetitię niż Dyanę. Zwłaszcza odgrywając jej wyniośle uniesione brwi. Zadowolona z reakcji Fel uśmiechnęła się szeroko i wbiła wzrok w dal. Skinęła głową.

– Jak twoja ręka?

Fel zagryzła na chwilę wargę, ale uśmiech nie zszedł z jej ust.

– Bon-Bon dał mi coś na ból. Chyba działa.

Narkotyk, pomyślała złodziejka i obiecała sobie, że jak tylko stanie na nogi, dokończy rozmowę z najemnikiem, którą zaczęła przy ognisku pod Seine.

– Będziemy szli gdzieś tam – powiedziała Fel i wskazała kierunek głową. – Za tymi pagórkami. Ale nie wiem, jak daleko. One mówią ci tylko to, co chcą, żebyś usłyszała.

Alyn podniosła się i spojrzała na Adrię, która siedziała w oddali plecami do reszty. Zakkanka z jakiegoś powodu uratowała jej życie, ale złodziejka nie była w stanie na nią patrzeć bez pełzającego po sercu uczucia niepokoju. Uczucia wrastającego w inne strachy, które w miarę zbliżania się do celu rosły w jej cieniu i tylko czekały, by dopaść ją w chwili odpoczynku. Strachy o to, że dobrze znała prawdziwą potęgę służek Bakkusa, i o to, że prawdopodobnie, aby dostać się do Zakarego, będzie musiała się w końcu z nimi skonfrontować.

– A gdzie Dyana? – zapytała po chwili milczenia.

– Poszła gdzieś sama. Chyba z powrotem, bo w tamtą stronę. Nie wiem po co. Może chodzi o ognisko, które wypatrzyły dwie noce temu.

– Ognisko?

– Tak mi się zdawało. Najpierw myślałam, że to gwiazda, a potem...

– Pościg.

– Nie wiem, Alyn. Nie wiem, kto byłby na tyle głupi, by ścigać służki Bakkusa do ich domu.

Jeszcze jedno zmartwienie. Jeszcze jedna mała trwoga. Kamyk, który wraz z innymi trzeba było nieść na plecach bez pomocy Toryna. Albo Żółwia. Ale tym razem to jej rolą było pomaganie. Tym razem to ona miała podopieczną.

Podopieczną, która od wielu dni nawet nie zająknęła się o tym, że nigdzie w okolicy nie było jej cudowronka.

*

Noc była niezwykła. Niepowtarzalna. Gwiazdy rozbiegły się wszędzie – na niebie i na ziemi – tworząc wrażenie zatrzymanego w czasie deszczu srebra. Patrząc na nie, Reynauld pomyślał, że nigdy już nie przyrówna oczu kobiety do zuchwałych ogników na firmamencie albo innego głupstwa tego rodzaju. Bo żadna nie

patrzyła na niego tak, jak ta noc.

Jego żołnierze zachowywali ciszę, choć wiedział, jak świerzbią ich języki, by móc chociaż po cichu zakląć na ten widok. Lustrzana pustynia w nocy. Takie coś widziało się raz w życiu. Dla takiego czegoś warto było siedzieć ze zziębniętymi, wilgotnymi stopami.

Rozejrzał się za ich sylwetkami. Nyitras i Anttila siedzieli na wprost niego, ze skrzyżowanymi nogami. Perko półleżał dalej, oparty o ścianę Bodrogi stał na warcie. Ikke nie był w stanie dojrzeć, ale słyszał – pochrapywała cicho, śpiąc w niecce. Była z nich, oczywiście, najmądrzejsza, pozwalając po całym dniu marszu i przed kolejnym takim samym, odpocząć ciału i jaźni. Pustynia łamała nawet najtwardszych. Reynauld był jednak pewien, że zanim złamie tę piątkę, minie jeszcze sporo wydm i sporo czasu. Imoreńscy uciekinierzy byli blisko. Pół dnia drogi, może nieco więcej.

W zasięgu ręki.

Major audytor wrócił spojrzeniem w stronę jednej z gwiazd, której wędrówkę po niebie śledził od zapadnięcia zmroku. A gdy zauważył, że jej tam nie było, że zniknęła za skalnym występem, wstał i z cichym trzaskiem rozprostował kości.

W tym samym momencie rytmiczne oddechy porucznik Vargi ucichły, co mogło znaczyć tylko to, że się obudziła. Reynauld uśmiechnął się pod nosem, przestąpił nad jej nogami i poszedł do stojącego do niego tyłem, wyprężonego jak struna Bodrogiego. Położył dłoń na jego ramieniu, sygnalizując symbolicznie zmianę warty i wtedy głowa żołnierza stanęła w płomieniach.

Oślepiony nagłym błyskiem major audytor cofnął się o krok i tylko dzięki temu nie doznał oparzeń, kiedy nagle rozsierdzonym, trzeszczącym ogniem zajęło się całe ciało podwładnego. Bodrogi zachłysnął się powietrzem, żeby wrzasnąć, ale tylko wciągnął w płuca żar, który natychmiast sprawił, że zaczął charczeć i krztusić się.

Reynauld odskoczył od niego i sięgnął po szablę.

– Na nogi! – warknął w stronę reszty swych żołnierzy.

Po drugiej stronie Bodrogiego, który zatoczył się, zrobił trzy kroki i wpadł twarzą do płytkiej wody, coś się poruszyło.

– Tam! – krzyknął oficer i wskazał szablą kierunek, ale na powrót było ciemno.

Długi jęzor ognia wystrzelił zza pleców zdezorientowanego Anttili i z westchnieniem objął plecy Taidańczyka. Nyitras zamachnął się szablą, ale płomień znów przygasł.

Dwie. Były dwie, przypomniał sobie Reynauld.

– Varga! – ryknął, przekrzykując skowyt pieczonego Anttili. – Tylna flanka! Już! Perko, wrzuć go do...

Tym razem nie było płomienia. Rozmazany cień wbił się w Perkę, po czym odbił się od jego nagle bezwładnego ciała i runął wprost na Reynaulda. Major audytor instynktownie odskoczył i zasłonił się płazem. Usłyszał przed sobą świst tnących powietrze pazurów, na twarzy poczuł kilka ciepłych kropel.

– Nyitras! Tu jes...

Przerwała mu nagła pustka w płucach. Poczuł, że leci do tyłu i obija się plecami o nierówną skałę. Natychmiast przewrócił się na prawą stronę i, jęknąwszy, wpasował się w nieckę – ciepłą jeszcze od ciała Ikke. Tam, gdzie był przed sekundą, po ziemi potoczył się łapczywy dywan ognia, w jego nozdrza wdarł się gryzący

dym.

Gdzieś z tyłu głowy usłyszał głośny plusk. Szybki oddech. Szczęk metalu o kamień. Podniósł się najpierw na czworaka, a potem, podpierając się o ścianę, wstał.

Była tuż za nim. Poczuł to natychmiast całym ciałem. Nie miał czasu na reakcję, nie miał czasu szukać szabli. Więc odwrócił się i zobaczył wpatrzone w niego dwa zuchwałe ogniki. To była śmierć.

– Nie! – usłyszał krzyk Ikke, która pojawiła się znikąd i rzuciła między niego a napastniczkę.

Reynauld usłyszał trzask rozrywanego materiału, gdy pazury z pełnym impetem trafiły porucznik. Ikke poleciała wprost na niego i wytrąciła go z równowagi. Jego głowa odbiła się od czegoś i gwiazdy zgasły.

*

To faktycznie był pościg, pomyślała Alyn, gdy obudziła się nad ranem, a na tle pierwszej zorzy zauważyła zbliżającą się sylwetkę Dyany. Jej tatuaże wciąż jeszcze jarzyły się blado, kilka pozostawiało w zimnym powietrzu wątłe obłoczki białej pary.

Był i już go nie ma.

Złodziejka nie była pewna, czy Zakkanka zauważyła jej zaspane spojrzenie. Ale nie musiała tego wiedzieć. Mogła zamknąć oczy, odwrócić się na drugi bok. Pospać jeszcze odrobinę. Doczekać do brzasku. Złapała się na stwierdzeniu, że byłoby to zbyt tchórzliwe. Jakby obcując ze służkami Bakkusa, musiała nieustannie udowadniać im swą odwagę. Jakby jej postawa w ogóle je obchodziła.

Zamiast tego wytrzymała jeszcze moment, aż Dyana zbliżyła się, by spojrzeć jej w oczy. Na widok trupio pustego spojrzenia służki spuściła jednak wzrok. Nieustraszona, harda, tchórzliwa i blada cudzoziemka. Sierotka z Rowan. Jak to powiedział Fumu? Ostrze Pustyni.

Kobieta przeszła obok Alyn bez słowa. Złodziejka wzięła głęboki oddech i zamknęła oczy, chłonąc całą sobą uciekający chłód nocy.

Dopiero po jakimś czasie usłyszała cichy szelest przesypującego się nieopodal piasku.

– Kto tam? – zapytała.

– Wydajesz się niewzruszona sposobem bycia naszych przewodniczek – nie od razu odpowiedział jej Bon-Bon swoim niezłym zakkańskim.

– Chyba się nie zrozumieliśmy dobrze ostatnim razem. Nie wystarczy...

– ...Dobrze się zrozumieliśmy, zapewniam cię. Przy pierwszej nadarzającej się okazji zniknę i pozostaniesz wierna swej prawdzie, jakakolwiek ona by nie była. Ale na razie jesteśmy na siebie skazani. Jeśli nie dla towarzystwa, to dla Gaela.

Alyn uniosła się na łokciu i znalazła wzrokiem oczy Bonenffanta, bo zabrzmiało to tak, jakby faktycznie przejmował się losem lidera Valangi.

– Nie wiesz o nim nic, prawda? – zapytał.

Nie chciała tego słuchać. Albo nie chciała jego słuchać. Obie opcje były równie prawdopodobne. Ale tchórzliwy szczeniak miał rację – byli na siebie skazani.

Zachęcony brakiem protestów z jej strony, Bon-Bon przysunął się na piasku i kontynuował:

– Jeżeli zrozumiesz jego, zrozumiesz też mnie. Gael ci tego nie powie, bo w Valandze wszyscy trzymają

się kurczowo swoich tajemnic, a między jej członkami zawsze krążyły co najwyżej domysły i półprawdy. Już to powinno ci dać do myślenia na temat tego, jak zgrana to była w rzeczywistości szajka. Co do mnie, wtedy przy ognisku, miałaś rację – urodziłem się w rynsztoku i tam, na ulicach spływających gównem możnych ze wspaniałej stolicy naszego kraju, się wychowałem. Nie ucieknę od tego i nie chcę uciekać. Gael za to wrodził się w rodzinę, która miała posiadłość tak wysoko, że ten sam ściek, przepływający obok, był jeszcze czysty jak łza i pachniał fiołkami. Przesiedział tam ponad połowę życia. Jadł słodkie gruszki z sadu rodziców, pieścił czyste cipki sąsiadówien zza żywopłotu i nie przepracował ani minuty na swoje utrzymanie. Żebraków i chorych, rzecz jasna, odprawiał pogrzebaczem, który rodzice trzymali nie przy kominku, tylko przy samej furtce, bo i tam częściej znajdował zastosowanie.

– Skąd wytrzasnąłeś te opowieści? – zaśmiała się Alyn.

– Od niego. Więcej, powiedział mi też o tym, kiedy to się wszystko skończyło. Otóż wtedy, gdy jego ukochana siostrzyczka, pijana nigdy niekończącymi się w domu zapasami wina, utopiła się we własnej wannie. Nikogo nie było w domu, a sama wcześniej odesłała służącą do diabłów. Nie miała w życiu żadnego zmartwienia. Tak przynajmniej się wszystkim wydawało. Wtedy dopiero utracjusz Gael przejrzał na oczy. Gdy znaleźli ją nad ranem siną i zimną. Poszedł w świat szukać własnego losu. Stał się najemnikiem Gaelem. A tego, co się stało, nie wybaczył nikomu. Ani światu, ani sobie.

– To jego sprawa, czy chce wybaczać, czy nie. Nic ci do tego. I nie rozumiem, po co strzępisz teraz język. Po coś tu przylazł?

Bon-Bon westchnął.

– Po pierwsze chcę cię przekonać, że się co do mnie mylisz. Nie rabowałem bezbronnych, nie gwałciłem nikogo, nie torturowałem, nie przywiodłem też służek do żadnej z imoreńskich wsi na mord, żeby ratować własną skórę. Dołączyłem do Valangi jako przydrożna znajda, brudna sierota, bez ciężaru honoru i sumienia. I owszem, tak jak oni, jak Liz i Edwin, miałem zostać najemnikiem, wojownikiem, zabójcą. Bo co innego mógłbym robić? Ale nie dałem rady. Zamiast drugiego Gaela wyrosło ze mnie to. – Bon-Bon wyprostował się i wykonał gest, jakby prezentował swe ciało na targu niewolników. – Dlatego odszedłem. Bo miałem dość tego, jak na mnie patrzyli. I dlatego Gael jest na mnie taki cięty, traktuje mnie jak porażkę. Swoją własną. Rozumiesz? Dlatego, po drugie, chcę cię prosić o pomoc. Nie w tej chwili. Gdy już to się skończy. Jeżeli wyjdziemy z tego cało i jeżeli Gael nie wyrzyga z siebie w międzyczasie wszystkich flaków, pomóż mi się nim zająć.

Czując, jak niedorzeczność tej prośby przelatuje jej z furkotem przez głowę, Alyn zapytała, całkiem rzeczowo:

– Co masz na myśli?

– Nie rozumiesz mnie czy nie chcesz zrozumieć? – Bon-Bon uniósł głos, jakkolwiek nieznacznie. – To człowiek, który stoczył beznadziejną walkę, żeby w jakiś sposób odzyskać to, co stracił, gdy przesrał młodość na nocniku. I odzyskał. W Valandze. Nie słuchasz, co mówi teraz, rano i wieczorem, gdy wraca mu świadomość. Więc powiem ci. Powtarza w kółko dwa słowa: Vaala i Jeanine. Vaala i Jeanine. Więc kiedy stanie na nogi, a zapewniam cię, że stanie się to szybciej niż później, gdy już spełni swoją powinność wobec naszych demonic-wybawicielek, będzie rwał z powrotem przez pustynię do Imoren, a jak trzeba będzie, to do Taidanu.

Żeby je odzyskać. Ostatnie członkinie Valangi. Pójdzie tam sam. I zginie.

– Rozumiem, Bon-Bon.

Alyn przytaknęła i przyjrzała się najemnikowi. Dziś, w czerwonym świetle wstającego dnia, wyglądał inaczej niż wtedy, pod Seine. Nadal bał się służek. Strach wylewał się z każdego pora jego skóry wraz z potem zdobiącym rozległymi plamami jego tors, pachy i plecy. Ale w tej chwili dużo trudniej było jej nazwać go, nawet w myślach, tchórzem.

Bonenffant siedział jeszcze chwilę bez słowa, po czym wstał i odszedł w stronę wielbłądów, które sennie podnosiły głowy z pierwszego od dawna spokojnego snu.

Złodziejka spojrzała jeszcze raz przed siebie, na horyzont, skąd przyszła Dyana. Tam, gdzie wichry Pustyni Nomadów zatarły za nimi już ślady.

A potem całą szóstką, wraz ze zwierzętami, szli przez pustynię jeszcze przez dwa dni.

*

Oaza Al-Arak wyłoniła się z piasku niespodziewanie, gdy wdrapali się na jeden z kilkudziesięciu okolicznych szczytów niestromych wydm. Leżała w kotlince pomiędzy skalistymi pagórkami i zaglądającymi do niej z góry hałdami białego piasku. W jej centrum jaśniało przejrzyste, błękitne i niemal idealnie okrągłe oko jeziorka. U jego brzegów zaś niczym pęcherzykowata narośl wyrastały rzędy glinianych budowli. Ich obłe dachy, w wielu przypadkach udekorowane chudymi kijami, pomiędzy którymi wisiały suszące się szmaty, wystawały ponad grunt nie dalej niż na wysokość krzątających się między nimi ludzi. Mieszkańców oazy było zresztą zaskakująco wielu. Część doglądała odległego zielonego poletka, którego półokrągła połać wypełniała cały jeden narożnik kotlinki. Część przemieszczała się po prostu z miejsca na miejsce. Wszyscy byli poubierani w opuszczone do połowy ciała, połatane, jasnoszare dżalabije i mieli ciemnobrązową skórę. Nawet nakrycia głowy – pasujące kolorem do reszty stroju kefije – wszyscy nosili na ten sam sposób.

I nikt nie zbliżał się do brzegu jeziora.

Alyn nawet nie spostrzegła, kiedy Zakkanki bez słowa wysforowały się naprzód wraz z dwukółką i ciągnącym ją wielbłądem. Szybkim krokiem zeszły w dół skarpy i już za chwilę miały wkroczyć pod cień palm, pomiędzy zabudowania. W pierwszym odruchu złodziejka chciała puścić się za nimi pędem, dogonić, zadać wreszcie pytanie, którego nie wypowiedziała i które męczyło ją przez całą tę szaloną podróż.

Gdzie jest Zakary?

Ale nie pobiegła. Gael, który poczuł się nieco lepiej w ciągu ostatnich kilku dni, wciąż potrzebował opieki kogoś, kto wiedział cokolwiek o zatruciach. I czystej wody. Wszyscy umierali z pragnienia. A Fel patrzyła na nią tak, jak jeszcze jej się to nie zdarzyło – wielkimi oczami zrozpaczonego dziecka. Była na skraju wytrzymałości.

– Boli – powiedziała, nie poświęcając specjalnej uwagi pejzażowi oazy, który rozpościerał się z przodu.

Jej przedramię spuchło, a skóra wokół rany przybrała ciemny odcień fioletu i mając żywo w pamięci własne katusze po przesłuchaniu u Hanso, Alyn zastanawiała się, w jaki sposób młoda tancerka jeszcze w ogóle funkcjonuje.

Poza tym Al-Arak nie wydawała się ogromna. Dyana i Adria donikąd przecież się nie wybierały. Być

może gdzieś tam, właśnie w którejś z tych kopułek z wysuszonej gliny był Zakary... i powód, dla którego przez pół świata całą karawaną taszczyli za sobą beczki z rozgrzanym przez słońce, śmierdzącym, zepsutym winem. Nie trzeba było już nikogo gonić ani przed nikim uciekać. Przynajmniej na razie. Ryzykując pęknięcie suchych, spierzchniętych warg, Alyn pozwoliła sobie na lekki uśmiech.

Była na miejscu.

*

Nie dałabym rady tu wyżyć, pomyślała Fel, obserwując mieszkańców oazy między tutejszymi przedziwnymi zabudowaniami. Mimo lejącego się z nieba żaru każdy był czymś zajęty. Ci, którzy dokądś szli, robili to zdecydowanym krokiem, nie poświęcali więcej niż chwili na zlustrowanie przybyłych z pustyni gości. Wchodzili i wychodzili ze swych półkul schodami, zasuwając za sobą grube zasłony. Mijając domostwa, dziewczyna kilkakrotnie miała okazję zajrzeć w głąb za rozsuniętą na chwilę płachtę, ale nie była w stanie dojrzeć w środku nic prócz głębokiej czerni. Wyglądało jednak na to, że prawdziwe miasteczko, jeżeli faktycznie istniało, żyło pod ziemią. W skale.

Miało to sens. Ochrona przed słońcem i dostęp do wody wystarczyły, by społeczność, która się tu osiedliła, mogła pośrodku niczego zorganizować sobie życie. Tylko za jaką cenę?

– Lekarz? Znachor? Lekarz?! Znachor?!

Głos Alyn zaczepiającej miejscowych saahijskim zakkańskim docierał do niej jak przez ścianę. Rudowłosa towarzyszka wyciągała opuchniętą rękę Fel ku ludziom, którzy nawet nie wzruszali ramionami, natychmiast odwracając wzrok. Również po tym, gdy zdjęła wreszcie z twarzy te swoje zmaltretowane, porysowane szkła, w których jeszcze bardziej wyglądała jak ktoś z innego świata.

Gael stał, ale ledwo. Fel nigdy na poważnie nie myślała o śmierci, ale jeżeli okazałoby się, że to właśnie ten moment, czuła potrzebę, żeby najemnik przy tym był. Żeby chociaż położył jej dłoń na mokrym czole. Nie miała innych życzeń. Oprócz tego, żeby wreszcie przestało już boleć.

– Lekarz? Lekarz?!

Nic. Bon-Bon też się rozglądał. Też pytał, ale na jego zakkański tubylcy reagowali jeszcze większą rezerwą i odrzuceniem.

Wciąż szli powoli przed siebie, aż trafili na niewielki placyk z palmami, który graniczył z brzegiem jeziorka. Każde z ogromną chęcią ugasiłoby pragnienie po wędrówce, ale zdążyli zauważyć, że lokalny zwyczaj faktycznie zabraniał zbliżania się do wody. Choć miejscami była półprzytomna, Fel wciąż dostrzegała w oddali skryte za zabudowaniami, chowające się w tłumie, ciekawskie oczy tych, którzy obserwowali ich od momentu, w którym jako nieznajomi przekroczyli umowną granicę oazy. Al-Arak dobrze wiedziała, że potrzebują pomocy. Ale z jakiegoś powodu nie chciała im jej zaoferować.

W oczach Alyn jednocześnie płonęła determinacja. Udowodniła, że potrafiła sobie radzić w gorszych sytuacjach. Umiała zdobywać to, czego potrzebowała, swoimi sposobami. I z pewnością już myślała nad tym, jak się do tego zabrać. Ale gdzieś w głębi Fel wiedziała, że to nie było potrzebne. Że będzie dobrze. Że wystarczyło się tylko zdrzemnąć.

*

Starzec pojawił się chwilę po tym, jak Bon-Bon poszedł samodzielnie rozejrzeć się po okolicy. Był niski i przygarbiony, siwa broda sięgała mu do piersi, a okolone siatką zmarszczek oczy czujnie patrzyły prosto na nią.

Nie odezwał się. Podszedł, wykonał zapraszający gest i czekał. Na jego twarzy nie rysowała się ani jedna emocja.

Alyn rozejrzała się. Bon-Bon zniknął już z pola widzenia. Gael podniósł się z wysiłkiem z ziemi i oparł się o jej ramię, po czym skinął na tubylca.

– Myślisz, że to ich znachor? – zapytał.

– Nie mam pojęcia, Gael. Nawet w tej waszej Cobu nie czułam się tak obco jak tu. A to przecież wciąż, kurwa, Zakkan.

Najemnik odwrócił się do nieznajomego, a następnie skrzyżował dłonie i złapał się nimi za szyję.

Starzec przytaknął i uśmiechnął się. Alyn aż się wzdrygnęła. Miał wszystkie zęby.

– Znachor – powiedział Gael. – Wygląda na to, że innego nie mają.

– Co to za gest? Ten z szyją?

– Przypomniało mi się, że w czasach, gdy zapuszczała się tu jeszcze Korona Castanet, wojsko zatrudniało takich jak on nomadów do dobijania tych, którzy nie wytrzymywali trudów marszu na pustyni. W zbrojach szli, rozumiesz. Z tarczą i oszczepem. Ku chwale i tak dalej.

– To nie brzmi jak robota dla znachora.

– A jednak. Tutejsze plemiona znały przepis na napar uśmierzający ból. Ponoć działał cuda na rany i otarcia. Tym, którzy byli nie do odratowania, podawano dużo więcej. Żeby ich uspokoić i uciszyć. Wtedy w nocy przychodził znachor i...

Gael wykonał jeszcze raz gest z dłońmi przy szyi, po czym natychmiast odwrócił się, zgiął i kaszlnął żółcią.

– Dobra, dobra – powiedziała Alyn. – Fel, wstawaj! Idziemy!

Gdy wyraźnie wzburzona wybudzeniem z drzemki Fel dźwignęła się na nogi, poszli za starcem w trójkę, jedno za drugim, z powrotem w gąszcz identycznych glinianych domostw. Wystarczyło, że stracili z oczu jezioro i palmy, by zamykająca pochód Alyn z największą trudnością była w stanie nadążyć ze śledzeniem drogi, którą obierał starzec. Wejścia, zasłony, ciemne twarze, szare kefije mijały ich dziesiątkami. Na własnych skórach czuli wreszcie bicie Serca Imoren, ale wrażenie było takie, jakby z każdym krokiem zapadali się w nim coraz głębiej. A na skraju świadomości złodziejki kołatała się jeszcze myśl, że w końcu trzeba będzie pójść po Bon-Bona. Kiedyś. Na razie da sobie radę.

W żaden sposób nie zaskoczyło złodziejki to, że kopułka, przy której się zatrzymali, nie wyróżniała się spośród okolicznych niczym. Może oprócz tego, że obok szmat na wystających z niej kijaszkach wisiało nad nią kilka pęków suchych liści. Zastanawiała się tylko, czy wzięły się one z tego zielonego poletka, które widziała ze szczytu wydmy.

Starzec rozsunął kotarkę i wszedł do środka. Za nim, schylając się, by nie wyrżnąć głową w kamień,

weszli Fel i Gael. Gdy i Alyn zeszła kilka stopni, nagle starzec na powrót wychynął z ciemności i rozkazał jej gestem, żeby się zatrzymała.

– Ej, co jest?

Znachor zaparł się nogami na kamieniu i trzymał wyciągniętą w jej stronę rękę. Wyglądał na nieprzejednanego.

– Gael! – krzyknęła do czarnego wnętrza budyneczku. – Gael! Na Isztar, nie będę go przecież przestawiać!

Gdyby się uprzeć, starca zapewne dałoby się faktycznie chwycić w dłonie i jak dziecko odstawić obok. Alyn rozejrzała się, ale nikt nie zainteresował się jej krzykiem. Wydawało się wręcz, że okazjonalni przechodnie ostentacyjnie odwracali oczy od całej sytuacji.

– Co za durne miejsce... – mruknęła złodziejka pod nosem, zbierając się do tego, by staranować dziadka.

– Wszystko w porządku Alyn! – dobiegło z wnętrza po chwili. – To chyba po prostu dom chorób! Nic nam nie będzie!

Złodziejka żachnęła się, ale zrezygnowała z planu skorzystania z przemocy. Nagle przyszedł jej do głowy pomysł. – Patrz! Patrzże tutaj!

Ściągnęła rękawicę z prawego przedramienia, ukazując różową, zdeformowaną skórę, która natychmiast zaczęła ją swędzieć.

Znachor zmrużył brwi, przyjrzał się oparzeniu dokładnie, po czym na powrót się wyprostował. Zmienił ułożenie wyciągniętej dłoni i skierował ją wnętrzem do góry. Tak, jakby na coś czekał. Patrzył jej prosto w oczy.

– Tego chcesz? – wskazała na swoje szkła. – Chyba żartujesz. Nie. Nie oddam ci tego. Nie. Co ja zrobię bez tych szkieł w waszym zapyziałym mieście? Nie masz czegoś innego, czego ci brakuje? Służki Bakkusa przytargały dziś cały wóz wina, idź, może i dla ciebie starczy. Nie, no. Naprawdę chcesz właśnie tego? A niech cię... Gael! Fel! Przypilnujcie go, żeby mi moich szkieł nie poniszczył, bo sama go uduszę! Tymi, kurwa, dłońmi, rozumiesz, dziadku pomarszczony? Masz! Obyś mi ich wyleczył raz, dwa! Czekaj! Słyszałeś może coś o Zakarym? Zakarym Lewinie?! Wracaj! Ejże! A chuj ci w...!

Alyn wycofała się na ścieżkę i głęboko westchnęła. Nienawidziła nie widzieć. Zamknęła oczy i przetarła je mocno, aż zajaśniało jej pod powiekami. Bez szkieł nie znajdzie drogi powrotnej do tego miejsca. Nie było jak. Spojrzała w górę, skąd rzęsistą ulewą spadała na okolicę mordercza jasność.

Znów sama.

I wszystko nie tak. Na domiar złego choroba niebieskiej krwi, która – jak zauważyła – wzmagała się, gdy zbliżało się jej miesięczne krwawienie, tego dnia męczyła ją mocniej niż dotychczas. Była nieznośna. Zapłakałaby, gdyby nie chciało się jej wyć.

Nie jest źle, Alyn, nie jest źle, powiedziała do siebie w myślach. Woda, jedzenie, nocleg. Potem Zakary.

Była na miejscu. Była wreszcie tam, dokąd zmierzała od momentu, w którym postawiła nogę na pustyni. Ktoś musiał coś wiedzieć. Gdzieś musiał być tu jakiś warsztat. Jakaś manufaktura. Cokolwiek.

Złodziejka rozejrzała się po rozmytym krajobrazie. Określiła mniej więcej kierunek, w którym powinna była się udać, by dotrzeć z powrotem do jeziora, i powoli ruszyła alejką.

Nie widząc wyraźnie dalej niż na dwie odległości wyciągniętej ręki, skupiła się na innych zmysłach. Słuch podpowiedział jej, że znikąd nie dochodził gwar rozmów. Tak naprawdę nie była pewna, czy do tej pory usłyszała, jak chociażby brzmiał tutejszy dialekt. To była jedna rzecz. Inną był fakt, iż powietrze było w smaku dziwne. Suche i cierpkie. Pachniało zaś...

Strachem. W Al-Arak pachniało strachem.

To jednak była sprawa na później. Teraz była spragniona. Nie chciała ryzykować picia bezpośrednio z jeziora. Na pewno nie w dzień. Ale pamiętała o czymś, co zwróciło jej uwagę, jeszcze gdy oglądała oazę z góry. Akwen nie był zamknięty. Na przeciwnym końcu kotlinki jego okrąg był delikatnie zdeformowany. Było tam coś, co wyglądało na odpływ. Strumyk? Rzeczka? Ciekawe, czy to też było pilnowane. A jeżeli tak, to na jakiej długości.

*

Instynkt jej nie oszukał.

– Isztar, cokolwiek tam zbierasz, następnym razem przyniosę ci pod posążek dwa razy więcej, niż trzeba – powiedziała i uśmiechnęła się, ignorując szczypanie nagle rozciągniętych, popękanych warg.

Gdy dojrzała strumień, którego nurt połyskiwał w słońcu, zatarła ręce i podążyła wzrokiem za błyskami tańczącej wody. Bez szkieł zupełnie nie była w stanie oszacować, czy i ile ciekawskich oczu wciąż śledziło jej poczynania. Nie kryła się i z celu jej marszu musiało być jasne, że chciała się napić. Nikt do tej pory do niej nie podszedł. Nie zaoferował niczego. Więc postanowiła sobie to wziąć. Jeśli komuś się to nie podobało, mógł w każdej chwili ją dogonić i wyrazić o tym swoje zdanie. Wyglądało jednak na to, że tutejsi stronili od jakichkolwiek kontaktów. I bardzo dobrze.

Choć nie mogła przestać się oblizywać, słysząc cichy szum wody, poszła brzegiem w dół strumyka, by jak najbardziej oddalić się od zabudowań. Zamierzała rozewrzeć szczęki i wlać do nich tyle wody, żeby nie mogła się podnieść przez tydzień. Ale, na tyle, na ile to było możliwe, dyskretnie. W samotności. Chyba że Bon-Bon wpadł na ten sam pomysł.

Rzeczka biegła zakosami, wcinała się tu i tam w skałę i wypływała po drugiej stronie nawisu. Jej nurt ewidentnie prowadził do niewielkiej przełęczy pomiędzy pagórkami, które stanowiły granice kotlinki. Tam zapewne wpływała na patelnię pustyni i albo łączyła się gdzieś dalej z inną, większą rzeką, albo powoli, schnąc, umierała w swym wadi, nie dotarłszy nigdy nigdzie.

Spacer okazał się dużo dłuższy, niż się tego spodziewała, ale gdy już zasiała w sobie ziarno ciekawości, chciała się przekonać, dokąd płynie woda z tajemniczego jeziora w Al-Arak. Inne pytanie brzmiało: skąd w ogóle to jezioro się wzięło?

I gdy właśnie zastanawiała się nad możliwością istnienia gdzieś na jego dnie źródła, strumień nagle się skończył. Wpłynął w ciemny otwór w skale i nigdzie w okolicy nie było widać jego dalszego biegu. Tu niespodziewanie urywała się jej przygoda.

Tknięta rozczarowaniem złodziejka wzruszyła ramionami, podeszła najbliżej otworu skalnego, przez który ledwo mogłaby zresztą przecisnąć swoje ciało, kucnęła i nabrała wody w ręce. Uniosła dłonie, ale za-

trzymała je w połowie drogi do ust. Zamrugała i jeszcze raz odwróciła głowę w kierunku skały, w której widniał ciemny otwór. Zmrużyła oczy, żeby przyjrzeć się wyraźniej.

Tuż nad czernią dziury widniał wyciosany w skale symbol pięciu okręgów wpisanych symetrycznie w szósty.

*

Wysoko, na tle jaśniejącego błękitem nieba, niedostrzeżony przez nikogo cudowronek Ifiko zataczał kręgi. Widniejąca daleko w dole sylwetka dziewczyny stopniowo niknęła w skale.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

– Gael. Hej, Gael. Czujesz to?

– Czuję.

– Ale czujesz to?

– Tak, Fel, czuję.

– O w dupę.

Nauczyła się tego powiedzenia od Alyn i nie było lepszej okazji, by go użyć.

Znachor napoił ich gorącym wywarem, który pachniał jak najsłodszy saahijski lakisz, a smakował jak zlizywane z omszałej ściany zaschnięte ptasie gówno.

Przez jakiś czas Fel nie czuła nic oprócz ohydnego, gorzkiego posmaku, którego nie zdołała się pozbyć mimo wyplucia całej rezerwy śliny. Potem jednak poczuła, jak ból, który towarzyszył jej przez ostatnie dni, chowa się gdzieś w ciemności pokoju, w którym ułożono ją wraz Gaelem. Jak zamiast niego w jej ciało wsącza się płynna błogość. Czyste dobro. Wraz z bólem w niebyt odeszły jej wszelkie rozterki. Było jej dobrze. I Gaelowi, który również napił się cudownego specyfiku, najwyraźniej też.

Pamiętała, że chwilę po tym zasnęła. Na moment. Gdy otworzyła oczy, w pokoju wciąż panował głęboki półmrok i wciąż czuła się fantastycznie. Chciała zostać na tej leżance już na zawsze. Chciała spędzić na niej resztę swoich dni. Sznur, którym związano jej kończyny, znakomicie spełniał swą funkcję. Nie mogła się poruszyć, nawet gdyby chciała.

Było dobrze.

W zasadzie, gdyby się nad tym zastanowić, unieruchomienie jej wcale nie było temu dziadkowi w żaden sposób potrzebne. I tak nie zamierzała wstawać z miejsca. Po co miałaby wstawać z miejsca? Ale dobrze, że o tym pomyślał. Na wszelki wypadek. Gdyby nastąpiła taka ewentualność, że miałaby spaść i się potłuc. Tak więc nie musiała się niczego bać. Trochę chciało się jej siku. Ale to nic. Jeszcze trochę mogła wytrzymać.

Znachor pojawił się znowu w pokoju, więc naturalnie uśmiechnęła się do niego. On do niej chyba też. Może nie. Było ciemno. Stanął nad nią i przyjrzał się jej z bliska, po czym odszedł obok, do Gaela. Tam został dłużej. Chyba rozpiął mu koszulę. Albo rozdarł. Tak, ten dźwięk mógł znaczyć, że materiał poddał się jego sile.

– Co tam, dziadku? – zapytał Gael.

Dziadek, rzecz jasna, nie odpowiedział.

– Masz jeszcze tego specyfiku? Tego naparu masz jeszcze? Jak mi tym nożem będziesz tak robił po ciele, to mi się przyda później. Po co w ogóle ci ten nóż?

W zasadzie było Fel sympatycznie. Tylko ten nóż... Sprawił, że na powrót poczuła się nieswojo. Że

znów było coś nie tak. Czy on musiał wspominać o nożu?

– Czy musiałeś wspominać o nożu?! – warknęła, choć była pewna, że uszy powiedziały jej, że z ust wydobyło się coś zupełnie innego.

– Au! – dobyło się zza przygarbionego nad Gaelem dziadka.

Czując, że już po ptakach, że za chwilę, choćby nie wiadomo co, jej przedramię na nowo prześwidruje nieznośny ból, Fel nabrała powietrza i spróbowała poluzować więzy. Potrzebowała wrócić do rzeczywistości. Suchej, bolesnej, kurewskiej rzeczywistości.

Więc zaczęła śpiewać.

Dromadery trzy
Przez pustynię szły,
Jeden w dziurę wpadł
Głęboką.

Prawa dłoń wyskoczyła z więzów z trudem. Fel była pewna, że coś w jej środku strzeliło, ale jak na razie ból nie miał do niej wstępu. Były ważniejsze rzeczy.

Dromadery dwa
W sypki poszły piach,
Jeden się po garb
Zakopał.

Jej palce nie chciały współpracować, ale zmusiła je. Patrzyła na nie tak długo i z taką surowością, że w końcu, czerwone od otarć, rozwiązały więzy drugiej dłoni.

Więc dromader jeden
Pod błękitnym niebem
Smutny do oazy
Dotarł.

Uwolniła nogę. To powinno było wystarczyć, by na poważnie rozmówić się z dziadkiem. Nie, jeszcze coś.

Rozejrzała się wkoło za czymś, czym mogłaby zrobić znachorowi krzywdę. Skoro miał nóż, dobrze by było, gdyby i ona miała jakąś broń. Choćby improwizowaną.

Chwyciła naczynie wykonane z wydrążonej łupiny i zaśmiała się radośnie. Być może odrobinę zbyt głośno. Doprawdy lepszego narzędzia nie mogłaby znaleźć.

Wreszcie wzięła na cel głowę dziadka i, z całych sił próbując powstrzymać wzbierający w niej śmiech, ryknęła:

– Giń!

Po czym rzuciła się na niego z całą siłą, jaką była w stanie z siebie wykrzesać. Tuż przed samym aktem przyszło jej do głowy, że z jakiegoś powodu powinna była wcześniej policzyć do czterech. Ale było już na to za późno. Jej ciało wystrzeliło w stronę brodatego tubylca, a następnie gwałtownie zatrzymało się w połowie drogi, aż zadzwoniły jej zęby.

No tak, pomyślała, druga noga wciąż była przywiązana do leżanki.

Półleżąc na ziemi, z jedną nogą zadartą wysoko do góry, a drugą... w zasadzie nie wiadomo gdzie, na pewno poza zasięgiem jej wzroku, Fel zdała sobie sprawę, że dziadek podszedł i pochylił się nad nią. W dłoni faktycznie trzymał nóż. Był cienki i sierpowaty. Niestety, co bardzo ją rozczarowało, był mokry od krwi.

– Gael? – wyjąkała. Chyba wyraźnie. – Gael? Jesteś tam?

W odpowiedzi usłyszała nieartykułowane westchnienie. I jeszcze coś. Jakby szmer rozmowy.

O tym, że nie było to przesłyszenie, zaświadczyły dwa fakty. Po pierwsze stary ból przedramienia i nowy nadgarstka właśnie zaczynały się na dobre wybudzać z letargu, w który wprowadził je napar znachora. Po drugie zaś dziadek również zaczął nasłuchiwać.

Odgłosy zbliżały się błyskawicznie. Tak szybko, że gdy tylko brodaty starzec wyprostował się, nagle ktoś odsunął zasłonę, wpuszczając do środka zabójcze dla oczu ilości słonecznego światła, po czym na powrót je zablokował swoim ciałem.

– Tu jest! – wykrzyknął nowy nieznajomy czystym zakkańskim. – Ty, stary, ręce na widoku! Na widoku, powiedziałem!

Znachor nie uniósł rąk. Być może nigdy nie miał takiego zamiaru. Prawdopodobnie nie zrozumiał komendy. A wystarczyło, że intruz dojrzał w jego dłoni zakrwawione ostrze, by...

Szczęknęło i chrupnęło, a dziadek westchnął sucho, po czym gruchnął bezwładnie o ziemię tuż przy Fel. Z jego piersi wystawała zakończona lotką końcówka bełtu.

Kojarzyła te pióra.

To był... To był...

– Dobra robota, Filibert – usłyszała głos ojca.

*

Na początku był tylko szum. Szum i wilgotna mgiełka wisząca w powietrzu wokół miejsca, w którym wody strumienia rozbijały się o skałę. Spadek nie był wysoki, ale wystarczył, by po puszczeniu się krawędzi Alyn leciała w dół odrobinę dłużej, niż się spodziewała. Uderzenie paniki i nierówny grunt zaskoczyły ją na tyle, by nie zdołała utrzymać równowagi i po wylądowaniu przewróciła się na plecy.

Spędziła chwilę, chłodząc zmęczone i obolałe ciało o zimną skałę, po czym podniosła się i na tyle, na ile sięgnęła, pomasowała stłuczony bok i łopatkę. W ciemność pofrunęło kilka cichych kurew. Cichych, bo też złodziejce wydawało się, że szum wodospadu nie był jedynym dźwiękiem, który odbijał się echem w ciemnej kawernie. Było coś jeszcze. Coś równie nieokreślonego i bez konkretnego źródła. Zbyt jednak wątłego, by była w stanie to zidentyfikować.

Na szczęście jej oczy szybko przyzwyczaiły się do ciemności, więc po cieniach i refleksach światła

wpadającego przez szczelinę wysoko nad głową mogła przynajmniej zgrubnie oszacować wielkość jaskini. Ta zaś była wysoka i szeroka. Jej strop w kilku miejscach podparty był grubymi, nieregularnymi filarami zastygłej skały. Było ich coraz więcej, w miarę jak ciągnęła się wraz z nurtem potoku. Daleko w dół i w ciemność.

Alyn stanęła w rozkroku, twarzą ku szepczącej (tak, teraz miała już pewność, że ten drugi odgłos brzmiał jak szept... choć być może było to tylko osobliwe echo wodospadu) czeluści i wzięła się pod boki. W każdy inny dzień trzy razy zastanowiłaby się, czy warto ryzykować skręcenie kostki lub upadek i połamanie nóg na nierównych skałach w nieprzeniknionej ciemności takiej jamy. Ale to nie był zwyczajny dzień. To nie był zwyczajny symbol w skale. Ani przypadek.

Jeżeli gdziekolwiek w Al-Arak, Sercu Imoren, znajdował się Zakary, który na szyldzie swojego warsztatu w Saahii wygrawerował dokładnie taki sam piktogram, to właśnie tam. W tej przerażającej, zimnej, podziemnej gardzieli.

– Isztar – mruknęła złodziejka, przysunęła się na wyciągnięcie ręki do ściany i przełknęła ślinę – być może zwiedzanie pustynnych jaskiń to twoja mała pasja, ale tym razem chyba poczekaj na mnie na zewnątrz.

Ruszyła ostrożnie przed siebie, a biała szrama wejścia do jaskini zniknęła na dobre już za pierwszym filarem. Wątłe, odbite od ścian światło rozmazanym obrazem prowadziło ją jeszcze przez kilka chwil, coraz dalej, aż w końcu i ono zniknęło. Pozostawiło tylko czerń, cichy plusk przelewającej się nieopodal wody i coraz głośniejsze szepty.

To nie było echo. To były słowa. Niezrozumiałe, wypowiadane w obcym języku. Istniały w przestrzeni wokół niej i im głębiej schodziła, tym było ich więcej, tym były bliżej. Alyn czuła niepokój, ale nie strach. Wyobrażała sobie, że idzie wąskim tunelem ciągnącym się z sali tronowej pałacu w Ganiyi ku graniom Góry Gigantów. Że przez ściany szepcze do niej Maszyna.

W pewnym momencie stało się coś niewytłumaczalnego. Szmery słów, spośród których niektóre słyszała wypowiadane tuż przy uchu, niemal z towarzyszącym im ciepłem tchnienia, zyskały kształt. W pierwszym odruchu złodziejka przetarła oczy, ale okazało się, że nie miało znaczenia, czy jej powieki były otwarte, czy nie. Wokół niej z ciemności nagle wychynęły przydymione, rozchodzące się jak kręgi na wodzie obręcze światła. Każdy szept, każdy szmer pozostawiał po sobie smugę, która przez chwilę rozpraszała wokół ciemność. Jedno po drugim słowa rozbłyskały wokół niczym kolorowe ognie na noc książęcych urodzin nad saahijskim rynkiem. Ujawniały swą poświatą kostropate, błyszczące od wilgoci powierzchnie skalnych filarów i ostre krawędzie ścian próbujących opasać przestrzeń.

Przestrzeń, która wydawała się rozszerzać i rozszerzać głębiej w czerń, w nieskończoność.

A potem tuż obok Alyn usłyszała chichot, i dojrzała zarys czyjejś ręki, która natychmiast umknęła z powrotem w ciemność.

– Ejże! – krzyknęła nagle, a uderzenie zwielokrotnionego echa sprawiło, że niemal popuściła w zaskoczeniu w spodnie.

– Ejżeejżeejżeejżejżejżejżeżeżeże... – odpowiedział jej chór głosów, rozbłyskując zewsząd jak niebo pełne księżyców. – Ejżeejżeejżejżeżeżeże... Hi, hi, hi...

Tym razem zobaczyła je wreszcie wyraźnie. Już nie tylko ręce, ale całe ich sylwetki. Zwiewne i ulotne. Wyglądały zza filarów, pokazywały ją sobie nawzajem. Były nagie i miały ciemną, matową skórę.

Dziesięć, dwadzieścia jaskiniowych nimf szepczących w zapomnianym języku pustyni. Były chyba prawdziwe. Prawdopodobnie nie.

Prowadziły ją. Dokądś. Choć czuła ich oddech na swojej skórze, żadna z nich jej nie dotknęła. Równie dobrze mogły być iluzjami wywołanymi przez... Maszynę? Na pewno przez coś. Coś, co uwiło sobie gniazdo pod piaskiem pustyni.

Mimo wszystko Alyn była pewna, że były tam z nią. Były tam od nie wiadomo jak dawna.

Czekały na nią?

Serce złodziejki było bliskie wyskoczenia z jej piersi, ale szła tam, dokąd ją prowadziły. Młode, smukłe, piękne. Gdyby miały tatuaże, pomyślała w pewnej chwili, wyglądałyby zupełnie jak... zupełnie jak...

Nawet nie spostrzegła się, kiedy wprowadziły ją w wąski korytarz odchodzący od głównej kawerny. Kilka ciał przed nią, kilka za nią. Słyszała ciche tap-tap ich bosych stóp. Słyszała ich chichoty i szepty. Szły coraz szybciej. Korytarz wił się we wszystkie strony, rozgałęział, prowadził w dół i w górę. Nie było możliwości, by wróciła po własnych śladach. Wskoczyła do głębokiej studni bez dna i teraz nie było już powrotu. Musiała przeć do przodu. Zatrzymanie się oznaczało śmierć w labiryncie czerni. Więc szła, zostawiwszy za sobą poczucie czasu.

A kiedy była już zdyszana i zdezorientowana, kiedy myślała, że jeszcze krok i straci równowagę, nagle zewsząd rozbłysło światło.

Zakryła oczy dłońmi i poczuła, jak upada na kolana. Ryknęła z bólu, który rozsadził jej głowę i natychmiast złożył ją z powrotem. Nieznośna biel dostawała się pod jej powieki najmniejszymi otworami, przesiąkała przez palce.

Trwało to chwilę, w ciszy. Nie słyszała tych, które ją tu przywiodły, ale czuła ich obecność. Była pewna, że są w pobliżu. Dużo potężniej, więżąc w płucach oddech, uderzyła ją jednak świadomość czegoś innego.

To nie było światło dnia.

Nie wyszła z powrotem na zewnątrz. Wciąż była głęboko pod ziemią. Świadczył o tym zapach powietrza, jego wilgoć i chłód posadzki. Mimo to było tak jasno, jakby ktoś wyłożył całe pomieszczenie czystym darlenitem i zapalił w środku słońce.

Dała sobie chwilę na ochłonięcie i zebranie myśli. Spowolniła oddech. Suchość na języku przypomniała jej, że choć wyruszyła wzdłuż rzeczki, aby się napić, do tej pory nie zaczerpnęła nawet jednego łyku. Oddychając, czuła, jakby w jej gardle przesypywał się piasek. Ale to nic. Była tam, gdzie miała się znaleźć. Wierzyła w to. Wiedziała o tym.

Otworzyła oczy.

Pomieszczenie było szerokim, równym prostopadłościennym korytarzem o błyszczących białych ścianach. To zdecydowanie nie był darlenit. Światło padało z umieszczonych na suficie podłużnych szczelin wiodących albo na zewnątrz, albo do innego pokoju, w którym ktoś uwięził całe zimne, blade światło księżyca, które przez cały rok padało nocą na pustynię.

Albo była to iluzja.

Nie wydawały się nią ustawione w szpaler wzdłuż pomieszczenia kobiety, jedna przy drugiej. Oczy jej wcześniej nie myliły – wszystkie miały ciemną skórę. Teraz wreszcie, w pełnym świetle, wystarczyło jedno

spojrzenie, by uświadomiła sobie, że znała ich smukłe sylwetki. Mogła domyślić się wcześniej.

Po lewej stał rząd Laetitii i Dyan, po prawej Shoi i Adrii. Nagie, piękne, patrzyły na nią to z wyższością, to z podziwem, to z niedowierzaniem. Kilkanaście par sióstr, nimf, służek.

Ale mimo wszystko były inne niż kobiety, które poznała do tej pory. Po pierwsze na swej idealnej, matowej skórze nie miały tatuaży. Ani jednego. Po drugie ich włosy były białe jak szczyty Bhalu Devi. Na głowie, nad oczami, na przedramionach, na łonie. W połączeniu z jasnością ścian wyglądało, jakby ich ciała w tych miejscach były dziurawe, jakby można było przez nie spojrzeć na wylot.

Złodziejka podniosła się i spojrzała za siebie. Nigdzie nie było widać wejścia do tunelu, którym się tu dostała. Wszędzie tylko biel.

Znów usłyszała cichy tupot. W jej stronę szły dwie z dziewczyn. Miały nieodgadnione miny. Ta po lewej wzięła ją pod rękę. Alyn z zaskoczeniem przyjęła fakt, że jej umysł zarejestrował tylko jeden szczegół – służka nie pachniała niczym. Druga trzymała w dłoni jakiś drobny przedmiot. Gdy złodziejka zorientowała się, że na jego końcu błyszczy się ostrze, było już za późno. Lewa, jak nazwała ją w myślach, przytrzymała ją w potężnym uścisku, podczas gdy Prawa wbiła koniec urządzenia w jej ramię. Alyn syknęła z bólu, ale postanowiła się nie wyrywać. Kto wie, jeśli na Górze Gigantów, pod tym samym symbolem, nabawiła się choroby niebieskiej krwi, być może tutaj była w stanie w jakiś cudowny sposób się jej pozbyć. Już dawno przestała wątpić w to, że niemożliwe jest możliwe.

Gdy urządzenie Prawej nasyciło się, służka zabrała je z powrotem i ruszyła przodem. Zaprosiła gestem Alyn do pójścia jej śladem. Z Lewą u boku ruszyła więc między resztą kobiet przed siebie, w głąb korytarza.

*

Z trudem łapiąc oddech, Reynauld stanął na szczycie pagórka. Z westchnieniem zdjął bezwładne ciało ze swych ramion i ułożył je u swoich stóp. Zasłonił oczy przed ostrymi szpikulcami słonecznego pomarańczu i zlustrował rozciągającą się poniżej kotlinkę oazy. Ze swymi ustawionymi jedna obok drugiej, rzucającymi długie cienie kamiennymi kopułami wyglądała jak gniazdo mrówek. Pękate jaja były widoczne jak na dłoni. Gdzieś w środku kryły się wojowniczki. A pomiędzy nimi – matka.

Gdy odpoczął chwilę, klęknął przy nieprzytomnej dziewczynie i przyłożył ucho do jej ust. Ikke oddychała płytko i chrapliwie. Ale oddychała.

Zagarnął dłonią koszulę na jej piersi i uniósł do góry tak, że oficer dotykała ziemi tylko piętami. Drugą ręką otarł pot z czoła i ruszył przed siebie.

*

Biały korytarz zakończył się zwykłym prostokątnym przejściem, które prowadziło do podobnie rozświetlonego, ale szerszego, prostopadłościennego pomieszczenia. Tu nie było już tak czysto. Całą lewą ścianę zajmowała dziwaczna konstrukcja, która wyglądała jak narośl z kamieni, metalu i czarnych, wijących się między nimi węży. W nieregularnych odstępach, obok siebie, znajdowały się niewielkie podłużne wnęki wielkości

człowieka. Były puste, ale Alyn przeczuwała, że to dlatego, iż wszystkie służki, które je zamieszkiwały, pozostały z tyłu, w korytarzu.

Po prawej, w niewielkiej niecce niedaleko masywnych wrót, widniały rozmyte sylwetki Dyany i Adrii. Poznała je po tym, że miały czarne włosy. I były ubrane. Za nimi, ustawione w rządku pod ścianą, prężyły się beczki z piwnic Seine. U stóp obu kobiet klęczał zaś zakrwawiony mężczyzna. Chwilę zajęło złodziejce rozpoznanie w nim Bon-Bona.

– **Góra kłopotów z tym człowiekiem, nieprawdaż?** – rozległo się nagle ze ścian po zakkańsku głębokim basem, w którym dodatkowo pobrzmiewały nieprzyjemne, zgrzytliwe tony, jakby ktoś szorował szczerbatym ostrzem o kamienne schody. – **Rozglądasz się. Nie zobaczysz mnie.**

– Bakkus... – poruszyła ustami Alyn, próbując wymówić jedyne słowo, które miało w tej sytuacji jakikolwiek sens. Z jej płuc nie wydostało się nawet najdrobniejsze tchnienie.

– **Nie przywykłaś do takiej formy komunikacji. W ten sposób przemawialiśmy kiedyś do was. Do ludzi. Jako bogowie. Niech moimi ustami będzie jed...**

– ...na z moich służek.

Mimowolnie ściskająca ramię Lewej złodziejka natychmiast puściła ją i odskoczyła, gdy usłyszała tuż przy uchu, jak białowłosa dziewczyna płynnie kończy zdanie swoim głosem. Głosem Laetitii i Dyany. Echo poprzedniego błyskawicznie rozproszyło się między ścianami i ucichło.

– A więc dotarłaś i do mnie – powiedziała służka.

Brak jakiejkolwiek mimiki i szeroko otwarte oczy sprawiły, że Alyn cofnęła się jeszcze o krok. Bardzo potrzebowała, by ktoś... By Toryn powiedział jej, że to tylko wymyślna fatamorgana.

– S-skąd...?

– Czy to przypadek? Cała rzeczywistość składa się z przypadków. Miliardów miliardów przypadków, które rozgrywają się w jednej chwili. A więc jak to się stało? Która ścieżka skierowała cię na drogę, która doprowadziła cię tutaj? Jedna? Czy wszystkie? Nie wiesz, o czym mówię, prawda? Ale to nie jest ważne. Jesteś tu. I po raz pierwszy od dawna... cieszę się.

Czując, jak zaczyna się jej kręcić w głowie, Alyn jeszcze raz mocno chwyciła ramię służki. Szarpnęła i przyciągnęła ją do siebie. Nie mogła się teraz poddać. Poradziła sobie z Panem G. w jego domu, mogła poradzić sobie i z... bogiem. Drżąc, oparła czoło o czoło dziewczyny i spojrzała prosto w ciemnobrązowe oczy.

– Kaim – przecisnęła przez gardło pierwsze słowo. Kolejne przyszły jej łatwiej. – Byłeś tam. To ty... To ty opętałeś Geremy'ego.

– Prawda i fałsz. Byłem tam, bo jestem wszędzie, gdzie wciąż jeszcze istnieje interfejs. Byłem i wciąż mogę być na wyspie, którą nazywacie Kaim. Ale nikogo nie opętałem. Nie mam takich możliwości.

– Zakary... – nagle przypomniała sobie złodziejka. – Po niego tu przybyłam. Gdzie on jest?!

– **Zakary?!** – rozległo się ponownie zewsząd basem. – **Znajdując się w obliczu boga, mogąc zapytać o wszystko, przeszłość i przyszłość, o magię i tajemnice kosmosu, mogąc błagać o przywrócenie ci zdrowia, pytasz o mar...**

– ...nego człowieka, i to jeszcze znajdującego się u schyłku swego życia? Mój raport miał cię za kogoś o dużo większym... sercu... do nauki. Do łaknienia wiedzy o świecie.

W ostatnich słowach dziewczyny dało się usłyszeć cień rozczarowania.

– Spróbuj jeszcze raz, Alyn. Zadaj mi jedno pytanie, które chciałabyś zadać bogu. Ofiarowuję ci je za darmo. Poznaj tajemnicę, którą zawsze chciałaś rozwiązać.

Złodziejka puściła służkę, nie spuszczając wzroku z jej oczu. Przez chwilę jedyne, co słyszała, to swój własny oddech.

A potem zmrużyła oczy i zadała pytanie.

– Bakkusie, czy umiesz kłamać?

Twarz białowłosej drgnęła.

– Tak – odpowiedziała nie od razu.

– W takim razie nie mamy po co dłużej rozmawiać. Jeżeli chcesz czegoś ode mnie, zaprowadź mnie do Zakarego... I daj mi wody.

Przez chwilę kobiety patrzyły na siebie. Nagle spośród półkola pozostałych służek, które w międzyczasie bezszelestnie ustawiły się wokół Alyn, odłączyły się kolejne dwie i, milcząc, z niewymuszoną, zwierzęcą gracją, poszły na przeciwległy koniec pomieszczenia. Zniknęły w miejscu, które dla Alyn było zbyt niewyraźne, by mogła rozpoznać, czy były to drzwi, czy schody, czy jeszcze co innego.

– Tak, Alyn, chcę od ciebie czegoś – powiedziała wreszcie Lewa, rozbijając głuchą ciszę. – Moje służki przed chwilą dostarczyły mi próbkę twojej krwi. Porównałem ją z wzorcem. Indygo trzy do pięć. Pełna synteza. Jest... doskonała.

Złodziejka była bliska wykrzyczenia, co sądzi o „doskonałości" swej skażonej po Kaim krwi, ale ugryzła się w język. Zastanowiła się, co ten głos miał na myśli, mówiąc o wzorcu.

– Erytrocyty w normie – kontynuowała nieobecna twarz dziewczyny. – Biomimery także w normie. Tak, wywołują łagodne zapalenie ogólnoustrojowe, to niepożądany skutek uboczny. Inhibitowany iniekcyjnie. To, inaczej mówiąc, dobra wiadomość.

Parodia uśmiechu, która wykwitła na ustach służki, gdy skończyła bełkotać, przeraziła Alyn bardziej niż cokolwiek innego przez ostatnie tygodnie.

– Uleczę twoją „chorobę", Alyn – powiedziała zimno. – A ty zostaniesz moim posłańcem. Moją wieszczką.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Zdradziłam ją. Zdradziłam ich wszystkich.

Fel szła dwa kroki za swym ojcem, trzy kroki przed Filibertem. Podziemny korytarz, który odkryli w jednym z domków przy jeziorze, prowadził ostro w dół. Wokół panowała przytłaczająca ciemność.

Idąc, wyłamywała sobie palce ze stawów, wyginała je aż do bólu. Nie miała przy sobie swoich kamieni. Wszystko wydarzyło się szybko. A przynajmniej tak to brzmiało w suchej relacji, jedynych słowach, które wycisnęła z ust swojego ojca. Najpierw nad oazę przyleciała Ifiko. Nie zaskrzeczała nawet raz, by dać o sobie znać. Krążyła wysoko nad ziemią, zlewała się z niebem. Cudowronek obserwował z oddali swoją panią, gdy wchodziła do „gabinetu" podstarzałego szaleńca, dzięki czemu zaprowadził ludzi jej ojca wprost na miejsce.

Powinna być wdzięczna ptakowi. Uratował jej przecież życie. A mimo to czuła się zdradzona na równi z osobami, których zdradziła ona sama, gdy posłała na jego pięknych skrzydłach list do Saahii.

Teraz wszystko stawało się jasne. To ojciec podarował jej Ifiko. To on, choć słowami i gestami Madżida, nauczył ją tego, jak poradzić sobie, żyjąc na ulicy. On wreszcie prośbą Kai wysłał ją na wielką przygodę na pustyni. Przygodę, na której była więziona i torturowana. Na której zginęli ludzie, którzy zdążyli stać się jej bliscy. Na której sama niemal straciła życie.

I teraz wreszcie przybył. Nie po to, by ją uratować. To był... Fel zadrżała wewnątrz na myśl o słowie, które przychodziło jej do głowy.

To był przypadek. Uratował ją przy okazji. Nie po to fatygował się taki kawał ze stolicy.

– Stromizna maleje, korytarz się wyrównuje – usłyszała jego głos tuż przed sobą. – Jesteśmy już niedaleko.

W ciemnej oddali za plecami, przy wejściu, stygły ciała dwóch mężczyzn i kobiety, którzy je zagrodzili. Choć starała się oddychać płytko, wciąż czuła w powietrzu ich krew.

Nigdzie nie było Madżida.

Tęskniła za Zainem i Najilą.

Skręcony nadgarstek bolał jak diabli.

Chciało się jej płakać.

I była prawie pewna, że w szurającym pogłosie kroków całej ekipy ojca, gdzieś pomiędzy szepczącymi między sobą echami, usłyszała echo czyjegoś krzyku.

*

Alyn była pewna, że nigdy wcześniej nikt nie odezwał się do boga takimi słowami. A przynajmniej nie prosto w twarz. Przesadziła.

– „Chyba mnie posrało?” – zapytała Lewa z należną, ale wreszcie prawdziwą, ludzką dozą niedowierzania.

Wzrok służek, które do tej pory taksowały rudowłosą intruzkę co najwyżej z rozbawieniem, momentalnie stał się bezduszny, surowy.

– Chyba czas wprowadzić do tej audiencji odrobinę należnego protokołu – powiedziała służka i błyskawicznie chwyciła Alyn za szyję.

Jej dłoń, wydawało się, zapłonęła przeszywającym żarem. Potworny ból błyskawicznie rozszedł się po całym ciele złodziejki, aż do koniuszków palców stóp. To było jak najgorszy atak choroby pomnożony przez tysiąc. Pragnęła wrzasnąć, ale nie mogła nawet nabrać oddechu. Jej sparaliżowane ciało opadło na kolana, a głowa przekrzywiła się na bok. Była w pełni świadoma, ale mogła jedynie czuć i obserwować to, co się z nią dzieje.

Trwało to całe wieki, aż Lewa odjęła rękę, a ból zwinął się z powrotem w kulkę wielkości kasztana na wysokości jej gardła. Następnie lekko wyfrunął z jej ciała wraz z pierwszym kaszlnięciem.

Czując wszechogarniającą słabość, Alyn spróbowała dźwignąć się z kolan, ale służka położyła dłoń na jej włosach i przytrzymała siłą na ziemi. Następnie kucnęła tuż obok i zajrzała złodziejce głęboko w załzawione oczy.

– Jesteś dla mnie ważna, Alyn z Rowan – powiedziała miękko – ale nawet na moment niech ci nie przyjdzie do głowy, że jesteś mi niezbędna. W przeciwieństwie do ciebie, do was wszystkich, mam czas. Któregoś dnia ci, którzy zostawili mnie tu, powrócą i zagarną ten świat z powrotem dla siebie. Na nic się zdadzą wasze machiny bojowe, drewniane okręty, wasza stal. Wrócą i wezmą to, co będą chcieli. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze mogę znaleźć kogoś innego, kto zrobi dla mnie to, co zrobić należy, rozumiesz?

Alyn przytaknęła. Głównie po to, by dać sobie więcej czasu na dojście do siebie. Służka mówiła dalej, patrząc gdzieś w dal.

– To, co poczułaś przed chwilą... Zaznałaś tylko ułamka... drobnej części tego, co jest w stanie wytrzymać twoje ciało. Popatrz na swojego kompana.

Alyn podążyła wzrokiem za wskazaniem służki w stronę Bon-Bona, ale nie była w stanie dostrzec szczegółów oprócz tego, że najemnik klęczał i kiwał się bez słowa.

– On cierpiał dziesięciokrotnie dłużej, bo i jego przewinienie było dziesięciokrotnie gorsze od twojego. A jednak wciąż gdzieś tam w środku jest. Podstawowe procesy fizjologiczne, żywe strzępy świadomości. Wy powiedzielibyście: dusza. On próbował wedrzeć się do siedziby boga siłą, ty mimo wszystko zostałaś tu zaproszona. Wolałbym zatem przekonywać cię racjonalnymi argumentami, inteligentną dyskusją, bo przemoc zawsze rodzi więcej niepożądanych skutków ubocznych. Zgodzisz się?

Zadając ostatnie pytanie, białowłosa ujęła prawą dłoń Alyn i przesunęła palcami po skrywającej jej poparzone przedramię rękawiczce.

Alyn przytaknęła ponownie. Bardziej z przymusu niż faktycznej zgody.

– Szukam kogoś, kto na powrót tchnąłby w was, krew tego świata, zapomnianą wiedzę. Bo potrzebujecie jej i nawet nie wiecie jak bardzo. Techniki, nauki, idei, przemysłu, elektryczności, astrofizyki, relatywistyki, atomu. Medycyny. Nowej ery. Pozwól, że cię o coś zapytam. Jak ci się żyje, nie widząc wyraźnie świata poza

zasięgiem twoich rąk? Wyobraź sobie warsztaty, w których można wykonać szkła tak małe i cienkie, że zmieszczą się na gałce ocznej. Wyobraź sobie rzemieślników, którzy przywracają zdolność widzenia promieniem okiełznanego światła.

Bajki i kłamstwa, pomyślała Alyn. Choć bez większego przekonania.

– Aby to się ziściło, potrzebuję kogoś drugiego takiego jak ja. Drugiej Samodzielnej Jednostki. Drugiego... boga. A jako że nie mogę nawiązać odpowiedniego połączenia swoim sposobem, potrzebuję, by ktoś zrobił to za mnie. Dostaniesz ode mnie swoje własne służki. Wybierzesz je spośród tych, które są tu, wokół nas. One pomogą i obronią cię.

– Po co ci jestem w takim razie? Masz je.

– Żadna z nich nigdy nie dostanie się do innej Samodzielnej Jednostki. Jeżeli tylko spróbują, zostaną unicestwione.

– A co, jeśli jednak się nie zgodzę? Co, jeśli wolałabym umrzeć?

– Nie widzę logicznego powodu, dla którego miałabyś się nie zgodzić. Tam, dokąd się udasz, czekają już na ciebie twoi bliscy. Twój brat też nosi w sobie tę krew, ale jego ciało zbyt długo było poddane jej wpływowi. Chłód łagodzi objawy, ale on powoli umiera i jeżeli również nie otrzyma iniekcji, niedługo nie będzie dla niego ratunku. Oferuję ci prostą drogę do jego zdrowia.

Toryn i Kai... Złodziejka przełknęła ślinę. Czyżby Bakkus mówił o zapiskach, o których Kai wspominała w liście szyfrem? Czyżby chodziło o...

– Pahaad. Wedle dostępnych mi informacji jest to kraina, której dziewięćdziesiąt procent powierzchni stanowi wysokie pasmo górskie zwane Bhalu Devi, wyrosłe w miejscu zderzenia płyt tektonicznych pięćdziesiąt milionów lat temu. Niestety dysponuję jedynie przybliżoną lokalizacją interesującego mnie centrum, ale jestem przekonany, że ktoś taki jak ty dotrze na miejsce bez problemu.

Służka podniosła się i wykonała kilka kroków w stronę Dyany i Adrii. Alyn powiodła wzrokiem za jej umięśnionym ciałem, ciasno obszytym pozbawioną niedoskonałości skórą. Jakby czytając jej w myślach, białowłosa zatrzymała się i obróciła głowę.

– Skoro zapytałaś, czy potrafię kłamać, wnioskuję, że cenisz szczerość ponad wiele innych powierzchownych ludzkich cech. Zatem powiem ci jeszcze jedno. Dzięki próbce twojej krwi będę w stanie powołać na świat służki, które przy doborze odpowiednich parametrów hodowli pewnego dnia będą gotowe zrobić to, czego oczekuję od ciebie. Beczki z alkoholem, które pozyskałem z dalekiego Imoren, są do tego nieodzowne. To chyba ironia losu, nieprawdaż? Przedsięwzięcie to jednak będzie wymagało czasu i energii – zasobów, które wolałbym spożytkować wydajniej. Wolę zatem wejść w układ z tobą. Zrób to dla mnie, a ty i twoi bliscy do końca życia będziecie żyli w zdrowiu, spokoju od biedy i przemocy. Tam, gdzie tego zapragniecie.

Służka uniosła dłoń i wykonała nieokreślony gest. Przez chwilę nic się nie działo, aż wreszcie Alyn kątem oka zauważyła ruch na przeciwległym końcu pomieszczenia. To wracały te, które chwilę temu odłączyły się od półkola. Jedna z nich niosła w dłoni przezroczyste naczynie. Obok drugiej chwiejnym krokiem szedł okrągły mężczyzna.

Złodziejka zerwała się na równe nogi.

– Na Isztar, Zakary! – krzyknęła.

W jej głowie myśli kłębiły się z siłą sztormowych szkwałów. Ruszyła ku znajomej, pękatej sylwetce rzemieślnika z Saahii, ale służka ubiegła ją, stając w rozkroku pomiędzy nimi.

– Oto Zakary, którego chciałaś – powiedziała i nieznacznie usunęła się z drogi. – I woda. Bez dotykania się, proszę. A od ciebie, Alyn, oczekuję decyzji.

– Niech mnie żmije pokąsają, niech mnie, Myszo – powiedział stary rzemieślnik i pokręcił głową, gdy zatrzymali się w odległości rozpostartych rąk od siebie. – A jednak mnie znalazłaś. Bardzo mi przykro, że ciebie też pojmały te jędze. Miałem plan, żeby się uwolnić i poczekać na ciebie... Czy na kogokolwiek na górze, w oazie. Ale... Hm. Sama widzisz. Głowa wciąż rześka, ale kości kruche, kości kruche.

Dopiero teraz Alyn zauważyła, że jedną rękę Zakary miał podwieszoną na temblaku. Była sina i napuchnięta.

– Co one ci zrobiły?!

– To akurat moja własna sprawka – odpowiedział łagodnie. – Głupi starzec przeliczył możliwości swego ciała. Tak. Ale ty, dziecko, wyglądasz jak pustynna zmora. Jak zmora, mówię! Wypij natychmiast tę wodę, a wy przynieścież jej więcej! Więcej, kobiety!

Żadna ze służek nie poruszyła się. Dopiero po chwili ta, która przyniosła wodę, odwróciła się i ponownie zniknęła w przeciwległym końcu sali.

– Zakary przywołał cię, wykorzystując telekomunikacyjną funkcję oigyetos, wy nazywacie je żarokamieniami – powiedziała Lewa z cieniem uśmiechu. – Myślał, że działał w tajemnicy. Dzięki temu to, czego obaj chcieliśmy, dziś się ziściło. Alyn, decyzja.

– Jeżeli się zgodzę... co się stanie z Zakarym?

Służka podeszła do rzemieślnika i pogłaskała go zalotnie po brodzie, która – jak zauważyła złodziejka – od ostatniego ich spotkania zdążyła już całkowicie posiwieć.

– Saahii byłoby zbyt niebezpiecznym miejscem na powrót kogoś, kto spotkał mnie twarzą w twarz. Ale świat jest wielki, na pewno znajdzie się odpowiednie miejsce. Maru Atalla? Taidan? Sebhel? Rowan? Kaim?

Kłamstwo, Alyn, pomyślała złodziejka. Pamiętaj o tym, że on kłamie.

– Nie ma mowy, Bakkusie – zaparł się Zakary i odtrącił dłoń białowłosej. – W Saahii jest całe moje życie. Tak jak twoje tutaj. Tyle że ty nie byłbyś zdolny porzucić go dla niczego ani nikogo, ani nikogo. Jeżeli Mysza pójdzie do Pahaadu, co jej zresztą odradzam, bo to twoja, nie jej sprawa, to pójdę z nią. Z nią pójdę i chuj ci, za przeproszeniem, do tego.

Przez moment w sali po raz kolejny zaległa przenikliwa cisza. Rozbijało ją jedynie odległe echo czyjejś cichej rozmowy. Nagle w niezwykle niepokojący sposób wszystkie służki jednocześnie obróciły się w stronę wrót nieopodal Dyany i Adrii. Ugięły nogi i tułowia, przybrały pozy podobne nastroszonym pustynnym kotom.

A potem skrzydła z hukiem wleciały do środka.

*

W pierwszej chwili jedyne, co Fel była w stanie dojrzeć, to biała, rozmyta plama gdzieś na skraju wirującego świata. Wybuch pchnął wszystkich do tyłu i pozostawił po sobie gwiżdżącą w uszach duchotę i kłęby suchego dymu. Wystarczyło jednak jedno warknięcie jej ojca, by cały oddział jego najemnych saahijskich

zbirów podniósł się na nogi i z klekotem naciągnął zamki swych flint. Zawtórował mu syk obnażanych ostrzy. Kluczowe momenty zaskoczenia odpływały z każdym płytkim oddechem.

Fel uchyliła się przed czyjąś nogą, która o mało co odepchnęłaby kolanem jej głowę w kierunku ściany, i zamrugała, by oczyścić z pyłu piekące oczy. Gdy otarła łzy, wbiła wzrok w białą dziurę po wrotach, w głębi której dojrzała sylwetki kilku ciemnoskórych kobiet. Wszystkie miały białe włosy i były nagie. Pośród nich wyróżniała się beczułkowata sylwetka mężczyzny, którego od razu poznała z opowieści Alyn i własnej pamięci z Saahii. Naprzeciw Zakarego, wpatrzona szeroko otwartymi oczami w dziurę po drzwiach, stała Alyn.

W tym momencie padł pierwszy ogłuszający strzał. Kolejne zarejestrowała już tylko jako lawinę błysków.

*

Służka, która użyczała głosu Bakkusowi, upadła na plecy i kaszlnęła krwią. Przez chwilę jedyna myśl w głowie Alyn krążyła wokół tego, jakim obrazoburstwem jest wyrąbywać komuś postrzepioną dziurę w tak nieskazitelnej skórze. Kątem oka zobaczyła, jak w oddali, tam, gdzie świat już dawno stracił swą ostrość, zasłonięte kłębem dymu Dyana i Adria rozjarzyły się na biało plątaninami swych tatuaży.

Zaterkotały kolejne błyski i jeszcze jedna białowłosa padła na kolana. Alyn poczuła szarpnięcie i niemal straciła równowagę po tym, jak Zakary najpierw pociągnął ją w swoją stronę, a następnie pchnął za siebie.

– *Ulurulim bahaarr*! – zawyła Dyana, a złodziejka na ręce i policzku poczuła podmuch gorąca.

Odwróciła się na moment tylko, by zobaczyć, jak żółty jęzor płomienia pochłania kilku mężczyzn, którzy wbiegli do środka.

– Biegnij, Mysza! – zawołał Zakary. – Biegnij... uch... przed siebie! Do korytarza!

Gdzieś z tyłu ponad wrzaski zataczających się płonących mężczyzn wybiły się wyszczekiwane w zakkańskim komendy. Kolejny ognisty podmuch rozgrzał szyję pochylonej w biegu złodziejki.

– Hoyt, Rahim na lewo, Gordi, Filibert na prawo! Do przodu! Już!

Alyn mało nie zatrzymała się w pół kroku. Czy on krzyknął „Filibert”? Imię, które miała zapamiętać do końca życia.

To byli ludzie Hanso!

Ale czy on sam był z nimi? Jego pyszałkowaty bas mogłaby rozpoznać obudzona w środku nocy. Kto w takim razie wydawał rozkazy?!

Nawet nie spostrzegła, gdy minęła framugę wąskich drzwi, które jakby ze strachu przed uderzeniem schowały się w ścianie, w momencie gdy znalazła się tuż przed nimi. Za nimi ciągnął się wąski, dużo ciemniejszy korytarz. Jego szare ściany tu i ówdzie oświetlone były czerwienią niewidocznych kaganków. Zmęczone wszechobecną bielą oczy złodziejki z ulgą przywitały panujący w nim półmrok. Ale było jeszcze coś. Jakiś nieokreślony szczegół, który wypadł jej z pamięci, ale który przypominał jej jaskinię na Górze Gigantów. Jaskinię z Maszyną.

Zakary wbiegł za nią do korytarza, sapiąc, po czym drzwi na powrót zasklepiły za nimi dziurę w ścianie.

– Uciekaj stąd, Myszo. Tam, na wprost, na końcu tego korytarza są grube wrota. Musimy tylko znaleźć sposób, by je otworzyć...

– Poczekaj! Czy to prawda, co mówił Bakkus? Czy Toryn umiera?! Potrzebuję tego specyfiku. Tej... iniekcji!

– Możemy nie mieć na to czasu, Mysz... Uch!

Zakary zgiął się wpół i rozkaszlał. Na widok jego pleców oczy Alyn rozszerzyły się.

– Isztar! Jesteś ranny! Trafili cię?

– Bez obaw, Myszo, nie tak łatwo mnie położyć, mnie położyć... – odrzekł rzemieślnik, po czym oparł się bokiem o ścianę i usiadł z westchnieniem. – P-potrzebuję chwili.

Złodziejka chciała krzyknąć, ale z jej ściśniętego gardła wydobyło się jedynie kilka nieartykułowanych sylab.

– No już, już – Zakary machnął dłonią, jakby odpędzał natrętnego owada. – Jeszcze nie umieram. Dobrze cię widzieć, dziecino. Żebyś wiedziała, ile rzeczy się tu dowiedziałem. Uch, ech. Bakkus to... Nie wiem, jak go nazwać. Ma tutaj całe laboratorium od niestworzonych rzeczy. Obsługują je jego służki. Tam będzie pewnie twoje, uch, antidotum. Iniekcja.

– Pokaż mi. Pokaż mi gdzie!

Zakary pokręcił głową.

– Daj mi rękę. Pomóż mi wstać. Ja po nie pójdę. A ty... Jeżeli chcesz odnaleźć swojego brata...

– Bakkus mówił o Pahaadzie. O górach.

– Musiałabyś go sama zapytać. Ja nie wiedziałbym, jak to zrobić, ale ty... ty...

– Gdzie jest Bakkus? – zapytała, a oczy zwęziły się w takim gniewie, że Zakary aż się wzdrygnął. Zaraz jednak wyprostował się i wytrzymał jej spojrzenie.

– Zanim ci powiem, musisz wiedzieć jedno... To wszystko wokół to pozostałości. Ruiny po tych, którzy byli tu wcześniej. Dawno, dawno temu. Oni wszyscy odeszli, ale, Myszo, posłuchaj mnie. Odeszli albo zginęli, rozumiesz? Nie zdołałem się dowiedzieć, jak było naprawdę. W tych podziemnych salach kryją się całe tomy ich starożytnej wiedzy. Zostawili ją. Ukrytą. Bakkus chce przekazać ludziom to, co tamci wiedzieli, ale chce to zrobić po swojemu. Nie pozwolił mi się dowiedzieć wiele, bo byłem mu potrzebny do tego, żeby cię tu zwabić, ale z tego, co widziałem, z tego, co... co widziałem, to w tym wszystkim kryje się przestroga. To piękna, wspaniała materia, wspaniała. Ale równie niebezpieczna... Rozumiesz?

Alyn przytknęła. Być może rzeczywiście rozumiała. A może to, czego doświadczyła tutaj i na Kaim, nigdy nie miało być zrozumiane. W tej chwili jednak myślała o ważniejszych rzeczach.

– Skręć tu zaraz w lewo, a potem w ostatnie drzwi na prawo – wysapał Zakary i uścisnął jej dłoń. Mocno, choć czule. – Idźże już!

Ruszyła biegiem.

*

Kolejny podmuch ze świstem objął jednego z ludzi jej ojca. Mężczyzna natychmiast padł i zaczął tarzać się po ziemi. Płomień był słaby, ledwo zajął mu ubranie. Ale wypalił mu do zera brwi.

Kaszląc, Fel wbiegła do sali pod osłoną chmury dymu i rozejrzała się. Podłogę, jeszcze przed chwilą

nieskazitelnie białą, wyściełały leżące w rozmazanych kałużach czerwieni ciała podziurawionych kobiet i zwęglonych mężczyzn. Śmierdziało palonym mięsem i zepsutym winem.

Po lewej, czołgając się w bajorze wina rozlanego z rozbitej beczki, próbowała podnieść się Adria. Dyana leżała obok martwa. W miejscu oka miała czarną, wilgotną plamę. Nad nimi w rozkroku stał jej ojciec. W dłoni trzymał nabitą flintę wycelowaną w czoło rannej służki.

Jej ojciec.

Trząsł połową stolicy Zakkanu, wtajemniczeni powiedzieliby, że miał w garści również Hanso – tego, z którym dzielił się wpływami w mieście, udając, że dobrze mu na drugim miejscu, w cieniu swego wielkiego konkurenta. Znakomicie naśladował jego głos – zadbały o to lata, które, tak jak jego córka, spędził na ulicach Kukh, zarabiając jako aktor i kuglarz. A dziś? Mistrz dyplomacji i forteli. Prawdziwa pierwsza głowa Saahii, przed którą miał odpowiadać nawet Książęcy Pałac.

– Jeśli Zakkan nie klęka jeszcze w tej chwili – powiedział, gdy widzieli się po raz ostatni przed jej wyprawą na pustynię ku Świątyni Beduinów – to na pewno będzie tak po tym, jak wydam wojnę bogu i ją wygram.

Kirin Silvestri.

Był czas, gdy marzyła o tym, by nosić jego nazwisko. Jak pięknie to brzmiało: Felicia Silvestri. Nieziemsko i górnolotnie. Próżnie.

Oczywiście nie było o tym mowy. Była mu potrzebna do czegoś innego. Na ulicy, w sercu miasta. Lojalna. Najedzona i chroniona. Edukowana przez prywatnych nauczycieli i Madżida. Pierwsi uczyli ją, jak odnaleźć się w całym tym dziwnym świecie. Drugi – jak w nim przeżyć.

Nikt nie powiedział jej, jak w tym wszystkim zachować czystość sumienia. Jak nie ulegać słowom niesionym nocą przez mrożące krew w żyłach szepty. Przenikającym ją na wskroś, przerażającym do żywego.

Nikt nie pomógł jej zamknąć się przed nimi.

Musiała więc robić to, co jej mówiły. Musiała cieszyć się z każdej kropli krwi z gardła tamtego bandyty, z każdego wyciskającego łzy klapsa Reynaulda. Z pustego wzroku Bonenffanta, który jakimś cudem wciąż żył, klęcząc obok i chwiejąc się na ziemi bez krzty świadomości tego, co przed chwilą rozegrało się wokół niego.

– Silvestri... – szepnęła Fel, po czym kucnęła przy dymiących jeszcze zwłokach Filiberta i podniosła jego nabitą broń.

*

– Maszyna – szepnęła Alyn, gdy wkroczyła do pokoju.

Na jej widok przełknęła ślinę. Wewnątrz było chłodniej niż gdziekolwiek indziej, ale to nie dlatego jej ciało natychmiast pokryło się gęsią skórką. Przeciwległą do drzwi ścianę stanowiła ta sama plątanina błękitnych pnączy, ten sam dziwny, drżący i pomrukujący organizm, w jakim odnalazła Księcia Geremy'ego na Górze Gigantów. Tym razem jednak, w obłym wyżłobieniu w kształcie ludzkiej sylwetki, nie było nikogo – pionowa „leżanka" zachęcająco błyszczała się bladymi refleksami okolicznej maszynerii. To była pierwsza

różnica względem tego, co widziała na Kaim. Drugą było to, że zamiast skrytego w cieniu Toryna w pomieszczeniu znalazła pojedynczą służkę. Tak jak poprzednie miała białe włosy i ciemną skórę, ale w przeciwieństwie do swych nieskazitelnych sióstr wyglądała jak brzydactwo. Odrzutek. Zamiast bez wstydu prężyć piersi z wysoko zadartą głową, kuliła się w kącie wyraźnie przestraszona. A to dlatego, jak zauważyła Alyn, że jakkolwiek próbowałaby się zasłonić, nie była w stanie ukryć nieregularnych jasnych plam na ciele, wykrzywionych palców dłoni czy nieforemnych ust. Nie wydawała z siebie dźwięku. Próbowała ze wszystkich sił nie istnieć.

Złodziejka zostawiła dziewczynę w spokoju i podeszła do Maszyny. Przyjrzała się bliżej wyżłobionej sylwetce. Była czysta. Bez najmniejszego zacieku, bez rysy. Nikt nikogo tu nie więził. Nikt nie sprawował nad nikim kontroli. Nikt nie postradał zmysłów i nie popuścił w spodnie.

Był tylko Bakkus. Gdzieś w środku. Niewidzialny.

A wraz z nim sposób na to, by nie tylko odnaleźć Toryna, ale i oddać mu to, co zabrała mu Góra.

Moszcząc się w zagłębieniu, Alyn wyobrażała sobie swój piękny sen. Sen o wolności, o euforii, podniebnej podróży nad Kaim. Już raz to zrobiła. Jej ciało wiedziało, co robić. Jej umysł...

– Jestem gotowa – skłamała na głos. – Jestem gotowa. Cała.

A potem chwyciła luźne pnącze zakończone igłą i wbiła je w zgięcie łokcia, tuż nad swym poparzonym przedramieniem.

Niemal natychmiast usłyszała jego głos. Był nieprzyjemny i wszechobecny, brzmiał jak nieustannie narastający chrzęst setek kolonii termitów.

– **Witaj, Alyn. Witaj w moim prawdziwym domu.**

Jak na dany znak pnącze zapłonęło jaskrawą bielą, a przez igłę w jej ciało wlał się płynny ogień. Zaskoczenie natychmiast oddało pola potwornemu bólowi. Dziewczyna wrzasnęła, ale nagły spazm i pustka w płucach urwały jej krzyk w połowie. Panicznie próbując zaczerpnąć oddechu, sięgnęła lewą dłonią w stronę rozżarzonego węża. Chciała go wyrwać, ale nie mogła się na to zdobyć. Był zbyt gorący. Zagryzła wargę do krwi, a wciąż jedynym, co czuła, był przytłaczający ból, który promieniował na całą prawą stronę jej ciała. Słyszała, jak wyje.

Spojrzała na rękę. Wystające zza rękawicy różowe blizny wiły się, bulgotały i pękały od gorąca. Wyciągały swe macki coraz wyżej, w górę ramienia. Nie widziała, jak daleko sięgały. Agonia, od której drżały jej stopy i paliło ją gardło, sprawiała, że na środku jej pola widzenia rósł placek różowej, mglistej jasności. I z każdą przeciągającą się chwilą ślepła coraz bardziej.

– T-to tylko iluzja – zdobyła się na jęknięcie przez zaciśnięte zęby. Czuła na nich słony smak krwi. – To nie jest prawda. To nie jest prawda...

– **Tutaj prawdą jest wszystko, czego zapragnę.**

Znów jego głos. Metaliczny, wgryzający się głęboko w głowę głos sprawiający, że wszystko było jeszcze trudniejsze do zniesienia.

Pragnienie. Wola.

Gdzieś na głębokim zapleczu świadomości Alyn słyszała echo czyichś słów.

– Wszystko jest pragnieniem – podpowiadało jej. – Wszystko jest wolą. Bez woli nie ma niczego.

To ona to mówiła. Ona sama. Zamknięta dawno temu w bezpiecznym pokoju mała Alyn z Rowan, która jeszcze nie zdążyła zostać sierotą. Która nawet nie zdążyła wyobrazić sobie, jak to jest. Która nie pozwoliła jeszcze Torynowi, kochanemu, wrednemu braciszkowi, dwukrotnie opuścić jej boku.

– Wszystko jest pragnieniem – powtórzyła. Miała wrażenie, że wraz z wydychanym powietrzem wypluwa kłęby dymu, krew i zęby. – I teraz pragnę lecieć.

Skoncentrowała się na jednym obrazie, jednej chwili, której zaznała podczas swego cudownego snu we wnętrzu Góry Gigantów. Na momencie, gdy po długim locie w dół jej zboczy poderwała się ku górze nad piękną, zieloną łąką. Na uczuciu niewysłowionej euforii, które ogarnęło ją i wstrząsnęło jej ciałem.

I wtedy ból zelżał. Nie od razu, ale wyraźnie. Znów mogła myśleć. Znów widziała, choć obraz zniekształcony był przez grube krople łez zbierające się w jej oczach.

– **Niebywałe** – rzekł zewsząd głos Bakkusa. Jego nieludzki ton nosił niemal niewidoczne ślady zainteresowania i troski. – **Chcesz latać. Ale jak możesz latać, skoro nie masz skrzydeł?**

Nie od razu zrozumiała, co się dzieje, bo zamiast bólu poczuła tylko lekki ucisk. Dopiero gdy spojrzała na swoje ramiona, które jakaś potworna siła zaczęła ciągnąć i obracać, próbując wyrwać, wykręcić je z jej ciała, zrozumiała, że to wszystko było na nic. Nie miała żadnej mocy. Była tylko panika. A wraz z paniką ból. I przerażający skrzek.

– **Nie nauczysz się. Ty i twoi ludzie odrzucacie dar, za który zapłacilibyście nieporównywalnie mniejszą cenę niż za kolejne wieki zabijania się nawzajem. Jeszcze dni temu byłaś świadkiem tego, co mogłabyś ofiarować wszystkim. A jednak postawiona przed wyborem, w którym logika wskazuje jedno, decydujesz się na drugie. Jesteś jak ci, którzy stracili dla siebie to miejsce, zaprzepaścili wszystkie swe szanse, nie potrafiąc wykroczyć poza swój wrodzony chaos. Skazani na tę swoją bezsensowną nieprzewidywalność.**

Obserwując, jak powoli rozrywana jest na kawałki, jaźń Alyn zdążyła jeszcze zarejestrować pogardę, z jaką Bakkus wypowiedział ostatnie słowo.

A potem wszystko zamilkło.

W czarnej, bezkresnej wszechrzeczy istniał tylko najcichszy ze szmerów. Taki, jaki wydaje z siebie woda spływająca po ścianie jaskini. I pojedyncze krople, które odłączają się od stropu, zanim zdążą zasilić ów swoisty kamienny wodospad.

Kap.

Kap.

I echo. Cicha, ale pełna irytacji odpowiedź skał na zaburzenie ich wiecznego spokoju.

Kap-p-p.

Kap-p-p.

Znała tę jaskinię. Potrafiłaby opisać jej wygląd zawsze i wszędzie. Umierała w niej bogowie wiedzą ile czasu. A gdy zaraz otworzy oczy przed nią będzie stał Godryk. W dłoni będzie trzymał brudny, zakrzywiony nóż Laetitii. Znów nazwie ją imieniem Eleny.

I koło się zamknie.

– Otwórz oczy – powiedział nowy, nieznajomy głos. Docierał z oddali niczym lament tysięcy tych,

którzy sprzeciwili się bogu przed nią.

– Nie zrobię tego...

Nie chciała umierać. Nie teraz. Już nigdy. Chciała wrócić do Saahii. Do Toryna, Kai i nieznośnych upałów. Chciała wypływać w morze, chłodzić się wschodnim wiatrem. Znaleźć porządnego żeglarza albo żeglarkę. Zdobyć albo ukraść łódź. Pieprzyć się na gryzących zwojach liny pod pokładem.

– Otwórz oczy.

Ale oczywiście on również nie zamierzał odpuścić.

Gdy tylko to zrobię, wbije mi ostrze w udo, myślała. I tym razem się w żaden sposób nie wywinę. Dokończy swój nieboski rytuał. A ja zniknę.

– Otwórz oczy.

– Nie. Nie otworzę. A ty zostaniesz tu ze mną na zawsze, Godryk. Zostaniesz ze mną, Bakkusie.

Na chwilę znów zapanowała mącona jedynie szmerem wody cisza. A potem coś szczęknęło. Ktoś nabrał powietrza w płuca. I powiedział:

– Na szyi zawiesili jej dzwonek.

– Żółw... – szepnęła Alyn.

*

Coś szarpnęło nią i nagle znalazła się w powietrzu. Otworzyła oczy. Znajdowała się tuż obok swojego wciąż podłączonego do Maszyny ciała. Wyglądała spokojnie, jakby spała, ale dwie wilgotne strużki łez na jej policzkach zdradzały naturę tego, co przed chwilą przeszła. Pnącze wgryzające się w jej łokieć jarzyło się na biało. Nie miała pojęcia, co to znaczy.

Nieopodal stała przestraszona służka o poplamionej skórze. Patrzyła na nią, ale jej nie dotykała. W jej oczach widać było współczucie. I zrozumienie.

– Żółwiu?! Jesteś tu?! – krzyknęła złodziejka w przestrzeń, ale nie rozległ się żaden dźwięk.

Była niematerialna. Była duchem. Nocną zmorą, którą rodzice z biednych dzielnic Saahii straszą swoje dzieci.

Uwolnił ją. Pojawił się znikąd i uwolnił od bólu. Od ciała. Dał jej czas... Tylko na co?

– Jak to na co?! – Alyn oprzytomniała nagle, a głos w jej głowie rozbrzmiał z większą siłą, niż się spodziewała. Gdyby mogła, uderzyłaby się w twarz. – Dupa w troki, Ruda!

Spięła się, skoncentrowała wszystkie swe myśli na ruchu i poleciała.

Najpierw powoli, nieśmiało, przez drzwi, potem szybciej wzdłuż korytarza. Nie czuła powiewu powietrza na policzkach, ale miała wrażenie, jakby biegła z całych sił. Wprost do miejsca, w którym rozstała się z Zakarym.

Tam, gdzie starzec oparł się o ścianę, widniała smuga krwi, pojedyncze krople wyznaczały na podłodze ślad, którym udał się na poszukiwanie lekarstwa dla Toryna. W pierwszym odruchu chciała za nim podążyć, ale uznała, że w żaden sposób nie będzie mu teraz w stanie pomóc. Jej celem było coś innego. Sposób na poradzenie sobie z Bakkusem, znalezienie wyjścia, cokolwiek.

Odbiła w prawo, z powrotem do drzwi, za którymi zostawiła białą salę ze służkami i... kimkolwiek, kto

zdecydował się je zaatakować. Gdy dotarła do nich, nie otworzyły się. Trwały zasklepione, jakby jej tu nie było.

– Myśl, dziewczyno – skarciła się wewnętrznym głosem. – Przecież cię tu nie ma!

Jak gdyby chcąc upewnić się o tym fakcie, wyciągnęła dłoń w stronę twardej, płaskiej powierzchni. Jej palce wniknęły w nią bez najmniejszego oporu. Pchnęła głębiej. Po łokieć, po ramię. W końcu przeniknęła na drugą stronę w całości.

Mimo wypełniającego salę, gęstego dymu i zniszczonych elementów wystroju, mimo groteskowych i przerażających swą surową czerwienią kałuży krwi i wina, bijąca z sufitu jasność sprawiła, że Alyn musiała mocno zmrużyć oczy. Dopiero po chwili zatem dostrzegła to, co podczas lotu wzdłuż korytarza jej umknęło. Przy jednej ze ścian, w jeziorze podziurawionych i nadpalonych trupów, wciąż trzymały się na nogach dwie postacie. Trzecia wspierała się na ziemi na łokciach. To była Adria. Nad nią, z pozłacaną flintą w dłoni, stał... To było niemożliwe, ale nad nią stał Silvestri.

A w jego plecy lufę swojej broni kierowała Fel.

Żadne z nich się nie poruszało. Trwali w dynamicznym, pełnym emocji impasie jak namalowani przez któregoś z rowańskich mistrzów.

Złodziejka zbliżyła się do mężczyzny. Czy to on wywołał po imieniu Filiberta? Czy to on zaaranżował to wszystko? Jej porwanie w Saahii, przesłuchanie basowym głosem, który wystarczył, aby zamroczona winem, zadławiona winą do samej siebie, wzięła go za Hanso? Czy to on wpadł na to, by wcisnąć jej przedramię w kocioł wrzącego oleju? On? Jej wieloletni zleceniodawca? Przyjaciel? Sojusznik?

Uniosła prawą rękę, odrzuciła rękawiczkę i zbliżyła zdeformowane ciało do jego skierowanych w dół oczu.

– Czy to ty? – zapytała bezgłośnie. – Zrobiłeś to, by trafić tam, dokąd porwano Zakarego?

Z jakiegoś powodu nie czuła rozgoryczenia tym, że Silvestri wykorzystał ją do swoich celów. I to w tak brutalny sposób. Czuła gniew. I tym razem nie na siebie. Na niego.

– A jaka w tym twoja rola, Fel?

Alyn przestąpiła za plecy Silvestriego i okrążyła dziewczynę. Z zaskoczeniem spostrzegła, że na szyi Fel wiszą luźno szkła, które wręczyła znachorowi jako zapłatę. Nie miała jednak ochoty zastanawiać się teraz, dlaczego nie pozostały w rękach zgarbionego starca z oazy. Zamiast tego przyjrzała się ubrudzonej pyłem twarzy Fel.

W tej samej chwili zachłysnęła się nieistniejącym powietrzem, gdy jej ciałem coś szarpnęło i pociągnęło silnie do tyłu. Do zamkniętych drzwi, przez które wpłynęła do tej sali. Poczuła ukłucie bólu. Jakby skurcz. Była duchem zawieszonym w zastygłym niczym na mrozie czasie, ale wciąż mogła odczuwać ból.

To Bakkus walczył o swoje. Miała niewiele czasu. I wciąż żadnego pomysłu na to, jak sobie z nim poradzić.

Zostawiła pobojowisko za sobą i sunąc w powietrzu niczym zjawa, wróciła do mroku korytarzy. Tym razem popędziła śladem Zakarego. Czuła, że ma niewiele czasu... Cokolwiek to znaczyło w tym miejscu. Mijała ciemne, zastygłe w bezruchu pomieszczenia o nieznanym przeznaczeniu. W jednym z nich dojrzała rząd beczek. Były ułożone na ziemi jedna przy drugiej, nie inaczej niż w piwnicy willi Villefortów. Te jednak nie

były drewniane, tylko z materiału, który wyglądał na pomalowany metal. I były większe niż tamte. Dłuższe. W każdej z nich spokojnie mógł się zmieścić człowiek.

Ale żadna z nich nie była rozwiązaniem dla jej problemu. Nie przybliżała do tryumfu. A kolejne szarpnięcia były coraz brutalniejsze, coraz mocniej ściągały ją z powrotem ku Maszynie.

Alyn czuła, że się poci. To nie było możliwe. Nie w tym ciele. Nie w tej formie. Ale strach, który oplatał jej szyję swymi zimnymi palcami, był silniejszy niż rozsądek. Taka była natura trwogi, która nadciągała niczym chłosta na ryneczku jednej czy drugiej rowańskiej wsi. Niczym kroki Malcolma patrolującego nocą korytarze sierocińca.

Trwogi przed powrotem do świata, w którym poparzone kończyny są z niej wyrywane żywcem. A pomieszczeń było dużo więcej. Całość wyglądała na rozległy podziemny pałac i nie sposób było w nim odnaleźć odpowiedniej drogi. Nie sposób było ot tak wpaść na rozwiązanie tej zagadki, czymkolwiek ona była.

Ból szarpał ją do żywego. Jeszcze moment i Maszyna wciągnie ją z powrotem. Chwyci za gardło i zawlecze do siebie przez wszystkie te pokoje, ściany i skałę pomiędzy nimi.

– Zawlecze przez skałę... – szepnęła i w tej drobnej chwili olśnienia napięła nieistniejące mięśnie nieistniejących nóg.

Po czym wybiła się wysoko do góry.

Najpierw objęła ją nieprzenikniona czerń, ale chwilę potem miejsca ustąpił jej najsłodszy odcień granatu, jaki widziała w życiu. Granatu pociągniętego migotliwą smugą srebrnej farby.

Od razu wiedziała, gdzie się znalazła. Spojrzała w dół, z powrotem w oświetloną mdłą poświatą czerń. Wytężyła wzrok. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że widzi wszystko wyraźnie, jakby miała na sobie najlepiej dopasowane przez Zakarego szkła. I odnalazła to, czego szukała.

Nie zważając na potworny ból w piersi, pofrunęła z powrotem w dół. Tam, dokąd poprowadziło jej przeczucie. Tam, gdzie skała ustępowała czemuś innemu. Gdzie głęboko wgryzało się w nią wijące się niczym wąż obce ciało. Coraz głębiej i głębiej.

Aż wreszcie, gdy była pewna, że się zgubiła, i zdołała już stracić rachubę czasu, na powrót wychynęła ze ściany w mrok podziemnego pomieszczenia. Błyskawicznie rozejrzała się, by zapamiętać to miejsce.

A potem, tak jak przewidywała, Maszyna brutalnie wtłoczyła ją z powrotem do kotła z płynnym ogniem. Alyn zamknęła oczy i przygotowała się na uderzenie gotującego wnętrzności żaru, ale tym razem nic takiego nie nastąpiło. Zamiast tego dotarło do niej pojedyncze, wypowiedziane niekształconym, gasnącym w niebycie głosem Żółwia słowo:

– Dalia.

I wtedy Maszyna wypluła ją z powrotem na posadzkę.

*

Pierwszym, co zarejestrowała, było to, że ktoś trzyma ją za rękę. Gdy jednak tylko otworzyła oczy, by przyjrzeć się tej osobie, jej żołądek skurczył się i wypchnął z siebie całą swą mizerną zawartość. Alyn rzygnęła z rozmachem na podłogę i machinalnie otarła usta dłonią.

A potem zaśmiała się na cały głos.

Spojrzała do góry na zdezorientowaną twarz niemej służki, która natychmiast zrobiła dwa kroki do tyłu, spoglądając to na twarz rudej nieznajomej, to na jej ufajdaną rękę.

– Nie bój się – powiedziała złodziejka, z trudem powstrzymując rechot. Wyciągnęła dłoń w przyjacielskim geście. – Po prostu cieszę się, że mam wszystkie kończyny.

Naraz wydało się, że zatrzęsła się ziemia. Służka natychmiast padła na kolana i skuliła się, gdy zewsząd rozległ się raniący uszy głos Bakkusa.

– **Twój kompan, twój... Żółw z Kaim znalazł mnie tutaj, więc unicestwiłem jego mizerną atrapę świadomości i wygnałem to, co z niej pozostało, z powrotem za morze. To jest moje królestwo. Moja Jednostka. Nie wystarczy na mnie kilka tanich sztuczek prymitywnego worka na mięso i jego prz... przi...**

– ...przigodnie poznanego psychoko-ko-konstruktu.

Chrapliwy, niewyraźny głos zdeformowanej dziewczyny wywołał u Alyn jeszcze większe ciarki niż ogłuszający ryk prawdziwego Bakkusa. Służka podniosła się nagle na nogi jak marionetka i wyprostowała, co tylko uwydatniło to, jak okaleczone było jej ciało. Najważniejszym jednak, co zarejestrowała złodziejka, były połamane, ale wciąż ostre paznokcie dziewczyny, które nastroszyła na palcach jak kot gotowy rozszarpać bezbronną zdobycz. Alyn błyskawicznie podążyła wzrokiem w dół, na nogi nieszczęśniczki, po czym podjęła jedyną decyzję, która miała w tej sytuacji jakikolwiek sens.

Zaczęła spieprzać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Nawet nie zauważyła, kiedy pokonała całą długość odnogi, która wiodła od Maszyny do głównego korytarza. Obejrzała się przy samym końcu, ale jej oczy na powrót widziały nieostro, więc nie była w stanie dojrzeć, czy w ciemnej plamie w oddali służka goniła ją, czy Bakkus – który wyraźnie brzydził się jej niedoskonałością i trzymał ją z dala od swych perfekcyjnych okazów – pozostawił jej ciało samemu sobie.

– Perfekcyjne, martwe okazy... – mruknęła Alyn i spojrzała w prawo na zamknięte drzwi do białej sali.

Nie miała tam już czego szukać. Musiała pozostać o krok przed Bakkusem. Musiała przechytrzyć boga w jego własnym pałacu. A potem zniszczyć go. Najlepiej wraz z tym plugawym, nieludzkim miejscem. I potrzebowała do tego pomocy Zakarego.

Odnalazła ślady krwi i podążyła za nimi w lewo, w głąb głównego korytarza. Nie zatrzymywała się przy przejściach i pomieszczeniach, które zdążyła już obejrzeć, kiedy jej ciało było w Maszynie. Biegła prosto do celu. I, na szczęście, dotarła na czas. A przynajmniej tak wyglądało na pierwszy rzut oka.

Zakary półleżał w drzwiach osnutej w mroku sali, w której głębi rysowały się kanciaste sylwetki ustawionych w dwóch równych rzędach stołów. Był blady. Jego usta drżały, poruszając całą jego bujną brodą.

Alyn klęknęła tuż przy nim i wzięła w dłonie jego zaciśniętą pięść.

– Na Isztar, Zakary! Daj, pomogę ci wstać.

– Posłuchaj mnie teraz – warknął rzemieślnik i machnął drugą ręką. – Schowaj to. Była tylko jedna. Musisz to mu wstrzyknąć, mu wstrzyknąć. Rozumiesz mnie, Myszo?

– Ale...

– Powiedzże!

– Rozumiem.

– **Nie pozwalam** – rozległo się zewsząd. Zakary aż skrzywił się z bólu.

– Nie trać na niego czasu, Alyn – powiedział rzemieślnik i wcisnął złodziejce w dłoń podłużny, walcowaty przedmiot. Schowała go w lewą rękawicę. – Tylko to jest ważne. To uratuje twojego brata. Albo ciebie. Abyś mogła do niego dotrzeć...

Dziewczyna rozejrzała się w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak obecności Bakkusa w okolicy, ale żaden z surowych elementów wystroju nie przypominał jej niczego. Wyglądały zupełnie jak nie z tej ziemi. W końcu wbiła ponownie wzrok w Zakarego.

– Posłuchaj mnie – powiedziała i potrząsnęła nim, widząc, że starzec odpływa. – Po pierwsze, nie umieraj. Ani mi się, kurwa, waż. Będę potrzebować nowych szkieł, zrozumiano?!

Rzemieślnik uśmiechnął się nieznacznie i przytaknął. Alyn pociągnęła nosem.

– Po drugie, skup się. Gdzieś tutaj jest pokój z taką wielką, mruczącą szarą szafą. Z sufitu prowadzą do

niej dwie grube rury. Kojarzysz to miejsce?

– **Moje służki już idą po ciebie.**

– Zakary! – krzyknęła. – Wiesz, gdzie to jest?

– T-tak, Myszo. To znakomity pomysł, jakżeś na to wpadła?

– Na co? Mów z sensem, starcze!

Zdecydowanie bardziej wolała czuć w tej chwili palące kłucie igieł gniewu niż gorycz smutku, która rozlałaby się natychmiast po całym jej ciele, gdyby tylko pozwoliła sobie przyznać prawdę o tym, że Zakary nie wróci z nią do domu.

– Bakkus... I cała ta jego Maszyna. Potrzebują chłodu. Potrzebują zimna. Ta... szafa to musi być inny rodzaj Maszyny. Urządzenia, które własną siłą pompuje wodę z jeziora tu, na dół, i wypompowuje z powrotem. Które robi to od... nie wiem. Tysiącleci? To jeden z dwóch powodów, dla których Bakkus wysyła swoje dziewczyny po pitny ogień. Po wino. Widziałaś je, prawda, Alyn? Widziałaś te beczki, te beczki. Rzeczy, które dzięki nim się tu dzieją, to bluźnierstwo. A zlewki... nieważne, czy dobre, czy zepsute, przerabiane są na płyn, którym służki czyszczą i konserwują wszystkie mechanizmy, które się tu znajdują. Zakurzone, zapiaszczone.

– I ta szafa, ta... pompa.

– Posłuchaj mnie. Posłuchaj... Zrobisz tak...

*

– **Wiesz, czyja to wina, prawda? Wiesz, kto zapoczątkował to wszystko.**

– Zamknij się!

– **Ona czeka na ciebie. Jest już niedaleko.**

– Wyłaź z mojej głowy!

Fel człapała przed siebie, obijając się i ocierając o ściany korytarza. Kręciło się jej w głowie. Czuła, że śni. Że śni niewiarygodnie realistyczny koszmar o zapachu spalenizny i prochu. Była pewna, że kilkakrotnie zdążyła się już przy tym zsikać w majtki. Jak bachor. Jak niechciane dziecko, które zamiast dorastać w ognisku swej rodziny, wykonywało dla niej zadania z nadzieją, że któreś z nich sprawi, że zarobi w ich oczach na odrobinę ciepła.

Tylko co w jej dłoni robiła pozłacana flinta jej ojca?

I czyj był ten głos?

Wiedziała tylko tyle, że go nienawidzi. Tego, który do niej mówił. Mówił do niej przez całe życie. O tym, jaka jest słaba. Niegodna. Raz ciszej, raz głośniej. Był tam. Dręczył ją. Prześladował. Nie dawał zasnąć wieczorem, a kiedy spała, budził ją we śnie.

Nienawidziła go za to, że mówił prawdę.

Nie wiedziała, jak długo szła, jak głęboko zabrnęła w mrok. Czerwone lampy wirowały wokół. Zimne dłonie odnajdowały kolejne fragmenty ścian. Brodziła po kolana w obcym, złowieszczym półmroku.

I wtedy, nagle – tak, jak powiedział jej głos – stanęła na jej drodze Alyn.

W zasadzie to nie stanęła, obie prawie na siebie wpadły. Fel natychmiast ścisnęła mocniej rękojeść flinty. Wystarczyło odciągnąć zamek, wycelować i strzelić. Wiedziała przecież, jak to się robiło. Najgorsze było to,

że nie pamiętała już, czy chciała ją zabić, czy przeprosić.

Jakkolwiek brzmiała prawda, to nie był na to czas.

– Zejdź mi z drogi – syknęła Alyn i przecisnęła się między nią i ścianą. Nawet nie spojrzała na broń. – Uciekaj stąd.

– Alyn, ja...

Nie dokończyła. Rudowłosa dziewczyna wyminęła ją i szybkim krokiem ruszyła przed siebie w głąb ciemnego korytarza. Nawet się nie obejrzała.

Fel zagryzła wargę i ruszyła jej śladem. Szybko. Wyglądało na to, że Alyn doskonale orientuje się w rozkładzie pomieszczeń tej... jaskini. Czymkolwiek to było. A przynajmniej wyglądało na to, że wie, dokąd chce iść. Marsz trwał kilka chwil, podczas których Fel zdążyła stracić orientację, zasapać się i przez wszystkie przypadki odmienić słowa, które szarpały się w jej głowie. Które z całej siły próbowały wydostać się na zewnątrz. Słyszała szept Bakkusa, ale nie zwracała uwagi na to, co mówił.

W końcu, gdy zatrzymały się przed ciężkimi drzwiami z niewielkim oknem na wysokości ich głów, wyłowiła spojrzenie Alyn i wydusiła z siebie:

– Wybaczmijestzemnąźle...

Złodziejka nie odpowiedziała, ale coś zmieniło się w wyrazie jej twarzy. Dopiero teraz refleksy szkarłatnych lamp ujawniły wilgoć w kącikach jej oczu. Najpierw Fel pomyślała, że był to grymas ulgi lub sympatii, ale po chwili błyskawicznie zmieniła zdanie.

– Kurwa! – krzyknęła Alyn i szarpnęła drzwi, a następnie, wobec płonności tego gestu, gruchnęła pięścią w okno. – Kurrrwa mać!

– **Mógłbym zacząć wymieniać pierwiastki, które zostały stopione ze sobą, by powstał materiał tych drzwi, ale przecież i tak nie zrozumiałabyś ani słowa.**

– Ja mu zaraz... – zaczęła Fel i uniosła broń nad głowę, ale Alyn chwyciła ją za nadgarstek i delikatnie opuściła z powrotem.

– **Będziecie długo płacić za to, coście dziś uczyniły.**

Próbując zignorować dudniący hałas, Fel wyjrzała za Alyn w głąb korytarza, gdzie migotał jedyny kontrastujący z otoczeniem, zielony świetlik. Tuż pod nim widniał zarys okrągłej płaskorzeźby na ścianie. Płaskorzeźby albo...

– Drzwi... – szepnęła, a Alyn spojrzała w tym samym kierunku, mrużąc oczy.

Fel natychmiast ściągnęła z szyi szkła i wcisnęła je w dłoń złodziejki.

– Tak, Zakary mówił o nich – odpowiedziała Alyn, po czym założyła szkła na oczy. – Dziękuję, Fel. I przepraszam. Pójdziemy tam, ale najpierw muszę dostać się do środka. Bez tego... Bez tego...

– Odsuń się.

Fel bezceremonialnie odepchnęła złodziejkę, wycelowała flintę w okno, odciągnęła kurek i zasłoniła oczy. Po czym pociągnęła za spust.

*

Nagły huk i podmuch niemal pozbawiły ją równowagi. Gdy odwróciła się z powrotem ku drzwiom,

poczuła, jak przyspiesza jej serce. W miejscu szyby ziała ciemna, kwadratowa dziura. Fel stała obok, z wyrazem bólu na twarzy zatykała sobie dłońmi uszy. Dymiąca flinta leżała na ziemi.

Alyn podeszła do niej i chwyciła ją za ręce.

– Słyszysz mnie?!

Fel skinęła głową. Była zdezorientowana, ale nie bardziej, niż w momencie gdy wpadły na siebie przed kilkoma chwilami.

– Pójdź po Zakarego! Rozumiesz mnie?! Wróć tą samą drogą! Lewo, potem prawo, jeszcze raz lewo i potem po śladach krwi! To niedaleko! Przyprowadź go tu! Idź!

Dziewczyna ponownie przytaknęła. Wyciągnęła rękę w stronę ściany i ruszyła chwiejnym krokiem z powrotem. Złodziejka odprowadziła ją wzrokiem. Następnie zbliżyła się do drzwi i zmierzyła dłońmi otwór. Pokiwała niepewnie głową i wzruszyła ramionami. W końcu wyciągnęła się jak struna z rękoma nad głową, wzięła krótki rozpęd i wskoczyła do środka.

To było to miejsce. Niewielka sala z kilkoma zawieszonymi na ścianie półkami, długim blatem pod nimi i pomrukującą szafą na drugim końcu. Z sufitem łączyły ją dwie grube rury.

Alyn podeszła do urządzenia i przyjrzała się jego płaskim, twardym ściankom. To nie była robota dla dzikusa z kamieniem w ręku. Drwal z siekierą też zapewne nie dałby sobie rady. „Uszkodź ją. Znam cię, znajdziesz sposób, znajdziesz sposób", przypomniała sobie słowa Zakarego.

Chwyciła obudowę obiema rękami i spróbowała nią potrząsnąć.

Gówno.

Nie z tą ręką. Nie wyposażona w jedyne narzędzie, jakim jest tępy, cienki drucik do drapania swędzącej skóry.

Gdy wzięła rozbieg, by kopnąć urządzenie, z tyłu syknęły drzwi, których skrzydło wsunęło się w jakiś niepojęty sposób w ścianę. Ktoś wszedł do środka. Alyn obejrzała się przez ramię.

– Fel? Jak otworzyłaś...

To nie była Fel.

Wyglądała jak inne służki podobne do Shoi i Adrii. Ale nie była ani jedną, ani drugą. Była naga jak jej białowłose siostry, ale krótka fryzura na jej głowie była czarna, z zaledwie kilkoma jasnymi plamami. Podobnie jak służka przy Maszynie miała barwne nieregularności na skórze, a lewa połowa jej twarzy opadała luźno względem prawej. Oprócz tego jednak była jak pozostałe – piękna, doskonała. Czyste uosobienie siły potęgowane odbijającą światło skórą. Błyszczącą się od...

Alyn dopiero teraz zauważyła plamy lepkiej, bezbarwnej substancji, które gromadziły się u stóp kobiety. Była pokryta nią od stóp do głów. Jakby właśnie wyszła z kąpieli w zastałym oleju.

Służka miała nieobecny wzrok, jej oczy były całe czarne.

– **Musiałem ją wybudzić ze snu wcześniej, niż planowałem** – po raz kolejny zadudniło zewsząd. – **Ale oto ona, twoja następczyni. Pierwsza z twoich następczyń. Jak daleka krewna. Myślę, że byłoby niestosowne, gdybym nadał jej inne miano niż twoje. Oto Alyn.**

To nie są barwne nieregularności, pomyślała złodziejka, obserwując, jak zmienia się ciało stojącej przed nią kobiety. To tatuaże!

Alyn skuliła się i zasłoniła rękami, w momencie gdy służka wyciągnęła w jej stronę palce i chrypiącym szeptem wypowiedziała zaklęcie. Błysnęło żółcią i jęzor płomienia z westchnieniem poszedł po podłodze i ścianie tuż przy nogach złodziejki. Zniknął tak szybko, jak się pojawił. Pozostawił po sobie smród i zasłonę z czarnego dymu.

Coś ze stukotem upadło na ziemię. Alyn podniosła wzrok na służkę, która stała w miejscu z groteskowym wyrazem zaskoczenia na połowie twarzy. Szukała czegoś.

Złodziejka wypatrzyła to pierwsza. Drobny czarny przedmiot, nie większy od kawałka palca, leżał dokładnie w połowie drogi między nimi. Rzuciła się do przodu.

Nie zdążyła. W jakiś niepojęty sposób druga Alyn była od niej szybsza. Niewiarygodnie zwinnie odbiła się od ziemi i zanurkowała swym śliskim od tej obrzydliwej substancji ciałem po podłodze. Złapała go pierwsza, ale zanim wyhamowała, zdążyła z jękiem bólu przyjąć na siebie cały ciężar opadającej dopiero złodziejki. Ta za to dołożyła starań, by zahaczyć o nią przynajmniej jednym kolanem.

Gdy obie znalazły się na ziemi, Alyn natychmiast odwróciła się i na czworakach dopadła do jarzącej się już z pełną mocą swymi tatuażami służki. Dokładnie w tym samym momencie, gdy pomyślała, że nie mogła pozwolić jej na ponowne użycie przedmiotu, spomiędzy palców nagiej dziewczyny znów wyprysnął strumień ognia i objął sobą całą wysokość ściany tuż przy szafie. Następnie służka zrzuciła z siebie złodziejkę jednym ruchem, niczym zwiniętą kołdrę. W uszach Alyn zadzwoniło, gdy uderzyła głową o posadzkę.

Mimo zamroczenia natychmiast rzuciła się na przeciwniczkę. Podobnie jak w przypadku walki z biczownikiem jedyne, co teraz się liczyło, to maksymalne skrócenie dystansu. To była pierwsza z dwóch mądrości Toryna, która nagle zaświtała jej w myślach.

Drugą były trzy słowa.

– Celuj w oczy! – jęknęła, czując, jak pięść służki wbija się jej w obolałe żebra.

Następnie chwyciła lewą ręką na wpół wysunięty z rękawicy drucik, i krzycząc, żeby zagłuszyć makabryczny odgłos ciosu, wbiła go służce z całej siły w oczodół.

Nic.

Dziewczyna nawet nie jęknęła, gdy krwista maź wartko spłynęła jej po skroni. Nadal zamierzała się na złodziejkę pięścią i szykowała drugą dłoń do kolejnego ognistego podmuchu. Tatuaże na jej ciele pulsowały olśniewającą bielą. Wyglądała tak, jakby miała za chwilę wybuchnąć.

Nie to oko, pomyślała Alyn, obserwując, jak dłoń, która trzymała wcale nie magiczny miotacz ognia, zatacza łuk tuż przy jej twarzy. To koniec.

Umieram.

Ale nie umarła. W momencie, który wystarczył na to, by napastniczka zdmuchnęła twarz Alyn strumieniem żaru, nic takiego nie nastąpiło. Dłoń służki podążyła dalej po łuku, aż trzy z jej palców owinęły się wokół wystającego z jej twarzy kawałka metalu.

Naturalny odruch, pomyślała Alyn. Wyjąć z ciała to, co z niego wystaje. W momencie olśnienia zacisnęła swoją dłoń na zbliżonych do twarzy palcach dziewczyny. Dwa z nich wciąż trzymały kostkę ogniopluja.

Nagłe uderzenie żaru, który popłynął rwącym strumieniem po obliczu służki, sprawiło, że złodziejka

musiała natychmiast odwrócić głowę. Ale i tak widziała wszystko nazbyt wyraźnie. Pomarańczowy jęzor natychmiast zwęglił skórę, wypalił włosy i wdarł się głęboko w nozdrza służki. Wyprysnął bąblami i ognikami z jej oczodołów. Mimo to Alyn nie puściła dłoni, dopóki stężałe nagle ciało pod nią nie przestało drżeć i opadło w końcu bez życia.

Wtedy dopiero jęknęła i odczołgała się do tyłu. Patrzyła, jak widoczne w szczelinach obudowy pomrukującej szafy płomienie tańczą i z trzaskiem wzniecają się nawzajem. Nagły, gryzący smród sprawił, że złodziejka zacharczała, gdy je ciało spróbowało zwymiotować zawartość żołądka, ale po raz kolejny nic z tego nie wyszło.

Potrzebowała chwili na ochłonięcie, ale nie było jej to dane. Nad jej głową coś strzeliło i ze szczeliny w jednej z rur buchnął strumień pary. Szafa podskoczyła w miejscu, jakby chciała się wyrwać z więzów. W tej samej chwili wydawało się, że zadrżał cały podziemny pałac.

Zewsząd rozległ się zupełnie nowy głos. Żeński. Złodziejka nie rozumiała ani słowa z tego języka, ale ton wypowiedzi nieznajomej był co najmniej poważny.

– Czyżby mamuśka, Bakkusie? – mruknęła do siebie, po czym zebrała się z podłogi i wyszła z pomieszczenia.

Na zewnątrz nie było dobrze, choć, prawdę mówiąc, zależało to od przyjętej perspektywy. W kilku miejscach wzdłuż sufitu korytarza pojawiły się szczeliny, z których zaczęła cieknąć woda. Oświetlające go lampy kilkakrotnie zgasły i zapaliły się jak za sprawą magicznej sztuczki.

Wstrząsy i huk nasilały się z każdą chwilą. Wskazywały na to, że coś się zbliżało. I wyglądało, że tym „czymś" była cała błękitna zawartość jeziora w centrum Al-Arak. Bakkus próbował coś mówić, ale kobiecy głos wraz z sykiem wody zagłuszały go na tyle, że nie dało się zrozumieć nawet słowa.

Czując, jak zimno omywa jej kostki i zaczyna się wdrapywać w górę łydek, Alyn sięgnęła sztywnymi palcami poparzonej ręki do drugiej rękawicy, gdzie z ulgą wymacała umieszczony tam pojemniczek z lekarstwem.

– Dalia – wymówiła na głos ostatnie słowo, które wypowiedział do niej Żółw. Gdzieś już je słyszała i nie mogła sobie pozwolić na to, by je zapomnieć. – Dalia, Dalia, Dalia.

Nabrała nieco wody w dłonie i przytknęła do ust, smakując słodki płyn, który rozpłynął się po jej ciele. Poczuła, że jej żołądek buntuje się przeciw temu gwałtowi, ale powstrzymała odruch wymiotny i wzięła kolejne kilka łyków. Gdy nie mogła już więcej, przetarła szkła i wytężyła wzrok w kierunku, w którym wcześniej oddaliła się Fel. Jeszcze tylko ona i Zakary. Nie mieli wiele czasu.

I wtedy światło zgasło na dobre.

Szum zmienił się w grom, a grom w ryk, w miarę jak jezioro potężnymi haustami wlewało się do podziemi. Jedynie słaba poświata wciąż tlącej się szafy w pomieszczeniu obok pozwalała Alyn zorientować się w przestrzeni. Powinna była uciekać. Czerń, w której kryły się okrągłe drzwi prowadzące na zewnątrz, mamiła ją, ciągnęła do siebie, podszeptywała najgorsze myśli o tym, co stało się z Fel i Zakarym. I o tym, co stanie się z Torynem, jeśli Alyn nie wyjdzie stąd w tej chwili. Teraz.

Teraz!

Złodziejka wzdrygnęła się, gdy poczuła na ramieniu czyjąś dłoń. Odskoczyła, wzburzając fale, które

sięgały jej już do kolan.

W ciemności rozpoznała sylwetkę Fel. Mówiła... Krzyczała coś, ale huk nadciągającej katastrofy był zbyt potężny, by zrozumieć chociaż słowo. Twarz dziewczyny błyszczała od wody.

Lub od łez.

Nie było z nią Zakarego. Alyn nagle poczuła się niewiarygodnie zmęczona. Jakby ostatnie tygodnie zwaliły się na nią z całą mocą, gdy tylko zabrakło tego jednego filaru, który pozwalał jej uchronić się przed naporem zła tego świata. Utrzymać wszystko w kupie.

Przełknęła ślinę, czując, że jeżeli nie zrobi niczego w tym momencie, gotowa była paść na kolana w wodę i całkowicie pogrążyć się w lodowatym mroku.

Dlatego wyciągnęła rękę do Fel.

I wtedy tuż nad nimi skała w upiornym uśmiechu otworzyła czarną gardziel i z sufitu runęła na nie niepowstrzymana ściana wody. Złodziejka natychmiast poleciała na plecy i zanurzyła się cała w mokrej czerni, która poniosła ją daleko do tyłu. Jeszcze głębiej w zimno i huk.

Gdy jej barki wreszcie znalazły oparcie, wstała i wyszukała dłońmi ścianę. Wylądowała tuż przy okrągłych metalowych drzwiach. Woda sięgała jej już do pasa i podnosiła się szybko. Jeżeli chciała mieć szansę na otwarcie wrót, musiała działać teraz. Zapomnieć o Fel. Zapomnieć o Zakarym.

Drżącymi rękoma wymacała szerokie koło, a obok niego uchwyt.

*

Fel nie wiedziała, dokąd wiódł ją nurt. Potok piany przetaczał się po prostopadłych korytarzach podziemnego pałacu. Rozbijał się o ściany, rozdzielał i sunął wszędzie tam, gdzie jeszcze go nie było. Załomy i framugi kilkakrotnie zdążyły obić wszystkie części jej ciała, przy ostatnim, wyjątkowo wrednym, uderzeniu prawdopodobnie coś złamała, ale chłód tępił cały ból, pozwalał jej utrzymać świadomość.

Wzdrygnęła się, gdy otarło się o nią coś miękkiego. Nie wiedziała, co to było, ale miała wrażenie, że zgrabiałą dłonią zdążyła przejechać po czyichś palcach. Potworny głos nie odzywał się w jej głowie. Była tylko ciemność i nieustający rumor.

Próbowała, ile mogła, utrzymać się na powierzchni, ale z każdą chwilą coraz bardziej opadała z sił. Jedyne, czego była pewna, to to, że była półprzytomna.

Do wciąż jasno oświetlonej białej sali prąd wcisnął ją w ostatniej chwili, w momencie gdy powierzchnia wody dosięgnęła górnej części framugi wiodących do niej drzwi.

Widziała wokół siebie ciała, które unosiły się w czerwonych pióropuszach rozpuszczonej krwi. Tuż nad sobą miała mieniącą się taflę. I powietrze. Było w zasięgu ręki. Wystarczyło podpłynąć, wykonać kilka drobnych ruchów. Wziąć głęboki oddech.

Pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek innego w życiu. Ale nie jej ciało. Jej ciało powiedziało „dosyć tego, jesteśmy zmęczone, ty i ja, odpoczniemy tu sobie razem w orzeźwiającym chłodzie, na wszystko przyjdzie czas". Razem powoli i majestatycznie opadły na dno i osunęły się w czerń.

A potem ktoś owinął rękę wokół jej talii.

*

Szarpnęła raz i drugi, ale skrzydło ani drgnęło. Alyn zawyła i przeniosła dłonie na koło. Uwiesiła się na nim całym ciałem, aż coś skrzypnęło w środku. Wtedy podskoczyła i jeszcze mocniej pociągnęła obręcz. Wydawało się jej, że krzyczy, ale nie była w stanie usłyszeć nawet swoich myśli. Szarpała i kręciła, aż koło odbiło ze szczękiem i zatrzymało się w miejscu. Jeszcze raz złapała za uchwyt. Tym razem drzwi drgnęły, ujawniając szczelinę, przez którą natychmiast zaczęła uciekać woda. Jej napór jednak był zbyt mocny, więc chwilę potem, gdy tylko Alyn opadła z sił, skrzydło na powrót zamknęło się na głucho, więżąc w środku wszystko i wszystkich.

Woda sięgnęła jej piersi, wypełniała korytarz już niemal do połowy. Zdarte gardło piekło ją bardziej niż zakkańskie słońce.

Jedyną jej szansą było zawrócenie i pokonanie nurtu wpław, by dostać się jakoś do białej sali i stamtąd do któregoś z niezablokowanych wyjść. Przy tempie, w jakim podziemia wypełniały się wodą – małą szansą. Minimalną.

Nie.

Złodziejka pokręciła głową, odkaszlnęła wodę, która wraz z kolejną falą wdarła się jej do ust, i jeszcze raz złapała uchwyt. Tym razem obiema rękami i zapierając się nogami o ścianę. Napięła całe ciało do bólu. Nie miała siły już krzyczeć, ale mimo to wrzeszczała. Wrzeszczała jak nigdy.

Drzwi ponownie drgnęły. Szczelina stała się nieco szersza, ale wciąż była węższa niż grubość palca. Woda z ogromnym entuzjazmem natychmiast rzuciła się do ujścia, wyrywając Alyn skrzydło z rąk.

– Dalia! – krzyknęła złodziejka, nie przestając z całych sił ciągnąć za uchwyt. – Daliadaliadaliadalia. Daliaaaaaa!!!

Ostatnią sylabę pochłonęło czarne zimno, które przykryło jej głowę i objęło całe jej ciało.

Utopiona na pustyni, pomyślała Alyn i uśmiechnęła się, gdy na powrót rozluźniła mięśnie.

Wtedy kątem oka zauważyła, że nad drzwiami mignęło zielone światełko. Dwukrotnie. Za trzecim razem zapaliło się na stałe, a wraz z nim część ze szkarłatnych lamp wzdłuż korytarza. Drzwi jęknęły przeciągle i z ogromnym trudem zaczęły się same otwierać. Woda znów wdarła się w szczelinę, z całą swą mocą próbując na powrót je zamknąć, ale Alyn ostatni raz mocno złapała za uchwyt i, czując potworny ból we wszystkich kończynach, pociągnęła go do siebie.

Szczelina rozwarła się na szerokość dłoni, potem łokcia. Potworny prąd wylewającej się wody próbował zmyć ją ze ściany, ale ciągnęła dalej, aż drzwi otworzyły się na szerokość całego ramienia.

W tym samym momencie światło zgasło po raz ostatni, a Alyn puściła uchwyt i dała się porwać uciekającej w nieznaną ciemność rzece. Drzwi z hukiem zamknęły się zaraz za jej plecami.

Wylądowała na brzuchu w całkowitej ciemności. Towarzyszył jej szelest obmywającej ją wody i odległy pomruk wdzierającego się do podziemi jeziora. Tuż przy jej twarzy spływające z włosów krople rozbijały się o posadzkę z regularnym kap-kap-kap. Słyszała rzężenie swojego nieregularnego, walczącego z desperacją o powietrze oddechu. Wszystko to, cicho i nieśmiało, powtarzał jej jedyny kompan. Echo.

Resztę zostawiła za sobą.

Ale to jeszcze nie był koniec. Jeszcze miała coś do zrobienia. Powtarzała tę myśl, leżąc w ciemności, aż uwierzyła w nią całą sobą. Aż stała się ona jedyną prawdą, jaką znała w życiu. Aż wreszcie, w całkowitej ciszy, która zapadła po nie wiadomo jak długim czasie, odnalazł ją głos. Powiedział:

– Wstawaj, *vaika*.

Więc wstała.

Wstała, wysmarkała się i obficie splunęła pod nogi.

A potem zrobiła krok przed siebie.

EPILOG

*

Wokół brzegu tłum gęstniał z każdą chwilą. Choć Al-Arak była skąpana już wyłącznie w bladym świetle księżyca, a chłód ściął powietrze, strwożeni mieszkańcy oazy wychodzili z domów, by przyjrzeć się niespotykanemu zjawisku. Oto spod martwej tafli jeziora z przejmującym trzaskiem i bulgotem wydostawał się nieprzerwany strumień ogromnych bąbli, które, pękając, zraszały okolicę zimną mżawką i tworzyły warstwę piany na plosie.

Reynauld patrzył z zainteresowaniem to na wzburzone jezioro, to na tubylców, których kordon ustawiał się w równej odległości od brzegu. Na tyle blisko, by móc doświadczyć tego wszystkimi zmysłami. Równocześnie jednak na tyle daleko, by zdążyć usunąć się z drogi, na wypadek gdyby ku ich stopom zechciała się rzucić jakaś zbłąkana fala.

Kąpani w zabobonach prostacy.

Na niego nikt już nie zwracał uwagi. Na zwiniętą w kulkę na miękkiej trawie Ikke również.

Czuł złość. Przez to wszystko w łeb wziął jego plan zaczerpnięcia wreszcie choćby odrobiny wody dla jego podwładnej w jakimś ciemnym, niepilnowanym miejscu. Jeszcze wieczorem zastanawiał się nad obejściem akwenu wraz z nią do miejsca, które było oddalone od zabudowań. Ale skoro jego woda była dla tutejszych święta, pewnie i tam napotkałby co najmniej kilka par podejrzliwych oczu. I swędzących dłoni przy pasach.

Nie po to przebył pół pustyni, nie po to poprowadził na śmierć większość swoich zaufanych ludzi. Gdzieś tu, gdzieś w trzewiach tej przedziwnej beduińskiej wsi kryła się najpotężniejsza broń, jaka oparła się taidańskiej doktrynie wojennej. Zupełnie przypadkowo i od niechcenia. Nie mając najmniejszego związku z siłami imoreńskiej Korony. Czysty, nieokiełznany żywioł.

To była jedna rzecz. Druga...

Drugą właśnie niesiono na czyimś ramieniu.

Gdy go dojrzał, mężczyzna, który niósł Fel, zatrzymał się w pół kroku. Po krótkiej chwili rozluźnił mięśnie i delikatnie ułożył dziewczynę na trawie nieopodal Ikke. Któryś z tubylców wreszcie zauważył ten już drugi akt profanacji, ale pod wzrokiem cudzoziemca natychmiast opuścił głowę i wycofał się pomiędzy ciała swych krajan.

– Gael, najemnik z Valangi – powiedział Reynauld po imoreńsku i poprawił pas, po czym odruchowo zaczesał dłonią włosy do tyłu. Ostrze szabli lekko obiło się o jego udo. – Obawiam się, że w tej dziurze nie ma balkonów, z których tak bardzo lubisz prowadzić walkę na słowa.

– Reynauld... – zachrypiał Imoreńczyk i sięgnął ku rękojeści swego ostrza, ale nim ją wyszarpnął, zamarł, sapiąc. – Nie. Nie tu. Nie teraz.

– Wiesz co – zaśmiał się Taidańczyk i złapał się pod boki – dokładnie to samo powiedziała mi Vaala.

Błysk, który zapłonął w oczach Gaela, był jedynym ostrzeżeniem, na jakie Reynauld mógł liczyć. Mgnienie oka później klinga szabli najemnika z wrzaskiem skrzesała pióropusz iskier na ostrzu Taidańczyka, aż zatrzymała się na jelcu tuż przy jego twarzy. Na ten widok tłum westchnął w przejęciu.

– Ruszaj – warknął Reynauld.

I Imoreńczyk ruszył.

*

Pierwsze, o czym pomyślała Fel, gdy odzyskała przytomność, to to, że wyrwano jej płuca i zamieniono na płócienne worki wypełnione słomą. Drugie – że z jakiegoś powodu z zimna trzęsie się całe jej ciało oprócz lewej nogi. Gdy udało się jej odlepić od siebie sklejone powieki, dotarło do niej, że znajdowała się na zewnątrz. Że było jasno i wstawał dzień. I że owa noga jako jedyna jej kończyna wystawała na słońce z cienia bujnej, górującej nad nią palmy.

Kaszlnęła i splunęła w bok prosto na swoją dłoń, po czym spróbowała się rozejrzeć. Wzrok wciąż miała rozmazany, a jasność poranka wbijała się dwiema szpilami w jej oczy.

Dopiero po chwili zauważyła sylwetkę stojącego nad nią mężczyzny. Westchnęła i wstrzymała oddech, gdy pochylił się w jej stronę. Przechylił nieznacznie głowę i zapytał:

– I co ja z tobą zrobię?

*

Toryn spojrzał w lewo, a potem w prawo na niezliczone żebra strzelistej palisady, która ciągnęła się po obu stronach, wyłaniała się i chowała w gęstej, szarej mgle. Drżącą dłonią zapukał w wyrzezany w drewnianym murze, wąski prostokąt drzwi.

Koniec tomu II

Płomienie Imoren
Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-954475-0-1

© Michał Kuszewski 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody autora.

REDAKCJA i KOREKTA: Anna Raguza
OKŁADKA: Beata Haratym
KONWERSJA DO EPUB/MOBI: Inkpad.pl

www.michalkuszewski.pl
www.facebook.com/enkizm

kontakt@michalkuszewski.pl